



**JANE GREEN**

**Domek na plaży**

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rower poskrzypując przemierza zwirową ścieżkę, lawiruje między zdradliwymi dziurami, które mogłyby stanowić poważne zagrożenie dla kogoś, kto by nie znał tej drogi jak własnej kieszeni.

Kobieta jadąca rowerem unosi głowę, spogląda w niebo, wciąga powietrze głęboko w płuca i uśmiecha się do siebie. Nad Nantucket wstał mglisty poranek, jednakże ona wie - gdyż mieszka tu wystarczająco długo - iż mgła ustąpi jeszcze przed południem. Promienie palącego słońca, zwykłego tutaj w początkach czerwca, unicestwią zawieszono nad ziemią kropelki wody, tak że reszta dnia z pewnością będzie udana.

To dobrze, bowiem ma zaplanowany na dziś lunch na świeżym powietrzu; właśnie zmierza do wioski, po tym jak spędziła ostatnią godzinkę w ogrodzie sąsiadów, wybierając i ścinając najpiękniejsze niebieskie hortensje, które teraz spoczywają w koszu przy kierownicy. Nawet nie wie, kim są mieszkający obok niej ludzie, a co dopiero mówić o zażyłych stosunkach z nimi - to bardzo dziwne uczucie, kiedy nie przeprowadzając się od czterdziestu pięciu lat i wciąż pozostając w miejscu, w którym kiedyś znało się wszystkich, człowiek budzi się pewnego dnia, by zobaczyć wokół siebie same obce twarze - lecz uznała, że nie zauważą zniknięcia kilkunastu kulistych głów kwiatów, zwłaszcza że (sądząc po opuszczonych żaluzjach i braku auta na podjeździe) chyba wcale ich jeszcze nie ma.

Furtka do ich tylnego ogrodu była kusząco otwarta, a że wcześniej po okolicy rozeszły się plotki o sprowadzonym przez nich szpanerskim architekcie krajobrazu, po prostu musiała tam zajrzeć. Okazało się, że do basenu napuszczono już wody, niebieskiej i przejrzystej, wręcz zachęcającej do tego, by się w niej zanurzyć, co oczywiście uczyniła, najpierw zrzuciwszy ubranie. Ciało miała wciąż szczupłe i silne, a nogi opalone i umięśnione od codziennej jazdy na rowerze.

Po wyjściu z basenu nie wytarła się, pozwalając, by osuszyło ją coraz mocniej przygrzewające słońce. Spacerując naga po ogrodzie, wkładała do ust zerwane truskawki i zielony groszek znalezione w warzywniku, podziwiała zaczynające kwitnąć róże i na koniec - gdy skórę miała już całkiem suchą - włożyła na siebie z powrotem ubranie. Z ust wyrwało jej się ciche westchnienie zadowolenia.

Z takich i podobnych powodów Nan zyskała opinię ekscentryczki. Jest jej świadoma, a nawet dumna z niej, ponieważ to zapewnia wolność, pozwala robić rzeczy, na jakie ma ochotę, a jakich inni zazwyczaj muszą sobie odmawiać. Bycie z lekka dziwaczką nie jest takie złe, skoro dzięki temu ludzie przykładają do niej trochę inną miarę i stosują wobec niej taryfę ulgową.

To, zdaniem Nan, jedna z dobrych stron starzenia się, niezbędnych, gdy większość wiążących się z podeszłym wiekiem spraw przysparza wyłącznie bólu. Mając lat sześćdziesiąt pięć, Nan wciąż czuje się, jakby dopiero przekroczyła trzydziestkę, a czasami nawet jak dwudziestolatka - z tą istotną różnicą, że dawno ma za sobą niepewność młodości i obawy, które kiedyś ją dręczyły: że nie jest dość ładna, że nie dorasta do pięt rodzinie Powellów, że omotała Everetta Powella i podstępem zmusiła go

do ślubu, wreszcie że gdy tylko jej uroda zacznie przemijać, wyjdzie na jaw, iż w rzeczywistości jest nikim, niczym, i wszyscy przejrzą na oczy, i zaczną ją traktować tak, jak na to zasługuje - czego się spodziewała od samego początku swego małżeństwa, dzięki któremu stała się członkinią tej wspaniałej rodziny.

Naturalne piękno zawsze było jej sprzymierzeńcem. Nan jest wysoka, szczupła i silna, ma gładkie i lśniące, choć teraz już siwe włosy, które nosi spięte w schludny koczek z tyłu głowy, jej wysokie kości policzkowe nadal wyróżniają się w twarzy, a zielone oczy pobłyskują rozbawieniem pod idealnie wymodelowanymi brwiami.

Uroda Nan to rzadkość w dzisiejszych czasach, połączenie naturalnego piękna i szyku, które udało jej się zachować nawet po pięćdziesiątce, aczkolwiek ostatnio z każdym rokiem jakby ich ubywało, czego ona zdaje się nie zauważać.

Patrząc w lustro, dostrzega zmarszczki, zapadnięte policzki i skórę tak cienką, że nieomal można przez nią zobaczyć kości, i czym prędzej pokrywa niedoskonałości grubą warstwą makijażu. Wciąż jej się wydaje, że nie może wyjść z domu nieumalowana, i pierwsze co robi każdego ranka, zanim weźmie kąpiel i włoży bieliznę, to pociąga usta charakterystyczną dla siebie szkarłatną szminką.

Tyle że ostatnimi czasy jej makijaż bywa niestaranny, tu za dużo pudru, tam za mało podkładu, rozmazana pomadka na wargach, a wszędzie zmarszczki, drobniutkie i bardziej widoczne, te, przed którymi ją ostrzegano jeszcze w latach osiemdziesiątych. Jak dziś pamięta, że syn starał się ją odwieść od palenia papierosów, pokazując zdjęcia kobiet wycięte z kolorowych magazynów, ukazujące na zbliżeniu niezdrową, szorstką cerę. „Nie mogę rzucić palenia” - odpowiadała mu, marszcząc czoło. - „Zbyt wielką przyjemność sprawia mi ten nałóg. Mogę ci jednak obiecać, że zerwę z nim, jak tylko przestanie mi się podobać”. Co jak dotąd nie nastąpiło.

Trzydzieści lat temu nigdy by się nie odważyła wejść nieproszona na cudzą posesję ani tym bardziej pływać nago w nie swoim basenie. Trzydzieści lat temu przejmowałyby się tym, co powiedzą ludzie, i nie ścinałyby u sąsiadów kwiatów ani nie podkradałyby im krzaczków truskawek z myślą o tym, by posadzić je u siebie w ogródku, nawet gdyby miała pewność, że nic z tego nie zostanie zauważone.

Gdyby jednak trzydzieści lat temu zrobiła coś podobnego i została przyłapana, z pewnością by się jej upiekło. Po prostu okazałaby skrucę i może jeszcze zaprosiła mieszkającą obok parę na drinka. Mężczyzna flirtowałby z nią, wyjąłby jej z rąk karafkę z rumowym ponczem i nalegał, by napełnić jej kieliszek, podczas gdy ona z lekko pochyloną i przekrzywioną głową przypalałaby sobie papierosa, spoglądając na gościa swymi niesłychanie zielonymi oczyma, po czym ledwie dostrzegalnie zarzucałyby blondynami, dając mu do zrozumienia, że jest najważniejszą osobą w pokoju... nie, wróć... że jest jedyną osobą w pokoju i do diabła z jego żoną.

Trzydzieści lat temu inne kobiety ją ignorowały nie dlatego, że tak jak teraz miały ją za Postrzeloną staruszkę mieszkającą samotnie w wielkim domu na urwisku, lecz dlatego, że czuły się przez nią zagrożone - bały się, że może mieć dość mocy, by zabrać im mężowi zrujnować życie. Ich obawy nie były nieuzasadnione.

Nigdy jednak nie posunęła się aż tak daleko.

Przynajmniej nie wtedy.

Oczywiście, miała parę romansów, ale nigdy nie zależało jej na tym, aby ukraść któregoś męża; po prostu chciała się zabawić. Po śmierci Everetta, po latach spędzonych w samotności, doszła do wniosku, że czasami seks to naprawdę tylko seks i nic więcej oraz że są takie chwile w życiu człowieka, kiedy trzeba korzystać, skoro nadarza się sposobność.

\* \*

Wioska Siasconset, znana szerzej jako Sconset, kąpie się w promieniach słońca, kiedy Nan w końcu dociera do niej na swoim rowerze. Kobieta mijając Sconset Café, nie zatrzymuje się przy Starej Księgarni (która wcale nie jest już księgarnią, tylko sklepem monopolowym) i zeskakuje z siodła dopiero przy sklepie wielobranżowym z zamiarem zrobienia podstawowych sprawunków.

Pod przeciwległą do wejścia ścianą stoi lada chłodnicza, wypełniona po brzegi kubeczkami z jogurtem, kartonami mleka, opakowaniami jajek - produktami niezbędnymi do życia - a całą resztę półek zajmują wymyślne dania dla smakoszy, krakersy z sezamem, delikatesowe specjały, a także takie rzeczy, jak zapachowe świece, i oczywiście obowiązkowe T-shirty, czapki bejsbolowe oraz torby na ramię, wszystkie z napisami, dzięki którym turyści przybyli do Sconset na urlop mogą zaświadczyć, że stać ich na pobyt w miejscu, gdzie się bawią milionerzy.

Nan jak zwykle kieruje się od razu w głąb sklepu, kiwając głową turystom i machając na powitanie kobiecie siedzącej za kasą.

Wszyscy w Sconset są przyzwyczajeni do jej widoku, nikogo nie dziwią długie lniane spódnice powiewające na wietrze, gdy pedałuje drogą na starym zardzewiałym schwinie. Teraz nieczęsto widzi się takie rowery, o charakterystycznym kształcie i z gigantycznym koszem na przedzie, ale właśnie taki wybrała razem z Everettem, kiedy po raz pierwszy spędzali tu lato, jeszcze w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim - miała wtedy dwadzieścia lat i przyjechała do Windermere poznać przyszłych teściów.

Z koszem pełnym zakupów Nan jedzie powoli, jedną dłoń delikatnie trzymając na rączce kierownicy, w drugiej zaś dzierżąc papierosa. Macha każdemu, kogo mijają, obdarza wszystkich uśmiechem, a od czasu do czasu przystaje na krótką pogawędkę, gdy najdzie ją ochota lub zobaczy w ogródku krzątającą się znajomą.

Większość osób przyjaźnie odmachuje, lecz w miarę upływu lat coraz częściej się zdarza, że jej gesty nie znajdują odpowiedzi, że mijani ludzie udają, iż nie zauważają zwariowanej platynowoblond

staruszki na skrzypiącym bicyklu - ludzie, którzy są tak piękni i promienni, tak czyściutcy i doskonali, gdy wędrują wzdłuż głównej ulicy, wduszając przyciski swoich iPodów, że wprost nie sposób na nich patrzeć bez mrużenia powiek.

Coś podobnego byłoby nie do pomyślenia, gdyby miała trzydzieści lat mniej - Nan jest o tym przekonana, ilekroć jakaś wspaniała para młodych nowojorczyków spogląda na nią niepewnie, gdy się zbliża, skrzypiąc przeraźliwie i machając rękoma jak wiatrak w próbie zapalenia kolejnego papierosa bez zatrzymywania się. Trzydzieści lat temu mężczyzna pośpiesznie wyjąłby zapalniczkę z kieszeni i podał jej ogień, zamiast się odwrócić, kiedy pociągnie go żona, sarkająca teatralnie w chwili, w której Nan nareszcie udaje się zaciągnąć i zaraz wypuścić smugę dymu tuż przed jej nosem, zupełnie jakby wszystko sobie zaplanowała i wymierzyła co do sekundy. Jeśli urlopowiczka rozkasze się dramatycznie, Nan z radością pokaże jej środkowy palec, po czym odjedzie w siną dal i już nie zobaczy, jak kobieta sapie z oburzenia i zakrywa dłonią oczy trzylatkowi, który się płacze pod jej nogami.

Co się stało z ludźmi? zastanawia się Nan, trawersując po nierównych kocich łbach. Kiedy zaczęli być krusi jak porcelana? Gdy z przeciwka mija ją sześcioosobowa rodzina - tata, mama i czwórka dzieci niczym cztery kaczątka, każde w odblaskowym i aerodynamicznym kasku ochronnym - Nan ogląda się za nimi i odprowadza ich wzrokiem, nie mogąc sobie przypomnieć, w którym dokładnie momencie dzieci zaczęły nosić kaski i ochraniacze, a dorośli jęli się bać własnego cienia.

Doskonale za to pamięta siedmioletniego Michaela, jak spadł z drabinek na placu zabaw zwanym Małpim Gajem i rozbił sobie głowę na betonowym podłożu. Nie spanikowała wtedy, ponieważ coś takiego prędzej czy później przytrafiało się każdemu. Po prostu zapakowała chłopca do samochodu i przewiozła na przednim siedzeniu pod dom doktora Gravera, gdzie w kuchni doktorostwa założono mu szwy, podczas gdy gospodyni podawała lemoniadę i imbirowe ciasteczka.

Kiedy Michael wszedł w wiek dojrzewania, nigdy nie wiedziała, gdzie jest. Rodzice któregoś z jego kolegów mieli łódź i pewnego razu kilkusobowa grupka chłopców spędziła na niej cały dzień, wyrzucona na mieliznę pośród bagnistej wody. Nan dowiedziała się o tym, gdy piszcząc z podniecenia, wpadli przez kuchenne drzwi do jej domu i zaczęli opowiadać jeden przez drugiego o wydarzeniu, które zdążyło urosnąć do mrożącej krew w żyłach opowieści, jak to otarli się o śmierć. Ktokolwiek z dorosłych był w pobliżu, uśmiechał się z pobłażaniem, przysłuchując się przechwałkom tylko jednym uchem, ponieważ w tamtych czasach życie kręciło się wokół dorosłych, nie wokół dzieci.

Gdy Everett po raz pierwszy wiozł ją do letniego domku jego rodziny, Nan nie miała pojęcia, w co się wpakuje. Nie była nawet pewna, czy kiedykolwiek słyszała o Nantucket. Dotychczas spędzała wszystkie wakacje na wybrzeżu New Jersey i prawie nic nie wiedziała o tym, co później w myślach zaczęła nazywać Starą Ameryką - zwłaszcza zaś o prawdziwych amerykańskich rodzinach o janke-skich korzeniach i bogactwie ugruntowanym przez stulecia, rodzinach, których przodkowie przyплыли



do Nowego Świata na pokładzie Mayflower i które mogły się pochwalić rodowodem sięgającym wiele wieków wstecz.

Jej rodzice byli Anglikami, przyплыnęli do Nowego Jorku w nadziei na lepsze życie niż to, które pozostawili za sobą w Birmingham, a Ossining wybrali dlatego, że tam mieszkał ich daleki kuzyn.

Wciąż była ich małą, naiwną córeczką, znaną wszystkim jako Suzanne, nieprzeczuwającą niczego, gdy Everett wiozł ją do swojego domu, aby przedstawić swoim rodzicom. Nie było jeszcze Internetu ani Google'a, dzięki którym mogłaby zawczasu dowiedzieć się czegoś o Powellach, a nie знаła nikogo, kto by ją uprzedził, że to familia znana na całe Massachusetts z racji tego, że jej pokolenia przyczyniły się do odrestaurowania Cape Cod i uczynienia półwyspu tym, czym jest dzisiaj, ani tym bardziej by otworzył jej oczy na to, że wychodząc za Everetta, będzie musiała przyjąć go z dobrodziejstwem inwentarza - bogactwem, przywilejami i rodową historią.

Poślubiła Everetta z miłości; prezentem ślubnym dla nich obojga od jego rodziców był apartament w Nowym Jorku. Nic specjalnego, mówiła o nim lata później, lecz w rzeczywistości mieszkanie było wyjątkowe, i to do tego stopnia, że przez pierwsze dwa lata małżeństwa Nan budziła się co rano z myślą, że umarła i przeniosła się na plan filmowy, a zaraz przed kamerą stanie Grace Kelly.

Podobnie się czuła, ilekroć odwiedzała Windermere. Posiadłość, której historia sięga początków dwudziestego wieku, była położona na obrzeżach wioski Sconset, nieco w bok od Baxter Road, niemal na samym skraju malowniczego urwiska, skąd rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na Atlantyckie; szkudły z biegiem czasu poszarzały i zdawały się nadszarpnięte przez porywisty wiatr, ale poza tym linia budynku pozostała stateczna i elegancka, a jego ganki, przynajmniej kiedyś, tętniły życiem i ludzkimi głosami.

Sam dom nie był duży, ale leżał na dziewięciu akrach niezwykle atrakcyjnego terenu. Początkowo pomyślany jako typowa dla Nowej Anglii bryła, zmieniał się na przestrzeni lat z każdą dobrze przemyślaną przybudówką, aż w końcu nabrał rozłożystych i imponujących kształtów. Nic dziwnego, że deweloperzy zaczęli wokół niego krążyć niczym szukające łupu sępy. Nan podejrzewała, że mimo to dom zostanie zburzony, z chwilą gdy przejdzie w obce ręce, a jej zdaniem wiązało się z nim zbyt wiele dobrych wspomnień, aby miała tak łatwo odpuścić i skazać budowlę na zniszczenie.

Była to letnia rezydencja Powellów - ich idylliczne schronienie na czas pomiędzy Świętem Poległych przypadającym na ostatni dzień maja i Świętem Pracy obchodzonym w pierwszy poniedziałek września, miejsce, gdzie najmłodsze latorośle biegały nago, a dorośli i młodzież urządzali na plaży ogniska, w których piekli małże na rozgrzanych kamieniach, jednym słowem: gdzie wszyscy fantastycznie się bawili.

Właśnie za sprawą jednego z takich golusieńkich dzieci jej imię uległo zmianie podczas tamtej pierwszej, pamiętnej wizyty. „Ona nazywa się Suzanne” - powtarzał Everett pewnej trzylatce, czyjejś córce albo kuzynce czy coś w ten deseń, podczas gdy dziewczynka z całych sił ciągnęła ją i namawia-

ła, żeby wybudowały jeszcze jeden zamek z piasku. „Nan, oć” - marudziła, nie zwracając uwagi na nudnego mężczyznę, a on, tak podówczas przystojny, z zaledwie zapowiedzią zmarszczek wokół jasnych niebieskich oczu oraz opaloną twarzą, odwrócił się do Suzanne i powiedział: „Nan. Nan-na-Nantucket”. Roześmiał się i dodał: „Brzmi dobrze”. Od tamtej pory nikt nie nazwał jej inaczej jak Nan, tak że sama nieomal zapomniała własne imię i nieraz musiała kreślić po urzędowych formularzach, które wymagały jej pełnych danych, uświadomiwszy sobie poniewczasie, że napisała Nan zamiast Suzanne.

Gdy Nan wraca wspomnieniami do tamtych wczesnych dni w Windermere, zdaje jej się, że słyszy pobrzękiwanie szkła i delikatną muzykę na żywo i nieomal widzi kolorowe lampki, którymi opleciono okapy, a także latarnie zwieszające się z gałęzi drzew oraz - oczywiście - wszędzie ludzi: roześmianych, popijających z kieliszków i tańczących.

Zdarzały się prozzone obiady, które trwały do białego rana; w ich trakcie rodzice Everetta - Lydia i Lionel - nieodmiennie wiodli swoich gości w dół na wydmy, na będące tradycją nocne pływanie. Z gardeł pływaków dobywały się krzyki, kiedy zimna woda oceanu uderzała z nagłą w ich ciała, a echo musiało bez trudu docierać do centrum wioski.

Co rusz przyjeżdżał ktoś ze znajomych i przyjaciół rodziny - niektórzy pozostawali ciągiem przez całe lato - lecz Windermere było w stanie pomieścić wszystkich, a jeśli nawet nie udawała się ta sztuka, zawsze znalazło się zapasowe łóżko w jednej z czterech chatek ulokowanych na obrzeżach posiadłości.

Dwie chatki zostały sprzedane, gdy umarł Lionel, a u Lydii zdiagnozowano alzheimera. Kiedy Lydia w końcu trafiła do domu opieki w Bostonie, Nan robiła co w jej mocy, aby ją tam odwiedzać, i z rzadka zabierała też syna, przynajmniej do czasu, gdy te odwiedziny nie stały się zbyt bolesne, gdy nie stało się jasne, że Lydia nie przypomina już choćby cienia dawnej siebie, a jest tylko skurczoną, pomarszczoną, osiwiałą staruszką, wyglądającą jak każda inna chora staruszka w ośrodku (w istocie Nan przeszła kiedyś obok niej, nie rozpoznawszy swojej teściowej).

Everetta nie było już wtedy pośród żywych - czy raczej, jak wołała to ujmować Nan: Everett zdążył do tego czasu odejść. Któregoś ranka obudziła się, by spostrzec, że miejsce obok niej jest puste, w czym nie było niczego dziwnego, ponieważ jej mąż często wstawał przed nią, by zdążyć popływać, zanim zjedzą razem śniadanie, i dopiero to, że nie pojawił się przy stole o zwykłej porze, zjeżyło jej włosy na głowie ze strachu.

Zeszła na plażę - i nawet teraz we wspomnieniach wyraźnie czuje swoją ówczesną pewność, że od chwili, w której zastała drugą połowę łóżka pustą, wiedziała, iż coś jest nie tak.

Jego koszulka leżała na piasku nierówno złożona i obciążona zegarkiem, który odziedziczył po ojcu. Nie było żadnej kartki ani nic. A morze tamtego dnia zdawało się szczególnie wrogim żywiołem.

Nan stała i spoglądała na fale, przysłuchując się obezwładniającemu rykowi oceanu, a w pewnym momencie po jej policzku spłynęła łza. Nie wypatrywała Everetta; wiedziała już, że odszedł.

Nie wiedziała wtedy tylko, dlaczego to uczynił.

Okazało się, że fakt, iż dziadek Everetta wygrał Windermere w grze w pokera, nie był przypadkiem. Gen hazardu najwyraźniej ominął jedno pokolenie i zagnieździł się w komórkach ciała jej męża.

Nan zdawała sobie sprawę, że Everett grywa w pokera, nie miała tylko pojęcia, że karty to dla niego coś więcej niż zwykła rozrywka, niż powód, aby spędzić całą noc poza domem w męskim towarzystwie, wypić parę piw, zapalić parę cygar czy zrobić to, co mężczyźni na ogół robią, kiedy się umawiają na partyjkę.

Wkrótce po jego śmierci, przed tyloma laty, zaczęła odbierać telefony od pracowników banku, od wierzycieli, a w końcu także od jego księgowego.

- Nie wygląda to za dobrze - powiedział księgowy.

Na szczęście nie wyglądało też zbyt źle. Było co spieniężyć. Sprzedano dwie pozostałe chatki na obrzeżach Windermere, a potem, po kolejnych kilku latach, również nowojorski apartament. Decyzja nie należała do łatwych, jednakże Nan zawsze nade wszystko kochała Windermere, nieraz zastanawiała się, jak by to było, gdyby zamienić tę posiadłość w dom na cały rok, a nie tylko na lato, no i był jeszcze Michael, wciąż dość młody, więc bez wątpienia życie z dala od zgiełku metropolii wyszłoby mu na dobre, zwłaszcza że oboje przepadali za tym miejscem i wszystko wydawało się tam prostsze. Był koniec lat siedemdziesiątych i sprzedaż apartamentu przyniosła tyle, że Nan sądziła, iż jest ustawiona po grób.

- Daję ci wolną rękę - oznajmiła swemu maklerowi ze śmiechem, wierząc, że dobre inwestycje zapewnią jej spokojną przyszłość.

Teraz Nan nie ma już maklera. Kiedyś - podobnie jak wszyscy - bardzo sobie cenila jego pomoc, lecz w którymś momencie spostrzegła, że stary dobry zawód odszedł do lamusa. Obecnie nikt nie mówi o sobie „makler”. Urlopowicze szeptają coś do siebie o „transakcjach fuzji i przejęć”, „derywatach” i - najczęściej - o „funduszach hedgingowych”. Nan do dziś nie ma zielonego pojęcia, co to są te fundusze hedgingowe, ale wie za to, że ci, którzy budują największe domy na wyspie, mężczyźni, którzy przylatują do żon na weekend prywatnymi odrzutowcami lub helikopterami, by dołączyć do rodziny obsługiwanej przez niańki, gosposie i pokojówki, wszyscy oni „robią” w tajemniczych funduszach.

Ona również ulokowała trochę pieniędzy w takim funduszu. Co miesiąc nawet otrzymuje wyciąg, ale zazwyczaj zapomina go otworzyć. Ostatnimi czasy jej poczta ma tendencję do gromadzenia się w niebezpiecznie wysokie sterty na kuchennym blacie, zanim nie zniknie - zmieciona jednym zamaszystym ruchem - w trzewiach którejś z szafek, ponieważ Nan straciła cierpliwość do tak prozaicz-



nych zajęć; rachunki ją nudzą, a jedyne koperty, jakie dostępują zaszczytu bycia otwartymi, są zaadresowane ręcznie, i to znajomym charakterem pisma.

Dzisiaj jednak jej doradca finansowy przychodzi zjeść z nią lunch, choć od dłuższego czasu Nan nie myśli o nim jako o doradcy, a raczej jako o przyjacielu, mimo że właściwie nie jest ani jednym, ani drugim, gdyż nie widziała się z nim od czterech lat i trudno nawet powiedzieć, by kiedykolwiek jej doradzał w sprawach majątkowych, jeśli nie liczyć zapewnienia udzielonego dawno temu, że wybrany przez nią fundusz hedgingowy jest bezpieczny i rokuje nadzieję na profity, co gwarantuje renoma banku inwestycyjnego Goldman Sachs oraz reputacja jego najbystrzejszego finansisty, który się opiekuje rzeczonym funduszem, tak więc ze spokojnym sumieniem może złożyć w nim suty depozyt.

Telefon dzwoni, kiedy wchodzi do domu. Wrzuca hortensje do zlewu i łapie słuchawkę, równocześnie odkręcając kurek z zimną wodą.

- Cześć, mamó. - Michael, jak zwykle o tej porze, dzwoni do niej w drodze do pracy.

- Cześć, kochanie. Jak się miewasz?

- Jestem wykończony. W mieście jest lepko, parno i w ogóle okropnie. Zazdroszczę ci, że siedzisz sobie na wyspie. Jak tam jest, ładnie?

- Jeszcze nie. - Nan się uśmiecha. - Ale niedługo będzie ślicznie. Może byś wpadł z wizytą? Stęskniłam się za tobą. Jak jestem tu sama, panuje taki dziwny spokój.

- A Sara? Czy nie powinna być z tobą?

- Zachodzi raz czy dwa razy w tygodniu, żeby mi pomóc - uspokaja go Nan - i naprawdę bardzo się cieszę z tych wizyt, ale tęsknię za rodziną, tęsknię za tłumkiem w domu, za ludźmi, którzy potrafią się bawić. Pamiętasz, jak zjeżdżaliście tu na lato całą ekipą? Ależ panował wtedy harmider! Co byś powiedział na to, żeby odwiedzić starą matkę z kilkorgiem przyjaciół? Czy nie mówi się, że niejeden by zabił za urlop spędzony na Nantucket?

Michael śmieje się w głos. Jego matka chyba nigdy się nie zmieni, pozostanie niepoprawna do końca życia.

- Wszyscy moi znajomi bez wątpienia popełniliby morderstwo za choćby parę dni wytchnienia na Nantucket, gdyby tylko mogli wziąć wolne w pracy. W dodatku większość się pożeniła, mają dzieci. To utrudnia im sprawę. Nie mogą tak po prostu oznajmić w domu: jedziemy na wakacje, pakujcie się.

- Czemu nie? - Nan zdaje się szczerze zdziwiona. - Przecież to idealne miejsce na wakacje, a ja uwielbiam małe dzieci.

- Wiem o tym, ale to nie takie proste. Wszyscy są teraz zalatani, wiecznie za czymś gonią. Ja to co innego. Chętnie przyjadę. Tylko jeszcze nie teraz, bo akurat właściciele są na urlopie i muszę pilnować interesu przez tydzień czy coś koło tego. Ale potem, kto wie.

Nan zakręca kran z wodą i sięga po papierosa.

- Rany, mamó. Chyba nie palisz?

Nan go ignoruje.

- A jak ci się układa z tą dziewczyną... jakże jej było na imię?... Aisling?

Michael uśmiecha się do słuchawki.

- Interesująco. Naprawdę ją lubię. Jeszcze za wcześnie, by powiedzieć coś więcej, ale na razie sprawy wyglądają obiecująco. Ma płomienny charakter. Jest niezależna. Pewnie byś ją polubiła.

- Bardzo chętnie ją poznam. - Nan uważa na słowa, nie chce prosić o zbyt wiele. - Jeśli chcesz, możesz ją ze sobą przywieźć.

- Niewykluczone, że to zrobię. Jakie masz plany na dziś?

- Przygotowuję lunch. Zapowiedział się Andrew Moseley.

- Twój doradca finansowy?

- We własnej osobie.

- Wszystko u ciebie w porządku?

- A dlaczego miałoby nie być w porządku?

- To dosyć dziwne, że pokona taki kawał drogi, żeby się z tobą zobaczyć.

Nan wzrusza ramionami.

- Przypuszczam, że uznał, iż po czterech latach wypada złożyć wizytę swojej klientce. A poza tym mnie naprawdę potrzeba ludzkiego towarzystwa. Zaraz zabiorę się do sałatki ze świeżych warzyw z ogródka, a Sara, jeśli nie zapomni, przyniesie potrawkę z homara, którą wczoraj upichciła.

- Aż mi ślinka cieknie. - Michael natychmiast wyobraża sobie stół nakryty do posiłku na tarasie, boso stopy matki, z których strąciła baletki, podkurczone w wygodnej pozycji po lunchu, karafkę białego wina w jednym ręku i nieodłączny papieros w drugim. - Tylko nie pij za wiele.

Michael kończy rozmowę, uśmiecha się smutno, zamyka klapkę telefonu i sięga po rower, przymocowany stalową linką do ulicznej latarni przed jego mieszkaniem przy Dziewięćdziesiątej Czwartej Ulicy. Otwierając szyfrowy zamek, nie dostrzega pełnego uznania spojrzenia, jakie posyła mu wysoka blondynka wyprowadzająca psa na spacer.

Nigdy nie robił wielkiego halo z powodu swego wyglądu, biorąc za coś oczywistego swoje duże zielone oczy, odziedziczone po matce, przekazaną mu przez ojca schludność stuprocentowego Amerykanina oraz szeroki uśmiech, który zawdzięczał sam sobie.

W wieku czterdziestu dwóch lat wciąż prezentuje się jak gracz futbolu, którym był w przeszłości - tak samo zgrabny, opalony i pewny swego.

Przymocowuje odpiętą linkę do ramy i wkłada na głowę kask, drugą ręką wsuwa komórkę do plecaka i już odpycha się jedną nogą, zmierza w stronę Columbus Circle, odnotowując w pamięci, by

zadzwoić do Sary i upewnić się, że z mamą naprawdę wszystko dobrze, że ktoś ma na nią oko i że nie jest sama jak palec, co można by wnioskować z jej słów i z tonu jej głosu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Opowiedzcie, jakżeście się poznali. - Doktor Posner odchyła się na oparcie fotela i spogląda na nich, siedzących w przeciwległych końcach sofy: na elegancką brunetkę jakby kulącą się w rogu, nerwowo pociągającą kosmyk włosów ściętych na pazia i popatrującą niespokojnie na swego męża, który bez ruchu wpatruje się w podłogę.

Mężczyzna, szczupły szatyn, ma niesłychanie ciemne, niemal czarne oczy, które raz po raz podnosi na doktora Posnera - oczy przepełnione smutkiem i cierpieniem.

Pasują do siebie. Ona ledwie przekroczyła trzydziestkę, on ma lat czterdzieści i parę, tak przynajmniej zgaduje doktor Posner. Żona nosi legginsy w marmurkowy rzucik, baletki, torebkę z krokodylej skóry, którą postawiła przy nogach, a na kolanach trzyma kaszmirowy szal, pewnie na wypadek gdyby klimatyzacja zaczęła dawać się jej we znaki. Mąż jest ubrany w dżinsy i koszulkę polo, wydaje się w tym stroju schludny i przystojny, a wrażenie to potęguje lekka opalenizna i ładnie wyrzeźbione ciało świadczące o tym, że jego właściciel chodzi na siłownię co najmniej cztery razy w tygodniu.

Każde z nich wygląda tak, jakby nigdy w życiu nie miało żadnych problemów. Są młodzi, sprawni, urodziwi i wszystko zdaje się w najlepszym porządku. Ale oczywiście doktor Posner wie, że jest inaczej.

W przeciwnym razie po co by do niego przychodzili?

- Opowiedzcie, dlaczegożeście się w sobie zakochali - precyzuje pytanie doktor Posner i ignorując nerwowe poruszenie mężczyzny, dodaje: - Co sprawiło, że jesteście razem.

Bee rzuca spojrzenie Danielowi i kiedy ich oczy się spotykają, na twarzach obojga wykwita lekki uśmiech.

- No więc tamtego lata wynajmowałam z paroma osobami dom na Long Island - zaczyna Bee, a jej oczy przesłania mgiełka wspomnień. - To był jeden z tych domów, które wyglądają fantastycznie na zdjęciach, ale kiedy człowiek się wprowadza, przekonuje się, że poprzedni najemcy zdemolowali wszystko, co tylko się dało...

- Ale miał wspaniały basen - wtrąca Daniel, a Bee potakuje z uśmiechem.

- To prawda, basen był bez zarzutu.

- Zatem byliście współnajemcami? - pyta doktor Posner.

- Nie. - Bee potrząsa głową. - To było w wakacje. Daniel mieszkał kilka domów dalej przy tej samej ulicy. Znalazł dach nad głową u jakichś przyjaciół rodziny.

- Perspektywa dzielenia domu z obcymi ludźmi mnie przerażała - wyjaśnia Daniel, uśmiechając się szerzej po raz pierwszy od wejścia do gabinetu. - Wszystkie te imprezy i picie, i rozpaczliwe rozglądanie się, czy nie pojawi się ktoś godny zainteresowania...

- To nie w twoim stylu? - Doktor Posner przygląda się Danielowi uważnie.

- Zdecydowanie nie. Takie życie nigdy mnie nie pociągało. Na szczęście moi rodzice mieli przyjaciół, którzy z kolei mieli dom w Amagansett, a że wyjeżdżali na całe lato, pozwolili mi się wprowadzić.

- Wiedzieli, że mogą zaufać Danielowi - wybucha śmiechem Bee. - Normalny facet doprowadziłby chatę do ruiny, ale on dzień w dzień robił obchód z odkurzaczem w jednym ręku i miotłą w drugim, polując na każde zaplątane ziarenko piasku.

Daniel wzrusza ramionami, nie przestając się uśmiechać, jakby chciał powiedzieć: przed nią nic się nie ukryje.

- Zawsze jesteś taki skrupulatny? - dopytuje doktor Posner.

- Ma fioła na punkcie czystości - odpowiada za męża Bee. - Nie znam innego mężczyzny, który by co rano słał łóżko i segregował rzeczy do prania.

Teraz uśmiecha się doktor Posner.

- Chyba o takim kimś marzą wszystkie kobiety?

Ani jedno, ani drugie nie komentuje jego stwierdzenia i zapada niezręczna cisza, którą w końcu przerywa głos doktora Posnera.

- Nie podoba ci się, że Daniel lubi czystość? - zwraca się do Bee.

Bee chichocze, ale wesołość zdaje się wymuszona.

- Żartuje pan? To ideał faceta, tak jak pan powiedział. Wszystkie moje przyjaciółki mi zazdroszczą, kiedy słyszą, że Daniel nastawia pranie, zmywa naczynia i robi całą resztę.

- To silniejsze ode mnie - broni się Daniel. - Odczuwam niepokój, gdy wokół panuje bałagan albo brud.

- Wróćmy do tego domu na plaży - sugeruje doktor Posner. - Czas opowiedzieć dokładnie, w jakich okolicznościach się spotkaliście.

- No więc - wrywa się znowu Bee - grał w siatkówkę nad oceanem z paroma chłopakami z domu, w którym mieszkałam. Prawdę mówiąc, wszyscy oni byli okropni. Można by pomyśleć, że jak się ma dziesięciu współnajemców, to choć jeden z nich będzie porządnym człowiekiem, ale z doświadczenia wiem, że nawet ci, którzy sprawiają miłe wrażenie, okazują się stuprocentowymi dupkami - zakrywa usta dłonią. - Tamtego dnia moja przyjaciółka Debora i ja postanowiłyśmy powalęsać się po plaży, może wypić butelkę wina, siedząc na piasku, no i w pewnej chwili zauważyłyśmy Daniela i jego kumpla, głównie dlatego, że byli nieznajomi, ale również z tego względu, że przyciągali wzrok.

W miarę jak toczy się ta opowieść, oboje - Bee i Daniel - zdają się odprężyć; ich ciała zapadają się w miękką sofę, głosy stają się żywsze, a uśmiechy bardziej szczere, kiedy przerywają sobie nawzajem, wspominając czasy, gdy życie było proste i nie mieli powodów do zmartwienia. Kiedy nie siadali na przeciwnych krańcach skórzanej kanapy w gabinecie terapeuty, po to by się dowiedzieć, czy ich małżeństwo ma szansę na przetrwanie.

- A ty też zauważyłaś Bee?

- Trudno byłoby jej nie zauważyć - odpowiada Daniel, szczerząc się. - Miała na sobie odbla-skoworóżowe bikini i ilekroć na nią spojrzałem, suszyła do mnie zęby.

- Więc spodobała ci się?

- Ja... Tak. Była cudowna. Oczywiście, że mi się spodobała.

\* \*

Czy Bee naprawdę spodobała się wtedy Danielowi? Nawet teraz trudno mu znaleźć odpowiedź na to pytanie. Była cudowna, bez dwóch zdań. Wszyscy inni faceci próbowali zwrócić na siebie jej uwagę, lecz Bee widziała tylko jego.

Nie miał pojęcia czemu. Wcale nie szukał przygody. Dopiero co zakończył czteroletni związek z Nadine, którą kochał, z którą był przeszczęśliwy, lecz która - będąc jego rówieśniczką (mieli po trzydzieści lat) - marzyła tylko o jednym: aby wyjść za niego, a może po prostu wyjść za kogokolwiek.

Chociaż darzył ją uczuciem, nie chciał się z nią żenić, nie chciał wiążącej się z małżeństwem odpowiedzialności, i w końcu, po miesiącach, które spędzili na ciągłych kłótniach, gdy Nadine ostatecznie postawiła ultimatum, jakiego się spodziewał już od dawna, zerwali ze sobą.

Domyślał się, że Nadine go znienawidziła. Oczekiwała, że wróci do niej na kolanach. Myślała, że uświadomi sobie, co stracił, kiedy jej zabraknie w jego życiu, i raczej prędzej niż później pojawi się u niej z brylantowym pierścionkiem zaręczynowym. Ale nie zrobił tego. Nie umiał. Czuł się dobrze w związku z nią, ale perspektywa ślubu napawała go przerażeniem. Po prostu nie mógł się z nią ożenić.

„Wszystko dlatego, że to nie była kobieta dla ciebie” - przekonywali go przyjaciele. - „Zobaczysz, będzie inaczej, kiedy wreszcie spotkasz swoją drugą połówkę”. On jednak miał irytujące prze-czucie, że jego przyjaciele się mylą. Że Nadine była tą jedyną i że to z nim jest coś nie tak.

Wakacje w Amagansett miały być upragnioną przerwą. Przyjechali tam ze Steve'em, ciągnąc za sobą walizki pełne książek, oprawny w skórę zestaw do gry w tryktraka i rakiety tenisowe.

Daniel nie rozmyślał o Nadine - ani o żadnej innej kobiecie. Zamierzał się oddać słodkiemu le-nistwu i trzymać z dala od życia towarzyskiego modnego kurortu.

Jednakże Bee zburzyła jego plany - a może postanowiła je dla niego zbudować. Na ogół kobiety takie jak Bee nie zaszczycają spojrzeniem mężczyzn takich jak on. Był przystojny, zgoda, ale przede wszystkim pełen rezerwy. Wrażliwy, cichy. Lubił przyjęcia, na których pojawiała się mało osób i pa-



nowała spokojna atmosfera, tak że można było poznawać ludzi i z nimi dyskutować, a nie wielkie i głośne imprezy, podczas których nie słyszało się nawet własnych myśli.

Właściwie nie powinni do siebie pasować, byli bowiem jak ogień i woda. Bee uwielbiała huczne imprezy, donośną muzykę i poznawanie coraz to nowych ludzi, ale ceniła również rozmowę i refleksję, a gdy ją coś zainteresowało, okazywała niespotykaną u innych energię i żywotność, które sprawiały, że Daniel - po raz pierwszy w swoim życiu - także czuł się naprawdę żywy.

Przy Bee wszystko wydawało się radośniejsze. Była urodzoną ekstrawertyczką, zawsze się śmiała, nie dziw więc, że zazwyczaj przyciągała spojrzenia każdego, kto się znalazł w pobliżu. Daniel nagle zrozumiał, czemu przeciwności się przyciągają, i uznał, że skoro kobieta taka jak ona pragnie go, nie wolno mu jej odmówić. To, że ktoś taki jak Bee pożąda właśnie jego, choć wokół aż się roi od potencjalnych adoratorów, mile polechtało ego Daniela. Musiał być atrakcyjniejszy, niż sądził. I rzeczywiście - kiedy był z Bee, czuł się jak młody bóg.

Tak więc Daniel dał się uwieść i nim się zorientował, znowu był w związku, w którym czuł się dobrze i bezpiecznie - znacznie lepiej i bezpieczniej, niż gdy pozostawał wolnym strzelcem. Niepostrzeżenie minęły kolejne cztery lata, w czasie których oboje popadli w rutynę wspólnego życia; mieszkali na Upper East Side, w mieszkanku Bee, spotykali się z przyjaciółmi na śniadaniach, lunchach i obiadach, spędzali wolne dni w Central Parku albo na Long Island, robili to wszystko razem aż do dnia, gdy w Bee coś wstąpiło. Była cięta jak osa przez cały wieczór.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał ją wtedy. - Masz mieć okres czy co?

Zerwała się z łóżka i wyszła do przedpokoju. Kierując się do łazienki, krzyknęła:

- To musi być to!

Ale okazało się, że okres nie nadszedł, a kiedy zajrzała do kalendarzyka, stwierdziła, że musiała pomylić się miesiąc wcześniej, robiąc znaczek - albo to, albo jej okres spóźnił się już drugi tydzień. Parę miesięcy temu też spanikowała, że jest w ciąży, i kupiła wtedy podwójne opakowanie testów płytkowych. Jeden wciąż musiał gdzieś być. Bee otworzyła szafkę nad umywalką, sięgnęła w głąb, za butelczki z lekarstwami i wyjęła kartonik pewną ręką, momentalnie wiedząc - jeszcze przed tym, zanim w okienku oznaczonym literą T pojawiła się tłusta różowa kreska - jaki będzie wynik.

Popatrzyła w lustro i uśmiechnęła się do swego odbicia. Aż do tej pory nawet nie podejrzewała, że chce mieć dziecko, i tym bardziej nie zaplanowała wszystkiego z premedytacją, by usidlić Daniela. Dość się nasłuchiwała o tym, jak postawiła sprawę Nadine i ile jej z tego przyszło, i na pewno nie zamierzała popełnić tego samego błędu. Mimo że miała dopiero dwadzieścia parę lat, jej przyjaciółki powoli zaczynały zakładać rodziny i rodzić dzieci, tak że gdziekolwiek wokół siebie spojrzała, widziała wózki, śliniaczki i butelki z mlekiem i nigdy nie wątpiła, że kiedyś, gdy przyjdzie pora, zechce tego, co dostały od życia jej rówieśniczki: wystawnego wesela, miesiąca miodowego na Bahamach, dziecka, a także domu w Connecticut.

W tym momencie jednak uświadomiła sobie, że chce tego wszystkiego już teraz, i cóż z tego, że sprawy nie potoczyły się dokładnie tak, jak to sobie wymarzyła. Klamka zapadła i już.

Wyszła z łazienki, trzymając rękę z płytką za sobą i uśmiechając się tajemniczo.

- Co tak długo? - zapytał ją Daniel i w tej samej chwili zrozumiał. W jego oczach pojawił się strach, tylko trochę zbijający Bee z tropu, kiedy wyjmowała rękę zza pleców, żeby pokazać mu wynik testu.

Daniel zaczął chrapliwie oddychać, jakby dopadł go atak astmy.

- Wszystko będzie dobrze - mówiła Bee znacznie później, leżąc w łóżku z głową w zgięciu jego łokcia i udając, że nie widziała jego wcześniejszej reakcji. Uważała, że miał prawo zareagować w ten sposób. Nigdy nie rozmawiali o dzieciach, a jeśli już, to wyłącznie teoretycznie, i po prostu musiało trochę potrwać, zanim jej mężczyzna przyzwyczai się do nowej sytuacji.

Bo że się przyzwyczai, to było pewne. Bee należała, i wciąż należy, do kobiet, które dostają to, czego pragną. Daniel zawsze powtarzał, że jest silna za nich oboje, i nie mylił się. Gdy Bee coś sobie wypatrzy, na ogół prędzej czy później kładzie na tym łapę, a nie dało się ukryć, że Daniela sobie wypatrzyła jeszcze wtedy, na plaży.

\* \*

Stella rzucała płatki kwiatów na ich ślubie. Miała ledwie półtora roczku i trzymała się falbaniastej spódnicy gustownej sukni od Very Wang - wzbudzało to czułość u jej ojca. Gdy pastor ogłaszał jego i Bee mężem i żoną, znacząco i z uśmiechem popatrywał na wystający brzuch Bee, jakby chciał dać do zrozumienia, że jednak mogli posłuchać przykazań i zrobić wszystko w należytej kolejności.

Daniel nawet nie przypuszczał, że z chwilą gdy Stella znajdzie się w jego ramionach, jeszcze na sali porodowej, zapala do niej gorącym, niedającym się porównać z niczym uczuciem. Spojrzał w jej czerwoną, pomiętą twarzyczkę i poczuł, że jego serce nieomal dosłownie eksploduje.

A potem na świecie pojawiła się Lizzie i pomimo jego obaw, że nie będzie w stanie pokochać drugiego dziecka tak mocno, jak kochał Stellę, jego serce jakimś cudem powiększyło się, tak że starczyło w nim miejsca dla obu córeczek.

Daniel wstaje co rano, nie mogąc się doczekać, kiedy zobaczy dziewczynki. Wciąż zdarza mu się wymykać z małżeńskiego łóżka i budzić je samemu, by spędzić w ich towarzystwie trochę czasu, zanim uda się do pracy - siada przy kuchennym stole, patrzy, jak pochłaniają płatki z mlekiem, i zadaje im całkiem poważne pytania o przedszkole, koleżanki i opinie na różne tematy.

Miłość do córek daje mu siły do życia; Stella i Lizzie są dla niego wszystkim, i nawet jeśli jego życie nie wydaje się takie, jakie być powinno, jeśli nie czuje do Bee tego, co w swoim mniemaniu powinien czuć do żony, jest mu dobrze, a zresztą - czego innego mógłby oczekiwać?

Kiedy Lizzie miała roczek, a Stella prawie trzy latka, przenieśli się z miasta do ładniutkiego domu w Weston w stanie Connecticut, wzniesionego jeszcze w latach czterdziestych dwudziestego

wieku. Przez jakiś czas Daniel dojeżdżał do pracy do Nowego Jorku i zarobił dość, by po około roku zacząć myśleć o wybudowaniu własnego domu. Zaczęli się rozglądać w nieodległym Norwalk, ale ostatecznie pobudowali się w Westport, dokąd wkrótce się przeprowadzili. Powinni byli czuć się szczęśliwi. Bee wydawała się spełniona; rzuciła się w wir domowych obowiązków, zaangażowała w pomoc w przedszkolu dziewczynek, aktywnie uczestniczyła w pracach komitetu rodzicielskiego i paru innych stowarzyszeń, tak że nieustannie jadła z kimś lunchy i chadzała na zebrania, organizowała dziecięce przedstawienia i wydawała uroczyste kolacje, a także udostępniała ich salon i ogród na prowadzone w okolicy aukcje charytatywne.

Podczas gdy Bee udzielała się tu i tam, Daniel także sprawiał wrażenie zagonionego i dosyć długo sądził, iż nikt niczego nie zauważa, iż nikomu nawet nie przychodzi do głowy, że może nie być szczęśliwy.

Daniel całkiem poważnie myślał, że jeśli wypełni swoje życie różnymi zajęciami odciągającymi jego uwagę od tego, co najważniejsze, nie będzie musiał stawić czoła prawdzie. A prawda była taka, że kochał swoje dwie córki nad wszystko w świecie i darzył uczuciem Bee.

Tyle że jego małżeństwu czegoś brakowało.

Bee pozostała jego najlepszą przyjaciółką, lecz poza tym niewiele ich łączyło. Daniel coraz częściej czuł, że on i żona są jak dwa statki mijające się nocą we mgle, sporadycznie nawiązujące kontakt - z poczucia obowiązku, nie szczerą chęcią. Utrzymywał pozory, ponieważ nie umiał powiedzieć „nie”. Jak również dlatego, że wolał bezustannie udawać, niż noc po nocy wracać do domu z ciężkim sercem i nadzieją, że zastanie żonę pogrążoną w głębokim śnie.

Nigdy nie chciał się zenić, został poniekąd przymuszony do małżeństwa, ale nadal wierzył, że jeśli będzie się starał przez wystarczająco długi czas, w końcu osiągnie swój cel i wszystko nareszcie się ułoży.

Terapia małżeńska. Pomysł Bee, i to bynajmniej nie pierwszy. Dotychczas dwukrotnie korzystali z podobnej pomocy, zarówno indywidualnie, jak i w parze, i chociaż Danielowi nigdy nie udało się w pełni otworzyć, a wizyty za każdym razem dość szybko się kończyły z tego czy innego powodu, jakimś cudem udawało im się odzyskać delikatną równowagę konieczną w małżeństwie i kontynuować wspólne życie, jakby naprawdę byli ze sobą szczęśliwi.

Bee zaczęła chodzić do terapeuty tuż po tym, jak się poznali. Mówiła, że ciągnie za sobą bagaż doświadczeń i że to wyzwalające uczucie, niezwykle pożyteczne, móc raz w tygodniu przez godzinę opowiadać o wszystkim, co jej przyjdzie do głowy, nie owijając w bawełnę, poddając własne myśli wiwisekcji i szukając odpowiedzi na niezadane pytania.

Daniel wolał nie wiedzieć, co to za pytania, liczyło się to, że Bee robi wrażenie zrelaksowanej po każdej sesji z psychoanalitykiem, i chociaż Daniel uważał, że psychoanaliza jest wyłącznie dla tych, którzy sobie zbytnio pobbają, nie miał nic przeciwko temu, by pobbzać własnej ukochanej żonie.

Z początku Bee tylko się zachwycała, jakie wspaniałe efekty przynosi terapia w jej przypadku, ale z czasem zaczęła napomykać, że może Daniel też powinien zwrócić się o pomoc do specjalisty, że nawet jeśli do końca nie wierzy w psychoanalizę, rozmowa z kimś mądrym pomogłaby mu się otworzyć, uświadomić sobie pełen potencjał.

- Nie chcę uświadamiać sobie swojego pełnego potencjału - jęknął Daniel całe lata temu. - Jest mi dobrze, tak jak jest.

Bee nie zgadzała się z tą opinią. Jej zdaniem Daniel był najbardziej zamkniętą w sobie osobą ze wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek spotkała - i nie omieszkała mu tego wypominać, ilekroć się kłócili. Zarzucała mu, że nie okazuje uczuć, że nie sposób do niego trafić, zupełnie jakby się znajdował w stalowej klatce.

- Jestem w stanie ci pomóc - utrzymywała z początku, a dość szybko zaczęła też nagabywać Daniela, by pozwolił sobie pomóc.

W końcu znudziło mu się od niej opędywać, więc zgodził się, że skorzysta z pomocy specjalisty.

Oczywiście nie poszedł do tego samego terapeuty, do którego chodziła Bee - to by zakrawało na kazirodstwo - lecz wybrał innego lekarza z tej samej praktyki. Odbył kilka wizyt. Porozmawiał o swoim dzieciństwie, powiedział co nieco o związku z Bee, po czym zaczął najpierw przekładać, a potem odwoływać kolejne wizyty, zauważywszy, że sama dobra wola z jego strony zdaje się w pełni zadowalać żonę, Bee bowiem cieszyła się już z tego, że chociaż spróbował.

Tym razem wizyty u doktora Posnera ciągnęły się od czterech miesięcy. Powoli powinni zacząć zauważać jakieś efekty. Poprzednio kiedy spróbowali terapii małżeńskiej - było to trzy lata temu - trafili do pary terapeutów: mężczyzny i kobiety, poleconych przez jakąś przyjaciółkę Bee, podczas pierwszej wizyty zapomnieli wspomnieć, że uprawiają terapię milczącą, co znaczyło tyle, że w ogóle się nie odzywali, tylko wysłuchiwali na przemian Bee i Daniela, gestami przekierowując zdania, pytania i oskarżenia do drugiego z pacjentów.

- Nie wspiera mnie - mówiła na przykład Bee. - Zawsze coś go absorbuje, zawsze coś go pochłania, zawsze coś jest ważniejsze ode mnie. - Następnie zapadała cisza. Bee i Daniel spoglądali z nadzieją na parę terapeutów, aż któregoś w końcu się odzywało i powtarzało jak papuga:

- Zatem czujesz, że Daniel cię nie wspiera? Wydaje się pochłonięty czymś innym, zaabsorbowany czymś, co nie dotyczy ciebie, czy tak?

Bee przytakiwała i znów zalegała cisza, która przeciągała się do momentu, kiedy albo ona, albo Daniel dostawali ataku chichotu, po czym pośpiesznie opuszczali gabinet zgięci w pół ze śmiechu, co z pewnością nie było zamierzonym efektem terapii, a mimo to sprawiało, że czuli się sobie bliżsi - w istocie na tyle bliscy, by wspólnie podjąć decyzję o zaprzestaniu terapii po niecałych dwóch miesiącach.

Doktor Posner zdaje się inny. Nawiązał z nimi prawdziwy dialog. Z początku również tylko zadawał pytania i słuchał odpowiedzi, lecz z czasem zaczął podsuwać możliwe rozwiązania, które wynikały z wiedzy o życiu i ludzkiej psychice, co wprawiło Daniela w głęboki podziw.

Daniel lubi sobie wyobrażać, że gdyby poznał doktora Posnera w innych okolicznościach, mogliby zostać oddanymi przyjaciółmi. Tymczasem jednak pokazuje się co srode w jego gabinecie, gdzie czuje się tak, jakby zaraz miał zostać zaatakowany i zapędzony w kozi róg. Spotykają się z Bee na miejscu, oczywiście od rana nie zamieniwszy słowa na temat wizyty, on wciska się w jeden kąt kanapy, ona w drugi, skąd wyrzuca z siebie słowa wyważonej krytyki pod jego adresem.

Najgorsze jest jednak to, że Bee ma rację. Daniel jest nieobecny duchem. Jest zajęty. Nie uśmiecha mu się robić z nią czegokolwiek. Nie prawi jej komplementów. Nie jest miły ani kochający, ani namiętny i uczucia przejawia tylko wobec córeczek, które chyba w całości zajęły jego serce.

Bee ma rację co do joty, toteż w każdą srode, kiedy nad jego głową zbiera się burza krytyki, nie mówi nic na swoją obronę; wzrusza tylko ramionami, jakby przyznawał się do winy. Gdyby znalazł w sobie odwagę, być może rzuciłby jej prosto w twarz, że zachowuje się tak, a nie inaczej, ponieważ - och, teraz będzie najgorsza część, zła do tego stopnia, że samo myślenie o tym wywołuje u niego ból, i dlatego woli spychać te myśli na sam skraj świadomości - ponieważ wcale jej nie kocha. To znaczy, kocha - jako matkę jego dzieci - lecz nie tak, jak (przynajmniej w swoim odczuciu) powinien kochać osobę, z którą dzieli życie.

Ale oczywiście nie może powiedzieć czegoś takiego. Nie może przysporzyć tyle cierpienia. Poza tym nie wyobraża sobie życia bez dziewczynki. Zdarza mu się budzić w nocy z uczuciem, że się dusi. W takie noce wie, że nie będzie mu dane ponownie wpaść w objęcia Morfeusza, więc wstaje po cichu i idzie na górę do swojej pracowni, oddychając głęboko i regularnie, aby się uspokoić, po czym chwyta pierwszą z brzegu gazetę albo książkę, byle prędzej zająć czymś myśli i zapomnieć o strachu.

Dlatego siedzi u doktora Posnera, przeważnie milcząc, przychodzi do tego zaadaptowanego na gabinet terapeuty pomieszczenia nad garażem tydzień po tygodniu, nazbyt przestraszony, aby stawić czoło prawdzie, która zmieniałaby jego życie na zawsze; wycofuje się w głąb swojej skorupy i zamyka w sobie jeszcze bardziej, drżąc, że gdyby prawda wyszła na jaw, już nigdy nie odnalazłby drogi powrotnej do jedyne go życia, jakie zna.

Jednakże dzisiaj Daniel zostaje wzięty przez zaskoczenie. Cotygodniowy atak nie dziwi go ani trochę, za to w osłupienie wprawia pytanie doktora Posnera.

- A jak układa się wasze życie intymne? - pyta terapeuta, krzyżując nogi i wodząc wzrokiem od żony do męża i z powrotem, zupełnie jakby chciał wiedzieć, jak minął im dzień, a nie prosił, by odsłonił przed nim najbardziej prywatną stronę egzystencji.



Daniel nie patrzy na Bee, czerwieni się lekko pod wpływem zadanego pytania, i dopiero słysząc nagłe prychnięcie żony, podnosi spojrzenie i widzi, że Bee kręci głową - pogardliwie? z rozbawieniem?

- Bee? - Doktor Posner zwraca się do niej, widząc, że jak zwykle jest bardziej rozmowna od męża.

- Ma pan na myśli seks? - uściśla Bee cichym głosem, podczas gdy Daniel kurczy się jeszcze bardziej, przylega do podłokietnika kanapy, jakby chciał się z nim zespolić, nawet stopy na podłodze trzyma tak daleko od żony, jak to tylko możliwe, a ramiona krzyżuje na piersi w obronnym geście, tak że nie może być wątpliwości, że językiem ciała krzyczy wniebogłosy, iż chciałby być wszędzie, byle nie tutaj. - Nie przypominam sobie - odpowiada Bee po chwili przerwy, po czym zerka na Daniela. - Może ty pamiętasz, kiedy uprawialiśmy ostatnio seks? Dziewięć miesięcy temu? Dziesięć? Jeszcze dawniej? Naprawdę straciłam rachubę...

- Danielu?

Głos doktora Posnera wyrywa go z odrętwienia; Daniel nie potrafi uwierzyć, że o tym rozmawiają, ale pociesza się, że przynajmniej w oczach terapeuty nie widać potępiającego wyrazu, że mający im pomóc mężczyzna nie ocenia go w żaden sposób.

- To by się mniej więcej zgadzało - wzrusza ramionami, jakby sprawa była bez większego znaczenia.

- A jaka jest przyczyna tego, że nie utrzymujecie kontaktów intymnych od prawie roku? - Doktor Posner kieruje to pytanie do niego, lecz Daniel nie znajduje w głowie słów odpowiedzi, więc wyręcza go Bee.

- Mój mąż twierdzi, że jest zbyt zmęczony, żeby się ze mną kochać - informuje zranionym głosem. Obniża ton o kilka oktaw i niemal szeptem dodaje: - Najczęściej zasypia, kiedy jestem w łazience i myję zęby przed snem, a jeśli czasami zdarzy mi się wykonać pierwszy ruch, odsuwa moją rękę w milczeniu albo się tłumaczy, że miał ciężki dzień bądź nazajutrz z samego rana czeka go ważne spotkanie i potrzebuje się wyspać.

- Czy mąż kiedykolwiek okazuje, że ma ochotę na seks?

- Nie - stwierdza Bee. - Zresztą to ja zawsze inicjowałam nasze zbliżenia, co z początku nie stanowiło wielkiego problemu. Mam na myśli to, że byłam świadoma, iż Daniel nie odczuwa zbyt silnego popędu płciowego. Nawet mi się to w nim podobało; że nie napastuje mnie przy każdej okazji, że chodzi o coś więcej niż seks. Ale żeby nigdy mnie nie pożądał? Żeby nigdy pierwszy mnie nie dotknął? Przez to czuję się brzydka. - Jej oczy napęlniają się łzami. - Brzydka i bezużyteczna, i nieudolna jako kobieta i jako żona. Czuję się tak, jakby mnie odrzucił.

Zapada milczenie, przerywane tylko cichym łkaniem Bee. Doktor Posner popycha po blacie kartonowe pudełko z chusteczkami higienicznymi, spoglądając na Daniela, który znów uparcie wbija wzrok w podłogę u swoich stóp.

- Jak się czujesz w związku z tym, co usłyszeliśmy od Bee? - pyta go w końcu terapeuta.

- Czuję się okropnie - odpowiada Daniel.

I na tym poprzestaje. Przecież nie może dodać, że na widok nagiego ciała żony odczuwa obrzydzenie, że jeśli już przychodzi co do czego i odbywają stosunek, staje na wysokości zadania tylko dzięki temu, że zaciska powieki i oddaje się fantazjom. Jak niby miałby powiedzieć coś takiego na głos? Jak mógłby powiedzieć to Bee, wiedząc, że to ją zabije?

## ROZDZIAŁ TRZECI

Drzwi do pokoju Jessiki, upstrzone naklejkami ostrzegającymi każdego, kto ma więcej niż trzynaście lat, żeby się trzymał z dala od wnętrza, są uchylone i Daff przechodząc obok nich, z trudem powściąga irytację na widok nieposłanego łóżka, stojących na nocnej szafce trzech miseczek z zaschniętymi płatkami na dnie i pomiętych ubrań upuszczonych wprost na podłogę.

Minionego tygodnia Daff obwieściła, że jeśli Jessika nie będzie zbierać swoich ubrań i wrzucać ich do kosza na brudy, ona nie będzie ich prać. Efekt jest taki, że ubrania z pięciu kolejnych dni walają się po podłodze. Daff nie umie przejść obojętnie obok bałaganu za półprzymkniętymi drzwiami, wiedząc, że do porzuconych ciuchów dołączają następne, i kończy się to tym, że z ciężkim westchnieniem pcha drzwi biodrem i zbiera naręczę szmatek, by posortować je następnie według kolorów i bezskutecznie walczyć ze złością i frustracją, zastanawiać się, co się stało ze słodką dziewczuszką, która przepadała za swoją matką i słuchała wszystkiego, co się do niej mówiło.

Daff przeszła dość burzliwy okres dojrzewania i zostawszy matką, żartowała nieraz, że Jessika odpłaci jej z nawiązką, lecz nigdy w to nie wierzyła, nigdy nie spodziewała się, że jej słodka dziewczuska, mająca ją za Boga wcielonego, może pewnego dnia stać się humorzastą nastolatką, taką samą, jaką ona była przed iluś tam laty.

A jednak ostatnio Daff zdaje się popełniać same błędy, jeśli sądzić po reakcjach Jessiki, która ostentacyjnie wzdycha i sarka, kiedy matka pyta ją o szkołę, albo wręcz zrywa się z krzesła i pędzi, tupiąc, na górę, by zamasyżuje zatrzasnąć drzwi do swego pokoju, skąd zaraz rozlegają się stłumione przez poduszkę krzyki.

Tak jest od niedawna. Kiedy jeszcze stanowili pełną rodzinę, kiedy ojciec Jessiki wciąż z nimi mieszkał, z dziewczynką nie było najmniejszych problemów. Nigdy się nie odważyła zwracać do matki tonem, jakiego używa wobec Daff teraz; czuła respekt przed ojcem i bała się tego, co powie po przyjsciu do domu i po tym, jak Daff mu się pożali.

Minał rok, odkąd ojciec Jessiki odszedł od nich. Parę miesięcy przed tym, zanim to nastąpiło, Daff się zorientowała, że dobra koleżanka z jego pracy stała się kimś więcej niż tylko koleżanką. Gdy powiedziała Richardowi o swoich podejrzeniach, jej mąż wszystkiemu zaprzeczył, podkreślając, że na pewno nie doszło do fizycznej miłości, bo choć rzeczywiście czuł coś do Nancy, to jednak miała ona męża i własną rodzinę, tak więc mimo że niezaprzeczalnie atrakcyjna, znajdowała się poza jego zasięgiem, toteż Daff powinna się czuć bezpieczna.

Daff wierzyła w to, ponieważ chciała wierzyć. Ponieważ perspektywa życia w pojedynkę i samotnego wychowywania dziecka przerażała ją. Ponieważ znane zło było lepsze od nieznanych trudności, na jakie mogła się natknąć, zdana tylko na siebie.

Dowiedziała się prawdy w sposób najgorszy z możliwych. Załatwiała jakieś sprawy w pobliżu miejsca pracy Richarda któregoś dnia w porze lunchu i zatelefonowała do niego, chcąc zrobić mu miłą niespodziankę.

- Nie mogę wyjść z biura - powiedział jej. - Finalizujemy duży kontrakt i mam masę roboty. Przykro mi, kochanie. Postaram ci się to wynagrodzić i może zabiorę cię na kolację dziś wieczorem.

Nie poszła więc do niego, ale wciąż była niedaleko jego biura i przechodząc koło jakiejś restauracji, spojrzała w witrynę, aby sprawdzić, jak wygląda w nowej fryzurze, a gdy popatrzyła poza swoje odbicie, dostrzegła własnego męża siedzącego w łozy z jakąś kobietą; wyciągał właśnie dłoń do jej twarzy, by pogłodzić ją po policzku, i uśmiechał się tak znajomym uśmiechem. Tak samo uśmiechał się do niej, kiedy się poznali, kiedy identycznym gestem pieścił jej twarz, całym sobą mówiąc, że ją kocha i zawsze będzie kochał.

Daff zamurowało. W pierwszej chwili nie wiedziała, czy powinna wbiec do restauracji i zrobić mu scenę - albo może: zrobić scenę jej - domagając się wyjaśnień, czy też raczej powinna stamtąd uciec. Koniec końców odwróciła się i odeszła. Dość szybkim krokiem. Dopiero za rogiem poczuła, że od długo wstrzymywanego oddechu nieomal kręci się jej w głowie. Zaczęła łapczywie wciągać powietrze do płuc. Nie płakała. Daff nie należy do kobiet, które płaczą w miejscach publicznych. Jednakże wyraźnie drżała na całym ciele. Wracając do domu, prowadziła samochód jak w transie, i wciąż nie potrafiła uwierzyć w to, co zobaczyła.

W ciągu następnych dni Daff przeczytała o biurowych romansach wszystko, co wpadło jej w ręce. Dowiedziała się, że istnieje coś takiego jak zdrada emocjonalna i dlaczego przyjaźnie zawierane w miejscu pracy mogą być tak niebezpieczne dla małżeństwa, a także poznała mechanizm, w którego wyniku zdrada emocjonalna zamienia się w tę prawdziwą, nie tylko duszą, lecz i ciałem. Zrozumiała, że nawet jeśli Richard jeszcze jej nie zdradził w łóżku z tamtą kobietą, uczyni to w najbliższej przyszłości.

*Można z tego wyjść obronną ręką, twierdził autor ostatniej książki, którą otworzyła. Można sobie pomóc terapią, wzajemną uczciwością, można doznać uzdrowienia i zaznać na powrót szczęścia.*

*Zaufanie powróci z czasem, ale na początek można przynajmniej załatać dziury w małżeństwie. Czasami zdarza się i tak, że odbudowany związek jest o wiele silniejszy od tego pierwotnego, sprzed romansu jednego z małżonków.*

*Pod warunkiem że tego właśnie pragniesz.*

Prawdę mówiąc, Richard wcale nie wypatrywał okazji do skoku w bok. Nigdy nawet nie uważał się za podrywacza, za mężczyznę, który mógłby zdradzić własną żonę; zawsze poważnie traktował wszelkie obietnice, w tym przysięgę małżeńską złożoną Daff. Do czasu, gdy poznał Nancy, wydawało mu się, że jest absolutnie szczęśliwy.

Jedni powiadają, że romanse nie zdarzają się bez powodu, że najpierw coś musi być nie tak w małżeństwie, a dopiero potem któreś z małżonków szuka szczęścia gdzie indziej. Drudzy przyznają, że nie sposób nie czuć pokus, nawet pozostając w związku małżeńskim, i dodają, że człowiek ma zawsze wybór - jest zdolny położyć na szalach wagi to, co może stracić, i to, co może zyskać, i ostatecznie podjąć świadomą decyzję.

W przypadku Richarda było jeszcze inaczej. Ożenił się z Daff, ponieważ ją kochał, i nigdy nawet przez chwilę nie czuł, by coś było nie w porządku z ich małżeństwem, lecz kiedy poznał Nancy, kiedy siła łączącego ich uczucia stała się wprost nie do wytrzymania, uznał, że tak naprawdę nie on decyduje.

Daff pozostała jego przyjaciółką i kochanką przez szesnaście lat małżeństwa. To do niej pierwszej zawsze dzwonił, ilekroć przytrafiło mu się coś przykrego lub miłego. Naturalnie, namiętność z biegiem lat nieco przygasła, ale przecież taka jest kolej rzeczy, a zresztą jemu to wcale nie przeszkadzało i na pewno nie rozglądał się za spódniczkami.

Nancy nie przypominała nikogo, kogo by znał. Daff była piękna, przynajmniej w jego oczach, lecz Nancy biła ją na głowę, dosłownie porażając urodą. Daff preferowała proste życie - cieszyło ją przebywanie w domu wśród rodziny i przyjaciół, praca w ogródku, odpoczywanie na ganku z butelką piwa w dłoni na koniec dnia, podczas gdy Nancy pijała wymyślne koktajle w modnych barach, nosiła niebotycznie wysokie szpilki, była inteligentna, seksowna i całkowicie poza jego zasięgiem - albo tylko tak mu się wydawało.

Daff miała włosy ciemnoblonde, teraz z lekka przetkane siwizną, które zawsze podkreślały się lekko na końcach. W czasach kiedy się poznali, robiła sobie delikatne pasemka, ale po narodzinach Jess przestała zawracać sobie nimi głowę, podobnie jak makijażem - robiła go tylko od wielkiego święta, normalne dni spędzając w dzinsach i wygodnych bluzach, biegając po mieście i zajmując się zwykłymi, przyziemnymi sprawami.

Nancy była natomiast nieskazitelna. Każdy włoszek na jej głowie znajdował się na swoim miejscu, wargi zawsze miała pociągnięte niebrudzącą szminką, była piękna i zarazem trochę straszna - wszyscy w biurze podziwiali ją na odległość. Kiedy przyszło im pracować razem nad projektem nowej

restauracji w centrum miasta, Richard wcale się nie ucieszył, co więcej, wkrótce zadziwiła go nadzwyczajna uprzejmość Nancy.

Jeszcze bardziej zdziwiło go okazywane mu przez nią zainteresowanie. Dość wcześnie stało się jasne, że Nancy uważa go za świetnego faceta, przy każdej okazji spija słowa z jego ust, na co mile polechtany Richard - gdy już otrząsnął się z szoku - zareagował radością, że może połączyć ich przyjaźń.

W nawiązaniu bliższej znajomości wydatnie pomogła poczta elektroniczna. Początkowo wiadomości, które wymieniali, dotyczyły wyłącznie wspólnego projektu, lecz dość szybko zaczęły się w nich pojawiać osobiste nutki, nieomal lawinowo wywołując poczucie zażyłości, na jaką w bezpośrednich kontaktach trzeba by było długo pracować. Nim minął miesiąc, byli zaprzyjaźnieni, a Richardowi zdawało się, że nie potrafi już bez niej żyć.

A jednak z największym trudem przychodziło mu przyznanie choćby przed sobą samym, że to coś więcej niż tylko przyjaźń. Co dzień jadali razem lunchy, zapraszali zawsze kogoś trzeciego, jakby podświadomie zdawali sobie sprawę, że potrzebują przyzwoitki.

Ona miała męża, a on żonę, o czym Richard nie zapominał nawet w tych rzadkich momentach, kiedy miał śmiałość pomyśleć, że to może być coś więcej niż zwykła przyjaźń. To szaleństwo ludzić się, że coś z tego będzie. Szaleństwo zakładać, że którekolwiek zdecydowałyby się na romans.

- Nigdy nie zdecydowałbym się na romans - ogłosił podczas jednego z lunchów, długo po tym jak już zrezygnowali z przyzwoitek dla zachowania pozorów, gdy byli już po posiłku, siadali na ławce w parku i rozmawiali o wszystkim i o niczym przez godzinę, która zdawała się krótką chwilą.

- Ja... - Nancy zaczęła i natychmiast urwała. Popatrzyła mu w oczy, potem w ziemię, wreszcie zaczerpnęła tchu i podjęła niepewnie: - Też uważam, iż rzeczywiście to nie byłby najlepszy pomysł... - zawiesiła głos, wpatrując się w jego usta. Richard marzył, by znów ujrzeć jej przepaściste oczy i móc w nich zatonać. - Niemniej trudno o przyjaźń między kobietą i mężczyzną. Wspominam o tym po to, żebyśmy zachowali ostrożność i nie przekroczyli tej cienkiej linii...

Richard pokazał zęby w uśmiechu.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - rzekł. I mówił prawdę. Minął następny tydzień. I doszło do zwierzeń.

- Przepraszam, że to mówię - powiedziała Nancy przy drinku, na którego poszli po pracy do pobliskiego baru - ale nigdy nie spotkałam mężczyzny takiego jak ty. Mam wrażenie, że jesteś moim najlepszym przyjacielem na świecie, co jest idiotyczne, jeśli weźmie się pod uwagę, że znamy się raptem od paru tygodni. Tyle że... Nie potrafię już wyobrazić sobie życia, w którym by ciebie nie było.

Richard poczuł się wtedy, jakby znów miał szesnaście lat. Wszechmocny, zdolny poradzić sobie ze wszystkim.

- Wiem. Ze mną jest bardzo podobnie.



- To takie dziwne... - stwierdziła Nancy. - Chyba trochę się w tym wszystkim pogubiłam.

- Wiem - powtórzył Richard głosem równie smutnym jak jej. - Ze mną jest bardzo podobnie.

Dostali na swoim punkcie obsesji. Nancy, nieszczęśliwa w małżeństwie, nie umiała oderwać myśli od Richarda, a on, mimo że szczęśliwy z Daff, myślał wyłącznie o Nancy. Zdrada - faktycznie najpierw tylko emocjonalna - wisiała w powietrzu.

Jednakże podobna obsesja w połączeniu z pożądaniem to już prawdziwie niebezpieczna sprawa, zwłaszcza gdy człowiek wie, że życie jest ustatkowane i gdy zdążył już niemal zapomnieć, jak bardzo namiętność uderza do głowy i jak szalenie absorbująca potrafi być. Albowiem taka fizyczna pasja nie tylko jest podniecająca, ale również uzależnia i jeśli raz się jej zakosztuje, niesłychanie trudno z niej zrezygnować.

Pierwszy pocałunek zdarzył się w kawiarni Starbucks. Po lunchu w pewien zimny i deszczowy dzień zaszli do przytulnego wnętrza i opadli na miękką kanapę, szukając odrobiny ciepła. Nancy położyła im na kolanach ich okrycia, po czym sięgnęła ręką pod płaszcze i odszukawszy dłoń Richarda, zaczęła gładzić go po palcach, zadziwiona własną śmiałością, tym, że odważyła się uczynić pierwszy krok.

Nancy nigdy w życiu nie myślała, że wda się w romans, ale chociaż kocha swojego męża, nie da się ukryć, że jest on od niej o piętnaście lat starszy, co sprawia, iż czuje się przy nim, jakby sama przedwcześnie się postarzała. Jej wyszukane stroje, jej nienaganny makijaż, wszystko to stanowi część uniformu wymaganego w bogatym, staromodnym świecie jej męża.

Przy Richardzie znowu poczuła się młoda. I beztraska. Byli rówieśnikami, ale nie musiała przy nim pamiętać, że ma czterdzieści lat, i nareszcie przypomniała sobie, jak to jest śmiać się.

Richard odchylił głowę na oparcie kanapy i przymknął powieki, poddając się subtelnej pieszczocie. Nieomal już zapomniał, że można czuć swoje ciało każdym nerwem, czuć ten niebywały dreszcz, jakby skórę obejmowały płomienie.

- O czym myślisz? - spytał, otwierając w końcu oczy i spoglądając na nią.

- Myślę, że powinieneś mnie pocałować - odparła, zwalczając pragnienie, by wpleść palce w jego gęste płowe włosy, przyłożyć wargi do jego rzęs i rozkoszować się dotykiem jego napiętych mięśni szyi pod opuszkami.

- Pocałować? - powtórzył jak we śnie.

- Tak - odszepnęła. I to właśnie zrobił.

Nie padli sobie w ramiona. Przynajmniej nie tak od razu. Zaczęli się spotykać w położonych na uboczu, niemających najlepszej reputacji knajpkach, spędzali godziny całe na wędrówkach po zapuszczonych parkach, pieścili się przez ubrania na ławkach niczym nastolatki. Gdyż tak właśnie się czuli: jakby znów mieli naście lat i po raz pierwszy się zakochali.

Richard był rozdarty. Żegnał się z Nancy i wracał do domu, do żony i córki, które kochał, do życia, które kochał, i nie umiał zrozumieć, dlaczego mu to nie wystarcza, dlaczego nie może być szczęśliwy jak dawniej. Będąc z Nancy, czuł przemożne wyrzuty sumienia, a znalazłszy się w domu, nie potrafił myśleć o nikim innym, tylko o niej.

Zerwał z nią, uznawszy, że musi skupić się na własnym małżeństwie, ratować je za wszelką cenę, lecz to sprawiło, że poczuł się jeszcze bardziej nieszczęśliwy i zagubiony, jakby nagle utracił sens życia, i po dwóch tygodniach wparował do jej biura, zapewniając, że nie wyobraża sobie życia bez niej, co oczywiście spowodowało rozkwitnięcie romansu z nową siłą.

Pięć dni później ponownie ją rzucił. Krztusząc się słowami, wyjaśniał, że choć zakochał się w niej, nie może pozwolić, by ich romans dalej się rozwijał, że nie może na to pozwolić. Dodał, że jest mu przykro, ale musi to zakończyć, po prostu musi.

Lecz nie zdołał.

Za pierwszym razem kiedy poszli do łóżka, Richard nie sprawdził się jako mężczyzna. Przed drugim razem wspomógł się viagrą i rezultat przeszedł jego najśmielsze oczekiwania.

Tyle że już po trzech tygodniach Daff o wszystkim się dowiedziała. Był świadom, że codzienne sprawy przywiodą ją w pobliże jego biura, ale uznał, że to niczemu nie wadzi - odkąd pożądanie przesłoniło mu oczy, stał się dość niefrasobliwy, większość czasu przeżywał jakby we śnie.

To był zwykły czwartkowy poranek dla Daff - krzątała się po domu, dzwoniła tu i tam, aż w końcu wyszła na zakupy i przy okazji zahaczyła o dzielnicę, w której pracował Richard, a skoro już się tam znalazła, wyjęła komórkę i zatelefonowała do niego do biura, by zaprosić go na lunch, z którego wymówił się nawałem pracy. A później zobaczyła go w restauracji z tamtą kobietą.

- Gdzie byłeś na lunchu? - zapytała go jakby nigdy nic, kiedy wrócił do domu.

- Przegryzłem coś przy biurku - skłamał jak z nut, przeglądając pocztę. - A ty co robiłaś?

Miała nadzieję, że nie skłamię, że jednak było jakieś niewinne wyjaśnienie tego, co zobaczyła.

- Widziałam cię - wyszeptwała.

- Widziałas mnie? Gdzie? - zapytał obojętnie.

- Widziałam cię w restauracji z kobietą.

- A, to... - roześmiał się. - To była Nancy. Zszedłem na kawę, bo chciała obgadać coś w związku z projektem.

- Wcale nie chodziło o wasz projekt - zaprotestowała Daff. - Widziałam, jak jej dotykałeś.

- Na Boga, Daff, nie bądź śmieszna. Oczywiście, że rozmawialiśmy też o innych sprawach. Opowiadała mi o kłótni z mężem, była podenerwowana. O co tyle hałasu?

- O co tyle hałasu? - powtórzyła z niedowierzaniem. - O co tyle hałasu?! - krzyknęła. - O to, że nikt nie głaszcze po twarzy koleżanki z pracy, żeby uspokoić ją po kłótni z mężem! Nikt nie patrzy na koleżankę w sposób, w jaki ty patrzyłeś na... na nią, chyba że coś między dwojgiem ludzi iskrzy!

- Zwariowałaś - stwierdził sucho Richard. - Słuchaj, powiedz, co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła. Przysięgam, jesteś jedyną kobietą, którą kocham. Jezu... - Nagle zmienił taktykę i też podniósł głos. - Jak w ogóle mogłaś coś takiego o mnie pomyśleć? Za kogo ty się masz?!

- Jestem twoją żoną - przypomniała mu. - I jestem pewna, że masz romans.

Zapadło długie milczenie, po czym nieoczekiwanie z Richarda uszło całe powietrze jak z przekłutego ostrym narzędziem balonika i przyznał się do wszystkiego.

Powiedział, że jeszcze do niedawna przyjaźnił się z Nancy, że w którymś momencie zdał sobie sprawę, że się jej podoba, i że w czasie lunchu, na którym przyłapała ich Duff, oznajmił jej, że ich znajomość musi się zakończyć, ponieważ zmierza w niebezpiecznym kierunku.

- Nie wierzę ci - szepnęła Daff, czując, że zbiera się jej na mdłości, niezdolna uwierzyć w przedstawianą jej wersję.

- Przysięgam, że to prawda. - Richard wziął ją w ramiona. - To że ja podobam się jej, nie znaczy jeszcze, że ona musi podobać się mnie, a nawet gdyby mi się podobała, nic bym w tej sprawie nie zrobił. Kocham ciebie. Naprawdę cię kocham.

Daff nie uwierzyła mu do końca, ale z drugiej strony nie miała żadnych dowodów, by poprzeć swoje oskarżenie. Pozwoliła, by ją obejmował, przyjęła przeprosiny, wysłuchiwała jego zapewnień o miłości, o tym, że nigdy nie zrobiłby nic, co by mogło skrzywdzić Jessikę, a parę dni później poczyniła kroki mające na celu dojście do prawdy.

Nie było trudno o dowody, szczególnie że Daff dała sobie pełne dwa miesiące, aby nie mogło być mowy o pomyłce. Pod koniec drugiego miesiąca (a przez cały ten czas Richard sprawował się idealnie i zachowywał jak wzorowy mąż, kochający, czuły, wracający do domu zaraz po pracy i pragnący uprawiać miłość niemal co noc) Daff stawiała mu czoło.

Zrobiła to spokojnie. Nie zamierzała urządzać scen, więc zarezerwowała stolik w cichej włoskiej knajpce w centrum, znanej z tego, że zakochane pary przychodziły tam z myślą o oświadczeniach, a te z dłuższym stażem, aby uczcić rocznicę czy po prostu zjeść romantyczną kolację przy świecach, i z pewnością rzadko kto zamawiał w niej stolik dla dwojga z myślą o zerwaniu.

- Co to? - Richard zdawał się zaintrygowany i radośnie wyczekujący, gdy zobaczył, jak przesuwa w jego stronę małe białe kartonowe pudełko. Kiedy Daff nie odpowiedziała, jego serce zaczęło bić nieco szybciej.

Z pudełka niczym z puszkii Pandory wyskoczyły na niego dowody. Billingi rozmów telefonicznych z jego komórki, faktury z hoteli z datami sobót, które rzekomo spędził w biurze, ciężko pracując, szczegółowe wyciągi do rachunków jego kart kredytowych, na których czarno na białym widniały zakupy, takie jak bukiety kwiatów i kosztowna biżuteria, z czego nic nie trafiło do rąk Daff.

Na samym dnie leżały dwa krótkie liściki, które Daff odnalazła w szufladzie z jego bielizną. Wyjmując je stamtąd, parsknęła głośno - w szufladzie z bielizną? Czy naprawdę nie mógł wykazać się

większą wyobraźnią, do kurwy nędzy?! To ostatnie pytanie skierowała do przyjaciółki, kiedy zadzwoniła do niej, by podzielić się z nią nowiną.

Jeden liścik był namiętny, drugi raczej ckliwy. Oba dobitnie świadczyły, że to nie zwykła koleżeńska przyjaźń połączyła go z Nancy. Kiedy Richard zobaczył karteczki i zrozumiał, skąd się wzięły w pudełku, nie miał już nic do powiedzenia na swoją obronę.

Później tego samego wieczoru, kiedy w końcu odzyskał język w gębie, Daff usłyszała od niego coś, co wprawiło ją w prawdziwe zdumienie.

- Nie miałem pojęcia, że coś takiego w ogóle jest możliwe - łkał, siedząc na skraju łóżka. - Nie wiedziałem, że można kochać dwie kobiety równocześnie... - Patrzył na Daff jak małe dziecko szukające pociechy u matki. - Kocham cię - płakał. - Nie mam pojęcia, jak do tego wszystkiego doszło. Nie planowałem tego, Daff. Nie chciałem tego, a już na pewno nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

- Okłamałeś mnie - rzekła Daff, nie umiejąc uwierzyć, że tak bardzo cierpi, że jednocześnie ma ochotę uderzyć go i utulić.

- Nie chciałem tego - powtórzył Richard, obejmując głowę rękoma i wydając przeciągły jęk. - Popełniłem błąd. Ogromny błąd. Tak mi przykro...

- Musiałeś być ze mną nieszczęśliwy. - Daff także zaczęła płakać. - Co ja takiego zrobiłam? Czy to przeze mnie szukałeś szczęścia gdzie indziej? Z powodu naszego nieudanego małżeństwa?

- Nie. O Boże, nie. Jesteś fantastyczna, nie mam ci nic do zarzucenia. Sam tego nie potrafię zrozumieć. Jak mogłem się w niej zakochać, skoro szaleję za tobą, skoro kocham cię tak bardzo?

- No więc którą z nas wybierasz? - zapytała zniecierpliwiona Daff głosem podejrzanie spokojnym i opanowanym, tylko po części dlatego, że nie chciała obudzić Jessiki, śpiącej w pokoju za ścianą.

- Nie wiem - rozplakał się znowu Richard i coś w Daff pękło. Poczowała, jak tężeje w niej i lodowacieje kawałek serca, który jak jeszcze niedawno sądziła, był zawsze gorący i miękki i przeznaczony wyłącznie dla Richarda.

Richard wyprowadził się z domu. Z początku Jessika nie miała pojęcia, co się naprawdę dzieje; wiedziała tyle, ile jej przekazali - to znaczy, że tata musi się przenieść w związku z pracą. Ale potem zaczęła spędzać z nim weekendy i leżąc w łóżku nocami, przysłuchiwała się waleniu własnego serca, pewna już, że jej rodzice się rozwodzą, i zastanawiała się, czy to przez nią.

Jeśli będę bardzo grzeczna, myślała sobie, wtedy tata wróci do domu i znów będziemy mieszkać wszyscy razem. Jeśli będę robiła wszystko, co mi każą, nie będą musieli karać mnie w ten sposób.

Modliła się, popłakując w poduszkę, i próbowała zawrzeć z Panem Bogiem układ, oferując to czy tamto w zamian za przywrócenie normalności w jej rodzinie, proponując, że zrobi wszystko, byle tylko znów miała mamę i tatę, jak inne dzieci.

Nancy, w przeciwieństwie do Richarda, pozostała na swoim miejscu. To co wydawało jej się takie kuszące, takie podniecające, kiedy Richard był bezpiecznie zacumowany u boku Daff, nagle - podane na tacy - zaczęło ją przerażać.

- Możesz się do mnie wprowadzić - powtarzał jej Richard podczas lunchu, siłąc się na beztroski ton, jakże różny od jego nastroju. - Albo wynająć mieszkanie w pobliżu. Tak czy siak możemy być razem. Pomyśl tylko...

Czy to była miłość, czy desperacja? Tego Nancy nie wiedziała, za to zdawała sobie sprawę, że jej własne uczucie do Richarda zaczęło ulegać zmianie. Że niespodzianie, po tygodniach planowania wspólnego życia, zaczęło do niej docierać, iż wcale nie jest pewna, czy w ogóle mają jakąś wspólną przyszłość, czy byłaby zdolna do zrujnowania swojego małżeństwa, żeby zacząć wszystko od nowa z innym mężczyzną.

Kiedy przestała patrzeć na świat przez różowe okulary, Richard jął się jej jawić w całkiem odmiennym świetle. Dowcipy, którymi ją zarzucał - a które w rzeczywistości nigdy nie wydawały jej się zbyt zabawne - teraz okazywały się sztubackie i niemądre. Zwyczaj pochłaniania całego koszyka pieczywa podawanego jako czekadełko w restauracjach, ledwie zajęli stolik, przestał być w jej oczach czarujący, a zaczął ją irytować. Lecz najtrudniejsza ze wszystkiego była - tak, chyba jednak to właściwe słowo - desperacja. Jego nieskrywana potrzeba bycia z nią.

Mąż, postrzegany jako diabeł wcielony, odkąd się to wszystko zaczęło - odkąd zaczął się jej pierwszy w życiu romans - nagle znów był tym, kogo wybrała i z kim chciała spędzić życie. Oznaczał bezpieczeństwo i pewność, przyjaźń i zaufanie. Był tym wszystkim, co kochała i czego pragnęła, a czym Richard nigdy nie był.

- Nie mogę tego zrobić - oznajmiła mu po paru tygodniach od jego wyprowadzki z domu. - Nie mogę zostawić swojego męża.

- Co ty próbujesz mi właściwie powiedzieć? - Oczy Richarda rozszerzyły się ze zdumienia. Zrujnował sobie życie dla tej kobiety, a ona go nie chce?!

Czy ona, kurwa mać, żartuje?!

Nancy nie uciekała się do wymówek ani pretekstów. Po prostu z wielką pewnością siebie powtarzała, że nie może tego zrobić. Czuła to całą sobą. Zaczęła nawet nadskakiwać mężowi i chodzić wokół niego na paluszkach, z obawy że żona Richarda skontaktuje się z nim i wyjawi mu prawdę o romansie w odwecie za własne zrujnowane małżeństwo.

Richard wściekł się i wypadł z restauracji na zewnątrz, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi samochodu.

- Tęsknię za tobą - powiedział do Daff tego samego piątku, kiedy przyszedł zabrać Jessikę na weekend. - Tęsknię za tym, co mieliśmy.



Spodziewał się, że spojrzenie Daff zmięknie, sądził, że dostrzeże lukę w jej pancerzu, ale niczego takiego nie zauważył.

- Powinieneś być o tym pomyśleć, zanim wdałeś się w tę aferę - syknęła Daff cicho, tak żeby nie usłyszała jej córka.

\*

Pomimo poradników, które przeczytała, pomimo tego, że romans wcale nie musiał oznaczać końca małżeństwa, dla Daff był to koniec. Bynajmniej nie z powodu samej zdrady, lecz z powodu wyboru, jakiego dokonał jej mąż. Zdradę byłaby w stanie wybaczyć - może nie od razu, ale z czasem na pewno. Rozumiała, że żadne małżeństwo nie jest doskonałe, że istnieje coś takiego jak pokusa i że czasami mężczyźni (prawdziwie słaba płeć) myślą nie głową, tylko główką.

Jednakże nie mogła przebaczyć Richardowi tego, że zostawił żonę i dziecko dla kochanki, i to takiej, jaka ani myślała zagrozić miejsca u jego boku. Daff przeczuwała, że romans będzie krótkotrwały i nie zaowocuje niczym poważnym, ponieważ zadała sobie trud przyjrzenia się Nancy i zebrania o niej informacji. Parkowała naprzeciwko jej wielkiego, utrzymanego w stylu kolonialnym domu i przyglądała się, jak podjeżdża po pracy ogromnym range-roverem, a do niego wkrótce dołącza bmw 7 jej męża. Ktoś taki jak Nancy nigdy nie zrezygnowałby ze swego wygodnego życia dla Richarda.

Stare powiedzenie głosi, że zemsta najlepiej smakuje na zimno, lecz Daff nie szukała rewanżu. Odczuwała zbyt wielki smutek, by planować podłą wendetę. Żałowała swego małżeństwa, tego, co jak jej się wydawało, stworzyli z Richardem, a co zważyło się jak domek z kart na jej oczach; żałowała Jessiki, która płakała nocami, myśląc, że matka nie słyszy, podczas gdy Daff jak zawsze słyszała każde westchnienie i każdy szloch córki.

Żałowała również Richarda.

Daff zawsze ceniła go za siłę, za to, że radził sobie w każdej sytuacji i potrafił niemal zawsze wykaraskać się z tarapatów, toteż nic dziwnego, że przy tej okazji utraciła do niego wszystkich szacunek. Teraz, ilekroć pojawiał się na jej progu cały we łzach - które tak bardzo przypominały krokodyle łzy, iż z wielkim trudem powstrzymywała się przed tym, żeby go nie zdzielić po pysku, co może pomogłoby mu się otrząsnąć - jawił się w jej oczach żałośnie słaby.

Widziała w nim małego zagubionego chłopca, człowieka, który świetnie zdaje sobie sprawę, że przepieprzył swoje życie, rozdarł je na strzępy, a teraz płaszczy się i mazgai, byle tylko mógł je położyć z powrotem do kupy i odzyskać.

Zdarzało się też, że pojawiał się u niej, trzęsąc się ze złości. Gdyby tylko Daff była bardziej taka, gdyby bardziej jej zależało na tym, gdyby robiła to, a mówiła śmo...

Daff stała tylko i patrzyła na niego z niedowierzaniem, po czym wołała Jessikę i odchodziła od drzwi, pozostawiając go samego z jego bzdurnymi oskarżeniami na wycieracze.

Dzwonił do niej później, zawsze po takim incydencie dzwonił z przeprosinami i wypłakiwał się w słuchawkę, zapewniając, że nie potrafi bez niej żyć, lecz Daff - zawsze bardzo czarno-biała w swoich opiniach - wiedziała, że jej uczucia do niego już nigdy się nie zmienią.

\* \*

Do rozwodu doszło trzy miesiące po tych wydarzeniach. Proces przebiegał spokojnie, choć mógł być bardzo widowiskowy

- Daff jednak nie zdecydowała się na tę opcję. Daff i Richard przeszli mediację i wypracowali własną ugodę: Richard miał łożyć na utrzymanie dziecka i płacić żonie niewysokie alimenty. Okazało się to niewystarczającą sumą, by mogła we dwójkę z córką wyżyć bez podejmowania pracy - czyli stało się dokładnie to, czego obawiała się przez cały czas, odkąd powzięła pierwsze podejrzenia, że mąż ją zdradza (już wówczas usiadła z kartką papieru i zrobiła listę za i przeciw) - lecz mimo to Richard nie wyraził chęci, by płacić choć centa więcej, i jako ten silniejszy jak zwykle wygrał, gdyż Daff wtedy jeszcze nie czuła się na tyle mocna, żeby walczyć o swoje, i chyba w swej naiwności nie zdawała sobie sprawy z powagi własnego położenia.

Na szczęście już od jakiegoś czasu rozglądała się za zajęciem dla siebie. Najbardziej pociągał ją handel nieruchomościami i rzeczywiście zawód pośrednika w tej branży był dla niej idealnym rozwiązaniem. Rynek wciąż dołował, ale rysowały się już lepsze perspektywy na przyszłość, a Daff zawsze świetnie radziła sobie z ludźmi, no i nie bez znaczenia były wysokie prowizje od sfinalizowanych transakcji, niejednokrotnie bijące na głowę regularne opodatkowane pensje na innych stanowiskach, jakim się bliżej przyglądała.

Już w trakcie separacji zrobiła licencję agenta nieruchomości, a zainaugurowała karierę udaną sprzedażą niewielkiego kawałka ziemi na przylądku nieopodal ich miejsca zamieszkania.

Czuje, że to praca dla niej. Nie zarabia tak dużo, jak by chciała, ale ma nienormowany czas pracy i może wiele uwagi poświęcać dziecku, zupełnie jak kiedyś. Tyle że, niestety, córka daje jej na każdym kroku odczuć, że wcale nie potrzebuje jej obecności.

Dziewczynka wini matkę za rozwód rodziców. Nie ma pojęcia o romansie ojca - Richard i Daff wspólnie uzgodnili, że nigdy jej o tym nie powiedzą - lecz Richard dał jej jasno do zrozumienia, że on nigdy by nie odszedł od rodziny z własnej woli, że mieszkanie w ciasnej garsonierze po drugiej stronie miasta to nie jego wybór, więc Jessika w swej zapalczywości wini o wszystko Daff, a jej gniew jest tak wielki, że z ledwością może patrzeć na kobietę, która wydała ją na świat.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Jak homar? - Sara krzyczy w stronę kuchni, wchodząc do domu.

Zatrzymuje się po drodze w pakamerce, by złożyć tam kupione środki czystości.

- Przepyszny, jak zawsze. Och, co za szkoda, że cię tu nie było pięć minut temu. Poznałabyś Andrew Moseleya. Taki miły z niego człowiek.

- Więc wasz wspólny lunch się udał? - pyta Sara, przestępując próg kuchni.

Nan sięga po papierosa, dłuższą chwilę walczy z zapalniczką i dopiero potem wzrusza ramionami.

- Nie wiem, czy tak bym to ujęła. Wspaniale było zjeść znów w czyimś towarzystwie, ale niestety Andrew otworzył mi oczy na moją sytuację finansową, która najwyraźniej przedstawia się dość kiepsko. Jego zdaniem powinnam sprzedać dom.

- Co? - Sara rozdziawia usta ze zdziwienia. - Który dom? Ten?...

- Nie mam innego, pamiętasz? - Nan uśmiecha się żałośnie.

- Ale... To okropna wiadomość! - Sara opada na krzesło po przeciwnej stronie kuchennego stołu.

- No, moja droga. To jeszcze nie koniec świata.

- Co dokładnie miałaś na myśli, mówiąc, że twoja sytuacja finansowa przedstawia się dość kiepsko? - Kiedyś, gdy Sara dopiero zaczynała sprzątać u Nan, za nic nie odważyłaby się jej zadać takiego pytania. Gospodyni wydawała jej się taka wspaniała, królewska niemal, że tylko przemykała koło niej bokiem, dźwigając wiadro, w którym grzechotały różne szczotki, płyny i pasty.

To były dawne czasy, co najmniej piętnaście lat temu. Siedemnastoletnia Sara próbowała zarobić na swoje studia, sprząając domy na wyspie ludziom, których znała od urodzenia, u których wcześniej pracowała jej matka, a przed nią - jej babka.

Sara stała się członkiem rodziny. Nadal sprząta u Nan, a także gotuje dla niej i robi jej zakupy, chociaż w gruncie rzeczy jest raczej jak córka, z tą może różnicą, że otrzymuje wynagrodzenie za swoją pracę.

Zawsze uważała Windermere za swój drugi dom - w końcu to tutaj dorastała, tutaj spędziła burzliwe lata po dwudziestce, podczas których Nan wydawała jej się jedyną pewną przystanią.

A teraz Nan mówi o sprzedaży tego domu? Sara nie umiałaby żyć bez Windermere ani bez Nan, gdyż jedno ściśle łączy się w jej umyśle z drugim - nie może być mowy o Windermere bez Nan ani o Nan bez Windermere. Dlatego perspektywa utraty obojga przeraża ją bez granic.

Sara obecnie ma już męża i własny dom, ale to właśnie tutaj, w Windermere, zrozumiała, co to znaczy: mieć dom. Oczywiście każdy gdzieś mieszka, ale prawdziwy dom powstaje dzięki cierpliwo-

ści, czasowi i miłości. Nigdzie nie czuła się bardziej w domu niż w Windermere, nawet w miejscu, które zaczęła tworzyć wraz z mężem.

- Wiesz, że nie mam smykałki do finansów - kręci głową Nan. - Andrew mówił dużo o funduszach hedgingowych, o wiążącym się z nimi ogromnym ryzyku inwestycyjnym i o wysokiej normalnie stopie zwrotu, a także o tym, że mój fundusz hedgingowy zainwestował cały kapitał w coś, w co najwyraźniej nie powinien był inwestować, po czym indeksy straciły z dnia na dzień kilkaset punktów, cokolwiek to znaczy, no i zostałam bez centa przy duszy.

- Ależ Nan! - wykrzykuje wstrząśnięta Sara. - Co teraz zrobisz?

- W moim wieku człowiek mniej się przejmuje takimi sprawami. Zwłaszcza kiedy chodzi tylko o pieniądze.

- Chcesz powiedzieć, że nie zbankrutowałaś? Że masz inne środki?

- Hm... niezupełnie. Ale coś mi się wydaje, że raczej nie sprzedam domu. Trzeba będzie wysilić mózgowicę i wpaść na jakieś rozwiązanie.

- Mówiłaś już Michaelowi?

- Jeszcze do niego nie dzwoniłam. Mam to w planach.

- Gasi niedopałek w kryształowej popielniczce, poźółkłej i mętnej ze starości, i spoglądając Sarze prosto w oczy, dodaje:

- Prędej piekło zamarnie, niż ja sprzedam ten dom.

Młodsza kobieta odpręża się i wzdycha z ulgą.

\* \*

- Naprawdę pan sądzi, że to takie proste? Że wyjedziemy gdzieś na weekend i sprawy same się ułożą? - Daniel spogląda z powątpiewaniem na doktora Posnera.

Terapeuta unosi lekko brwi.

- Nie. Wcale nie sądzę, że to aż takie proste. Ale uważam, że wspólny wyjazd na pewno wam nie zaszkodzi. Będzie wspaniałą okazją do tego, abyście razem z Bee się odnaleźli, byście przypomnieli sobie, co was połączyło, zanim zostaliście rodzicami i pochłonęła was rutyna codziennego życia, komplikowana przez ciągle wymagania dzieci.

- To samo próbowałam mu powiedzieć - wtrąca Bee.

- W dodatku to naprawdę była okazja. Prawie nikt nie starał się o tę ofertę, więc cena pozostała niska. Trzy noclegi na Nantucket, do tego przelot w obie strony. Prawdziwa gratka, no i przecież to tylko parę dni... - kończy obronnym tonem.

- Moim zdaniem świetnie zrobiłaś - odzywa się doktor Posner, uprawomocniając jej decyzję. - Radzę wam, jedźcie i dobrze się bawcie.

Weekendowy wyjazd był jedną z trzech nagród podczas cichej aukcji mającej miejsce na gali zorganizowanej przez towarzystwo dobroczynne wspierające kobiety chore na raka piersi. Była to jed-

na z wielu podobnych imprez, na które wybierali się razem z przyjaciółmi, by wspomóc szlachetny cel i poeksycytować się licytacją wystawionych dóbr. Tym razem główną nagrodę stanowił tygodniowy pobyt na Bahamach, który wzbudził najwięcej emocji wśród gości, więc Bee miała niemal całkiem wolną rękę, gdy przyszło do ubiegania się o weekend na Nantucket.

Prawdę powiedziawszy, szczególnie chciała tam jechać, mimo że miała w pamięci mgliste wspomnienie ojca opowiadającego, co to za magiczne miejsce. Pragnęła jedynie wziąć udział w licytacji, a że pozostały tylko dwie oferty, w tym jedna również przekraczająca jej możliwości finansowe, wybór padł właśnie na wyspę u wybrzeży Massachusetts. Pomyślała też, że może weekend z dala od domu jest tym, czego potrzebują, chociaż ostatnimi czasy zdawało jej się, że tylko cud może uratować ich małżeństwo.

Albowiem, choć nadal mieszkali pod jednym dachem i pozostawali mężem i żoną, zdaniem Bee byli raczej jak ludzie, którzy przypadkiem dzielą mieszkanie i zamiast poznawać się lepiej, stają się sobie coraz bardziej obcy. Daniel wciąż zachowywał się bez zarzutu, uprzejmie i miło, lecz w odczuciu Bee wyglądało to tak, jakby ktoś zgasił opromieniające ich światło. Wszelkie ciepło, wszelka bliskość, które były ich udziałem w przeszłości, zniknęły, w czego efekcie Bee ogarnęło podejrzenie, że nawet to, co kiedyś mieli, było tylko iluzją.

\* \*

Jordana nakłada cienką warstwę przezroczystego pudru na nos i zbiera włosy w luźny węzeł na karku przed wślizgnięciem się do pracowni.

- Chciałam sprawdzić, co z tym wisiorkiem dla pani Branfield - mówi, gdy Michael podnosi na nią wzrok znad swego stanowiska i obdarza ją uśmiechem.

- Skończyłem go wczoraj - odpowiada jej. - Czekaj, pokażę ci... - Wstaje i podchodzi do sejfu, po czym szybko wybiera kombinację cyfr i otworzywszy drzwiczki, wyciąga z wnętrza płaskie aksamitne pudełko.

- Och, Michael! - wykrzykuje Jordana, chłonąc oczyma widok drogiego kwiatu z lęzkowatymi brylantami w charakterze płatków umieszczonych wokół krągłutkiego cytrynu, ozdobionego drobnymi listkami z podłużnych, fasetowanych szmaragdów. - Będzie zachwycona!

- Mam taką nadzieję - mówi Michael. - Może dzięki temu prędzej pogodzi się z rozwodem.

Lesley Branfield była eks-małżonką właściciela świetnie prosperującej firmy produkującej kosmetyki. Nie doczekała się potomstwa w ciągu siedmiu lat małżeństwa (jej pierwszego, jego czwartego) i podczas rozwodu poczuła się cokolwiek wydymana (żony numer jeden, dwa i trzy otrzymały podobnie niskie alimenty, ale za to całkowity zwrot kosztów utrzymania dzieci).

Jej natomiast pozostał apartament na Upper East Side, letni domek na Shelter Island oraz wszystkie meble, stroje i kosztowności. Z tymi ostatnimi Michael od dawna miał sporo do czynienia.



Pan Branfield, choć zamożny, był zbyt skąpy, aby kupować żonie biżuterię u znanych jubilerów. Jeśli więc Lesley spodobał się jakiś pierścionek albo para kolczyków lub też precyzyjny naszyjnik u Cartiera czy Tiffany'ego, pożyczał dla niej błyskotkę (aż dziw bierze, na jakie ustępstwa skłonni są pójść właściciele salonów, gdy w grę wchodzi najzamożniejsi i szeroko znani klienci), fotografował i zanosił zdjęcie do zakładu złotniczego Jordana & Jackson, gdzie na zapleczu Michael wykonywał idealną replikę za ułamek ceny.

Bogacze mogą lubić wszystko co najlepsze, ale najczęściej po prostu uwielbiają zniżki.

Po rozwodzie Lesley Branfield zdecydowała, że zamiast zachować się jak Ellen Barkin i sprzedać wszystkie kosztowności, dokona w nich małych zmian, aby przedmioty nie przywoływały przykrych wspomnień w czasie, gdy będzie je nosić.

- Zatelefonuję do niej i powiem, że wisiorek jest już gotowy - oznajmiła Jordana. - Na pewno się ucieszy. Och, Michael, naprawdę wspaniale ci wyszedł. Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Michael się uśmiecha i odwraca, aby wrócić do przerwanej zajęcia.

- Jak tam sprawy z twoją nową dziewczyną? Mężczyzna wrusza ramionami.

- W porządku.

- Tylko w porządku? - Jordana śmieje się w głos. - To nie brzmi dobrze. W czym problem?

Na ogół szefowe nie roztrząsają życia uczuciowego swoich pracowników, jednakże odkąd otworzyli drugi sklep w Manhasset i Jackson zaczął spędzać tam coraz więcej czasu, żeby wszystkiego dopilnować na dobry początek, Jordana z konieczności częściej rozmawiała z Michaelem, wtajemniczając go w niektóre aspekty prowadzenia interesu i zasięgając jego rady.

Są naturalnie i inni - w tym salonie pracuje jeszcze dwóch sprzedawców - lecz Jordana nigdy nie zwróciłaby się do nich o pomoc. W Michaelu wyczuwa coś kojącego, coś, co sprawia, że chce się przed nim otworzyć i zacząć mu się zwierzać, skutkiem czego zawiązała się między nimi dziwna przyjaźń. Po raz pierwszy od lat z radością wstaje rano z łóżka i szykuje się do pracy.

Nie chodzi o to, że przestała lubić to, co robi - jeszcze przed ślubem postanowili wspólnie z Jacksonem, iż stworzą sieć ekskluzywnych, a zarazem dostępnych dla każdego salonów jubilerskich, i wprowadzili swój plan w życie, czy też raczej zaczęli wprowadzać z chwilą otwarcia drugiego sklepu, który zaabsorbował Jacksona do tego stopnia, że tutaj, na Madison Avenue życie stało się jakby nudniejsze.

Głównie dlatego z taką przyjemnością powitała przyjaźń z Michaelem. Czasami jedzą razem lunch - zazwyczaj jest to kanapka przy stole w pokoju dla personelu, z rzadka, pod warunkiem że pogoda pozwala, piknik w parku. Miło jest znów móc z kimś porozmawiać. Miło mieć w pracy przyjazną duszę.

- W niczym - odpowiada na jej pytanie Michael. - Bardzo ją lubię, tylko że...

- To nie ta jedyna? - Jordana uśmiecha się domyślnie. - O rany - wzdycha Michael. - No więc chodzi o to, że ilekroć poznaję jakąś dziewczynę, która bardzo mi się podoba i w ogóle, zawsze prędzej czy później zaczynam się jej w duchu czepiać, po czym myślę sobie, że może to nie z nią jest coś nie tak, tylko ze mną, że to raczej ja powinienem bardziej się postarać, a następnie tkwię w tym związku wbrew chęciom, mimo że nie potrafię się tak do końca przełamać, co oczywiście ma taki skutek, że dziewczyna zaczyna mnie oskarżać o to, iż nie jestem dość zaangażowany... a to działa na mnie jak płachta na byka i rzecz jasna najchętniej dałbym wtedy nogę.

Jordana ponownie wybucha śmiechem.

- Może to jednak znak, że masz fobię przed związkami?

- Co? - szczerzy się Michael. - Że chciałbym uciec gdzie pieprz rośnie?

- Tak, choćby to.

- Hm... Naprawdę tak myślisz?

- A ty co myślisz?

- Ja? Myślę, że bardzo bym chciał poznać fantastyczną dziewczynę, prawdziwą partnerkę pod każdym względem, taką, żebym mógł z nią spędzić resztę życia. Na razie mi się to nie udało.

- A ta cała... Aisling? - Michael potakuje w milczeniu. - No więc czy ta Aisling nie jest właśnie tą jedyną?

Mężczyzna wzdycha w odpowiedzi.

- Przechodzi przemianę.

- Przechodzi przemianę? - Jordana unosi brwi.

- No tak. Każda dziewczyna na pierwszych paru randkach udaje, że wszystko jej się w facecie podoba. Jeździ na rowerze? Super, ma ekologiczne podejście do życia. Jest złotnikiem? Jeszcze lepiej, musi być wyjątkowo kreatywny i duchowo usposobiony. Mieszka na Upper West Side w przedwojennej kamienicy, w której czynsze są dotowane przez ratusz? Fantastycznie, ona zawsze marzyła, żeby gnieździć się w takim mieszkanku.

- Jak dotąd nic strasznego - wtrąca Jordana, wzruszając ramionami.

- A potem randkowanie staje się poważniejsze i dziewczyna któregoś dnia pyta, czy naprawdę nie myślałem o vespie, bo przecież to taki świetny skuter, no i można by na nim jeździć we dwójkę, i zaczyna węszyć po chacie, przyglądając się ze zmarszczonym czołem ścianom i podłogom, by w końcu wyrzucić z siebie, że jej zdaniem nie zaszkodziłoby, gdyby wycyklinować parkiety i położyć gładzie, no a zmienienie fliz w łazience to przecież żaden koszt, można by też przy okazji odnowić wannę, a w Smith & Noble sprzedają takie ładniutkie żaluzje, też całkiem tanie...

Jordana śmieje się z całego serca.

- Koniec końców, po wyjątkowo udanej kolacji we dwoje, gdy tracę czujność i zaczynam wierzyć, że te wszystkie znaki ostrzegawcze mają niewielką wagę, mimo że intuicja w tej sprawie jeszcze

nigdy mnie zawiodła i scenariusz zazwyczaj rozwija się identycznie, dziewczyna patrzy mi prosto w oczy i z niewinną miną pyta, czy myślałem kiedyś o założeniu własnego salonu jubilerskiego. Albo gdzie chciałbym być za pięć lat od teraz. Po czym nieodmiennie ogarnia ją rozczarowanie, kiedy mówię, że marzy mi się żyć u boku właściwej kobiety, mieszkać tu, gdzie mieszkam, i pracować tu, gdzie pracuję.

Jordana przykłada rękę do piersi i wzdycha teatralnie.

- Uff... Zatem nie wręczysz nam wypowiedzenia w najbliższym czasie?

- Nie mam takiego zamiaru. I w tym właśnie problem. Żadna z dziewczyn, jakie znałem, nie mogła uwierzyć, o pogodzeniu się z tym faktem nie wspominając, że jestem szczęśliwy tu, gdzie jestem, i że nie chcę żadnych zmian. Wszystkie one marzą, by pomóc mi odkryć moje głęboko ukryte, niepoznane jeszcze „ja”, przepełnione ambicją i planami, a żadnej nie przyjdzie do głowy, żeby zaakceptować mnie takim, jaki jestem.

- Z Aisling jest tak samo?

- Niestety. Wszystko szło świetnie do czasu, aż zadała to pytanie, gdzie będę za pięć lat, po czym nie potrafiła zrozumieć, gdy jej powiedziałem, że ani myślę ubiegać się o współudział w spółce czy otwierać własny sklep. „Mógłbyś zarabiać o wiele więcej”, buczała, podczas gdy ja usiłowałem jej wytłumaczyć, że pieniądze nie mają dla mnie aż tak kolosalnego znaczenia. Następnie, jak łatwo się domyślić, zapytała mnie, w jaki sposób zamierzam utrzymać rodzinę, na co odparłem, że przecież nie mam żadnej rodziny, wywołując tym u niej szok, bo ona oczywiście pragnie mieć normalny dom, a ja jak na złość okazałem się fatalnym materiałem na męża. - Michael potrząsa głową i wzdycha przeciągle.

- To rzeczywiście niemiłe - przyznaje Jordana. - Z tego co opowiadasz, wynika, że Aisling chyba jednak nie jest dla ciebie. Głęboko wierzę, że dwoje ludzi musi podobnie myśleć i mieć takie same albo przynajmniej zbliżone cele, jeśli ich związek ma być udany. A skoro ją kręcą pieniądze czy też może raczej nadziany mąż, nie wydajecie się mieć wiele wspólnego. Na szczęście - dodaje ze śmiechem - zarówno mnie, jak i Jacksona duży dochód kręci w równym stopniu.

Michael także się śmieje.

- To właśnie w was lubię - mówi. - Macie odwagę się do tego przyznać.

- Powtarzam zawsze, że urodziłam się w biedzie, dorastałam, pragnąc gwiazdki z nieba i wiedząc, że muszę znaleźć sposób, by jej dosięgnąć. Od małego uwielbiałam błyskotki, potem w pocie czoła harowałam na kursie gemmologii, zanim trafiłam do swojej pierwszej pracy w sklepie jubilerskim. Nie rozumiem dziewczyn, którym się wydaje, że mogą złapać bogatego męża i w ten sposób zapewnić sobie dostatnie życie.

- Ja też nie - zgadza się z nią Michael. - Tylko dlaczego ciągle na nie wpadam?

- Może bywasz w niewłaściwych miejscach - uśmiecha się do niego Jordana. - No dobra, koniec przyjemności. Wracam za ladę. Zanim zapomnę, dam znać Lesley Branfield, że wisiołek na nią czeka. Myślę, że będzie chciała podziękować ci osobiście. Wychodzisz gdzieś?

- Nie, będę cały czas na tym miejscu - odpowiada Michael. - Co tak boli Aisling.

Śmieją się razem, po czym Jordana wychodzi z pracowni i zamyka za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Czyż nie jest miło? - Na nowojorskim lotnisku Bee wyciąga rękę i gładzi Daniela po ramieniu, a on uśmiecha się do niej, zastanawiając się, czy przypadkiem uczucie zagubienia, jakie go opanowało, nie wynika z przewrażliwienia, bo przecież mimo wszystko kocha Bee i uwielbia wiele stron swego życia.

- Jak sądzisz, co teraz robią dziewczynki? - pyta ją Daniel, na co Bee wybucha śmiechem.

- Zamierzasz spędzić cały weekend, rozmawiając o dzieciach? - droczy się z nim.

- Wiem, to szaleństwo. Po raz pierwszy od lat wybraliśmy się gdzieś tylko we dwoje, a ja już tak strasznie za nimi tęsknię.

- Stella była trochę podenerwowana, ale przekonasz się, nic im nie będzie. Mój tata pozwoli, by weszły mu na głowę.

- Bee uśmiecha się lekko. - Był zachwycony, że może się nimi zaopiekować podczas naszej nieobecności. I przy okazji okazało się, że naprawdę zna Nantucket bardzo dobrze, dał mi listę miejsc, które koniecznie musimy zobaczyć... - Urywa i powiódłszy wzrokiem po walizce Daniela, zmienia temat: - Jak to możliwe, że ja zabrałam tyle co nic, a ty zdajesz się ciągnąć ze sobą całą szafę? - Stara się, by zabrzmiało to żartobliwie, ale nie udaje jej się całkowicie ukryć irytacji w głosie.

- Nigdy wcześniej tam nie byłem, dlatego nie wiedziałem, jakie ubrania będą potrzebne. Wziąłem więc trochę eleganckich ciuchów, które przykryłem koszulkami polo, pstrokatymi

T-shirtami, kompletami khaki i na koniec jeszcze dołożyłem japonki. Nie znoszę, kiedy coś mnie zaskakuje, to wszystko.

- A ja mam trzy T-shirty, małą czarną na wypadek, gdybyśmy poszli w jakieś eleganckie miejsce, i dwie pary szortów - wylicza Bee. - Zmieściłabym się do plecaczka. Przypominam ci, że to ja jestem kobietą i jako taka powinnam wlec ze sobą całą skrzynię strojów.

Daniel wzrusza ramionami i próbuje z siebie zażartować:

- Wiesz, że stara baba ze mnie.

- Wiem - potakuje Bee i spogląda nań z miłością w oczach. - Między innymi dlatego cię kocham.

Daniel chrząka. Zdaje sobie sprawę, że powinien odpowiedzieć: „Ja też cię Kocham” - ma już te słowa na końcu języka, jest bliski wyrzucenia ich z siebie, czując, że Bee na niego nie czeka, lecz niespodziewanie dla samego siebie zamiast tego tylko klepie ją z czułością po kolanie i wstaje z ławki.

- Kupię jakąś gazetę - bąka. - Mam wziąć dla ciebie „People”? - pyta, a następnie odwraca się i idzie w stronę saloniku prasowego, zanim sytuacja jeszcze bardziej się pogorszy.

Danielowi nigdy nie przychodziło z łatwością mówienie komuś „kocham cię”. Nie wychowano go w ten sposób, tłumaczył nieraz Bee, mimo że to nie do końca prawda. Jego ojciec był oziębły i despotyczny, lecz matka obsypywała go czułościami i nigdy nie miał problemu okazywaniem jej swoich uczuć.

Bee także była jedynaczką i oczkiem w głowie obojga rodziców. Zawsze zapewniali ją, że jest ich najdroższą córeczką na świecie i że nikt nie kocha swojego dziecka tak mocno jak oni, a ona dawała wiarę ich słowom. Dorastała wśród bezpieczeństwa, pewności i otwartego mówienia o uczuciach, wierząc, że małżeństwo jej rodziców jest doskonałe, do czasu gdy matka opuściła ojca, kiedy Bee udała się do college'u.

- Mam dosyć sekretów - powiedziała Bee matka przy jakiejś okazji i na tym poprzestała, mimo że Bee dopytywała, co takiego ma na myśli, jakie dokładnie sekrety; w odpowiedzi starsza kobieta tylko potrząsnęła głową i stwierdziła, że nie chce o tym rozmawiać, a Bee postanowiła nie naciskać. Przez lata z rzędu miała nadzieję, że jej rodzice ponownie się zjedną, choć przecież była już dorosła i nie powinno jej przeszkadzać, iż nie są razem, zwłaszcza że rozwód odbył się w przyjaznej atmosferze, kordialnej nawet, chociaż matka zawsze utrzymywała, że „sytuacja była nie do zniesienia”.

Bee próbowała poruszyć ten temat z ojcem, ale on też nabrał wody w usta. Nie było w tym nic niezwykłego, zawsze wydawał się melancholijny i małomówny, jakby zatopiony w świecie własnych myśli, także wtedy gdy bawił się z małą Bee, gdy pozornie był obecny całym sobą, czujny i wypełniony po brzegi miłością do niej.

Może dlatego od zawsze sądziła, że kiedy już wyjdzie za mąż, wybrany przez nią mężczyzna będzie traktował ją podobnie jak jej ojciec, i dlatego teraz nie umie pojąć, jak to się stało, że poślubiła człowieka, który zdaje się niezdolny do okazywania uczuć.

Lecz Bee nie zamierza się poddać. Jeszcze nie. Jej suwa woli jest tak potężna, że w swojej opinii potrafi wpływać na oblicze świata i nie ma wątpliwości, że zdoła przemienić Daniela w mężczyznę, jakim jej zdaniem jest, jakim z pewnością może być.

Jessika siada wygodniej na fotelu samochodowym, patrzy na ojca, który spogląda na nią od czasu do czasu i wyciągając rękę, porozumiewawczo ścisną jej dłoń.

Kocha go tak bardzo, że czasami to wręcz boli. Jej tata jest, bez dwóch zdań, najlepszym tatą pod słońcem i nawet jeśli go nie doceniała, kiedy jeszcze rodzice mieszkali razem, teraz - odkąd się od



nich wyprowadził - czuje z nim wyjątkową więź, jakby połączyło ich tajemne porozumienie, i tyleż się do niego zbliżyła, ile oddaliła się od matki.

Niechęć do Daff rozpoczęła się od zwykłej ambiwalencji uczuć. Nawet wtedy gdy rodzice wciąż ze sobą byli, matka zaczęła ją denerwować. Nieustannie tylko przypominała, żeby Jessica posprzątała swój pokój albo zmieniła ubranie czy inaczej uczesała włosy. A potem zmusiła ojca, by się wyniósł, tym samym rujnując jej życie. Zwykła huśtawka uczuć zamieniła się w czystą nienawiść.

Oczywiście zdarzają się chwile, kiedy układa się między nimi lepiej. Czasami matka zabiera ją do salonu kosmetycznego na manicure, co nie może się jej nie podobać, zwłaszcza że wtedy zdają się raczej koleżankami niż rodziną, szkoda tylko, że trwa to tak krótko i prędzej czy później matka przesadza, starając się być za wszelką cenę jej kumpelą, co - rzecz jasna - doprowadza Jessikę do białej gorączki.

Dziewczynka wie, że ojciec nigdy by jej nie opuścił, więc skoro odszedł, winę za to musi ponieść matka. Skąd ta pewność? No cóż, ojciec ją o tym przekonał, czy to nie oczywiste? Wyraził się całkiem jasno, mówiąc, że nigdy by jej nie zostawił, że kochają ponad wszystko i że gdyby miał coś do powiedzenia w tej sprawie, nigdy wżyciu nie przeniósłby się do obskurnego mieszkania w gorszej dzielnicy. Podkreślił też, że oddałby wszystko, byle móc wrócić do domu, byle znów stali się pełną rodziną, no ale to matka rządzi i nie chce go przyjąć z powrotem.

Jessiki ta informacja specjalnie nie zdziwiła. Czowała, że ojciec ją bardzo kocha i że nie odszedł z jej powodu. A skoro tak, wina spadała na matkę.

- Nienawidzę cię! - wykrzyczała Daff prosto w twarz wkrótce po tym, jak Richard się wyprowadził. Po raz pierwszy odważyła się użyć tych słów głośno. - Zrujnowałaś mi życie i cię nienawidzę!

Biegając na górę do swojego pokoju, spodziewała się usłyszeć za sobą kroki matki chcącej ją ukarać albo na nią nawrzeszczyć, albo zrobić coś jeszcze innego. Ale w domu zaległa cisza.

Jessika łkała w poduszkę przez jakiś czas, lecz w końcu przestała, bo nikt nie przychodził zobaczyć, czy u niej wszystko w porządku. Wstała, podeszła na palcach do drzwi, uchyliła je po cichu i nadstawiając ucha, wyłowiła docierające z dołu stłumione odgłosy płaczu matki.

Dobrze. Poczowała lekkie wyrzuty sumienia, jednakże beztrąsko zepchnęła je w kąt świadomości, rozkoszując się uczuciem satysfakcji. Jej matka zasłużyła sobie, aby cierpieć, tak jak ona cierpiała dzień po dniu, minuta po minucie, od chwili w której odszedł tata. Na pewno nie uczynił nic, czym by sobie zasłużył na wyrzucenie z domu, więc Jessica ze spokojnym sumieniem obwinia o wszystko matkę, kombinując, jak by zamieszkać z nim na stałe.

- Pojedziemy do Four Brothers? - pyta ojca po raz nie wiadomo który, odkąd to miejsce stało się ich stałym punktem programu. Kiedy mieszkali we trójkę, rzadko wolno jej było grać na automatach, zawsze musiała sobie coś zasłużyć na taką atrakcję, gdyż wówczas oboje rodzice jeszcze się nią

przejmowali i bardzo jej pilnowali. Zazwyczaj jeździli tam z jakimiś znajomymi, tak żeby dorośli mogli zająć się swoimi sprawami, a dzieci wyszalały się w salonie gier.

Jessika nie pamięta, żeby jej tata grał z nią na jednym automacie. Ani żeby jej rodzice siedzieli z nią w pizzerii i rozmawiali jak równy z równym. Przypomina sobie za to, że często wychodzili tylko we dwoje, a ona zostawała w domu z opiekunką, albo wyjeżdżali na cały weekend, podczas gdy nią zajmowała się babcia.

A teraz tata wszystko z nią robi. Jessika nie jest wystarczająco dojrzała, by rozumieć, jaki wpływ na zachowanie człowieka ma poczucie winy, ale umie korzystać z okazji, gdy ta się trafia, i z pewnością umie pokierować sprawami tak, by odnieść największą korzyść.

- Tatusiuuu?... - jęczy na przykład pod witryną sklepu z odzieżą młodzieżową, najmodniejszego w mieście Kool Klothes, o którym niegdyś jej rodzice wyrażali się z dezaprobatą jako o miejscu straszliwie przecenionym pod każdym względem i żenująco goniącym za nowinkami. Kto by chciał nosić te rzeczy? - pytała retorycznie matka, z pogardą patrząc na T-shirty wyszywane cekinami oraz nabijane ćwiekami dzinsowe spódniczki z obniżoną talią. - Mooogę?...

Nauczyła się już, że jeśli okazuje dość entuzjazmu, a potem tyle wdzięczności, jakby całą sobą wyrażała zachwyty, że spotyka ją takie szczęście, ojciec kupuje jej wszystko, czego sobie życzy.

Jessika to zadziwiająca mieszanina dorosłej osoby i małej dziewczynki, w wieku lat trzynastu ma już kobiece kształty, zaczyna się interesować chłopcami, choć rozwód rodziców nieco przystopował jej rozwój w tej sferze, i lgnie do ojca jak mucha do miodu, oplatając go ramionami, kiedy stoi, siadając mu na kolanach, gdy odpoczywa, i przytulając się doń z kciukiem w buzi jak małe bobo podczas oglądania telewizji.

Zaczęła się zachowywać całkiem odmiennie, gdy jest z ojcem. Wieczorem, gdy przychodzi czas, by udać się do łóżka, wyciąga do niego ramiona i pozwala wziąć się na ręce i zanieść na górę, a potem leżą jedno koło drugiego i Richard gładzi jej plecy, aż uśnie. Ale ze mnie szczęściara, myśli sobie Jessika, zasypiając i po raz pierwszy w całym swoim życiu czując się naprawdę bezpiecznie. Kocham mojego tatę, a on kocha mnie i nic nie może tego zmienić.

- No więc? Pojedziemy? - pyta ponownie, nie uzyskawszy odpowiedzi.

- Czy pojedziemy dokąd? - nie rozumie Richard.

- Tatooo! - jęczy Jess, przewracając oczyma. - Dopiero co pytałam cię, czy pojedziemy do Four Brothers.

- Może trochę później, skarbie - odpowiada jej ojciec. - Chciałem cię dziś zabrać na lunch do Belucciego.

Jessika nie kryje rozczarowania.

- Dlaczego do Belucciego? Przecież zawsze jemy lunch w pizzerii.

- Wiem, skarbie. - Uśmiecha się do niej szeroko. - Ale dzisiaj chcę ci kogoś przedstawić i pomyślałem sobie, że powinniśmy pójść w jakieś naprawdę miłe, wyjątkowe miejsce.

Serce Jessiki zaczyna bić szybciej. Dziewczynka podejrzliwie mruży oczy.

- Przedstawić? Kogo?

- Znajomą. Ma na imię Carrie i na pewno ją polubisz.

Jessica wydaje się, że nie może zaczerpnąć tchu, ale gdy się odzywa, jej głos brzmi prawie normalnie.

- To twoja przyjaciółka?

- Skądże znowu, skarbie! - Richard zaprzecza ze śmiechem. - To po prostu nowa znajoma, z którą bywam tu i tam. Uznałem, że może chciałabyś ją poznać.

- Przysięgasz, że to nie twoja dziewczyna?

- Jess! Chybabym ci powiedział, gdybym miał dziewczynę?

- Jak się poznaliście?

- Przez wspólnych znajomych. Zobacysz, polubisz ją od pierwszego wejrzenia.

- Niby czemu? - Jessika zaczyna się dąsać. - Wcale nie zależy mi na tym, żeby ją poznać. Mam gdzieś, czy jest miła. Powinniśmy spędzać ten czas razem, tylko we dwoje, a nie w trójkę z twoimi nowymi znajomymi. Nie chcę jej spotkać. Chcę pojechać do Four Brothers. - Z każdym słowem ton jej głosu staje się wyższy, i Richard rzuca jej uważne spojrzenie, niepewien przez moment, jak zareagować, zanim ostatecznie postanawia trzymać się planu i nie ustępować.

- Skarbie, najpierw spotkamy się z moją znajomą, a potem może zajrzemy do Four Brothers. Nie zabraknie nam czasu tylko we dwoje.

- Nie, tato! - Jej głos przechodzi teraz w krzyk. - Nie chcę, by ktoś się z nami plątał! To nie fair, tato! Niszczysz to, co było między nami! Prawie wcale cię ostatnio nie widuję, więc kiedy już się spotykamy, chcę, żebyśmy robili to co zawsze, a nie pozwalali obcym ludziom wchodzić między nas! To nie fair i dlatego nie pójdę z tobą do głupiego Belucciego!... - zakańcza z płaczem, łzy płyną po jej twarzy, a piąstki biją w uda w całkiem sprawnym naśladownictwie ataku hysterii trzylatka.

Richard jest przerażony. Tylko raz od dnia rozwodu wprowadził zmianę do ich wspólnych planów i nie rozumie, o co tyle hałasu. Poza tym Carrie, z którą widuje się od paru tygodni, naprawdę jest fantastyczna. Nie może być mowy o tym, żeby nie polubiły się z Jess. Carrie należy do osób, które podbijają serca wszystkich. Z pewnością podbiła jego, i to do tego stopnia, że zaczął sobie wyobrażać życie z nią, co zdarzyło mu się po raz pierwszy od początku separacji z Daff, czyli od ponad roku, w ciągu którego spotykał się z wieloma kobietami. Oczyma wyobraźni widział już, jak spędzają miło czas podczas dzisiejszego lunchu; Jessika, pokazując się z najlepszej strony, oczarowuje Carrie i zabawia ją udawaniem sławnych ludzi, co tak świetnie jej wychodzi, kiedy są sami, a Carrie ujmuje Jess swoim poczuciem humoru i ciepłem.

- Jessiko, dosyć tego! - Zjeżdża na bok i zatrzymuje auto, kiedy dziewczynka wybucha niekontrolowanym szlochem. - Jedziemy do Belucciego, tak jak powiedziałem. Może się więc opanujesz i doprowadzisz do porządku, co?

- Nienawidzę cię! - krzyczy do niego pomiędzy szlochami. - Nienawidzę i bardzo się cieszę, że już z nami nie mieszkasz!

Richard potrząsa głową, całkowicie bezradny. Nie ma bladego pojęcia, co mógłby powiedzieć albo zrobić.

\* \*

Nan maszeruje gruntową drogą, o włos rozminawszy się z pracującym w przeciwną stronę buldożerem, który pcha przed sobą zwal ziemi.

- Dzień dobry! - woła do stojących wokoło mężczyzn; większość z nich uśmiecha się tylko pod nosem, lecz gdy zwraca się po hiszpańsku: - *Buenos días!* - odpowiadają jej grzecznie:

- *Buenos días, señora!* - i robią jej przejście.

Nie mają pojęcia, kim jest, ale nie wątpią, że ma prawo tutaj być; może interesuje ją zakup tego domu albo pracuje dla biura nieruchomości i zjawiała się, żeby oszacować posesję? Było nie było, budowa jest na ukończeniu.

Nan stawia stopę na desce wiodącej do frontowego wejścia - kamienne schodki dopiero powstaną w tym miejscu - i pchnięciem otwiera drzwi, by przeciąć ogromną połąć salonu i dotrzeć do tylnej werandy, oddzielonej od przestrzeni domu wysokim od podłogi do sufitu oknem weneckim.

- Dobry Boże - mruczy do siebie, okręcając się na pięcie i zadzierając głowę, by spojrzeć na zawieszony dwanaście stóp nad jej głową strop wykończony sztukateriami, zwieńczone kolumnami szerokie schody, wymyślne balustrady i boazerie. - Komu u diabła potrzebny jest taki dom na Nantucket?

Nie śpieszy się. Spacerkiem wędruje z salonu do kuchni, gdzie rozmiar pomieszczenia zapiera jej dech w piersiach; wodzi wzrokiem od ośmiopalnikowej kuchenki, przez przytłaczającą wielkością lodówkę, do zdających się ciągnąć w nieskończoność granitowych blatów.

- Ciekawe, gdzie jest spiżarka? - mamrocze, otwierając różne drzwi i kręcąc się w kółko. - Jak to możliwe, by ktoś chciał mieć taką kuchnię, a spiżarki już nie? Niby gdzie będzie trzymać produkty? - kieruje swoje pytania do gwatemalskiego hydraulika, który leżąc na posadzce, przyśrubowuje coś pod zlewem. Mężczyzna nie rozumie ani słowa, ale uśmiecha się do niej szeroko i kiwa przyjaźnie głową.

- To śmieszne - komentuje Nan, podejmując zwiedzanie domu. Najpierw wchodzi po schodach na piętro, gdzie znajdują się sypialnie (największa z nich ma wbudowane dwie garderoby, z których każda jest większa od jej salonu), a potem schodzi na sam dół, do piwnicy.

Tam zastaje w pełni wyposażoną siłownię, saunę, w której z łatwością pomieści się dziesięć tę-  
gich osób, pokój do masażu ze specjalistycznym stołem, pomieszczenie z jacuzzi, barek, z którego  
dźwiękoszczelne drzwi wiodą do dwunastoosobowej sali kinowej ze skórzanymi, odchylanymi do tyłu  
fotelami i pełnowymiarową maszyną do robienia popcornu w przedsionku.

- Halo? Mogę pani w czymś pomóc? - pyta zwalisty mężczyzna, który wchodzi do salki z ekrana-  
nem w momencie, kiedy Nan wypróbowuje jeden z foteli.

- Sama nie wiem - odpowiada Nan. - A może jednak? Co trzeba zrobić, żeby oparcie odchyliło  
się całkiem do tyłu?

- Wystarczy nacisnąć podłokietniki.

Nan postępuje zgodnie z instrukcją i fotel się rozkłada, tak że chcąc nie chcąc, łąduje w pozycji  
horyzontalnej. Chichocząc, dziękuje dobroczyńcy: - Brawo, miał pan rację! Niewykluczone, że zaraz  
utnę sobie drzemkę. Te fotele są niesamowicie wygodne. Powinien pan sam spróbować.

- Już to zrobiłem - mówi ponuro mężczyzna. - Nazywam się Mark Stephenson. Jestem kierow-  
nikiem budowy. A pani kim jest?

- Och, co za gapa ze mnie! Nie przedstawiłam się panu! - woła Nan i stara się usiąść, ale zmiana  
pozycji okazuje się niewykonalna, więc tylko wyciąga rękę. - Nazywam się Nan Powell. Jestem są-  
siadką.

Oczy budowlańca się rozjaśniają.

- Pani jest Nan Powell? Właścicielką tego wspaniałego domu nad urwiskiem?

- We własnej osobie - potakuje Nan. - Chciałabym pana o coś zapytać. Po co komu taki dom na  
Nantucket? Po co komu pokój do masażu, gabinet odnowy i sala kinowa na tuzin osób?

Mark Stephenson śmiejąc się, przysiadła na jednym z foteli obok Nan.

- Zdziwiłaby się pani - odpowiada. - Wyspa bardzo się zmieniła.

- I komu pan to mówi - wzdycha Nan. - Mieszkam tutaj od ponad czterdziestu lat, a rodzina  
mojego świętej pamięci męża jeszcze dłużej. Ale wracając do tematu, naprawdę ktoś kupi od pana ten  
dom?

- Owszem - potakuje skinieniem mężczyzna.

- A za ile? - dopytuje Nan.

- Czyżby była pani zainteresowana?

Nan się śmieje. Już polubiła Marka Stephensona, który jest nie tylko kierownikiem budowy, ale  
też deweloperem i zna odpowiedź na jej pytanie.

- Dwanaście i pół - mówi krótko.

- Dwanaście i pół? - powtarza skonfundowana Nan.

- Dwanaście i pół czego?

- Dwanaście i pół miliona.



- Słucham?

Mark Stephenson cierpliwie powtarza kwotę.

- Ale to niemożliwe! Dwanaście i pół miliona to fortuna. Po co ktoś miałby płacić tyle za zwykły dom? W dodatku taki bez spiżarni.

- Cóż, ludzie, którym się spodoba, raczej nie będą wiele gotowali. Wybiorą posiłki poza domem.

- W takim razie wolałabym nie mieć ich za sąsiadów, tak mi się przynajmniej zdaje.

- Podoba mi się pani dom. - Mark Stephenson gładko zmienia temat rozmowy. - Zgubiłem się któregoś dnia i musiałem skorzystać z pani podjazdu, i mogę pani z czystym sumieniem powiedzieć, że pani posiadłość jest wyjątkowa, a proszę mi wierzyć, że sporo ich w życiu widziałem. Proszę mi wyjawiać, na ilu akrach leży?

- Hm... w przeszłości było ich osiemnaście, ale po tym jak odsprzedaliśmy chatki, stanęło na dziewięciu. Dom jest cudowny, prawda? Nawet bez pokoju do masażu i kina zupełnie mi wystarcza.

Deweloper odchyła głowę i śmieje się na całe gardło.

- W takim domu mógłbym zamieszkać - mówi, kiedy już przestaje się trząść. - To prawdziwy dom, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Gościł pod swoim dachem pokolenia ludzi, wychowało się w nim mnóstwo dzieci. Bóg mi świadkiem, że moje dzieciaki byłyby zachwycone, gdyby mogły się w nim wychowywać.

- Pan ma dzieci?

- Trzech chłopców. - Wykrzywia się i Nan wybucha śmiechem.

- A gdzie teraz mieszkacie?

- W Shimmo. Niezgorzniejsze miejsce, ale ja zawsze miałem słabość do Sconset. Przyjeżdżam tu często z synami na rowerach i kręcimy się po okolicy całymi godzinami.

- Więc czemu nie zamieszkacie tu na stałe? - dziwi się Nan.

- Z prostej przyczyny - odpowiada mężczyzna ze wzruszeniem ramion. - Nie stać nas na to. Wprawdzie buduję to, co się dobrze sprzedaje, ale sam jestem zwolennikiem starych domów.

- Och, ja też - podchwytuje Nan. - Jestem przekonana, że pokochałby pan Windermere. Może wpadnie pan kiedyś, to pokażę panu wnętrze domu? Zapraszam do siebie na wieczornego drinka. Jeśli nie dzisiaj, to przy okazji.

- Z chęcią skorzystam z zaproszenia, pani Powell - odpowiada sztywno mężczyzna i w jego palcach pojawia się wizytówka.

- Może mi pan mówić po imieniu - proponuje Nan z dziewczynskim chichotem. - Wszyscy tak do mnie mówią.

Jessika siedzi przy stole ze wzrokiem wbitym w talerz.

- Do której klasy chodzisz? - Carrie pochyla się do niej i próbuje nawiązać rozmowę.

- Do pierwszej gimnazjalnej - odpowiada mrukiwie dziewczynka, nie podnosząc oczu.

- O, dobrze pamiętam pierwszą gimnazjalną - szczebiocze Carrie. Richard posyła jej zachęcające, a zarazem przeprasające spojrzenie. - To było straszne. Mieliśmy w klasie takiego jednego osiłka, który wszystkich terroryzował, i była jeszcze koszmarona Rona Fieldstone, która uprzykrzała mi życie na każdym kroku. - Po chwili przerwy pyta: - Trzynastolatki nadal mają przechlapane czy jest trochę lepiej niż za moich czasów?

Zapada przydługie milczenie, gdyż Jessika postanowiła za wszelką cenę ignorować rozmówczynię. Z jej skurczonej postaci emanuje smutek i rozpacz.

- Jess! - upomina ją ojciec. - Carrie zadała ci pytanie.

Dziewczynka wzrusza ramionami, co sprawia, że Carrie spogląda na Richarda, jakby błagała o pomoc.

- Smakują ci naleśniki? - próbuje znów po jakimś czasie. - Fajna ta buźka - wskazuje na talerz Jessiki, gdzie spoczywają dwa nienaruszone naleśniki z dziecięcego menu: jeden z owocami, a drugi z buzią zrobioną z czekolady i wiórków kokosowych. Carrie kłamie. Ni w ząb nie rozumie, czemu nastolatka zamawia potrawy z menu dla dzieci ani tym bardziej czemu przez cały czas trzyma ojca za rękę, puszczając go tylko wtedy, gdy Richard z wymuszonym uśmiechem zauważa, że trudno mu jeść francuskiego tosta, posługując się tylko lewą ręką.

Minionego dnia, kiedy Jessika stanowczo odmówiła udania się z nim na lunch do Belucciego, Richard przyglądał się w milczeniu jej atakowi hysterii w samochodzie, zachodząc w głowę, co mógłby zrobić, aby go opanować. I co stało się z jego uroczą, uśmiechniętą, zadowoloną z życia córką? Skąd wziął się ten wrzeszczący potwór, którego nie sposób uspokoić?

- Świetnie - rzucił w końcu i złapawszy komórkę, wysiadł z auta.

- Tak mi przykro - mówił po chwili do Carrie przez telefon, czując się paskudnie, że sprawia jej zawód. - Chyba będziemy musieli zmienić nasze plany. Jess rozsypała się na moich oczach. Nie mogę robić czegoś takiego własnemu dziecku. Porozmawiamy później.

Skończył rozmawiać i odwrócił się z powrotem do samochodu. Zza opuszczonej szyby Jessika, która słyszała każde jego słowo, uśmiechała się do niego promiennie.

- Kocham cię, tatusiu - powiedziała, jak tylko znowu usiadł za kierownicą. - Ja tylko nie chciałam, żeby ktoś zepsuł nasze spotkanie.

Trzymała go za rękę przez całą drogę do Four Brothers, a Richard czuł przede wszystkim ulgę, że atak hysterii minął i że Jess na powrót jest jego słodką, kochaną córeczką.

Dzisiaj nie pozostawia jej wyboru. Zabiera ją do ich ulubionej knajpki na śniadanie i zaczynają posiłek jak co tydzień, lecz kiedy pojawia się Carrie i wślizgnąwszy się do łoży, zapewnia z drugiej strony stołu, jak szalenie się cieszy, że ma okazję nareszcie poznać Jess, bo tyle o niej dobrego słyszała i w ogóle, jego córeczka znika, a w jej miejsce pojawia się ten sam potwór co wczoraj.

Richard przygląda się tej przemianie z nieskrywanym przerażeniem. Jest mu wstyd z powodu grubiaństwa córki, ogarnia go gniew, kiedy Jess odmawia odpowiedzi na najprostsze pytanie, czuje się bezradny, gdy Carrie raz za razem usiłuje nawiązać jakiś kontakt z dziewczynką, po to tylko by dostać raz po raz kosza. Czy może coś zrobić? Przecież nie zdoła zmusić dziecka, żeby zachowywało się uprzejmie, mimo iż tak bardzo mu zależy, aby pochwalić się córką przed Carrie; chciał, aby ta kobieta się przekonała, że wychował miłą, inteligentną, pogodną istotę ludzką, i zrozumiała, dlaczego tak bardzo ją kocha.

W końcu Carrie się poddaje i zwraca do Richarda.

- Jak poszło ci spotkanie w sprawie...

Musi przerwać, ponieważ odzywa się Jessika.

- Tatusiu? - Patrzy mu prosto w oczy. - Ellie miała kłopoty w szkole w piątek. Pani Brookman złapała ją, jak pisze liścik do Lauren, przechwyciła kartkę i odczytała treść przed całą klasą.

- Naprawdę? To musiało być bardzo żenujące. Ale, skarbie... Carrie chciała coś powiedzieć. Przepraszam, Carrie, co mówiłaś?

- Pytałam tylko, jak poszło ci to piątkowe spotkanie.

- Ach, nie do wiary, że zapomniałem ci wszystko opowiedzieć... No więc...

- Tatusiu! Nie smakują mi te naleśniki. Są dziwne. Masz, skosztuj...

Richard nachyla się lekko i bierze do ust podany kawałek naleśnika.

- Są bardzo smaczne - zapewnia. Przenosi wzrok na Carrie. - No więc zamierzaliśmy...

- Są obrzydliwe! - Jessika wypluwa kawałek naleśnika na stół.

- Jess! - upomina ją ostro Richard. - Podnieś to natychmiast. Tak nie można!

- Właśnie że można! - Głos dziewczynki znowu uderza w niepokojąco wysokie tony. - Nie można zaskakiwać dziecka nową przyjaciółką! Weekendy mamy spędzać razem, pamiętasz? Więc dlaczego ona tu jest? Dlaczego wszystko psuje?

Carrie wstaje.

- Pójdę już - mówi cicho.

- Nie - powstrzymuje ją Richard. - Chcę, żebyś została. Na to Jessika wybucha niepowstrzymanym płaczem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Daniel siedzi na ławeczce przed sklepem z pamiątkami, pod szyldem The Hub, podczas gdy Bee w środku przebiera wśród gazet i czasopism, kupuje muszelki dla dziewczynek i przegląda śmieszne książeczki o wyspie. Na ulicy nie ma ani jednego samochodu, ale - jak twierdził każdy, kogo spotkali tu minionego dnia - już za miesiąc zacznie się prawdziwy ruch, gdy letni sezon rozpocznie się na dobre; wykładane kostką chodniki zapełnią tłumy turystów, tak że nie sposób będzie przejść, a na drogach poobijane land-cruisery mieszkańców zostaną wyparte przez błyszczące nowością range-rovery i cadillaki escalate, zbyt duże i eleganckie jak na Nantucket.

Po przeciwnej stronie jezdnii w zaparkowanym pikapie ujada pies, którego właściciel zostawił, by zjeść jajka na bekonie w ogródku Even Keel, lecz nikt z miejscowych nie zwraca na to uwagi. Wszyscy kiwają sobie głowami i witają się serdecznie, wpadając na siebie w drodze po dzisiejszą prasę.

Panuje tu cudowna atmosfera i Daniel ze zdumieniem spostrzega, że czuje się zrelaksowany i nagle nie ma nic przeciwko temu, aby być tutaj z Bee. Że po raz pierwszy od długiego czasu nie odnosi wrażenia, iż jest jednym wielkim kłębkim nerwów.

Zatrzymali się w Summer House, niewielkiej chatce oferującej pokoje do wynajęcia, całej porośniętej splątanymi krzewami róż i przywodzącej na myśl - przynajmniej Danielowi - bajkowy domek na kurzej nóżce zatopiony w gęstwie zaczarowanego lasu.

Ale Summer House nie leży w lesie. Znajduje się w Sconset, po drugiej stronie drogi oddzielającej zabudowania od oceanu, nad którym siedzieli wczorajszego wieczoru i przysłuchiwali się szumowi fal oraz rozmawiali o tym - czyż to nie oczywiste? - jak bardzo tęsknią za dziewczynkami.

Po kolacji zjedzonej na mieście wrócili na kwaterę i Daniela ogarnął znajomy niepokój, kiedy szykowali się do snu. Czy w taki weekend tylko we dwoje nadal będą mogli unikać seksu? Przygotowywał się na najgorsze, gdy Bee brała prysznic w małej łazience.

Wyszła stamtąd ubrana w uroczą białą piżamkę zdobioną kwiatowym haftem w stylu broderie anglaise, po czym wspięła się na wysokie łóżko i niemal od razu sięgnęła po książkę. Kiedy ją otworzyła i zaczęła czytać, Daniel nieco się rozluźnił. Może jednak nie spodziewała się wiele po tym wyjeździe.

Lecz jakiś czas potem, gdy już pogasił światła i właśnie zaczynał zasypiać, Bee położyła mu dłoń na udzie i jęła go lekko gładzić. Przez parę chwil leżał bez ruchu, z mocno zaciśniętymi powiekami, czując, jak jej palce zataczają kręgi na jego skórze. Był odprężony, a jej dotyk wcale nie wydawał się niemły, więc kiedy wtuliła się w niego, on objął ją ramionami, no i wkrótce już się całowali, a potem... hm... jedno pociągnęło drugie i... Kiedy skończyli się kochać, Bee oparła głowę na jego piersi i uśmiechnęła się szeroko.

Jednak się nie myliła, uważając, że ten weekend wyjdzie im na dobre.

Daff zostawia swoje bmw na podjeździe i człapiąc, podąża w stronę domu ścieżką wiodącą przez ogród; w jednym ręku trzyma segregator, w drugim komórkę.

- Daff! - Drzwi frontowe się otwierają i niska blondynka, której prawej nogi czepia się jakiś maluch, rozpościera ramiona, by uściskać gościa.

- Wspaniale wyglądasz - mówi Daff, i nie kłamie. Nie widziała gospodyni od dnia, w którym sprzedała jej ten dom (była to jedna z większych transakcji jak dotąd), a wróciła tu dlatego, że Karen nieoczekiwanie zaszła w trzecią ciążę i teraz znowu szukają dla siebie czegoś większego, więc trzeba wycenić posiadłość i przygotować ją do sprzedaży. - A to kto? - Daff kuca, żeby przywitać się z małym człowieczkiem. - Ojej! - woła, spoglądając w górę na Karen. - Nie widziałam Jacka, odkąd był niemowlęciem. Ależ z niego wyrósł chłop na schwał!

Prowadzi szczegółowe notatki o wszystkich swoich klientach, zna imiona dzieci i ich wiek, wie, do jakich szkół chodzą, czym się interesują, dokąd jeżdżą na wakacje. Wyrobiła sobie świetną opinię, i to w dość krótkim czasie - ludzie mają ją za jedną z miłszych agentek nieruchomości, z którymi warto się zadawać: zawsze uczciwa, zapracowana, umiejąca dopiąć wszystko na ostatni guzik i sfinalizować umowę bez zbędnego zamieszania, a w dodatku taka sympatyczna. Część jej klientów przyjaźni się z Daff, między innymi Karen, z którą jednak nie widują się często, ale tylko dlatego, że Karen ma masę roboty z dwójką dzieci, pracą w Komitecie Rodzicielskim i wolontariatem w organizacji dobroczynnej.

- Wprost nie mogę uwierzyć, co udało ci się zrobić z tym domem! - Daff woła z zachwytem, dając się poprowadzić do kuchni. - Teraz jest tu przepięknie.

- Od dawna chciałam ci się pochwalić. Tylna weranda, którą dobudowaliśmy, jest wspaniała i chyba naprawdę pokochałam ten dom, ale gdy rodzina nam się znowu powiększy, zrobi się dla nas za mały.

Najpierw piją kawę, a potem udają się na oględziny. Daff wykrzykuje z wrażenia na widok na nowo zaaranżowanej głównej sypialni, stanowiącej enklawę z odrębnymi i przepaścistymi garderobami dla pana i pani domu, ogromną łazienką i słoneczną częścią salonową przy wysokim oknie z balko-  
nem, który także zmienił się nie do poznania.

Wiśniowe meble kuchenne, ciemne i przygnębiające, zostały zastąpione przez lakierowane na biało drewniane szafki z czarnymi metalowymi uchwytami i dodatkami oraz jasnym marmurem na blatach. Każde pomieszczenie jest ładnie udekorowane, tak że Daff co rusz przystaje, zatrzymuje się dłużej także na schodach, by się przyjrzeć wszystkim wywieszonym rodzinnym fotografiom.

- To uroczy pomysł - komentuje, uśmiechając się i wspominając, że w jej domu też kiedyś wisiały zdjęcia całej rodziny, do czasu aż się rozeszła z mężem i musiała pozdejmować ze ścian fotografie, na których był Richard. Uświadomiwszy sobie, że to sprawiłoby ból Jessice, zdjęła również resztę ramek i wszystkie złożyła do wielkiego pudła w garażu. Teraz zamiast nich na ścianie wisi spore lu-

stro. - Gdzie to jest? - pyta, wskazując palcem zdjęcie zrobione na tarasie, z oceanem w tle. - Wygląda na wspaniałe miejsce.

- Nantucket - odpowiada Karen. - Jeździmy tam co lato. Lubisz tę wyspę?

- Nigdy na niej nie byłam, ale kiedy patrzę na to zdjęcie, sędzę, że bardzo bym chciała kiedyś tam pojechać. Macie na Nantucket dom?

Karen wybucha śmiechem.

- Lata temu moi rodzice chcieli coś tam dla siebie kupić. Wtedy dałoby się znaleźć coś sensownego za parę setek, może nawet nad samym oceanem, ale uznali, że to dla nich za drogo. Teraz wszyscy to sobie wypominamy, bo w obecnych czasach posiadłość na Nantucket naprawdę jest poza naszym zasięgiem. Co roku wynajmujemy tam domek.

- Zawsze ten sam?

- Wręcz przeciwnie. Nigdy nie wiemy, co się trafi. Bywały lata, kiedy nam się wydawało, że znaleźliśmy się w raju, a w inne z kolei było okropnie. Jednakże urok wyspy wszystko rekompensuje. Nie ma większego znaczenia, gdzie się mieszka, skoro i tak większość czasu spędza się na wolnym powietrzu.

- Coraz bardziej chciałabym zobaczyć, jak tam jest - mówi Daff. - Nie ty pierwsza twierdzisz, że na pewno by mi się tam spodobało.

- Bo widzisz - uśmiecha się Karen - tak właśnie by było.

- Może kiedyś zabiorę tam Jessikę. - Daff wzrusza ramionami. - Lecz na razie jestem wrogiem numer jeden. Mam szczęście, jeśli chce jej się pójść ze mną na pizzę, więc taka wyprawa zdaje się niemożliwa...

- Moim zdaniem Nantucket ma magiczną moc. - Uśmiech Karen staje się szerszy. - Na wyspie dzieją się cudowne rzeczy. Nie gdzie indziej na przykład poznałam swojego męża.

- Cóż, mąż to ostatnie, czego bym teraz potrzebowała - stwierdza Daff ze śmiechem. - Chyba nagle przeszła mi ochota, by tam pojechać.

\* \*

Carrie nalewa sobie do kieliszka wina, kończąc szykować obiad; wciąż czuje się nieswojo po wydarzeniach minionych dni. Zawsze uważała się za osobę kochającą dzieci. Ma licznych młodszych krewnych i jest przez nich wszystkich uwielbiana, a chociaż nie dochowała się jeszcze własnych pociech, nigdy nie odrzucała możliwości, by związać się z mężczyzną, który już miałby potomstwo. W pewnym sensie mogłoby to okazać się dla niej błogosławieństwem.

Niewykluczone, że Richard jest tym mężczyzną. W wieku trzydziestu siedmiu lat Carrie ma za sobą sporo związków, lecz żaden z nich nie wydawał się jej taki, jaki być powinien, żaden z kandydatów do jej ręki nie jawił się tym, z kim powinna spędzić resztę życia. Jako dziennikarka, bez przerwy poznaje nowych ludzi i umawia się na randki z nowymi mężczyznami i prawdę powiedziawszy, chyba



dopiero przy Richardzie pomyślała o tym, że może czas się ustatkować i założyć rodzinę oraz co ważniejsze, że to uczyniłoby ją szczęśliwą.

Za wcześnie, by snuć takie plany, napomina się w duchu, ilekroć ogarnia ją romantyczny nastrój i w jej głowie powstają podobne wizje. Carrie nigdy nie podporządkowała swojego życia poszukiwaniom księcia z bajki, a nawet całkiem świadomie zakładała, że być może w ogóle nie wyjdzie za mąż, co też by jej odpowiadało.

Tymczasem wystarczyły dwa miesiące znajomości z Richardem, żeby zakochała się w nim bez pamięci. Lecz to coś więcej niż zwykłe zauroczenie - Carrie wie, że do siebie pasują. Nie przeszkadza jej to, że był już żonaty. Poczytuje mu to za plus. Opowiedział już o swoim romansie z Nancy i mimo że niewierność nie jest już jej zdaniem w porządku, docenia to, że szczerze przedstawił powody, dla których zdradził żonę, wyjaśnił, dlaczego dopuścił się zdrady, i okazał skruchę.

- To oczywiście w niczym mnie nie usprawiedliwia - powiedział na koniec - ale chyba zrozumiałem, że chociaż Daff jest wspaniałą kobietą, nie pasujemy do siebie, a Nancy stała się katalizatorem, który pomógł mi to sobie uświadomić.

Carrie podoba się to, że Richard mówi o Daff wyłącznie dobrze. Nie czuje się zagrożona przez nią ani przez jego wyjątkową bliskość z córką. Naprawdę nie mogła się doczekać, by ją poznać. Wyobrażała sobie, że z miejsca zostaną przyjaciółkami, będą razem robić zakupy, wspólnie gotować i w ogóle zachowywać się jak rodzina.

Nie była więc przygotowana na to, co pokazała w weekend Jessika, na jej ewidentne poczucie zranienia, na jej zaborczość wobec ojca i wynikającą z tego zazdrość okazywaną na każdym kroku. Gniew i ból, które najwyraźniej przepełniały Jess, dały Carrie do myślenia na tyle, że kiedy Richard w końcu podrzucił ją do domu po raczej nieudanym lunchu we trójkę, zaczęła poważnie się zastanawiać, czy może myśleć o wspólnej z nim przyszłości.

Richard pojawił się u niej zaraz po tym, jak odwiózł Jessikę do matki. Porozmawiali wtedy od serca. On mówił o tym, że czuje się winny, że sam nie wie, co wstąpiło w Jess, że chciałby jej dawać z siebie wszystko, być dla niej zawsze i zachowywać się jak prawdziwy ojciec, a nie jeden z tych dupków, którzy zaraz po rozwodzie znikają z życia dziecka.

Carrie czuła, jak mięknie pod wpływem jego słów. W końcu dlatego właśnie się w nim zakochała. Ponieważ nie wydawał jej się typem faceta, który ucieka, gdy się pojawiają problemy, ponieważ był dobrym człowiekiem i dobrym ojcem.

- Ona po prostu potrzebuje trochę czasu - przekonywał ją. - No bo pomyśl tylko. Była przyzwyczajona, że matka i ja mieszkamy razem, aż tu nagle nastąpił rozwód i jej życie wywróciło się do góry nogami, a teraz jeszcze przedstawiłem jej kogoś dla siebie ważnego. Musisz zrozumieć, że to dla niej bardzo trudne.

- Rozumiem - odrzekła Carrie. - Naprawdę. Tyle że... Bardzo się zdenerwowałam, a zrozumienie bynajmniej nie chroni mnie przed bólem. I szokiem.

- Wiem - wymruczał Richard, wstając i obejmując przyjaciółkę ramionami, przyciągając ją do siebie bliżej. - Dla mnie to również był szok. Możesz mi wierzyć. W życiu nie widziałem, by zachowywała się tak okropnie. Zamierzam z nią o tym porozmawiać, a ciebie chciałbym prosić, żebyś uzbroiła się w cierpliwość i pozostała sobą, łagodną i kochającą Carrie, dobrze? - Odsunął się lekko i spojrzał jej prosto w oczy, dodając: - Proszę...

O cholera, pomyślała Carrie. To może nie być łatwe, ale nie mam wyjścia. Zbyt daleko w to zabrnęłam. Nie mogę powiedzieć mu: nie. Zbyt go kocham.

\* \*

- To chyba najlepsze naleśniki z bananami i płatkami owsianymi, jakie kiedykolwiek jadłem - mówi Daniel, z przerażeniem spoglądając w dół na swój wypchany brzuch, podczas gdy kelnerka dolewa mu kawy.

Daniel i Bee jedzą śniadanie w Sconset Café.

- Sama nie wiem, czemu na wakacjach zawsze je się więcej - śmieje się Bee, sięgając ponad blatem, żeby ucisnąć dłoń Daniela. Jest szczęśliwa, że wreszcie znowu uprawiali miłość, że po strasznie długim czasie zdaje się odzyskiwać zainteresowanie i uczucie męża.

Płacą rachunek i wychodzą na zewnątrz. Zatrzymują się po paru krokach przy witrynie maleńkiego biura nieruchomości, aby Bee mogła założyć okulary przeciwsłoneczne. Nareszcie nie mrużąc oczu, kobieta dostrzega przed wejściem stolik z wyłożonymi ofertami przyciśniętymi do blatu różnymi ciężkimi przedmiotami, w tym kamieniami, by nie porwał ich wiatr.

- Popatrz! - woła do Daniela. - Wykładają oferty na zewnątrz! Czy to nie sprytne?

- Dlaczego? Uważasz, że ktoś mógłby przechodzić ulicą i od niechcienia sprawdziwszy zawartość kieszeni, uznać, że stać go na posiadłość za parę milionów?

- Musimy zobaczyć, co tam mają! - wykrzykuje podniecona Bee i ciągnąc go za rękę, przekracza furtkę wiodącą na ciasny dziedziniec. - No chodź, przecież też masz na to ochotę.

Dwadzieścia minut później siedzą już w środku i razem z agentem nieruchomości przeglądają oferty domków na wynajem.

- Moglibyśmy tam pojechać i zobaczyć go na miejscu? - pyta bez tchu Bee, odwracając się do męża. - Czyż nie byłby dla nas doskonały?

Przeglądając się fotografii chaty na brzegu jeziora Quidnet, Daniel musi przyznać, iż oferta jest kusząca, zwłaszcza że przecież nie chodzi o kupno, tylko o najem na okres lata, a gdyby Bee z dziewczynkami przeprowadziła się tutaj na całe wakacje, on mógłby je odwiedzać w miarę możliwości i taka rozłąka z pewnością by im dobrze zrobiła.

- W porządku - odpowiada więc. - Ale zdajesz sobie sprawę, że jeśli wynajmiemy dom na lato, ja będę musiał większość czasu spędzić w mieście, pracując?

- Wiem, wiem - mówi szybko Bee. - Lecz dziewczynki byłyby tutaj takie szczęśliwe, a ty na pewno dałbyś radę przyjeżdżać do nas co weekend.

- Być może.

- Mógłby pan zadzwonić tam i zapytać, czy oględzin można dokonać natychmiast? - Bee zwraca się do agenta nieruchomości, a ten podnosi od razu słuchawkę i zaczyna wybierać numer.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Aisling mocno uściskała Michaela, kiedy się rozstawali, i choć z początku było mu trochę smutno, odkąd jej zabrakło w jego życiu, wiedział z wielu poprzednich podobnych doświadczeń, że prawdopodobnie pozostaną przyjaciółmi, przynajmniej do czasu aż dziewczyna nie znajdzie sobie nowego adoratora, w którym to momencie zniknie mu z oczu na dobre, by znów się pokazać, kiedy - i jeśli - rozpadnie się jej następny związek.

Wówczas albo pójdą, albo nie pójdą ze sobą do łóżka, lecz nawet jeśli tak się stanie, oboje będą świadomi, iż to tylko seks, i żadne nie zakocha się w drugim od nowa, co umożliwi kontynuowanie odwiecznego cyklu.

W wieku czterdziestu dwóch lat Michael jest całkiem zadowolony ze swojego życia. Jego najbliżsi przyjaciele towarzyszą mu od wieków i choć większość pozakładała już rodziny i się rozmnożyła, tak że nie są w stanie widywać się z nim równie często, jak by sobie tego życzył, ilekroć już się spotkają w dawnym gronie, zawsze czuje się przez to podniesiony na duchu, szczęśliwy, iż otaczają go przyzwoici ludzie.

Lubi swoją pracę, przepada za swoim mieszkaniem i ku własnemu zdziwieniu nawet przyzwyczaił się do życia na Manhattanie. To prawda, że brak mu wycieczek za miasto co weekend - jego obecna pensja nie pozwala nawet na wypad na Long Island - i z pewnością cknął mu się za Nantucket, zwłaszcza gdy rozmawia z matką przez telefon, ale ogólnie rzecz biorąc, nie ma powodów do narzekania.

Żadne z jego przyjaciół nie potrafi zrozumieć, czemu uparcie trwa w kawalerskim stanie, i wszyscy dokoła starają się go umawiać na randki w ciemno, lecz Michael - choć czasami też chciałby mieć już drugą połowę - na ogół nie czuje, by czegokolwiek mu brakowało.

Michael stracił ojca, kiedy miał sześć lat, i od tego czasu wychowywała go samotnie matka, która być może miewała różne przygody, ale nigdy nie związała się z żadnym mężczyzną na dłużej. Jak więc jej syn mógłby choćby przeczuwać brak czegoś, czego nigdy nie był nawet świadkiem?

- Wszystko u ciebie dobrze, kochanie? - Nan już w pierwszych sekundach rozmowy wyczuwa, że coś się święci.

- W najlepszym - zapewnia ją Michael i wzdycha. - Zerwałem z Aisling.

- Och, kochanie... Tak prędko?

- Cóż, najwyraźniej nie była tą jedyną.

- Nic się nie martw, Mikey - mówi, zwracając się doń z drobnym zwróceniem z jego dzieciństwa. - Jeszcze spotkasz kogoś, kto się okaże dla ciebie idealny, i wtedy wszystko nareszcie zacznie mieć sens. Przekonasz się...

Michael uśmiecha się do siebie.

- Wcale się nie martwię, mamó. Po prostu jest mi trochę, no wiesz... smutno. Po raz kolejny rozczarowałem się co do kobiety, kiedy ją lepiej poznałem.

- Nie ma w tym niczego złego - pociesza go Nan. - W ten sposób zyskujemy doświadczenie... Słuchaj, a może byś do mnie przyjechał? Parę dni na wyspie z pewnością by ci pomogło. Od razu poczułbyś się lepiej.

- Może skorzystam z zaproszenia - rzuca niezobowiązująco Michael. - W tej chwili mam raczej sporo pracy, ale zobaczę, co da się zrobić.

- Sporo pracy? - dziwi się Nan. - Jak to możliwe? Przecież zbliżają się wakacje, czy ci twoi wszyscy bogaci klienci nie powinni rozjeżdżać się po swoich letnich rezydencjach? Wydawało mi się, że ten okres jest w zlotnictwie raczej spokojny.

- Jak widać, u nas nigdy nie jest spokojnie, ale bez obaw, mamó. Postaram się złożyć ci wizytę. Obiecuję.

- Jakie masz plany na dziś wieczór? - pyta Jordana, wchodząc do pracowni. Oczy jej błyszczą.

- A co?

- Na Sześćdziesiątej Czwartej otwierają nowy salon jubilerski, będzie przyjęcie z tej okazji. Pomyślałam, że moglibyśmy tam zajrzeć i wybadać konkurencję.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą na przyjęcie? - Michael wydaje się zaskoczony. Mimo że pracują ze sobą już od wielu lat i mieli okazję bywać razem na różnych imprezach, rzadko się zdarzało, by szli gdzieś tylko we dwoje. A ostatnio nastąpiła jakaś zmiana atmosfery wokół nich, pojawiło się nie do końca zrozumiałe napięcie, jakieś dziwne fluidy...

- Zrobiłbyś to dla mnie? Jackson został na Long Island, a samej nie chce mi się iść. Poza tym przydałby mi się fachowiec pod ręką, na wypadek gdybym zobaczyła coś, co mogłoby przypaść do gustu naszym klientom. Potrzebne mi twoje oko.

- Ach, więc w tym rzecz? Zamierzasz wykorzystać moje słynne... oko. - Unosi lekko brew, po czym natychmiast spuszcza wzrok na trzymaną w palcach złotą pętelkę. Nie chciał, by tak to wyszło, by jego słowa zabrzmiały jak flirt. Chryste, co on najlepszego zrobił? Nie wie, gdzie podziąć oczy.

Jordana cofa się o krok, także zdziwiona, po czym uśmiecha pod nosem, widząc jego zażenowanie. Tego się nie spodziewała. Michael z nią flirtuje. Jakie to słodkie...

- Chodzi mi o to i o twoje towarzystwo - odpowiada łagodnie.

Michael spogląda na nią z wdzięcznością.

- O której?

- Impreza zaczyna się o szóstej. Moglibyśmy tam pójść prosto po zamknięciu sklepu.

- Jasne, nie ma sprawy.

Gdy kobieta wchodzi po schodkach, wracając do salonu, Michael dziwi się, czemu to niespodziewane zaproszenie tak bardzo przypomina randkę.

- Proszę - mówi Michael, wróciwszy z pościgu za kelnerem w niesłychanym tłoku, i podaje Jordanie kieliszek z różowym szampanem, drugi zatrzymując dla siebie.

- Zdrowie! - uśmiecha się doń kobieta, po czym rozgląda się wokół siebie. - Nie sądziłam, że przyjdzie tu tyle ludzi.

- Chętnych na darmowe drinki i przekąski nigdy nie brakuje - odpowiada z uśmiechem Michael.

- No więc? Co sądzisz o ich wyrobach? Mężczyzna wzrusza ramionami.

- Dość zwyczajne, chociaż wpadła mi w oko owadzia kolekcja.

- Naprawdę? Mnie owady pod każdą postacią przyprawiają o gęsią skórę.

- Rzeczywiście, dużo zależy od wielkości. Nawet brylantowa tarantula pozostaje tarantulą.

- Cieszę się, że to powiedziałaś.

- Ale już biedronka i ważka ze szmaragdu są milutkie.

- Umiałbyś zrobić coś takiego?

- Pewnie, że tak. Chyba jednak wolałbym pobawić się w ryby.

- Ryby?

- Tak, ryby - potwierdza z powagą Michael. - Pamiętasz? Wychowałem się na Nantucket. Pół dzieciństwa spędziłem na naszej motorówce, łowiąc ryby.

- Przypuszczam, że słyszałam od ciebie milion razy, jak zostałeś jubilerem, ale może opowiesz mi to po raz kolejny? Bo coś mi się wydaje, że byłbyś szczęśliwszy jako rybak. - Jordana zna Michaela od lat, lecz po raz pierwszy naprawdę poświęca mu swoją uwagę. Nagle zobaczyła go w całkiem innym świetle i pragnie wysłuchać, co ma do powiedzenia.

- Sam nie wiem, jak to się stało. Moja mama odziedziczyła po babci wspaniałą kolekcję biżuterii i odkąd pamiętam, byłem zafascynowany jej klejnotami.

- Zatem... ryby. Twoim zdaniem to by się sprzedało?

- Nie mam pojęcia, ale chciałbym spróbować i zobaczyć, jak zareagują klienci.

- Wiesz co? To fantastyczny pomysł. Pozwól, że porozmawiam z Jacksonem i przekonam się, co on o tym myśli. Ja jestem za. Postaram się go przekonać. - Dopija szampana i chwytą dwa następne

kieliszki z tacy, którą niesie przechodzący obok nich kelner. Michael robi wielkie oczy ze zdziwienia. - Nie bądź sztywniakiem - beszta go Jordana. - Skoro już tu jesteśmy, równie dobrze możemy się zabawić.

Michael obserwuje ją przez cały wieczór, po czym zawiesza na niej wzrok o kilka sekund za długo i zostaje przyłapany.

Natychmiast ucieka wzrokiem. Nie ma wobec niej żadnych zamiarów. Przecież Jordana jest jego szefową, pracuje u niej. No i jest mężatką. Zresztą nawet gdyby nie przeszkadzał mu jej stan cywilny - a przeszkadza - nie mógłby się w niej zakochać, ponieważ kobieta zupełnie nie jest w jego typie. Skąd więc to nagłe iskrzenie między nimi? Te spojrzenia, które trwają o ułamek sekundy za długo? Tajemnicze uśmiešky, których nie kryje na wpół pusty kieliszek? Te chichoty i ciągle opieranie się o niego?

Michael ją lubi. Zawsze lubił. Tyle że nie w ten sposób. Jak więc teraz może myśleć, że... że oni... że on... ze swoją szefową?! Przesłupuje nerwowo z nogi na nogę i stara się skupić uwagę na czymś innym, odsuwa się delikatnie, gdy Jordana znów się ku niemu pochyla i kładzie mu dłoń na ramieniu. Stara się udawać, że ich wzajemny stosunek nie zmienił się ani na jotę - że wciąż są na przyjacielskiej stopie, a zarazem chłodno profesjonalni jak zwykle.

Ale ona czuje się samotna i on także, i są tylko we dwoje - albo przynajmniej tak się wydaje - no i leje się szampan, i śmieją się razem z każdego głupstwa, a potem, po paru godzinach, on odprowadza ją do jej mieszkania, ona go prosi, by wjechał z nią na górę windą i pożegnał się pod samymi drzwiami, co skutkuje tym, że stoją w ciasnej przestrzeni kabiny, świadomi każdego swojego oddechu, każdego ruchu mięśnia, każdego drgnienia włókienka budującego ich istotę, tak iż gdy winda w końcu wypuszcza ich na właściwym piętrze, obracają się ku sobie i Michael, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że to robi, zaczyna obsypywać Jordaną pocałunkami.

\* \*

Michael budzi się zdezorientowany. Pościel wydaje się zbyt gładka, pokój zbyt ciemny, a kiedy odwraca lekko głowę, czuje pod czaszką tępy łomot nadciągającego kaca, dostrzega masę jasnych włosów rozrzuconych na poduszce po drugiej stronie ogromnych rozmiarów łóżka.

Kilka sekund zabiera mu uprzytomnienie sobie, gdzie jest, po czym podrywa się do pozycji siedzącej. Szlag by to trafił. Jordana. Kobieta wciąż śpi, więc Michael po cichu podnosi zegarek i sprawdza godzinę. Dochodzi szósta rano. Mógłby się wymknąć, wrócić do domu i wziąć prysznic, zmywając poczucie winy i coraz silniejszy niepokój.

Co on sobie myślał? Wstaje z łóżka i zakrada się do łazienki, przymykając za sobą drzwi, by się wysikać w spokoju. A niech to... Jordana. Jego szefowa. I mężatka. Jakby tego było mało, żona szefa. Niedobrze... Bardzo niedobrze.



No więc co sobie wczoraj myślał? Najwyraźniej stracił rozum. Wypił za dużo szampana i stało się. Owszem, zawsze uważał ją za atrakcyjną i miłą, no dobrze, może nawet trochę seksowną, ale nic poza tym.

Tyle że Michael to specjalista od ratowania dam w opresji. Jeśli gdziekolwiek rozległo się wołanie o rycerza, on pierwszy stawał w progu. Kiedy jakaś kobieta potrzebowała pomocy, on zawsze był na skinienie. Ma wielkie serce, powtarzała jego matka z cieniem przygany w głosie, lecz Michael cieszył się, że może pomóc, że choć sporadycznie robi coś, co ma dla kogoś znaczenie. I pewnie dlatego wplątał się w tę kabałę. Jordana wydawała mu się taka pewna siebie i silna, gdy podjął u niej pracę, lecz ostatnimi czasy zaczął dostrzegać drugą stronę jej natury, widział ją samotną i smutną, a to sprawiało, że pragnął ją pocieszyć.

Skrada się na palcach z powrotem do sypialni i potyka o porzucone na środku dywanu czółenka, które Jordana musiała stracić ze stóp podczas późnowieczornych zapasów, gdy rozpaczliwie próbowali się pozbyć ubrań, zanim padli spleceni na łóżko.

Ląduje z hukiem na podłodze, co wyrywa Jordaną ze snu.

- Co się dzieje, Jackso... och. - Nie dokańcza imienia męża, gdy jej wzrok pada na Michaela. - Cześć.

- Cześć - odpowiada Michael, podnosząc się niezgrabnie, nie wiedząc, co ze sobą począć. Pluje sobie w brodę, że zasnął pijackim snem i nie przewidział, że najbezpieczniej byłoby wyslizgnąć się z mieszkania o świcie, jeszcze przed tym, zanim Jordana się obudzi.

- Jak się czujesz? - pyta go kobieta. - Spałeś choć trochę?

- Spałem jak zabity. A ty?

- Ja też. To pewnie przez szampana. A poza tym... wszystko w porządku?

- Ubiorę się - stwierdza ni w pięć, ni w dziesięć Michael. Nagi czuje się bezbronny. - Porozmawiamy przy kawie.

W kawiarni Michael zamawia dwie kawy cappuccino i po chwili namysłu również migdałowe rogaliki. Opiera się o kontuar, czekając na realizację zamówienia, i gdy lekko się obraca, widzi Jordaną siedzącą przy stoliku. Sytuacja wydaje mu się z lekka nierealna. Nie ma pojęcia, co mógłby jej powiedzieć. Wie, że wydarzenia ostatniej nocy nie mają prawa się powtórzyć, ponieważ są grzechy, jakich po prostu nie wolno popełniać. Jednym z nich jest sypianie z własną szefową.

Zwłaszcza że Jackson zatłukłby go gołymi pięściami, gdyby się dowiedział. I szczególnie że on lubi Jacksona - darzy go szczerą sympatią od dnia, w którym się poznali. Co on u diabła najlepszego zrobił?!

- Nie możemy... - zaczynają mówić równocześnie i wybuchają nerwowym śmiechem.

- Tak nie można. - Michael pierwszy kończy myśl. Stara się być delikatny. - To niewłaściwe.

- Wiem - zgadza się z żalnością Jordana. - Cudowne, ale niewłaściwe.

- Czy ty już kiedyś...?

- Czy już kiedyś zrobiłam coś takiego? - Michael potakuje skinieniem, a Jordana potrząsa energicznie głową. - Nie, i nie potrafię uwierzyć, że zrobiłam to teraz. Nie noszę genu niewierności.

- Myślisz, że możemy to uznać za jednorazową pomyłkę, coś, co się już nigdy nie powtórzy?

- Naprawdę nie chcę tego ciągnąć. - Jordana wzdycha i żeby zyskać na czasie, odgryza kęs rogalika. - Jesteś wspaniałym mężczyzną, Michaelu. Przepraszam, że to mówię, sprawiając, że cała sytuacja staje się jeszcze dziwniejsza, ale bardzo ci dziękuję za to, że minionej nocy poczułam się wyjątkowa.

- Ty też jesteś wspaniała - zapewnia Jordanę Michael i sięga przez stół, by zamknąć jej dłoń w swojej i mocno uścisnąć, patrząc jej prosto w oczy. - Domyślam się, że obecnie nie układa ci się najlepiej z Jacksonem, ale chociaż to nie ja będę odpowiedzią na twoje problemy, jestem pewien, że poradzisz sobie z nimi. Ty też to wiesz, prawda?

- Tak - potwierdza Jordana. - Jeszcze nie wiem jak, ale sobie poradzę.

Jordana puka do drzwi pracowni i wchodzi do środka z uśmiechem.

- Pani Silverstein właśnie u nas była. Nie miała czasu zobaczyć się dzisiaj z tobą, ale obiecała, że wpadnie też jutro, by osobiście podziękować ci za pierścionek. Prosiła, by ci przekazać, że jesteś geniuszem.

- Ta kobieta ma dobry gust - mówi Michael, uśmiechając się szeroko do Jordany i ciesząc się w duchu, że miniona noc nie pozostawiła nawet śladu napięcia między nimi, że podeszli do tego jak dorośli ludzie, zdolni do odłożenia sprawy ad acta i kontynuowania życia, jakby nic się nie stało. - A co myślisz o tym? - Michael przywołuje ją gestem do ławy i pokazuje szkic, nad którym pracuje.

Jordana nachyla się i widzi zarys ryby, która chyba ma być wisiorkiem do łańcuszka.

- Podoba mi się - chwali go, z zachwytem wodząc palcem po rycinie. - Skrzela zaprojektowałeś z... zaraz... to chyba żółte diamenty.

- Żółte szafiry - koryguje Michael. - Chcę, by ta kolekcja była mniej poważna od pozostałych. Mieszanka brylantów i kamieni półszlachetnych, coś, co może się spodobać młodszej i nieco mniej zamożnej klienteli.

- Piękne - mruczy Jordana i Michael odwraca głowę, żeby podziękować jej uśmiechem, lecz jego wzrok zamiast jej twarzy napotyka rowek między piersiami kryjącymi się pod nie zapiętą do końca bluzką. Krew natychmiast uderza mu do głowy, świat wokół niego zatrzymuje się w bezruchu, i kiedy Jordana pochyła się bardziej i całuje go w usta, wydaje mu się to absolutnie naturalne.

- Przepraszam... - wyrzuca z siebie, czując się tak, jakby wypływał na powierzchnię po powietrze.

- To ja przepraszam - mówi ona, odstępując krok do tyłu i poprawiając bluzkę, potem włosy, wreszcie całkiem ścierając szminkę rozmazaną pocałunkiem.

- O cholera - jęczy Michael, pragnąc jedynie stracić wszystko z ławy, położyć na niej Jordaną i wbić się w nią głęboko.

- To nie była tylko ta jedna noc, prawda? - przerywa milczenie Jordana, a Michael opuszcza głowę i obejmuje ją rękoma, po czym znów patrzy kobiecie w oczy.

- Co robisz dziś wieczorem? - pyta ją.

- Miałam zamiar wybrać się do Manhasset. Ale mogę to odwołać. - Cisza się przeciąga. - To znaczy, jeżeli chcesz.

Michael spogląda na nią bezradnie.

- Tak - odpowiada w końcu. - Bardzo tego chcę.

Jak na kogoś, kto zawsze był kiepskim kłamcą, Jordanie zadziwiająco łatwo udaje się oszukać męża na temat tego, gdzie i z kim jest. Odkryła, że wystarczy w kłamstwa wpleść nieco prawdy, by nie wić się i nie czerwienić, i nie wywoływać lawiny podchwytliwych pytań.

W innych okolicznościach nigdy by się nie zdobyła na romans, lecz to przecież nawet nie jest prawdziwy romans. Po pierwsze, zadaje się z kimś, kogo dobrze zna, kto - jeszcze do całkiem niedawna - był dla niej niemal jak brat. Poznała Michaela dwadzieścia lat temu. To prawda, że z początku miała na niego chrapkę. Nawet Jackson to widział i drażnił się z nią, choć nigdy nie czuł się naprawdę zagrożony, nigdy nie przypuszczał, że Jordana mogłaby go zdradzić, i był pewien, że Michael, aczkolwiek niezwykle atrakcyjny i chyba niezdarzący sobie sprawy z tego, jakie wrażenie robi na kobietach, jest zbyt miłym facetem - i zbyt roztropnym - by pakować się w romans z szefową.

Jordana z kolei, która naprawdę nie ma zdrady we krwi ani też nie zwykła karmić męża kłamstwami, byle nie zaczął czegoś podejrzewać, która nigdy nie robiła rzeczy, jakie teraz przychodzą jej z nadzwyczajną łatwością, powoli dopuszcza do siebie myśl, że może to rzeczywiście nie jest zwyczajny romans.

Może to coś więcej. Może Michael - jakkolwiek niewiarygodnie to brzmi - jest tym jedynym. Może przed dwudziestu laty popełniła karygodną pomyłkę, wychodząc za Jacksona, i Pan Bóg teraz postanowił naprawić jej błąd, pozwalając, by to się stało, ponieważ to Michael jej słucha i to Michael ją rozumie.

Może to Michael jest tym mężczyzną, z którym powinna spędzić życie.

\* \*

Doktor Posner odchyła się na oparcie krzesła i złącza czubki palców obu dłoni, spoglądając znad nich na Daniela, który porusza się niespokojnie w rogu kanapy, wiedząc, że terapeuta czeka na jego słowa.

Sekundy zmieniają się w minuty, a w gabinecie nadal panuje cisza.

- Danielu? - naciska go lekko doktor Posner. - Chciałeś spotkać się ze mną sam na sam?

Daniel potakuje skinieniem, robiąc jeszcze bardziej nieszczęśliwą minę.

- Czy jest coś, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

Ponowne kiwnięcie głową, szybki ruch gałek ocznych, spojrzenia obu mężczyzn krzyżują się na krótko.

- Sądzę... - Daniel zaczyna mówić szeptem, po czym urywa i wzdycha ciężko. - Jest coś, o czym nigdy z nikim nie rozmawiałem.

Doktor Posner milczy wyczekująco.

- O Boże - pojękuje Daniel. W jego głosie pobrzmiewa ból i zmieszanie i doktor Posner już wie, co Daniel zaraz powie, ponieważ spodziewał się tego od samego początku, od pierwszego spotkania z Bee i jej mężem.

Daniel przymyka powieki, niezdolny spojrzeć terapeutce w oczy, jego poczucie winy i wstyd są zbyt przytłaczające, by mógł zrzucić ciężar z serca, patrząc drugiemu człowiekowi w twarz.

- Sądzę, że jestem gejem.

Jest to coś, co Daniel wiedział od zawsze. Jego wielki sekret. Tajemnica, od której uciekał przez całe swoje życie - aż do dziś. Odkąd pamięta, zawsze starał się udawać, że jest inaczej, że potrafi być „normalny”, że może być synem i mężem, i ojcem, czego wszyscy od niego oczekują.

Wie o tym od dzieciństwa, wiedział jeszcze przed tym, zanim wszedł w wiek dojrzewania i musiał udawać, że interesuje się dziewczętami, chociaż gdy był sam, nocami, fantazje, jakie go najsilniej podniecały, zawsze dotyczyły chłopców, a najczęściej - jego najlepszego przyjaciela.

Leżał więc w ciemnościach, usiłując odepchnąć te obrazy od siebie, przerażony swoją innością, bojąc się, że ktoś odkryje prawdę o nim, i starał się wmówić sobie, że ciekawia go dziewczęta, że jeśli tylko znajdzie sympatię płci odmiernej, jeśli będzie kręcił się koło kobiet, stanie się taki jak wszyscy jego koledzy i nareszcie będzie normalny.

Poza tym on kochał kobiety. Przekonywał sam siebie, że to musi coś znaczyć. Zawsze lepiej czuł się w towarzystwie kobiet niż mężczyzn, więc musiał być normalny, nie zboczony, taki sam jak wszyscy inni chłopcy - i cóż z tego, że nigdy nie rozumiał fascynacji kolegów i ich obsesji na punkcie kobiecych piersi i że dziewczyny, z którymi się umawiał, zawsze miały raczej chłopięcą sylwetkę.

A potem w college'u spróbował podrywać dziewczynę, która myślała, że tylko się kolegują. Pewnej nocy, gdy chciał ją pocałować po raz pierwszy, odsunęła się od niego zdziwiona.

- Sądziłam, że jesteś homoseksualistą - powiedziała mu wtedy.

Na karku zjeżyły mu się wszystkie włoski.

- Czemu? - zapytał z niedowierzaniem. - Co sprawiło, że tak o mnie pomyślałaś?

- Po prostu tak mi się wydawało - odparła i nigdy nie wyjaśniła mu powodów swojej opinii.

Zaczął uprawiać sporty. Uznał, że jeśli zmeźnieje, zacznie wyglądać jak prawdziwy macho, nikt nie będzie miał wątpliwości. Podejrzewał bowiem, że tamta dziewczyna wzięła go za geja dlatego, że był chudy.

Zawsze miał jakąś dziewczynę. Uprawiał seks z kobietami. Nigdy nie był sam. Od czasu do czasu zdarzały mu się dłuższe związki. Gdy był z kobietą, nie musiał zastanawiać się nad tym, kim jest, nie musiał rozmyślać o umięśnionych, wyrzeźbionych ćwiczeniami ciałach, do których odczuwał pociąg podczas pobytu na siłowni, ani o mężczyznach, którzy posyłali mu pytające albo taksujące spojrzenia, jakie zawsze starał się ignorować.

Do tego wypadku ze Steve'em.

Przyjaciele od lat, pojechali do Amagansett tego lata, kiedy poznał Bee, i w wieczór przed tym, zanim na nią wpadli na plaży, upili się nieziemsko, po czym - sam nie wie jak, mimo że myślał o tym w każdej sekundzie swojego życia przez całe lata po tym wydarzeniu, mimo że nadal poświęca tamtemu wspomnieniu wiele uwagi, gdy tylko zdobędzie się na odwagę - wylądowali razem w łóżku.

Pamięta na pewno to, że przez całą noc każda jego kość, każdy mięsień zdawały się płonąć żywym ogniem. Tego mi brakowało, myślał wtedy. Tak wygląda prawdziwa namiętność. Na to czekałem przez te wszystkie lata.

I to wcale nie wydawało mu się nienaturalne ani dziwne, ani niewłaściwe. Czuł się raczej tak, jakby wrócił do domu po długiej i męczącej podróży. Spędził wówczas najbardziej podniecającą, cudowną, niebywałą noc swego życia.

Nazajutrz rano ledwie mogli na siebie patrzeć, a kiedy już spojrzeli sobie w oczy, Daniel natchmiast oświadczył, że nie jest gejem, na co Steve skwapliwie przystał. Obiecali sobie, że to się nigdy nie powtórzy.

Daniel zauważył Bee tamtego dnia. Kobieta. Bezpieczeństwo. Znajomość z nią oznaczała, że nie będzie musiał dokonywać wyboru drogi, na co nie był gotowy. Bee zapewniała mu schronienie. Sprawiała, że nie musiał myśleć o nocy ze Steve'em, nie musiał zastanawiać się, co się kryło za jego zachowaniem, nie musiał stawiać rodziców w niezręcznej sytuacji, zwierzać się przyjaciołom, prowadzić życia, jakiego nie chciał.

Albowiem Daniel nie chciał być homoseksualistą i sądził, że jeżeli nie będzie tego chciał wystarczająco mocno, zmieni rzeczywistość i samego siebie.

Przez lata udawało mu się uciekać przed prawdą. Nocami w nieskończoność odtwarzał w pamięci tę jedyną noc ze Steve'em i czasem obezwładniało go pragnienie, by znów doświadczyć tego co wtedy. Pewnego razu pojechał na delegację do Bostonu, żeby obejrzeć budynek, który jego firma miała zamiar kupić, i kiedy wieczorem przechodził obok baru dla gejów, napotkał spojrzenia stojących obok wejścia mężczyzn - pytające, taksujące spojrzenia, których znaczenia nie rozumiał, a które zarazem były dla niego tak oczywiste i znajome, że sam się sobie dziwił.

Z jednej strony bardzo łatwo byłoby wejść do środka, dać się poprowadzić do tylnej salki, odbyć anonimowy stosunek z partnerem pozbawionym imienia i twarzy i nareszcie zaspokoić dręczące go fantazje, może nawet skończyć z nimi w ten sposób raz na zawsze. Nikt by się o tym nie dowie-

dział, nikt by z tego powodu nie ucierpiał. Ale z drugiej strony ma żonę, ma dwie wspaniałe córki i wie, że jeśli pozwoli sobie wkroczyć na tę drogę, nie będzie już umiał z niej zawrócić.

Z wiekiem coraz trudniej dochować sekretu. Zachowania, które pierwotnie wydawały się takie łatwe do stłumienia, idiosynkrazje i fantazje, których nikt nigdy nie powinien poznać - wszystko to staje się niemal niemożliwe do ukrycia w miarę upływu czasu.

Po części wynika to z nabieranej z biegiem lat dojrzałości - strach przed ujawnieniem prawdy maleje i traci na znaczeniu, gdyż człowiek dowiaduje się, że nikt nie jest bez skazy, że ludzka natura *ipso facto* nie jest doskonała, że życie toczy się w nieprzewidziany sposób i bierze niespotykane zakręty, i nie można się winić o to, że zakończyło się je w innym miejscu, niż się oczekiwało.

W przypadku Daniela sekret przypomina chorobliwy guz, pęczniejący i twardniejący w jego wnętrzu, odmawiający zniknięcia, zawsze czuwający, dający przerzuty, odkąd w minionym miesiącu zatelefonował do niego Steve. Steve, którego nie widział od dnia swojego ślubu. Steve, którego tak usilnie starał się zapomnieć.

- Jestem w twoich stronach - oznajmił głosem znajomym, lecz zarazem innym od tego, który Daniel zapamiętał. - Minął szmat czasu, ale pomyślałem sobie, że może masz ten sam numer telefonu.

- Kopę lat! - zaśmiał się Daniel. - Cudownie cię znów słyszeć. Co u ciebie?

- Życie obeszło się ze mną łagodnie - odpowiedział Steve. - No więc co będzie? Kolacja? Chętnie zobaczę znów Bee, no i słyszałem, że masz dwie piękne córki...

Przyszedł do nich na obiad. Bee upiekła schab nadziewany morelami i szynką parmeńską, a Steve przyniósł ze sobą dwie butelki pinot noir.

Jak tylko przekroczył próg, Daniel domyślił się wszystkiego. Steve nie uciekał przed prawdą, przed życiem, które go wołało przez całe lata, nie udawał, że jest kimś innym, niż był. Steve stoczył ze sobą walkę, a gdy przegrał, poddał się.

- To nasze psy - opowiadał, podając zdjęcia, gdy siedzieli przy stole, po tym jak dziewczynki już poszły spać. - Wabią się Mimi i Bobo. - Dwa białe terierki siedziały na progu pięknego, utrzymanego w stylu kolonialnym domu. - A to jest Richard. - Fotografia starszawego, brodatego mężczyzny stojącego przy sterze. - Mój partner - dodał niepotrzebnie.

- Nie mąż? - Pytanie Bee wybawiło Daniela z niezręcznej sytuacji, chociaż i tak tętno mu przyspieszyło, a na twarz wypłynęły rumieńce.

- Niestety, w naszym stanie małżeństwa homoseksualne nie są usankcjonowane prawnie - odparł Steve. - Ale jestem pewien, że któregoś dnia się pobierzemy. Jesteśmy razem już od dziesięciu lat. Richard to miłość mojego życia. - Mówiąc to, Steve patrzył gospodarzowi prosto w oczy i Daniela po raz drugi ogarnął wielki wstyd, z innego jednak powodu. Wstydział się, że nie znalazł w sobie dość odwagi, by postąpić tak jak Steve, i czuł zazdrość, ogromną zazdrość o to, że jego przyjaciel prowadzi życie, jakiego on od zawsze pragnął.



Po kolacji wyszli z domu do baru na drinka. Prowadząc samochód, Daniel wspominał w myślach *Tajemnicę Brokeback Mountain* - oglądał ten film, tęsknie popatrując na granych przez Jake'a Gyllenhaala i Heatha Ledgera bohaterów obłapiających się energicznie podczas pierwszego spotkania po latach, a gdy parkował przy Main Street nieopodal The Tavern, w głębi duszy skrycie marzył, że tak będzie też z nimi, że Steve złapie go i niecierpliwie zaciągnie w boczną uliczkę.

*Tajemnica Brokeback Mountain*. Był na tym filmie w kinie razem z Bee, a potem jeszcze raz - sam. I kolejne pięć razy, też sam. Od tamtej pory wyszukiwał w Internecie strony dla gejów, kupował książki poruszające tę tematykę, przysłuchiwał się programom o homoseksualizmie emitowanym w telewizji, nie wyłączał telewizora, kiedy leciał serial o gejach, z zapartym tchem obejrzał wszystkie słynne sceny miłosne

I każdorazowo się przekonywał, że czuje się podniecony, dlatego że to seks, a nie dlatego że to para mężczyzn.

Zaczął rozważać możliwość, że jest biseksualistą, ale zaraz Ją odrzucił, ponieważ kiedy leżał w łóżku i obserwował Bee, taką kobietą, z pełnymi piersiami i wilgotną szparką, czuł wyłącznie obrzydzenie i aż się wzdragał na samą myśl o jej ciele.

- Mam szczęście - przyznał Steve, popijając piwo, gdy już usiedli przy stoliku w kącie. - Udało mi się, ponieważ ty zmieniłeś moje życie, uprzytomniłeś mi, że nie byłem wobec siebie uczciwy i że nie powinienem żyć dalej w kłamstwie. Chciałem ci za to podziękować wiele, wiele razy, ale mijały lata i trochę się działo... No ale co u ciebie? Jak ci się żyje?

Patrząc na to z perspektywy czasu, Daniel wiedział, że miał wtedy jedyną i niepowtarzalną szansę, by przerwać tamę milczenia, by pozwolić prawdzie wylać się z niego, bo czyż Steve nie okazałby się najlepszym słuchaczem? Ale okazało się, że nie może tego zrobić, nie umie przyznać przed przyjacielem, że żyje w kłamstwie, o którym ten mówił z taką pogardą, że żyje w nim od lat i już niemal je zaakceptował czy raczej tak mu się tylko wydawało do czasu, kiedy zniemacka zadzwonił doń Steve, po czym pokazał mu, jak mogłoby wyglądać jego życie, gdyby miał odwagę przyznać sam przed sobą, kim naprawdę jest.

- Świetnie - skłamał tamtego wieczoru. - Nie mogłoby być lepiej. Przepadam za swoimi córkami i chyba ogólnie moje życie jest spełnieniem amerykańskiego marzenia.

Steve gapił się na niego przez chwilę, po czym dość szybko dopili piwo i wyszli z baru.

- To na razie - rzucił Steve na pożegnanie. - Dbaj o siebie.

Chociaż Daniel nigdy by tego przed sobą nie przyznał, właśnie spotkanie ze Steve'em, to że zobaczył, iż można dobrze czuć się w swojej skórze bez względu na wszystko, sprawiło, że łtamszenie w sobie prawdziwego ja zaczęło przerastać jego możliwości.

Kocha Bee, lecz nie tak, jak ona tego potrzebuje. Zawsze to wiedział, nie przypuszczał tylko, że to za mało. Sądził, że jeśli przy niej zostanie - bo zostanie, nie ma innego wyjścia, jak zostać - prędzej

czy później wszystko się ułoży. No i są dziewczynki. Nie ma mowy o tym, aby był dla nich kimś mniej niż pełnowymiarowym, pełnoetatowym ojcem. Nawet nie chce myśleć o tym, co by się działo po ewentualnym rozwodzie, nie chce wyobrażać sobie Bee jako jednej z tych szalonych kobiet, które nastawiają dzieci przeciwko ojcu i sączą jad w ich uszy.

I jak niby miałby jej powiedzieć, dlaczego od niej odchodzi? Jak miałby wydusić to z siebie, wyznać, że jest homoseksualistą? Równocześnie jednak, siedząc w gabinecie doktora Posnera i wypowiadając te słowa na głos do drugiego człowieka, czuje, jak unosi się spowijająca go od niepamiętnych czasów chmura, i wie już, wie bez cienia wątpliwości, że nie ma powrotu.

Aż dotąd Daniel uważał, że nie ma wyboru, lecz nagle, po konfrontacji z przyjacielem, uzmysłowił sobie, że może jednak mimo wszystko znajdzie się alternatywa. Że być może zwykłe zaakceptowanie faktów, które tak go zawsze przerażało, które wydawało mu się nieosiągalne, wystarczy, by się przekonał, jak to jest być Steve'em.

Jak to jest być szczęśliwym.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nan, czy ty wiesz, że są do ciebie wiadomości? - Sara wnosi ciężkie papierowe torby z zakupami i stawia je na kuchennym stole, po czym zaczyna rozpakowywać.

- Och, wiem o tym, moja droga - odpowiada Nan, ujmując paragon ze sklepu i podchodząc z nim do telefonu z automatyczną sekretarką. Umieszcza kwitek na mrugającej czerwonej lampce. - To strasznie irytujące widzieć, jak to cholerstwo błyska przez cały dzień. Co rusz kładę tutaj jakiś papierek, a ktoś - rzuca Sarze kose spojrzenie - co rusz go zdejmuję.

- Bardzo przepraszam - mówi ze śmiechem Sara - ale na ogół migające czerwone światełko na telefonie oznacza, że ktoś zostawił wiadomość, bo pragnie się z tobą skontaktować. Dlaczego nie chcesz posłuchać, co ma do powiedzenia? A jeśli to coś ważnego?

- To Andrew Moseley - wzdycha Nan. - Chciałby znów porozmawiać ze mną o kwestiach finansowych, a ja mimo iż uważam go za czarującego dżentelmena, nie mam na to ochoty.

Sara przerywa rozpakowywanie zakupów i spogląda z troską na Nan, która właśnie zapala papierosa.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - pyta łagodnym tonem.

- Wiem, że sprawy nie wyglądają różowo. Sądysz, że będziesz musiała...

- Sprzedać Windermere? - wpada jej w słowo Nan.

- Nawet o tym nie myślę. Nie potrzeba mi wiele, więc powinno wystarczyć, jeśli pozbędę się z domu pewnych zbędnych rzeczy, jakichś mebli na przykład.

Sara przybiera powątpiewającą minę.

- Niektóre z nich to prawdziwe rarytasy, handlarze starociami mieliby używanie. No i ci wszyscy turyści i ludzie, którzy wydają paręnaście milionów na dom, przecież oni także potrzebują mebli. A to, co tutaj stoi - Nan zatacza ręką krąg wokół siebie - to nie jakieś tam repliki, które można znaleźć w każdym sklepie meblowym, tylko autentyczne wyroby McCoya, a to chyba coś znaczy. Niejeden zapłaciłby za nie fortunę... - Nan nakręcając się, wskazuje także na zabytkową etażerkę i solidny dębowy stół.

- No tak... - mówi Sara, starając się wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu. Woli nie wspominać, że niemal każda powierzchnia w tym domu nosi ślady po rozlanej kawie, szerniałe wgłębienia po niedopałkach i inne upiększenia, które z pewnością nie wzbudziłyby zachwyty żadnego szanującego się handlarza antykami.

- Jest jeszcze kolekcja biżuterii mojej teściowej. Całymi latami zbierała kolczyki ze sztucznymi brylantami, wszystkie leżą upchane na strychu w pudełkach.

- No tak... - powtarza Sara, przypominając sobie, jak kiedyś otworzyła jedno z takich pudełek i zobaczyła coś, co jej zdaniem nadawało się tylko do wyrzucenia na śmietnik. Ale nie jest jubilerem i nie zna się na tym, a poza tym wariatów nie brakuje. - Więc twoim zdaniem to by ci wystarczyło?

- Na razie z pewnością - oznajmia Nan, podniesiona na duchu i już zapalona do swego pomysłu. - A potem się zobaczy. Może nawet znajdę jakąś pracę.

- Na przykład składanie T-shirtów w Murray's Toggery? - podsuwa Sara.

- Chociażby to. - Nan puszcza do niej oko. - Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. A teraz zabierzmy się lepiej do wyceny mebli. Trzeba zdecydować, czego możemy się pozbyć.

Pod koniec dnia kartka papieru przypięta do podkładki jest wypełniona niewyraźnym pismem Sary, notatkami i koślawymi szkicami mebli, które Nan przeznaczyła na sprzedaż.

- Jesteś pewna, że twoje łóżko nie jest ci już potrzebne? - pyta lekko zdziwiona Sara.

- Zatrzymam sobie materac - odpowiada Nan z pewnością w głosie. - Ten przeklęty stelaż jest dla mnie i tak za wysoki, a zresztą nigdy nie podobały mi się jego fikuśne kształty. Everett taki chciał, ja nie.

- A komoda?

- Może iść w diabły. Nadszedł czas porządków w tym domu. Trzeba wymieść z kątów pajęczyny, zacząć wszystko od nowa. Czuję się lepiej, nawet tylko o tym myśląc. No więc, moja droga - Nan zaciera ręce - powiedz mi, ile to razem wyjdzie?

Sara spogląda w dół, na podkładkę, i chrząka lekko.

- Jeżeli każda z tych rzeczy jest warta tyle, na ile ją wyceniłaś, możemy zarobić jakieś dwieście pięćdziesiąt tysięcy. - Chce się roześmiać, gdyż wysokość tej sumy wydaje jej się śmieszna, tyle że sama transakcja, którą planuje Nan, już taka nie jest. To raczej czyste szaleństwo.

Zwłaszcza że przez cały dzień Nan brała kwoty z sufitu.

- Czyż nie jest piękny? - cmokała nad jakimś paskudnym taborettem. - Takie same na eBayu chodzą po dziesięć kawałków. Dlaczego nie miałabym sobie za niego policzyć pięciu tysięcy?

Pięć tysięcy dolarów! - myślała Sara z niedowierzaniem. Nan będzie miała szczęście, jeśli ktoś da jej za niego choćby pięć dolców.

- Naprawdę chcesz pozbyć się większości swoich rzeczy? - pyta ją teraz ponownie.

- Naprawdę to ja potrzebuję tych pieniędzy. A poza tym będzie z tym mnóstwo zabawy! Możemy dać ogłoszenia jeszcze przed końcem tygodnia i w weekend pojawi się u nas tłum miliarderów, wrywających sobie z rąk moje stare graty. Wiem, Saro, że nie jesteś do tego pomysłu przekonana, ale uwierz mi, że to wszystko jest wiele warte i nie do podrobienia.

Sara rzuca szybkie spojrzenie w stronę strzępiącego się wyściełanego krzesła z wyłamaną jedną nogą, które ledwie stoi podparte o ścianę w kącie. Nan wyceniła je na sześć tysięcy dolarów. I jeszcze te ubrania! Zżarte przez mole sukienki z lat sześćdziesiątych i futra, które zachorowały na łysienie plackowate podczas pobytu na zesłaniu w wilgotnej atmosferze strychu. Wszystko wygląda jak łachmany, ale Nan uważa, iż jest wielkie parcie na stare ciuchy. Przymierzając wyjątkowo wyliniąle i skąpe futerko, powiedziała do Sary: „Jaka kobieta nie czuje się piękna w prawdziwym futrze?”.

Cóż, myśli Sara w duchu, Nan nie myli się przynajmniej co do jednego. Nikt rzeczywiście nie znajdzie nic podobnego za taką cenę...

Wypuszcza z westchnieniem powietrze, po czym schodzi za Nan na dół, by zasiąść do formułowania ogłoszenia. Kręci głową nad wyobcowaniem gospodyni, no bo z jakiego innego powodu ta byłaby zdania, że jej starocie warte są fortunę? Gdyby stąpała twardo po ziemi, w życiu nie zażądałaby tylu pieniędzy, wiedząc, że w każdym sklepie sieci Pottery Barn można znaleźć doskonałe repliki dawnych mebli.

**OKAZYJNA WYPRZEDAŻ W SŁYNNYM NA CAŁE SCONSET DOMU!  
JEDYNA TAKA OKAZJA! WSPANIAŁE ANTYKI  
- ŁÓŻKA, KREDENSY, STÓŁ JADALNY - WSZYSTKO CHIPPENDALE;  
FANTASTYCZNA KOLEKCJA BIŻUTERII Z LAT 20. XX WIEKU;  
ZABYTKOWE UBIORY I PRAWDZIWE FUTRA!  
WYPRZEDAŻ POTRWA DO OSTATNIEJ SZTUKI:  
W SOBOTĘ, 30 CZERWCA, OD 9 RANO DO 5 PO POŁUDNIU ORAZ  
W NIEDZIELĘ, 1 LIPCA, OD 10 RANO DO 4 PO POŁUDNIU.  
PROSIMY NIE PRZYCHODZIĆ PRZED CZASEM!**

Nan wyjątkowo się postarała. Olśniewająca w jednej ze starych sukien, z włosami upiętymi w luźny węzeł na karku, z nienaganną pomadką na wargach, prezentuje się jak niefarbowana właścicielka zabytkowej posiadłości.

Sara z kolei zdaje się wyczerpana. Bardzo by chciała oszczędzić Nan upokorzenia, lecz nie ma pojęcia, jak go uniknąć. Przez ostatnie dni nic tylko szorowała i skrobała, w rozpaczliwej próbie przywrócenia gratom ich dawnej świetności i uzasadnienia niebotycznie wysokich cen widniejących na poprzyczepianych do nich karteczkach, które Nan własnoręcznie wypisała.

Gospodyni rozłożyła także stół tuż przy drzwiach. W głębi holu znajduje się pierwszy wystawiony na sprzedaż mebel - spora konsolka z drewna kasztanowca (na karteczce widnieje: 25 000 \$) - na którym Nan ustawiła na zachętę dwie karafki z lemoniadą i paterę z czekoladowymi ciasteczkami.

Pierwsi chętni zjawiają się za kwadrans dziewiąta i mimo wczesnej pory Nan otwiera przed nimi drzwi i zaprasza ich do środka.

- Właśnie kupiliśmy domek w okolicy - mówi kobieta, przekraczając zamasyżycie próg - i rozpaczliwie potrzebujemy go umeblować. Braliśmy udział w podobnych wyprzedażach w Bostonie, skąd pochodzimy, i nie możemy się doczekać, by zobaczyć, co pani ma do zaoferowania.

- Och, to cudownie - odpowiada Nan, prowadząc ich przez dom i nie zauważając, jak miny im rzedną na widok stanu mebli i wygórowanych cen.

- Ona chyba zwariowała... - Sara słyszy, jak kobieta zwraca się do męża, kiedy Nan wymawia się obowiązkami gospodyni i zmierza do drzwi, by powitać następnych gości.

Dom wypełnia się ludźmi i Nan ze zdumieniem spostrzega, że oprócz licznych par jest też kilku samotnych mężczyzn, którzy zdają się niezainteresowani wystawionymi przedmiotami, za to z wielką uwagą przyglądają się konstrukcji budynku. Jeden nawet znalazł wyjście na dach, skąd się zapatrzył zamglonym wzrokiem na ocean, a drugi zapuścił się aż do ogrodu, torując sobie drogę na plażę pośród gęstych zarośli.

- Deweloperzy - szepcze do Sary i parska, widząc, że jakiś mężczyzna wyciąga notes i zapisuje coś pośpiesznie.

- Ma pani rację - potwierdza ktoś i kiedy Nan się odwraca, staje twarzą w twarz z Markiem Stephensonem, kierownikiem budowy domu za dwanaście i pół miliona dolarów.

- Pan Stephenson - wita go ciepło, podając dłoń.

- Pani Powell - odpowiada mężczyzna, potrząsając lekko jej ręką i nachylając się, by cmoknąć ją w policzek.

- Nan - poprawia go.

- Nan. Oczywiście, przepraszam. Zobaczyłem twoje ogłoszenie i nie mogłem sobie odmówić przyjemności, by zajrzeć. Wciąż mam w pamięci twoje zaproszenie na drinka, wiesz...

- Mogę ci zaproponować szklanę lemoniady. - Nan pokazuje na konsolkę, unosząc brwi i uśmiechając się szeroko, czemu Sara przygląda się zafascynowana, bo choć gospodyni jest dwie dekady starsza od gościa, najwyraźniej prowadzi z nim flirt, i jej przyjaciółka po raz kolejny ma dowód tego, że przed laty Nan musiała być dla mężczyzn nie do odparcia.

- Napiję się z miłą chęcią - odpowiada Stephenson, ujmując Nan pod ramię i prowadząc ją ku zaimprovizowanemu bufetowi. - Bystra jesteś - dodaje ciszej. Kiwa komuś głową i macha w stronę schodów. - Znam większość tych facetów. To rzeczywiście są budowlańcy, którzy przyszedli tu powęszyć.

- Nie zamierzam sprzedawać domu, tak dla twojej informacji. Tylko niektóre meble. Na pewno nie cały dom - podkreśla Nan.

- Na pewno nie im - prostuje Mark. - Gdyby wpadł w ich ręce, zrównaliby go z ziemią i postawili cztery dachy, zanim zdążyłabyś powiedzieć „ojej!”.

- Domyślam się, że ty nigdy nie zrobiłbyś czegoś podobnego? - Nan obdarza go promiennym uśmiechem. - Jaki gatunek reprezentujesz? Deweloper o miękkim sercu?

- W głębi ducha jestem artystą, który tylko przypadkiem został budowlańcem - odpowiada Mark. - Też miałbym chrapkę na taki dom, ale nie po to, by go burzyć. Pragnąłbym zamieszkać w takim miejscu.

- Artystą? - Nan mierzy go uważnym spojrzeniem. - Wiedziałaś, że kryjesz w sobie jakąś tajemnicę. Jakiego rodzaju artystą?

- Malarzem. Wiele obrotów Ziemi wokół Słońca temu uczęszczałem do akademii sztuk pięknych, ale okazało się, że nie sposób z tego wyżyć, więc poszedłem w ślady swego ojca i zająłem się nieruchomościami. Niechętnie przyznaję się do tego, że jestem czarną owcą w stadzie, ale prawda jest taka, że chyba dlatego ludzie lubią ze mną pracować. Nie należę do rekinów tego biznesu. Mieszkam na Nantucket, bo podoba mi się restrykcyjne prawo budowlane obowiązujące na wyspie, nie mam nic przeciwko temu, że nawet dachówki muszą być takie, a nie inne, i chociaż zdarzyło mi się stawiać najróżniejsze budynki, niżam się do tego wyłącznie z tego względu, żeby zaspokoić potrzeby rynku. Sam nigdy bym w czymś takim nie zamieszkał. Mówiąc w skrócie - wzrusza ramionami - uważam, że w życiu chodzi o coś więcej niż tylko o pieniądze. Pewnie to najbardziej mnie odróżnia od moich kolegów po fachu.

- Cieszę się, że przyszedłeś - stwierdza Nan, prowadząc go po schodach na górę, by pokazać mu resztę domu. - Będziesz mnie chronił przed tą zgrają rekinów. Pozwól, że pokażę ci moje futra... Czy twoja żona nie zachwyciłaby się takim wspaniałym lisem, hm?

Oboje wchodzi do jej sypialni, gdzie na łóżku leżą najcenniejsze zabytki mody.



- Trzysta dolarów? - powtarza z rozpaczą Nan. - Trzysta? Dobry Boże... - Opada na krzesło rozżalona, a Sara czuje, jak ogarnia ją poczucie porażki. - Czy ci ludzie o niczym nie mają pojęcia? Nie umieją poznać się na cennych zabytkach?

- Co mam teraz zrobić? - pyta ją Sara. - Chcesz, żebym pozdejnowała wywieszki?

- Boże, nie wiem - odpowiada Nan. - Chyba się położę. Padam z nóg. Zostawmy wszystko tak, jak jest, dobrze? Zdrzemnę się, a potem się zastanowimy, co dalej.

O drugiej nad ranem rozlega się dzwonek telefonu Sary. Młoda kobieta zapala światło i chwytając leżącą na nocnym stoliku słuchawkę, zaniepokojona nocnym alarmem, ponieważ może on oznaczać tylko jedno: wypadek.

Ale to nie wypadek. To Nan, która nie może zasnąć, gdyż przepelnia ją podniecenie.

- Już wiem! - krzyczy do aparatu. - Otworzę swój dom!

- Co takiego? - pyta Sara głosem chrapliwym od snu.

- Będę wynajmować pokoje! To nic, że meble się nie sprzedały, każdy kto tu był, piał z zachwytu nad moim domem! No więc zamienimy go w gościniec. Mam pięć sypialni, które mogę wynajmować na lato, i to rozwiąże moje problemy! Może nie przysporzy fortuny, ale z pewnością wystarczy na zwykłe życie. Tak się podekscytowałam, że nie umiem zasnąć z wrażenia. Przyjdź do mnie z samego rana, to zaczniemy wcielać mój plan w życie... Sara, wyobraź sobie tylko: Windermere znowu pełne ludzi! Sama nie wiem, czemu nie wpadłam na to wcześniej! - Wybuchła perlistym, radosnym śmiechem, po czym bez słowa odkłada słuchawkę, pozwalając Sarze przewrócić się na drugi bok i spróbować zasnąć od nowa.

\* \*

Daff przekrzywia stojące lustro w swojej sypialni pod odpowiednim kątem, który odejmuje jej jakieś dziesięć funtów, po czym uśmiecha się do swojego odbicia. Wygląda bardzo ładnie, choć nie elegancko w ciemnych dżinsach, baretkach na płaskim obcasie i białej koszulowej bluzce przewiązanej złotobrazowym paskiem. Spodnie są nowe - w jej garderobie jest ciasno od rzeczy, które przestały na nią pasować, odkąd w czasie sprawy rozwodowej straciła prawie piętnaście funtów.

Nosi teraz rozmiar 38 - po raz pierwszy w życiu, dotąd zawsze była pogodzona z liczbą 42 - i choć przez krótki czas wydawała się sobie zabiedzona, teraz uznała, że będzie wyglądać jeszcze lepiej, jeśli się pozbędzie kolejnych dziesięciu funtów, czego dowód ma właśnie przed sobą dzięki złudzeniu optycznemu.

Dziś wieczór czeka ją randka. Pierwsza od bardzo dawna. Rozpiera ją energia z tego powodu. Wybiera się do miasta, by spotkać się z mężczyzną w Oyster Bar na terenie rozbudowanej stacji Grand Central. Widziała jego zdjęcie i ma go za przystojniaka, a z tego co o nim słyszała, nie powinna się w jego towarzystwie nudzić - Bóg świadkiem, że odrobina rozrywki w obecnej sytuacji wcale by jej nie zaszkodziła.

Przez kilka pierwszych miesięcy od separacji Daff zasypiała co noc wycieńczona płaczem z powodu doskwierającej jej samotności.

Jako młoda samotna dziewczyna, jeszcze przed poznaniem Richarda, świetnie sobie radziła, kwitła wręcz. Potrafiła sama się o siebie zatroszczyć, począwszy od skomplikowanych spraw podatkowych, a skończywszy na zakupach w markecie budowlanym, gdy przyszła jej ochota zbić z desek własne półki biblioteczne.

Nic nie było zbyt trudne dla Daff sprzed czasów małżeństwa, a jednak gdy ponownie została sama, wszystko zdawało się ją przerastać. Chyba po prostu przywykła do rutyny małżeńskiego życia - ona zajmowała się domem, Richard dbał o to, by mieli pieniądze - i gdy scalone obowiązki spadły znienacka na jej głowę, poczuła się przytłoczona ich nadmiarem i nie wiedziała, w co włożyć ręce.

Rachunki przychodziły z pocztą i piętrzyły się na stole w kuchni, a ona i tak zapominała je opłacać w terminie albo przeoczyła moment, kiedy trzeba było wystąpić o nowe druki czy książeczkę czekową. Jej komórka była częściej wyłączona niż włączona, a kuchenka odcięta od gazu wcale nie dlatego, że brakowało jej pieniędzy, lecz dlatego, że nie potrafiła się zorganizować, nieustannie zdrętwiała ze strachu, spędzająca życie po rozwodzie w stanie jakiejś dziwnej inercji.

Gdy Richard wciąż z nimi mieszkał, dzielili się niektórymi obowiązkami, a kiedy na przykład coś okazywało się dla niej zbyt męczące albo zwyczajnie nie miała ochoty na użeranie się z fachowcami, jej mąż wkraczał do akcji i wszystkim się zajmował. Być może nie byli idealną parą - od dnia rozwodu zaczęła postrzegać ich małżeństwo w nieco odmiennym świetle - lecz bez dwóch zdań wypracowali pewien kompromis, który znacznie ułatwiał życie.

Gdy wciąż jeszcze była mężatką, Daff powiedziałyby każdemu, kto by ją zapytał, że jej małżeństwo jest bez zarzutu, ale teraz wie, że Richard nie szukałby dla siebie kogoś innego, nie mógłby zakochać się w innej kobiecie, gdyby tak było naprawdę. Być może pobrali się zbyt młodo - żadne z nich nie zdążyło się wyszaleć - a może też zbyt łatwo popadli w usypiającą czujność rutyny. Nie oczekiwali od siebie zbyt wiele i - co widzi dopiero teraz - brakło w ich związku prawdziwej bliskości. Intymności. Dzielenia się ze sobą wszystkim bez wyjątku.

Cokolwiek ich połączyło, nie zaowocowało pocałunkami bez powodu, przytulaniem się ani trzymaniem za ręce. Raczej dobrze utrzymaną relacją biznesową, w której nawet seks zdawał się swego rodzaju transakcją typu: coś za coś.

Cóż więc się stało z czułą i wrażliwą dziewczyną, którą Daff niegdyś była? Ilekroć nachodziły ją takie i podobne myśli w trakcie małżeństwa, odpowiadała sobie, że tak wygląda prawdziwy związek, że tak się zachowują dorośli ludzie, i dopiero teraz zaczyna do niej powoli docierać, że być może przez cały ten czas była po prostu z niewłaściwym mężczyzną. Z człowiekiem, którego bardzo lubiła, lecz który na pewno nie był dla niej prawdziwym partnerem.

Randka. Samo to słowo napawało ją przerażeniem. Nie sądziła, by jeszcze kiedyś była zdolna do randkowania, ale oczywiście znajomi byli innego zdania i gdy tylko zakończyła się sprawa rozwodowa, chcieli umawiać ją w ciemno i swatać. Dobry Boże, kim są ci samotni mężczyźni, od których zdaje się roić w mieście, skoro z drugiej strony wydaje się, że każdy rozsądny facet już jest zajęty?

Część par, z którymi byli zaprzyjaźnieni z Richardem, nadal utrzymywała z nią kontakt, ale nie wszystkie. Jako mężatka zawsze sądziła, że świeżo rozwiedzione kobiety stanowią zagrożenie dla tych, które wciąż muszą pilnować swoich mężów, szczególnie że powszechne były ich żale na płytkość przyjaźni z zameżnymi koleżankami, ale teraz zrozumiała, że żony boją się czegoś całkiem innego - jeśli jej małżeństwo okazało się niewypałem pomimo braku jakichkolwiek znaków ostrzegawczych, kto mógł dać gwarancję im, że pozostaną w szczęśliwym stadle do śmierci?

Rozpad jej małżeństwa okazał się szokiem dla wielu, powodując niewygodne pytania o status ich własnych związków, więc kiedy przestano ją zapraszać na imprezy, na których była mile widziana u boku męża, zaakceptowała to z cichą rezygnacją.

Zresztą w pierwszych miesiącach po rozwodzie czuła się raczej zagubiona i wcale nie miała ochoty nigdzie się pokazywać. W jej pamięci odżyło wspomnienie słów jakiejś koleżanki, która oznajmiła, że ukrytym błogosławieństwem rozwodu jest to, iż co drugi weekend i raz w tygodniu w zwykły dzień ma dzieci z głowy i może się zabawić.

Zabawić? dziwiła się Daff. Jak to: zabawić? Ona wolała wpełznąć do łóżka i przespać wzbierającą w niej depresję, w czym pomagały przepisane przez zatroskaną jej stanem lekarzkę tabletki nasenne, wyłączające ją z aktywnego życia aż do południa następnego dnia.

Najtrudniejsze były weekendy bez Jessiki. Bynajmniej nie znaczy to, że kiedy córka spędzała czas w domu, było jej łatwiej - ciągle oskarżenia dziewczynki zachodziły Daff poważnie za skórę, ale gdy Richard zabierał Jess, dosłownie nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Jeździła po przyjaciółach, którzy się od niej nie odcięli, mimo iż stała się samotną rozwódką - a mężowie jej znajomych udawali, że to całkowicie normalne, iż odwiedza ich bez Richarda i bez Jessiki, podczas gdy ich własne dzieci (z którymi Jess praktycznie się wychowywała i które bardzo lubiła) dokazywały w basenie czy przed telewizorem i miały przykazane, aby nie pytać gościa o swoją koleżankę.

Czasami po prostu polegiwała w łóżku przez bite dwa dni. Oglądała telewizję, programy plotkarskie, programy o dekoracji wnętrz, programy kulinarne, wszystko bez wyjątku jak leci, to przysypiając, to się wybudzając, nie mając sił ani chęci, by odebrać telefon czy zareagować na dzwonek u drzwi.

Sama nie wie, kiedy zaczęła wracać do normalności, to się chyba po prostu stało, ale takim punktem zwrotnym było nadejście pocztą decyzji o rozwodzie. Wtedy poczuła, że może kontynuować swoje życie. Obiło jej się o uszy, że ludzie urządzą przyjęcia z okazji zakońzonego rozwodu, oprawiają w ramki postanowienie sądu rodzinnego, lecz ona odczuwała w ten dzień tylko głęboki smutek.

Bolało ją, że mężczyzna, z którym kiedyś tak wiele ją łączyło, z którym powołała na świat nowe życie, ich dziecko, nagle wydaje jej się całkowicie obcym człowiekiem.

\*

Koła metra stukają miarowo o szyny, podczas gdy Daff zatopiona jest w lekturze książki. Nie ma nic przeciwko dojeżdżaniu transportem publicznym, odkąd zaczęła wybierać się do miasta regularnie co parę tygodni - żeby pójść do teatru, do muzeum albo złożyć komuś wizytę. Żeby zrobić cokolwiek, co sprawiało jej przyjemność przed tym, zanim wyszła za mąż, zanim zakopała się w życiu na przedmieściach, zanim musiała siedzieć murem w domu, aby Jess nie wracała po lekcjach do pustych ścian, zanim ją udzielać się w pracach komitetu rodzicielskiego i pilnowała, żeby nie opuścić ani jednego szkolnego przedstawienia.

Pociąg wjeżdża do tunelu, by się wyłonić prosto na stacji Grand Central. Daff przymyka oczy, wspomina ostatniego e-maila od Sama i uśmiecha się pod nosem. Jest żółtodziobem w świecie internetowych randek, zwłaszcza że dopiero wróciła do życia i zaczęła szukać partnera. Na randkawciemno.com zapisała się zaledwie minionego miesiąca i Sam okazał się pierwszym mężczyzną, który puścił do niej oczko.

Korespondują ze sobą od trzech tygodni. On ma pięćdziesiąt parę lat - czyli jest nieco starszy, niżby sobie wymarzyła (ona i Richard byli rówieśnikami, oboje mają po czterdzieści jeden lat) - ale dobrze się trzyma i zdaje się dość zabawny, przynajmniej w swoich wiadomościach.

Pojawia się w barze pierwsza i obrzuca dyskretnym spojrzeniem mężczyzn przy kontuarze, mając nadzieję, że rozpozna Sama z opisu, czy raczej mając nadzieję, że on ją wypatrzy, lecz napotyka tylko nijakie spojrzenia, więc zajmuje miejsce przy stoliku, zamawia dla siebie wódkę z tonikiem i popija po łyeczku, czekając.

Nagle czuje, że ktoś wpatruje się w jej plecy, toteż odwraca się i łapie spojrzenie przystojnego mężczyzny w garniturze. Nieznajomy obdarza ją uśmiechem, a ona wstaje.

- Sam? - podnosi pytająco brew. Wprawdzie mężczyzna ani trochę nie przypomina jej potencjalnego partnera, ale nigdy nie wiadomo. No i zdaje się miły.

- Przykro mi - kręci głową zapytany, a Daff dopiero teraz spostrzega, że na wysokim stołku przy nim siedzi jego towarzysza.

- O Boże - pojękuje zażenowana, siadając szybko i marząc, by ziemia rozstała się pod nią i ją pochłonęła.

- Daff? - Spóźnił się. Daff podnosi głowę znad lektury, w której była zatopiona przez dwadzieścia minut oczekiwania, i marszczy czoło.

- Słucham? - W duchu zastanawia się, czy zna tego mężczyznę.

- Witaj! - Radość maluje się na całej jego twarzy.

- Przepraszam - mówi Daff cicho, uprzejmie, lecz z lekkim zdziwieniem. - Czy my się znamy?

- To ja, Sam! - odpowiada mężczyzna, przyciągając sobie krzesło i przysiadając obok niej.

To niemożliwe! - krzyczy w duchu Daff. Sam ma pięćdziesiąt parę lat, jest wysoki i przystojny. Tymczasem ty jesteś po osiemdziesiątce i dziwnie przypominasz mojego dziadka.

- No, super jesteś... - Sam nieomal oblizuje się na jej widok. - Człowiek nigdy nie wie, czego ma się spodziewać po tych kobietach. Wierz mi, niektóre zamieszczają takie zdjęcia, że można by pomyśleć, iż każda jest supermodelką, a gdy przychodzi co do czego, wyglądają jak psu z gardła wyjęte.

Żarty sobie stroisz? chce to powiedzieć, ale milczy. Czuje, że do oczu napływają jej łzy.

Sam zdążył już zamówić martini i teraz wodzi po niej wzrokiem z góry na dół, szczerząc się jak głupi i nie dostrzegając, że Daff z najwyższym trudem opanowuje dreszcz przerażenia.

- Będziemy się dziś świetnie bawić - ogłasza Sam lubieżnie, przyciskając kolano do jej nogi. - Mam jeszcze mnóstwo energii.

- Przepraszam - zrywa się na równe nogi. Gdyby się okazał miłym staruszkiem, mogłaby posiedzieć z nim tutaj i pogawędzić trochę. Ale to?! To coś tak strasznego, że nie powinno stać się doświadczeniem żadnej kobiety. - Obawiam się, że nie najlepiej się czuję. Muszę już iść. - Gmera w portmonetce i rzuca na stolik banknot dwudziestodolarowy. - Proszę - mówi - ja stawiam.

Sam spogląda na okup i sarka.

- Wszystkie jesteście takie same - zaczyna, lecz Daff nie czeka, by usłyszeć, co mężczyzna ma jeszcze do powiedzenia, tylko wypada na zewnątrz bez oglądania się za siebie.

Któregoś dnia jeszcze będę się z tego śmiała, powtarza sobie, jadąc do domu. Na razie jednak chce jej się tylko płakać.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Michael unosi dłoń i wstaje, wyslizguje się zza stołu, muskając siedzącą nadal Jordana, i zamyka w niedźwiedzim uścisku Leo, po czym odwraca się do Wendy i ją także mocno obejmuje.

Chociaż nie widuje się z nimi często, są jego najstarszymi i najulubieńszymi przyjaciółmi, dla których ma czas zawsze, ilekroć przyjeżdżają z Woodstock do Nowego Jorku.

Dzisiejszy wieczór miał spędzić tylko z Jordana, lecz kiedy zadzwonił Leo i radośnie oznajmił, że są w mieście, i to bez dzieciaków, Michael zmienił plany i zaaranżował to spotkanie we czwórkę.

Jordana jest podekscytowana. To, że pozna przyjaciół Michaela - nie jakichś tam znajomych, którzy od czasu do czasu wpadają z wizytą do salonu, lecz jego prawdziwych przyjaciół z dawien dawna, z których zdaniem się liczy - według niej oznacza, że dla niego ten związek jest tak samo ważny jak dla niej.

Nigdy jednak by się nie podejrzewała o to, że mając trzydzieści dziewięć lat i będąc mężatką, ni z tego, ni z owego nagle się zakocha. Do tej pory sądziła raczej, że pozostanie żoną Jacksona aż do śmierci.

Michael także jest zdziwiony tą... relacją, jaką nawiązał z Jordana, nie wie jeszcze, co to dokładnie jest, ale ma pewność co do jednego - czuje, że żyje, bardziej niż kiedykolwiek. On, który przedtem zawsze pozostawał bierną stroną każdego związku i na ogół pozwalał się łowić, zamiast wyprawiać się na łowy samemu, zniemacka stracił głowę dla tej kobiety.

Lecz czy ją kocha? Tego nie byłby już taki pewien. Wydaje mu się, że na miłość jest to wszystko zbyt absorbujące, zbyt ryzykowne, zbyt uzależniające - tak właśnie: uzależniające. Ostatnimi czasy zalewa go adrenalina, czuje nieustanny dreszcz, nie potrafi doczekać się potajemnych schadzek i fantastycznego, namiętnego seksu.

Być może jednak ją kocha, na pewno potrafi przejrzeć przybraną przez nią pozę na użytek zewnętrznego świata, pozę szykownej zadbanej blondynki z dyskretnym makijażem, ogromnymi brylantowymi wkrętkami w uszach i w niebotycznie wysokich szpilkach, i dostrzec małą bezbronną dziewczynkę kryjącą się pod spodem. Najbardziej mu się podoba, gdyż jest wtedy najpiękniejsza, tuż po wzięciu prysznic, z mokrymi włosami zebranymi w koński ogon, z czystą i nagą skórą. Za każdym razem mówi jej, że kąpiel odsłania jej prawdziwe ja oraz że jest zbyt ładna, aby się chować pod warstwą kosmetyków.

Bardzo chciałby ją zobaczyć w dżinsach i T-shircie, ale nie w takich, w jakie ubierają się kobiety na Long Island, nie w dżinsach opinających ciasno wysoką cholewkę kozaczków, z szerokim paskiem spiętym wielką złotą sprzączką, i nie w markowej koszulce, której dekolt zdobiją oplatające szyję łańcuchy. Chciałby widzieć ją w zwykłych wytartych lewisach, flanelowej białej koszuli, bez makijażu i biżuterii, w butach na płaskim obcasie.



Na razie, pomimo że ma na jej punkcie obsesję, ilekroć Jordana zaczyna mówić coś o ich wspólnej przyszłości - a robi to ostatnio coraz częściej - Michael odczuwa niepokój. Bynajmniej nie dlatego, że jest zbyt wcześnie na snucie podobnych planów - oboje zdają się poruszać w tym samym karkołomnym tempie - chodzi raczej o to, że mimo wysiłków nie potrafi wyobrazić sobie, jak mogliby wpasować się nawzajem w swoje życie, szczególnie iż Jordana najbardziej zajmuje zarabianie pieniędzy, pozycja społeczna i robienie wrażenia na sąsiadach.

Jej styl życia niesłychanie odbiega od jego, a Michael ani myśli się dostosowywać. Usłyszał zapewnienia, że jest gotowa zrezygnować ze swojego materialistycznego podejścia do świata, jednakże on widzi, jak trudno jej się będzie zmienić, że może Jordana wcale nie pragnie tego wystarczająco mocno.

Teraz mieszka w wielkim, utrzymanym w stylu kolonialnym domiszczu wybudowanym z prefabrykatów, usytuowanym w Great Neck na Long Island, i ma do dyspozycji także apartament na Upper East Side. Jeździ mercedesem klasy SL (srebrnym kabrioletem), robi zakupy w najlepszych sklepach w Manhasset (Chanel, Hermès), gdzie sprzedawcy znają ją po imieniu, i przynajmniej raz w tygodniu jada lunch z przyjaciółkami u Bergdorfa.

Raz na miesiąc koloryzuje włosy w studiu fryzjerskim Johna Friedy, a strzyże się u Sally Hershberger, i to jeszcze od czasów, zanim Sally Hershberger stała się sławna na cały kraj.

Nosi na co dzień ciężką biżuterię, ośmiokaratowe brylanty w uszach to dla niej normalka, a do tego obciąża przedramię kilkoma bransoletkami z niewiele mniejszych diamentów połączonych ruchomo, tak że elastycznym uściskiem obejmują ciało niczym opaska frotté.

Wraz z mężem spędza każde Boże Narodzenie w hotelu Four Seasons w Palm Beach, dokąd jeżdżą też ich przyjaciele, gdzie kobiety przesiadują nad brzegiem basenu, prezentują najnowsze modele strojów kąpielowych od znanych projektantów i przerzucają kartki ilustrowanych czasopism, a mężczyźni rozmawiają o sporcie i pracy, niemal nie odrywając wzroku od ekraników swoich komputerów kieszonkowych, oczywiście marki BlackBerry.

Dotąd Jordanie to wszystko w zupełności wystarczało do życia. Z całą pewnością nie marzyła o mężczyźnie, który by mieszkał w małym, a do tego obskurnym, pamiętającym czasy drugiej wojny światowej mieszkanku na Upper West Side, mężczyźnie, który dojeżdża do pracy rowerem i od lat nosi te same ubrania, w miarę schludnie wygląda tylko w tygodniu, a w weekendy wkłada prześwitujące ze starości bawełniane koszulki.

A jednak w Michaelu jest coś świeżego, coś porywającego, coś jakże różnego od Jacksona, który tak samo jak ona dorastał w biedzie i wciąż czuje się niepewnie - stąd potrzeba ich obojga, by mieszkać w okazałym, choć niegustownym domu, by mieć najnowszy model mercedesa, by opływać w dostatki, gdyż tylko w ten sposób potrafią pokazać wszystkim dokoła, że są tak samo dobrzy, że należą do klubu bogaczy.

Michael z kolei wcale nie chce nigdzie przynależeć i to także jest czymś nowym dla Jordany. Wydaje jej się, że on świetnie się czuje w swojej skórze, nie potrzebuje niczego udowadniać, a ten jego spokój rozciąga się też na nią, kiedy są razem.

Jak większość kobiet Jordana zachowuje się jak kameleon w zależności od tego, czego oczekuje od niej jej mężczyzna. Kiedy całe lata temu Jackson powiedział jej, że podobają mu się blondynki, natychmiast poszła do fryzjera i rozjaśniła sobie włosy. A teraz, usłyszawszy od Michaela, że jest zwolennikiem naturalności, zaczęła dla niego używać mniej kosmetyków i nosić buty na niższym obcasie, po to aby mu się przypodobać.

Ale nawet bez makijażu i w butach na płaskim obcasie Jordana nie przypomina nikogo, kogo by Michael znał w przeszłości, i dlatego Leo i Wendy, siadając do kolacji ze starym przyjacielem i jego nową dziewczyną, potrząsając dłonią Jordany i mówiąc, jak miło im jest ją poznać, dyskretnie wymieniają zdumione, zaalarmowane wręcz spojrzenia.

Carrie, która sądziła, że przekonanie do siebie Jessiki będzie pestką, powoli zaczyna rozumieć, że nie zdobywa się sympatii pasierbicy, czy niby-pasierbicy bądź po prostu córki nowego przyjaciela, z dnia na dzień. To zadanie na lata.

Jakaś częścią siebie rozumie Jess. Choć nie wychowywała się w rozbitej rodzinie, dzieciństwo miała takie sobie, przeszła trudny okres dojrzewania - siedząc w domu, marzyła o tym, aby być szczupłą i śliczną, podczas gdy wszystkie jej koleżanki właśnie odkrywały chłopców. Nie można więc powiedzieć, aby w młodości była szczęśliwa.

Jednakże to, co prezentuje Jessika, ją przeraża. Rodzice Carrie nigdy nie dążyli do konfrontacji z nią, a ona okazywała im swoje niezadowolenie i humory w grobowym milczeniu, nie zaś krzyżąc i płacząc, więc teraz postawiona oko w oko z jęczącą i zawodzącą dziewczynką, która wykrzykuje jej prosto w twarz, że przez nią ma zrujnowane życie i nienawidzi jej z całego serca, czuje się całkowicie bezradna.

Na ogół stara się po prostu ignorować zachowanie Jessiki, ale są też chwile - zwłaszcza gdy Richarda nie ma w pobliżu i są tylko we dwie - kiedy dziewczynka zdaje się aniołkiem: jest miła, rozmowna i dowcipna; Carrie wówczas odpręża się i opuszcza gardę, myśląc, że nareszcie lody zostały przełamane, że odtąd wszystko będzie już dobrze.

I jest dobrze - do momentu gdy na horyzoncie znowu pojawia się ojciec dziewczynki. Wtedy Jessika odtrąca ją, wdrapuje się Richardowi na kolana (urządając scenę, jeśli śmie nie okazać jej od razu zainteresowania), a Carrie ponownie czuje się piątym kołem u wozu.

- No i co myślisz? - Po kolacji Michael i Leo idą spacerkiem za kobietami, które usiłują znaleźć wspólny temat do rozmowy, przyglądając się mijanym na Madison Avenue wystawom, mimo że Wendy, instruktorka jogi i doula, „społeczna położna”, nie mogłaby być mniej zainteresowana butami po kilkaset dolarów za parę.

Leo wzdycha, potem przystaje i odwraca się do Michaela.

- Chcesz, żebym był z tobą szczery?

Serce zamiera Michaelowi w piersi. Cokolwiek Leo mu zaraz powie, nie będzie tym, co chciałby od niego usłyszeć. Przeczował to zresztą od samego początku.

- Oczywiście. Wal śmiało, jak zawsze.

- Moim zdaniem igrasz z ogniem. Nie tylko dlatego, że to twoja szefowa i mężatka, co już samo w sobie można by poczytać za dowód twojego szaleństwa, ale przede wszystkim z tego względu, że ona nie jest dla ciebie.

- Przecież właściwie jej nie znasz - protestuje słabo Michael. - Dociera do mnie ta część o byciu mężatką i szefową, też mam z tym problem, ale poza tym źle ją oceniasz.

- Słuchaj, nie twierdzę, że nie jest wspaniałą kobietą. Dla kogoś innego może być idealna, ale nie dla ciebie. - Leo zamyśla się i starannie dobierając słowa, kontynuuje: - Wierzę, że ona wierzy w to, co mówi, kiedy zapewnia, że przejadł jej się dotychczasowy styl życia, że nie pragnie ton biżuterii ani markowych ciuchów. Wierzę, że wierzy, iż byłaby szczęśliwa, mieszkając z tobą choćby na wsi. Nie wierzę jednak, aby to była prawda. - Unosi dłoń, powstrzymując słowa Michaela, i ciągnie: - Wierzę, że połączyło was coś wyjątkowego, że doświadczacie niesłychanych wrażeń, że gdy tylko się widzicie, przebiega was prąd, ale to nie jest związek na dłuższą metę. Prędzej czy później jedno z was przejrzy na oczy i zrozumie, że to była czcza fantazja.

- A jeśli się mylisz?

Leo potrząsa głową.

- Sam nie wiem... Ale Michael, spójrz na nią.

Obaj odwracają się lekko i spoglądają ku Jordanie, która właśnie zatrzymała się przed wystawą sklepu z futrami i pokazując Wendy długi do ziemi skórzany płaszcz podbity futrem z norek, mówi do towarzyszki:

- Cudny, prawda? Będę musiała go sobie jutro kupić.

Leo przenosi wzrok na przyjaciela i unosi pytająco brew.

- Naprawdę uważasz, że taka dziewczyna jest dla faceta takiego jak ty?

- Nie wiem - poddaje się Michael. - Wydaje mi się, że ona nie jest taka, na jaką wygląda. Że w głębi ducha kryje wiele niespodzianek.

- W to nie wątpiłem nawet przez moment - odpowiada Leo. - Ale poprosiłeś, żebym był z tobą szczerzy, więc byłem. Mam nadzieję, że żadne z was się na tym nie sparzy. Bawicie się w niebezpieczną grę. Uważaj na siebie.

- Będę uważał - obiecuje Michael, po czym dochodzą do rogu, doganiając tam swoje połówki. Padają słowa pożegnania, a później Michael i Jordana wskakują do pierwszej złapanej taksówki.

- Nie spodobałam im się - rzuca Jordana, sadowiac się na tylnej kanapie żółtego samochodu i podając taksówkarzowi swój adres.

- Wcale nie - zaprzecza Michael, zastanawiając się, na ile uczciwy powinien być z nią w tej sprawie.

- Co powiedział ci Leo? - Rozpaczliwie pragnie aprobaty jego przyjaciół, wie jednak, że jej nie zyskała. Jak by mogła zyskać, skoro ona i oni nie mają ze sobą nic wspólnego? Ledwie dawała radę nadażyć za nimi podczas rozmowy, a umilkła zupełnie, gdy wzięli na tapetę politykę i buddyzm.

- Powiedział, że wywodzimy się z dwóch różnych światów. - Michael ostrożnie dobiera słowa, aby jej nie zranić.

- Tak? A co to znaczy bez owijania w bawełnę?

- Myślę, że Leo z trudem przyszło zaakceptowanie tego, że jesteśmy razem - wzdycha Michael.  
- Ja też mam z tym kłopoty.

- Ależ my możemy być razem. Po co komplikować sprawę i mieszać do tego różne światy? - przekonuje go nagląco Jordana. - Chodzi raczej o to, abyśmy wspólnie stworzyli świat, w którym oboje będziemy dobrze się czuli, a to nie przekracza naszych możliwości. Właściwie już to robimy. - Ścisła jego ramię i przysuwa się bliżej. - Tylko ty i ja - mówi - gdziekolwiek. W miejscu, w którym mogliśmy zacząć wszystko od nowa.

Jordana nabiera przekonania, że to nie jest zwykły romans, i coraz częściej zaczyna wspominać o wspólnej przyszłości, o tworzeniu wspólnymi siłami świata dla siebie. Utrzymuje sama przed sobą, że to miłość, zrządzenie losu, gdyż w przeciwnym razie źle by się z tym wszystkim czuła. Jest pewna, że nie zdradziłaby Jacksona ot, tak sobie, z kimkolwiek. Ale Michael... Tu chodzi o prawdziwe uczucie, o pokrewieństwo dusz.

Nawet nie zdaje sobie sprawy, że każdy, kto wplątał się w romans, próbuje się usprawiedliwiać bardzo podobnie.

Dziś Richard ma rozegrać mecz tenisowy. Wczorajszego wieczoru odebrał z domu Jess i przywiózł ją do siebie. Kiedy Carrie wyszła z kuchni, gdzie przyrządzała makaron z serem - ulubioną potrawę Jessiki - żeby się przywitać, dziewczynka obrzuciła ją nienawistnym spojrzeniem, popatrzyła z przyganą na ojca i bez słowa pobiegła do swojego pokoju.

- Mam do niej pójść? - spytała Richarda, stojąc w przedpokoju z opuszczonymi rękoma i przysłuchując się najpierw trzaśnięciu drzwi, a potem stłumionym szlochom Jessiki, której zachowanie przywodziło na myśl rozpuszczoną czterolatkę.

- Nie - odpowiedział. - Zostawmy ją samą. Musi wreszcie zrozumieć, że jesteś częścią mojego życia i nie ma innego wyjścia, jak zaakceptować twoją obecność.

Po pewnym czasie, gdy odgłosy płaczu zamiast ustać, przybrały jeszcze na sile, Richard obejrzał się za siebie wyraźnie zaniepokojony.

- Jezu - powiedział cichym głosem. - Nie mam pojęcia, co robić. Chyba powinienem jednak do niej zajrzeć.

Carrie powstrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Zostań. Wydaje mi się, że ona zachowuje się w ten sposób właśnie po to, by zwrócić twoją uwagę. Kiedy do niej pójdziesz, znowu dostanie to, co chciała. Niech pobędzie sama i się uspokoi.

- A jeżeli będzie histeryzować bez końca?

- Ona ma trzynaście lat, Richardzie - rzekła Carrie, uśmiechając się doń pokrzepiająco. - Nie może płakać w nieskończoność.

Jessika odczekała jeszcze trochę, a kiedy nikt nie pojawił się, aby sprawdzić, co u niej, wyszła do salonu, zapadła się w poduchy kanapy i siedząc ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, popatrywała z ukosa na Carrie, która starała się ją traktować jak powietrze. Kobieta, choć w środku targał nią niepokój i jej jedynym pragnieniem było, by Richard wreszcie coś zrobił z tą nieznośną sytuacją, na zewnątrz zachowywała się naturalnie, jakby nic się nie stało. Richard musiał to wyczuć i zabrał Jess na korytarz, by z nią porozmawiać.

Carrie nie słyszała wszystkich wypowiedzianych przez nich słów, ale zorientowała się, że magajenie ustąpiło w końcu rozmowie z prawdziwego zdarzenia, po czym kiedy po paru kolejnych chwilach oboje wrócili, na twarzy Richarda widoczne było zarówno zmęczenie, jak i ulga.

- Przepraszam - powiedziała do niej Jessika, znalazłszy się znów w salonie, i popatrzyła na nią takim wzrokiem, że Carrie odruchowo otworzyła ramiona i mocno przytuliła dziewczynkę.

- Nic nie szkodzi - zapewniła, odsuwając się nieco, by spojrzeć Jess prosto w oczy. - Ja to rozumiem. Co powiesz na to, żebyśmy jutro, jak tata będzie grał w tenisa, poszły razem na zakupy?

- Mówisz serio? - Oczy Jessiki rozszerzyły się ze szczęścia. Ostatnimi czasy w domu się nie przelewało i mama niemal zupełnie przestała zabierać ją do sklepów, bo była zbyt zajęta w pracy albo

akurat znów brakowało im pieniędzy, a zresztą i tak nigdy nie zachodziły do miejsc, w których ubierała się młodzież, gdyż jej mamie wydawało się, że Jess jest wciąż małą dziewczynką.

- Jak najbardziej. Pomyślałam, że mogłybyśmy wpaść do Kool Klothes albo do Claire i zasza-leć, tylko my dwie. Co ty na to?

- Bardzo bym chciała - powiedziała Jessika tak radośnie i zwyczajnie, że Carrie nie umiała wprost uwierzyć, że ma przed sobą to samo dziecko, które przed zaledwie paroma minutami zachowywało się jak prawdziwy potwór.

Może to nasz dobry początek, westchnęła w duchu. Może od dawna potrzebowałyśmy pobyć tylko we dwie.

- Nie potrafię się powstrzymać, wiesz... - opowiada Jessika, gdy razem z Carrie siedzą w kawiarence; Jess ma przed sobą wysoką szklankę z czekoladą na gorąco, naczynie wieńczy góra bitej śmietany i cukierek prawoślazowy, oraz talerzyk z pączkiem w polewie czekoladowej (matka nigdy nie pozwoliłaby jej zamówić tyle naraz w kawiarni, najpewniej kazałaby wypić witaminizowaną wodę mineralną i ewentualnie schrupać bajgla, więc w tej konkurencji bez dwóch zdań wygrywa Carrie). - Też nie lubię, kiedy zaczynam płakać i krzyczeć, ale to jest tak, jakby eksplodował we mnie wulkan i nic nie mogę na to poradzić, muszę dać upust temu, co tkwi we mnie w środku...

- Rozumiem to doskonale - mówi Carrie ze łzami w oczach. Czuje ogromną wdzięczność, że to dziecko nareszcie się przełamało i jej się zwierza, i nie mniejsze poruszenie na widok malującego się na twarzy Jessiki cierpienia zmieszanego z niepewnością. Carrie pamięta, jakby to było wczoraj, że będąc młodszą, sama często czuła się podobnie.

- Naprawdę. Domyślam się, że to wszystko jest dla ciebie niezwykle trudne.

- A moja mama w ogóle mnie nie rozumie - dodaje z goryczą Jessika i odgryza kęs pączka. - Nic tylko na mnie krzyczy, tak że wcale mi się nie podoba, że muszę z nią mieszkać.

Carrie uśmiecha się delikatnie.

- Kiedy byłam w twoim wieku, też ciągle klóciłam się z mamą. Żadna z nas nie krzyczała, bo widzisz, u nas w domu nie podnosiło się głosu, ale pamiętam, że nie cierpiałam matki jak ty teraz nie cierpisz swojej. A potem, w miarę dorastania, coraz lepiej rozumiałam, że ona tylko chciała dla mnie jak najlepiej.

Nawiąż kontakt, instruuj się w duchu, nawiąż kontakt, ale bez oczerniania Daff. Daff zasługuje wyłącznie na twoje wsparcie. Wyobraź sobie tylko: zostać matką samotnie wychowującą taką pełną złości nastolatkę...

- Czy ty i tata się pobierzecie? - pyta ją nagle Jessika.

- Ja... Nie wiem. Może. Chyba jeszcze za wcześnie, by snuć tak poważne plany. Na razie po prostu spędzamy ze sobą dużo czasu i wydaje się, że jesteśmy szczęśliwi, więc po co cokolwiek zmieniać...



- Ale w sumie mieszkacie już razem, prawda?

- No... Faktycznie spędzam sporo czasu w mieszkaniu twojego taty.

- Widziałam tam twoje rzeczy. - Dziewczynka patrzy wprost na nią i Carrie czuje, że mięśnie jej karku sztywnieją, jakby przygotowywała się do stoczenia walki. - Najpierw była tylko szczoteczka do zębów, ale teraz są też ubrania. Wprowadziłaś się na stałe?

Carrie śmieje się nerwowo.

- Nie. Wciąż mieszkam u siebie. Jessika spogląda na nią chłodno.

- Bo wiesz, ja się zastanawiałam, czyby nie wprowadzić się do taty - rzuca, wypatrując reakcji Carrie. - Bardzo za mną tęskni, w końcu jestem jego córką. Nikt inny nie zdoła się nim zająć...

- Z pewnością masz rację - przyznaje jej rację Carrie fałszywie radosnym tonem. - Ale chyba zrobiłabyś tym przykrość swojej mamie.

- Przykrość? - prychna kpiąco Jess. - Skądże! Raczej przyjemność. Sądzę, że sama chciała z nim o tym porozmawiać.

Carrie wciąż się uśmiecha, lecz pod stołem wbija paznokcie w dłonie. Jest w stanie to znieść co drugi weekend i raz w środku tygodnia, i ani trochę częściej. Jak niby miałyby znieść coś takiego na okrągło?

- To co, idziemy teraz do Kool Klothes? - proponuje Jessika z szerokim uśmiechem. - Chcę ci pokazać ten błękitny top, który wypatrzyłam w ubiegłym tygodniu. Jest bardzo podobny do tego, który ty masz... Do tego z cekinowymi kwiatkami. Mogłybyśmy wkładać je tego samego dnia i wyglądać jak bliźniaczki!... - Z tymi słowami na ustach bierze Carrie pod ramię i energicznie ciągnie ją stronę drzwi, nie dając jej chwili czasu na dojście do ładu z tą kolejną nieoczekiwaną zmianą nastroju.

- Cześć, słonko! - Daff otwiera frontowe drzwi i Jess przepycha się obok niej, by zaraz skierować się na schody. Dziewczynka w obu rękach trzyma torby z zakupami. - Co tam masz? - woła do jej pleców.

Jessika nie odzywa się ani słowem, więc zrezygnowana Daff zwraca się do Richarda:

- Znowu stroi humory?

- Nie - odpowiada Richard, nie po raz pierwszy dziwiąc się, jak to możliwe, że stoją w progu ich niegdyś wspólnego domu i prowadzą podobne rozmowy, jakby byli prawie zupełnie obcymi sobie ludźmi, jakby on nigdy nie widział, jak ona goli sobie włosy łonowe, pólżąc w wannie, jakby nie wiedział, że lubi spędzać co rano pół godziny, siedząc na toalecie i czytając swoje ulubione czasopiśmo, jakby nie pamiętał, jak dokładnie wygląda jej twarz w chwili, gdy ogarnia ją całą orgazm.

- Tym razem było okej? - dopytuje Daff.

- Było wspaniale. Z początku zachowywała się trochę oziębło, ale jak sądzę, wynika to z tych ciągłych zmian, że jest raz tu, a raz tam. Poszliśmy na zakupy. - Nie wspomina o Carrie, przynajmniej na razie. Nie chce kłuć Daff w oczy tym, że on kogoś ma, podczas gdy (wie o tym od Jessiki) ona nie

znalazła sobie nikogo. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by się domyślić, że Daff nie jest jeszcze gotowa na wieści o jego nowej dziewczynie.

Richard nie ma pojęcia, że Jess - w jednej z tych rzadkich chwil, w których traktuje matkę jak istotę ludzką - opowiedziała Daff wszystko o Carrie. Na jednym wydechu wyrzuciła z siebie informację, że nienawidzi Carrie, gdyż Carrie zabrała jej ojca, przez co nie ma go już wyłącznie dla siebie, i że Carrie zaprowadziła ją do manikiurzystki, po czym robiły razem to i tamto, a w ogóle to Carrie umie... i mówi...

Ambiwalentne uczucia dziewczynki są oczywiste, lecz Daff skrzętnie ukrywa swój ból spowodowany informacją o nowej dziewczynie Richarda. Poza tym okazuje się, że ta dziewczyna jest całkiem odmienna. Daff sprawdziła ją w Internecie i znalazła nawet zdjęcie na stronie gazety, do której pisuje. Wydaje się przeciętna. Niebrzydka. Miła. Wydaje się osobą, jaka mogłaby chcieć związać się z Richardem na poważnie.

Mimo że to Daff zażądała rozwodu, mimo że to ona kazała Richardowi zbierać manatki i się wynosić z domu, wiadomość o tym, że tak szybko odnalazł szczęście gdzie indziej, nie jest jej obojętna. Zwłaszcza że wszystko wskazuje na to, iż już niedługo zamieszkają razem. Ilekroć Jess opowiada o Carrie, Daff przysłuchuje się uważnie i zawsze się stara znaleźć właściwy komentarz. Gdy więc Jessika mówi: „Ona jest taka irytująca”, matka odpowiada ze zrozumieniem: „Z pewnością może ci się taka czasami wydawać”.

W złe dni, kiedy dziewczynka czuje się przytłoczona sytuacją i jest w płaczącym nastroju, żali się Daff:

- Ona zabrała mi mojego tatę.

Na to Daff głaszcząc ją po plecach i tłumaczy cichym głosem:

- Nikt nie zdołałby odebrać ci taty, bo tata kocha cię nad wszystko w świecie i to się nigdy nie zmieni.

- No więc gdzie był podczas meczu w zeszłym tygodniu? Gdzie był podczas szkolnego koncertu? Skoro kocha mnie tak bardzo, jak mówisz, gdzie był te wszystkie razy, kiedy go potrzebowałam? - Jessika wpija się w nią spojrzeniem i bezlitośnie czeka na odpowiedź.

- Tata ma bardzo dużo pracy - wyjaśnia Daff, w duchu zadając sobie jednak te same pytania co jej córka.

Nie przestaje się też dziwić, że choć z nich dwojga to ona zajmuje się na co dzień Jessika - pierze jej rzeczy, sprawdza zadanie domowe, pakuje kanapki do szkoły, pokazuje się na wszystkich szkolnych uroczystościach, przedstawieniach, meczach i próbach, podtrzymuje kontakty z rodzicami jej przyjaciół, ani na moment nie spuszcza ręki z pulsu życia ich córki - to ją właśnie Jess nienawidzi.

Dlaczegoż więc zdaje się, że jej ojciec - który wprawdzie spędza z nią co drugi weekend, lecz nie robi nic z prozaicznych rzeczy, jakie przepychają Jessikę przez życie, nie pokazuje się na meczach ani koncertach, bo ma ach! tyle pracy, i nie poznałby wychowawczyni własnej córki, nawet gdyby ta przysiadła się do niego w barze dla samotnych - dlaczegoż więc zdaje się, że on nie może uczynić jednego fałszywego kroku?

Właśnie z tego powodu wścieka się nań w duchu. Ponieważ ona się stara, wprost wychodzi z siebie każdego dnia, podczas gdy on nie robi niemal nic, a jednak to jego Jessika ustawiła na piedestale.

Daff z westchnieniem wchodzi do kuchni. Dawno, dawno temu zapukałaby do drzwi Jessiki i zapytała, czy czegoś nie potrzebuje, ale teraz, słysząc dochodzący z pokoju córki łomot, w którym rozpoznaje charakterystyczne solówki Blue October, tylko wzrusza ramionami, otwiera lodówkę i nalewa sobie kieliszek wina.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Daniel radzi sobie z sytuacją tylko dzięki mieszaninie strachu i adrenaliny. Obiecał doktorowi Posnerowi, że jeszcze nad tym pomyśli, że nie będzie podejmował żadnych pochopnych decyzji, że zaczeka z przyznaniem się przed Bee do czasu, gdy znów razem znajdą się w gabinecie terapeuty - i w rzeczy samej chce tak postąpić, chociaż odkąd jego tajemnica przestała być tajemnicą, od dnia, w którym podzielił się swoim sekretem z drugim człowiekiem, jak nigdy pragnie przestać żyć w ciągłym kłamstwie, chce móc być tym, kim naprawdę jest.

Co wieczór, kiedy parkuje swego land-rovera obok mercedesa Bee, wchodzi przez drzwi łączące garaż z domem do gustownego, przestronnego wnętrza, odkłada aktówkę i idąc do kuchni, kątem oka widzi dziewczynki przytulone do siebie na kanapie i oglądające na ogromnej, zawieszanej nad kominkiem plazmie jakiś film (to chyba *Hannah Montana* w wersji HD), czuje, że serce wali mu jak młot, i nie wie, jak długo jeszcze zdoła udawać.

Ma kłopoty ze snem. Nocą leży rozbudzony całymi godzinami, czasami przyglądając się śpiącej Bee, zastanawiając się, jak jej to powiedzieć, jakich słów użyć, gdy przyjdzie co do czego, martwiąc się, że prawda sprawi jej ból. Przecież ją kocha. Tylko niestety nie tak, jak powinien. Spędził z nią kawał życia i nieznośna wydaje mu się sama myśl o tym, że będzie musiał ją zranić.

Na szczęście Bee jest silna, chociaż nie aż taka silna. No i nie można zapominać o przyjaciółkach, których zdobyła sobie w ciągu tych długich godzin, które on spędza w pracy, o ludziach, z którymi spotykają się na grillu podczas lata i umawiają na mieście w pozostałe pory roku, by najczęściej zaszaleć w jakimś modnym lokalu. Akurat spośród nich mało który mężczyzna jest w typie Daniela - zresztą on zawsze lepiej czuł się w towarzystwie żon, znajdując z nimi więcej wspólnych tematów do

rozmowy, chociaż bardzo się starał, aby zbytnio się nie wyróżniać, i przynajmniej we własnej opinii mu się to udało, zwłaszcza że zadawał sobie trud sprawdzenia najnowszych wyników meczów przed każdym spotkaniem, tak by jego zainteresowanie sportem i męskimi sprawami nie pozostawiało wątpliwości.

Poza tym wszystkich ich łączy zainteresowanie nieruchomościami. Mężowie przyjaciółek Bee pracują w branży finansowej, ale każdy z nich ma zamiar zacząć inwestować w ziemię, budować domy, czyli robić to, czym Daniel zajmuje się zawodowo; wszyscy oni zdają się trzymać rękę na pulsie rynku nieruchomości w mieście, niedziele spędzają na chodzeniu po posiadłościach wystawionych na sprzedaż, przyglądaniu się kosztorysom i planom albo uważnym czytaniu lokalnych gazet i wyłuskaniu z masy ogłoszeń najintraćniejszych transakcji. Zdaniem Daniela obrót nieruchomościami to odpowiednik pornografii dla małżeństw z długim stażem.

- Co powiecie na ten dom na Old Hill Road? - zapyta któryś. - Dacie wiarę, że wystawiono go za pięć baniek?

- Cóż, ten na Hillspoint poszedł za szóstkę - odpowie ktoś inny.

- Ale on przynajmniej ma widok na ocean - wtrąci jeszcze ktoś.

- Pod warunkiem że człowiek wdrapie się na dach i stanie na palcach - zauważy Daniel i wszyscy wybuchną śmiechem.

- Słyszałem, że agencja kupiła go tylko za trzy. Ile to wychodzi za stopę kwadratową, Danielu? Trzysta pięćdziesiąt?

- Raczej czterysta - sprostuje Daniel, wzruszając ramionami. - Wyposażenie robi swoje.

Jak będzie mógł spojrzeć w oczy tym ludziom, tym mężczyznom, którzy piją piwo, pasjonują się sportem, jeżdżą cadillacami i jeepami. Jak będzie mógł się pokazać na mieście, po tym jak dowiedzą się, że jest homoseksualistą?

A dowiedzą się. W sąsiedztwie takim jak ich niewiele się dzieje, tej okolicy na co dzień brakuje dramatyizmu, więc kiedy już coś się stanie, następuje ogólne poruszenie. On sam wbrew sobie usłyszał o paru rozwodach spowodowanych romansem męża z opiekunką do dziecka czy sekretarką, ale jego dramat przebija wszystkie dotychczasowe. Małżeństwo rozchodzące się dlatego, że mąż ujawnił swoje prawdziwe skłonności! Nie zna w Westport nikogo, kto by przez to przeszedł.

Ale nie może się przeprowadzić, nie może zniknąć i zacząć gdzieś życia od nowa, ponieważ nie zamierza opuścić dziewczynek; bez względu na to jak potoczą się wypadki, chce uczestniczyć w ich dorastaniu z niemal taką samą intensywnością jak dotychczas.

Nocami, kiedy nie może zmrużyć oka, snuje fantazje na temat swego alternatywnego, doskonałego życia. Widzi się w luksusowym mieszkaniu w jednym z nowoczesnych apartamentowców, może w South Norwalk, gdzie wybudowano kompleks z ekskluzywnymi zaadaptowanymi strychami, albo w małym domku na plaży w Mili Cove, chociaż miejscowe prawo zabrania używania samochodów na

wyspie, a sprowadzanie produktów żywnościowych zimą, gdy spadnie śnieg, musi tam być prawdziwym utrapieniem.

Lecz pomyśleć tylko, jak dziewczynkom podobałoby się go odwiedzać w domu nad oceanem! Jak by to było: budzić się rano, otwierać drzwi na taras w salonie i wychodzić prosto na piasek! Obracać się w łóżku i spoglądać na twarz mężczyzny, którego się kocha, móc wyciągnąć rękę i pogłaskać go po ramieniu, uśmiechając się do siebie, podczas gdy on wciąż by spał, i wodzić palcem po jego twardej, gładkiej piersi.

Takie i podobne fantazje Daniel tłumił w sobie całymi latami. Takie i podobne fantazje ścigały go przez całe jego życie, usiłując zagnieździć się pomiędzy normalnymi myślami, zdolne zburzyć postawione przez niego tamy tylko w czasie snu, kiedy jego podświadomość witała je chętnie, po czym zawsze budził się z erekcją, wciąż mając w pamięci marzenie senne o byciu z mężczyzną. Nieodmiennie z mężczyzną. To tylko sen, powtarzał sobie, czując, jak uderza weń wstyd i poczucie winy z powodu przelatujących mu przed oczyma obrazów. Tylko sen, to nic nie znaczy...

Teraz już wie, że to nieprawda.

Za dwa tygodnie wybierają się na Nantucket. Dom, który obejrzeni tam podczas weekendu, okazał się równie uroczy jak na fotografiach: niewielki, pokryty łupkową dachówką, z widokiem zarówno na jezioro Quidnet, jak i na zatokę, a przy tym Bee była tak podniecona, a agent nieruchomości tak zachwalał ofertę, że Daniel - pomimo wszystkich swoich obaw - nie umiał powiedzieć „nie”.

Nantucket rzeczywiście miała w sobie coś magicznego, ojciec Bee się co do tego nie mylił, i nawet Daniel, spędzając tam czas wspólnie z Bee, przechadzając się leniwie po okolicy, zaczął się odprężyć, zaczął myśleć, że może wszystko się dobrze ułożyć, że uda im się doprowadzić do porządku ten bałagan, którym stało się ich małżeństwo, ponieważ nadal byli przyjaciółmi. Najlepszymi przyjaciółmi.

Klamka zapadła. Opłata za wynajęcie domu („Mała fortuna, lecz nie żał mi ani centa” - powiedziała Bee) została uiszczona minionego tygodnia, umowa właśnie wróciła z podpisem właścicieli i tylko jeszcze Bee dogrywała parę szczegółów, wymieniając z nimi e-maile.

Właściciele poradzili im, by zakupy robili poza wyspą, gdyż tak będzie taniej. Przekazali także instrukcję, jak się ubiegać o pozwolenie używania samochodu, pod warunkiem że wóz spełnia lokalne wymogi. Przypomnieli, aby zabrali ze sobą własne ręczniki plażowe.

Zrezygnowanie z wyjazdu nie wchodzi w grę, lecz Daniel nie ma pojęcia, jak mógłby tam teraz pojechać, wiedząc, że Bee spodziewa się po urlopie odbudowy ich małżeństwa, podczas gdy on wreszcie przyznał się sam przed sobą do swego homoseksualizmu.

Zaledwie wczoraj wieczorem Bee odłożyła czasopismo, które czytała przed snem, i odwróciła się do niego z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Bardzo się cieszę na te wakacje - powiedziała, wyciągając rękę i z uczuciem ściskając mu dłoń. - To będzie dla nas nowy początek. Dziękuję ci, że zgodziłeś się wynająć ten dom, że zrobiłeś to, choć nie byłeś do końca przekonany. Ja szczerze wierzę, że dzięki temu znów będziemy szczęśliwi.

Daniel potaknął w milczeniu, czując, jak w gardle rośnie mu kula strachu.

- Czyż tamten weekend na Nantucket nie był cudowny? - Kiedy Bee przytuliła się do niego, odruchowo objął ją ramieniem. Nie czuł w ogóle nic.

- Yhm - mruknął niezobowiązująco.

- Kocham cię, wiesz... - powiedziała Bee, spoglądając mu w oczy.

- Ja ciebie też kocham - odparł bez trudu, ponieważ to była prawda.

- Dobranoc. - Cmoknęła go w usta, odwróciła się na drugi bok i sięgnęła do wyłącznika nocnej lampki.

Daniel poczuł, jak zalewa go fala ulgi.

- Dobranoc - odpowiedział, po czym wrócił do lektury.

Nikt już nie śpi ze sobą, mówiła sobie w duchu Bee, ilekroć naszły ją myśli na ten temat. Gdy spotykała się z przyjaciółkami na kawie albo na lunchu, albo podczas urządzanego wspólnie przyjęcia dla któregoś z dzieci i w rozmowie padło słowo „seks”, następował chóralny śmiech, po czym jedna z nich powtarzała:

- Seks? Kto ma na to czas? I siły?

Żartowały, że z coraz większym trudem przychodzi im wymyślanie wymówek, którymi mogłyby karmić mężów; ta o bólu głowy była zbyt stara i zgrana i co rusz musiały wysilać szare komórki.

- Mój mąż myśli, że okres trwa przez dwa tygodnie - oznajmiła ostatnio Jenny, co doprowadziło je wszystkie do paroksyzmów śmiechu.

- A ja po drugim porodzie oświadczyłam swojemu mężowi, że ginekolog zabronił mi uprawiać seks przez rok - odezwała się inna kobieta. - I on w to uwierzył!

Przysłuchując się im, Bee myślała, że może też nie miałyby ochoty na zbliżenia, gdyby Daniel był wobec niej namolny jak inni mężowie. Może tak bardzo brakuje jej fizycznej miłości, intymności, ciepła, bliskości, ponieważ on ich ciągle odmawia. Czyż nie leży w ludzkiej naturze pragnąć tego, co nieosiągalne?

Nikt już nie śpi ze sobą, seks jest przereklamowany, powtarza sobie Bee, gdy nachodzą ją wątpliwości albo nieprzyjemne myśli, które stara się stłumić za wszelką cenę, odegnąć od siebie precz. Mamy małe dzieci, pod koniec każdego dnia jesteśmy wykończeni i marzymy tylko o tym, by móc się wygodnie położyć i zasnąć.

Robi co może, by nie pamiętać, że w jej wypadku stroną unikającą seksu jest Daniel, nie ona. Kiedy jeden raz wzięła udział w babskiej rozmowie na ten temat, dotarło do niej, że coś jest nie tak.



- Już wiem! - powiedziała wtedy. - Daniel bierze wieczorny prysznic po mnie i tkwi w łazience tak długo, aż ma nadzieję, że zasnąłam, po to by nie musieć się ze mną kochać!

Rozejrzała się wokół, spodziewając się uśmiechów i ironicznym uwag, ale zamiast tego zobaczyła tylko współczujące spojrzenia i ewidentne zażenowanie.

Odtąd przestała cokolwiek mówić.

\* \*

- Moim zdaniem trzeba coś wydać, żeby coś zarobić. - Sara mówi do Nan, stając nad wielkim kartonowym pudłem i rozcinając taśmę, by pokazać leżące w środku zafoliowane, pakowane po dwie sztuki bielutkie prześcieradła. - Poza tym nie były drogie - dodaje. - To znaczy, były stosunkowo tanie. Tak czy siak nie miałaś dość prześcieradeł, by zaścielić wszystkie łóżka w pokojach na wynajem, więc trzeba je było kupić. Aha, przecena obejmowała też ręczniki, więc wzięłam cztery komplety białych.

- O wszystkim pomyślałaś - stwierdza Nan z uśmiechem, zaglądając do torby i zachwycając się miękkością bawełny. - Mimo że Andrew Moseley prawdopodobnie dostałby ataku serca, znając moje plany, zgadzam się z tobą w całej rozciągłości. Nie możemy pozwolić naszym najemcom spać na byle czym i wycierać się w byle co.

- Skoro już o tym mowa, chyba najwyższy czas dać ogłoszenie.

- Wyśmienicie! - Nan klaska w dłonie. - Później mogę pojechać do wioski i przyczepić je na tablicy!

Sara zastanawia się nad czymś przez chwilę.

- Wydaje mi się, że powinnyśmy je również zamieścić w Internecie. Są specjalne strony, które funkcjonują jak wirtualne tablice ogłoszeń. Musimy iść z duchem czasu.

- Jestem pewna, że masz rację - zgadza się z nią Nan. - A teraz chodź ze mną na górę i zobacz, co zmieniłam w niebieskim pokoju.

Nan przy pomocy Sary od wielu dni wprowadza w domu zmiany. Stare, wyblakłe dywany zostały zwinięte i schowane w szopie na narzędzia. Sara spędziła godziny na łokciach i kolanach, piaskując i woskując drewniane podłogi pokoi, podczas gdy jej brat Max kładł nową fugę w łazienkach i malował ściany nad flizami.

Obie kobiety wspólnie robią zakupy w Sieci. Nan odwiedza Sarę w jej domu, aby skorzystać z komputera, i za każdym razem dziwi się, jak ogromny wybór oferują internetowe sklepy i z jak wielką łatwością dokonuje się teraz sprawunków, po prostu najeżdżając kursorem na zdjęcie albo opis i klikając przyciskiem myszki, by już po dwóch dniach odebrać przesyłkę ze wspaniałą zawartością.

Sypialnie otrzymały nazwy zgodnie z kolorami, na jakie zostały pomalowane. Jest więc niebieski pokój, oczywiście o niebieskich ścianach, ozdobiony biało-niebieskimi prześwitującymi zasłonkami, niebieską falbaną zasłaniającą karnisz, biało-niebieską kołdrą, niebieskimi poduszkami i niebieskimi hortensjami stojącymi w dzbanku na niegdysiejszym stoliku na miednicę do mycia. Patchwor-

kowa narzuta w biało-niebieską kratę, która leżała w domu Sary gdzieś w kącie, teraz przykrywa ławeczkę pod wykuszowym oknem.

Zielony pokój pomalowano na biało, lecz na ścianach widnieje wzór wałka przedstawiający pnące winorośli, bardzo podobny ornament występuje także na zasłonkach i pościeli. Na komódce stoi wazonik z gałązkami kaliny. Mebel był z surowego drewna, poplamiony i miejscami poprzipalany, ale Nan się zgodziła, by polakierować go na biało, więc teraz stara komoda prezentuje się o wiele dostojniej i może uchodzić za odnowiony antyk.

Jest jeszcze czerwony pokój, biały pokój i pokój amerykański - w tym ostatnim dominuje granat, czerwień i biel, i to zarówno w tekstyliach, jak i ozdobach (Sara wyszperała nawet na jakiejś wyprzedazy starą Old Glory, którą obszyła listewkami i powiesiła na ścianie, bo dobrze się komponowała z pasiastymi elementami wystroju i nadawała pomieszczeniu patriotyczny wydźwięk). Jednakże największe zmiany zaszły w pozostałej części domu.

Stare sofę i fotele pokryto obiciami z białego lnu, a poduchy nowymi, biało-niebieskimi powłóczkami, całkowicie odmieniającymi oblicze salonu, który nagle zyskał lekkość i jasność, jakich nie pamiętał ze swoich najlepszych czasów.

Zniszczone przez rozlane napoje i papierosy powierzchnie mebli skryły się pod strategicznie rozmieszczonymi bibelotami i książkami. Piękne wazony wymyte przez Sarę napełniono świeżymi kwiatami. Wszystkie nadpleśniałe chodniczki pokryte grubą warstwą kurzu zniknęły zastąpione przez dywaniki uplecione z trawy morskiej, przycięte na wymiar i obrębione gratis w nieodległym podupadającym sklepie z dywanami sprzedającym wszystko za bezcen.

Stół jadalny został poddany amatorskiej renowacji: Max najpierw go podszlifował, potem uzupełnił ubytki kitem z pyłu drzewnego, a na koniec zabarwił bejcą na inny kolor. Szlak komunikacyjny w kuchni wymagał do szorowania fliz i wymiany fugi, dzięki czemu posadzka zaczęła lśnić jak nowa.

- To będzie gościniec z prawdziwego zdarzenia: noclegi i śniadania - ogłasza Nan, zdejmując maskę Maksa i odkładając ręczną szlifierkę, którą właśnie skończyła wygładzać krawędź kuchennego stołu.

- Czy nie trzeba tego zgłosić w stosownym urzędzie? - podpowiada Sara, odrywając się na chwilę od doczyszczania blatów.

- Może i trzeba, ale ja tego nie zrobię. Mój gościniec nie będzie do końca oficjalny, trudno jednak, żebym przyjmowała gości pod swój dach i nie dawała im śniadania. Nie zamierzam zaraz wstępować do związku hotelarskiego... - Widząc spojrzenie Sary, Nan dodaje: - Tak, wiem, że wstawiłyśmy do wszystkich pokoi ekspresy do kawy, ale moja droga, naprawdę miałabym wyrzuty sumienia, nie karmiąc tych ludzi przynajmniej rano. A tak, wyobraź sobie tylko, wszyscy moi najemcy siedzący wokół tego stołu. Będzie niemal jak kiedyś!...

- Nie jestem pewna, czy wszyscy będą chcieli jeść tu śniadania - wtrąca nieprzekonana Sara. - Nie jestem nawet pewna, czy będziesz chciała, żeby siedzieli przy twoim stole. Możesz ich przecież nie polubić.

- Ha! Dobra uwaga! - wyrzuca z siebie Nan i od razu uśmiecha się przebiegle. - Ale ja mam oko do ludzi i będę ich sobie starannie oglądać, więc nie prześlizgnie się nikt niemiły.

- Tyle że przy rezerwacji przez Internet nie będziesz w stanie ich oceniać na odległość. Po prostu będziesz musiała ich przyjąć.

- Zawsze będę mogła skorzystać z telefonu - oponuje Nan. - Ucho do ludzi też mam dobre. Opowiadałam ci kiedyś o George'u?

- O George'u? - powtarza Sara i kręci przecząco głową.

- Raczej nie.

Nan wzdycha, odsuwa sobie krzesło od stołu i siada, zapalając papierosa z rozmarzoną miną.

- George był pierwszym mężczyzną, w którym się zakochałam po śmierci Everetta.

- Naprawdę? To dlaczego nigdy mi o nim nie wspomniałaś? - Zaintrygowana Sara przysiadła naprzeciwko Nan, żałując, że rzuciła palenie.

- Czasami wydaje mi się, że łatwiej jest żyć, nie gdybając - odpowiada z lekkim smutkiem Nan. - Bo co by było, gdybym wyjechała z nim do Londynu, zostawiając Windermere? Co by było, gdybym wiedziała, że po paru miesiącach naszej znajomości pozna inną i się z nią ożeni?... - Wzdycha ciężko. Po chwili przerwy kontynuuje opowieść: - No ale poznałam go właśnie przez telefon. Był starym kolegą Everetta ze szkoły, mieszkał chyba w hrabstwie Middlesex, i zadzwonił, żeby złożyć mi kondolencje, kiedy akurat spędzał na wyspie urlop. Ledwie usłyszałam jego głos, wiedziałam, że się w nim zakocham, a potem, kiedy tego samego dnia wieczorem przyszedł do mnie w odwiedziny, tak właśnie się stało. Przysięgam na wszystko, że wystarczyło jedno spojrzenie i straciłam dla niego głowę.

- No i?

Nan uśmiecha się do swoich wspomnień.

- No i spędziliśmy ze sobą cudowne lato. Po śmierci Everetta żyłam jak we mgle, myśląc, że nigdy już nikogo nie spotkam, nawet nie próbując szukać, a tu znienacka w moim życiu pojawił się słodki George, i chociaż nie trwało to długo, przekonałam się, że jednak mogę być znów szczęśliwa, że śmierć Everetta to jeszcze nie koniec wszystkiego. W tamtym czasie jednak walczyłam, żeby jakoś utrzymać się na powierzchni wśród bałaganu, który pozostawił po sobie mój mąż.

- Nie rozumiem - potrząsa głową Sara. - Skoro było wam razem dobrze, dlaczego ze sobą nie zostaliście dłużej?

- George stanowił pomost łączący moją żalobę z normalnym życiem. Wydaje mi się, że przez cały czas wiedziałam, iż to takie zawieszenie w próżni, które nie ma szans na kontynuację, no i rzeczywiście któregoś dnia George oznajmił mi, że dostał pracę w Londynie. Brzmiało to fantastycznie,

ale Michael był jeszcze malutki i nie chciałam wyrywać go z korzeniami ani mieszać w jego życiu bardziej niż to konieczne, więc skończyło się na tym, że obiecaliśmy sobie z George'em, iż pozostaniemy w kontakcie. - Nan gasi papierosa. - Miałam nadzieję, że po mnie wróci - mówi z żalem - lecz on przysłał mi zaproszenie na swój ślub. Millicent Booth Eden, tak się nazywała. Posłałam im w prezencie kryształową karafkę, która pewnie i tak się potłukła, zanim przepłynęła Atlantyk, i na tym nasza znajomość się urwała.

- Nigdy nie chciałaś go odnaleźć? - pyta z podnieceniem Sara. - Teraz z pewnością dałoby się go wyszukać w Internecie. Za pomocą Google'a można znaleźć praktycznie każdego. Czasami siedzę przed komputerem i wpisuję nazwiska swoich koleżanek ze szkoły, dawnych chłopaków, każdego, kto mi przyjdzie do głowy...

- No to spróbuj i z nim - uśmiecha się lekko Nan, wracając myślami do teraźniejszości. - Nazywa się George Forbes. Urodził się w Bostonie, a słuch po nim zaginął w Londynie.

- Jeju, ale byłoby fajnie, jakbyśmy go odnalazły i okazałoby się, że jest... czy ja wiem... rozwodnikiem albo wdowcem czy coś w tym stylu, w każdym razie że mogłby tu przyjechać i wasze uczucie by odżyło, i żylibyście długo i szczęśliwie.

Nan uśmiecha się szerzej.

- Moja droga, naprawdę jeszcze nie zrozumiałaś, że ja zamierzam żyć długo i szczęśliwie tak czy inaczej?

Tego samego popołudnia Nan wsiada na rower i pedałuje do wioski, w koszu przy kierownicy wioząc plik kartek. Są to fotokopie zdjęć całego domu, poszczególnych pokoi i widoku, jaki rozciąga się ze wszystkich okien.

**POKOJE NA WYNAJEM W UROCZYM STARYM DOMU W SCONSET!**

**WIDOK NA OCEAN I BLISKOŚĆ PLAŻY GWARANTOWANE!**

**WSZYSTKIE POKOJE Z ODDZIELNĄ ŁAZIENKĄ!**

**ŚNIADANIE NA SPECJALNE ŻYCZENIE!**

**WYJĄTKOWA OKAZJA! DOMEK NA PLAŻY!**

Zatrzymuje się na Main Street i przyczepia jedno z ogłoszeń do tablicy, obejmuje wzrokiem resztę karteczek i dowiadyuje się, co w trawie piszczy. Czytając, że ktoś organizuje zajęcia jogi dla dzieci, myśli sobie, że powinna coś zrobić i ze swoimi starymi, zastałymi kośćmi.

- Nan?

Odwraca się i widzi przed sobą inną starszą mieszkankę, Patricię Griffin, która właśnie wyszła z rogu i zamarła w bezruchu niczym szpieg.

- Witaj, Pat! - wita ją uśmiechem. - Jak się miewasz? Co u Buckleya?

- Och, no wiesz... - odpowiada Patricia - po staremu. Ale ty, jak słyszałam, urządziłaś wyprzedaż swoich mebli?...

- Tak tylko, na próbę - ucina Nan. - Żeby przewietrzyć dom.

- Ponoć deweloperzy kręcili się koło ciebie jak sępy - śmieje się Patricia.

- Próbowali. Ale ja nie zamierzam sprzedać domu.

- To dobrze. Wstyd by było zobaczyć, jak go burzą. Słyszałaś, co przytrafiło się Oldinghamom?

- Tym z Madaket? Nie. Co z nimi?

- Sąsiad namówił ich, żeby mu sprzedali swój dom. Zaproponował bardzo atrakcyjną cenę, najwyraźniej taką, jakiej nie umieli się oprzeć, ale obiecywał, że zachowa dom w nienaruszonym stanie, mówił coś o tym, że chce, by dzieci miały gdzie mieszkać, kiedy do niego przyjeżdżają, i że połączy obie posiadłości...

- I co, zrobił to?

- Jak tylko podpisali umowę, wjechały buldożery i zwały dom w gruzy. W ich miejscu stawiają teraz trzy nowoczesne paskudztwa.

- A Oldinghamowie?

- Przenieśli się na Cape Cod. Straszna historia, prawda?

- Cóż, mogę cię zapewnić, że nikt nie położy łap na moim domu, przynajmniej dopóty, dopóki będę miała coś do powiedzenia w tej sprawie.

Patricia kiwa z aprobatą głową, po czym zamiera, gdy jej wzrok pada na dopiero co przycze-pioną karteczkę.

- A to co takiego? Wynajmujesz pokoje?

- Tak - potwierdza z dumą Nan. - Zrobiło się jak dla mnie za cicho. Pomyślałam sobie, że dobrze będzie znów wypełnić dom ludźmi. No i przyda mi się jakieś zajęcie.

- To świetny pomysł - potakuje jej Patricia. - No, miło cię było widzieć, Nan. Musimy kiedyś spotkać się na dłużej. Może wreszcie znajdziesz czas i dołączysz do naszego klubu ogrodnika? - Z tymi słowami na ustach Patricia okręca się na pięcie i gna do domu na złamanie karku, żeby przekazać swojemu mężowi, że to prawda, co mówią, iż Nan Powell faktycznie popadła w tarapaty finansowe.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tego popołudnia Daniel robi coś, o czym w sekrecie, mając ogromne poczucie winy, marzył przez całe lata. Umówione wcześniej spotkanie służbowe właśnie zostało odwołane, lecz on i tak wychodzi z biura, czując, że płoną mu policzki, jak gdyby jego koledzy z pracy mogli przejrzeć go na wylot i domyślić się, dokąd naprawdę się wybiera.

Wie o istnieniu baru Pod Klonem od wieków. To miejsce spotkań gejów w New Haven. Zawsze go tam ciągnęło, podobnie jak do innych gejowskich barów i kawiarni, lecz dotychczas odważał się co najwyżej przejechać obok nich z opuszczoną szybą, spoglądając tęsknie w stronę zaciemnionych witryn.

Znalazł dokładny adres, wpisując do internetowej wyszukiwarki słowa: „klon” i „New Haven”, a kiedy na jednej z pierwszych pozycji wyskoczyły dane baru, szybko skorzystał z Google'a jeszcze raz i wystukał na klawiaturze słowo „drzewo”. Przeraziła go świadomość, że w historii wyszukiwań na jego służbowym komputerze znalazł się bar dla homoseksualistów, więc pomyślał, że w razie czego przyda mu się wymówka o zainteresowaniu klonowymi alejami w New Haven.

Robił to samo już wcześniej, tyle że w domu. Stał się ekspertem w wymazywaniu podręcznej pamięci, kasowaniu plików cookie i czyszczeniu historii w wyszukiwarce, lecz bez ustanku gnębi go obawa, że ktoś mimo to wszystkiego się domyśli, że jakimś sposobem podejrzy, na jakie strony zaglądał, gdy pokusa okazała się zbyt silna i drżącymi palcami wklepywał znajome hasła, po czym rozszerzonymi z podniecenia oczyma chłonał obrazy i teksty.

Teraz wklepuje zapamiętany adres do nawigacji i koncentruje się na postępowaniu zgodnie z instrukcjami głosowymi autopilota, niepewien, co zrobi, kiedy dojedzie na miejsce; świadom tylko tego, że musi tam pojechać, musi się przekonać, że to o nim to prawda, że rzeczywiście pragnie tego, dla czego jest gotów zrujnować swoje życie.

W barze jest ciemnawo i raczej spokojnie. Kilku mężczyzn stoi przy kontuarze, paru innych siedzi na wysokich barowych stoikach, nieliczna grupka otacza stół do bilarda. W tle gra cicha muzyka. Daniel podchodzi do kontuaru, wspina się na stołek i mocno opierając stopy o podnóżek, czuje, że nareszcie przestaje drżeć. Ujmuje menu i zatapia się w lekturze, nie chcąc nawiązywać jeszcze kontaktu wzrokowego z nikim z obecnych.

- Cześć! Ależ upał dzisiaj, nie?

Niechętnie odrywa oczy od spisu potraw i napojów i widzi przed sobą przyjazną twarz barmana. Bezwiednie uśmiecha się do niego.

- Całe popołudnie spędziłem w klimatyzowanym wozie, więc nie narzekam.

- Co mogę podać?

- Poproszę adamsa.



- Już się robi.

Po chwili Daniel bierze pierwszy łyk piwa i obraca się lekko na stołku. Dostrzega, że w głębi pomieszczenia coś się dzieje. Jakaś para stoi pod ścianą i obściskuje się gwałtownie, po czym znika za tylnymi drzwiami.

Przygląda się tej scenie szeroko otwartymi oczyma, z sercem łomoczącym ze strachu. I z podniecenia.

- Zagrasz? - pyta go młody ciemnowłosy mężczyzna, wyciągając rękę z kijem bilardowym. Daniel wzrusza ramionami.

- Nie gram za dobrze - odpowiada.

- Ja też nie - mówi młodzieniec i szczerząc się, przysiadła na stołku obok Daniela. - Jestem Mike.

- Daniel.

Wymieniają uścisk dłoni, po czym Mike też zamawia dla siebie piwo. Wygląda całkiem normalnie, nie jest ani przesadnie zniewieściały, ani nadmiernie męski; nie ma w nim w ogóle niczego dziwnego. Nie nosi obcisłych skórzanych spodni ani kolczyka w uchu. Jego uścisk dłoni także nie pozostawia nic do życzenia. To zwykły facet, ubrany w dżinsy i T-shirt, krótko ostrzyżony i z miłym uśmiechem. Przypomina wszystkich tych mężczyzn, z którymi Daniel miał do czynienia dotychczas. To zdaje się działać na niego uspokajająco.

- Lubisz to... - zaczyna Daniel niepewnie i urywa, kiedy czuje drapanie w gardle.

- Pytasz, czy lubię to miejsce? - śmieje się Mike. - Chyba tak. Mieszkam w pobliżu, a prawda jest taka, że tutaj w okolicy nie ma zbyt wielu gejowskich klubów. Ale ciebie nigdy tu nie widziałem. Jesteś przejazdem?

- Niezupełnie. Wiem o barze Pod Klonem od lat, ale jakoś nigdy... Nigdy tu nie zajrzałem.

Mike upija łyk piwa i uśmiecha się domyślnie.

- Żonaty, tak?

Daniel szybko opuszcza wzrok, by spojrzeć na swoją lewą dłoń. Wydawało mu się, że pamiętał, aby zdjąć obrączkę. Palec serdeczny ma goły.

- Zawsze umiem to rozpoznać - wyjaśnia Mike. - Po minie. Jak na moje oko, jesteś żonaty i masz dzieciaki. I bardzo ci to doskwiera.

- Dobry jesteś - stwierdza Daniel po chwili milczenia. - Trafiłeś w dziesiątkę.

- Żonaci to spora grupa tutejszych klientów - tłumaczy dalej Mike. - Zazwyczaj prowadzą podwójne życie, ich żony nie mają o niczym pojęcia. Coś mi się jednak wydaje, że w twoim wypadku jest inaczej...

- Moja żona nie ma o niczym pojęcia - duka Daniel, wciąż czując się niezręcznie.

- Ale chcesz jej o wszystkim powiedzieć, prawda? Męczy cię to, że coś przed nią ukrywasz.

- Kim ty właściwie jesteś? - Daniel jest zdumiony. - Psychoanalitykiem czy jasnowidzem?

- Mogę być tym, kim sobie zażyczysz - odpowiada Mike z uniesioną brwią i Daniel nagle sobie uświadamia, że chłopak z nim flirtuje i że cała ta wyprawa może się okazać mniej bezpieczna, niż pierwotnie sądził.

Daniel opuszcza bar zatopiony w myślach. Kiedy zrozumiał, że flirt z Mike'em to tylko niewinna zabawa, rozluźnił się i po raz drugi poczynił swoje wyznanie, spostrzegając, że z każdym razem łatwiej mu jest wymawiać słowa: „jestem gejem”, że brzmią one w jego ustach coraz naturalniej i coraz bardziej właściwie.

- Chciałbyś pójść na tyły? - zapytał go Mike po jakiejś godzinie rozmowy, a Daniel się zawahał. Oczywiście, że chciał, pragnął tego bardziej niż cegokolwiek innego w świecie, lecz nie mógł. Nie mógł zdradzić Bee, nie mógł jej zrobić czegoś takiego - ani sobie. Wystarczało, że dopuszczał się zdrady w myślach. Fizyczny akt był na razie nie do pomyślenia.

Z wielkim trudem, uciekając się do pokładów siły woli, odmówił.

Ale nawet gdy idzie do swojego samochodu, gdy kieruje się w stronę autostrady, wciąż jeszcze musi walczyć ze sobą, tłumić chęć zawrócenia i skorzystania z pierwszego nadarzającego się zjazdu, by w końcu jakimś cudem dotrzeć do domu.

Tyle że wcale już nie czuje się tutaj jak w domu.

\* \*

Lizzie i Stella są w domu przyjaciółki, a Bee, która nigdy jeszcze nie spędziła nocy w domu bez nich, nakrywa stół w jadalni do kolacji.

Pragnie, by ten wieczór był wyjątkowy, by stanowił preludium do ich wycieczki, a że jest fatalną kucharką, zatrzymała się po drodze w Garelick & Herbs i wzięła na wynos nadziewane kurze piersi, brązowy ryż, kilka rodzajów surówek - oczywiście kierując się gustem Daniela.

Podłączyła iPoda do sprzętu grającego, z głośników sęczy się romantyczna muzyka, i Bee odczuwa lekkie zażenowanie na myśl, że zasiądą tylko we dwoje do olbrzymiego osiemnastowiecznego francuskiego stołu mieszczącego się w ich oficjalnej czerwonej jadalni, podczas gdy normalnie spożywają posiłki przy stole w kuchni, co zazwyczaj oznacza, że prawie się do siebie nie odzywają, Daniel najczęściej sięga w połowie posiłku po gazetę i na ogół wystarcza im dziesięć minut, po czym rozchodzą się do swoich obowiązków.

Lecz dzisiejszego wieczoru Bee pragnie się zrelaksować. Nie ma dziewczynek, nie będzie więc miała wymówek... Zapali świece, napije się wina i porozmawia z mężem. Naprawdę z nim porozmawia. Bardzo jej zależy na tym, aby odnowić łączącą ich więź, tak jak to udało im się na Nantucket. Chce, żeby kolacja była romantyczna. Chce, aby Daniel przypomniał sobie, czemu są razem, dlaczego się pobrali. Co to znaczy: kochać się, bo jest przekonana, że bez względu na wszystko mąż ją nadal kocha. Potrzebuje tylko nieco pomocy, aby znów umieć to jej okazywać.

- Więc jesteś zdania, że powinniśmy coś zaplanować, zanim tam pojedziemy? Przeglądałam takie jedno czasopismo i wyczytałam, że można wynająć łódź i urządzić sobie piknik na wodzie...

- Świetny pomysł - mówi Daniel, z trudem przełykając kolejny kęs kurczaka, takie ma ściśnięte gardło. Nie ma pojęcia, jak zdoła przez to przebrnąć.

- Daniel, na miłość boską! - wzdycha Bee i z brzękiem odkłada sztucce. - Nie mógłbyś okazać choć trochę entuzjazmu? Zgodziłeś się na ten urlop na wyspie, a teraz sprawiasz wrażenie, jakbyś wcale tam nie chciał jechać, co jeśli mam być szczerą, psuje mi połowę przyjemności.

- Tu nie chodzi o mój entuzjazm czy jego brak. - Daniel kładzie nóż i widelec na stół i przymyka powieki na kilka sekund. Gdy otwiera je na moment, widzi, że Bee przygląda mu się pytająco.

- Zatem o co chodzi? - pyta prawie szeptem. - Coś jest nie tak, prawda? Czy to... przeze mnie? Tak? Chcesz ode mnie odejść?

Nigdy wcześniej nie zadała mu podobnego pytania. Prawdopodobnie zbyt bała się usłyszeć odpowiedź, a Daniel z kolei - do całkiem niedawna - nawet nie przypuszczał, że tak to może wyglądać.

Kiedy w końcu otwiera oczy, napotyka jej wzrok i wie, że Bee pragnie, aby powiedział jej: „Nie, nie. Nie bądź niemądra. Skądże znowu”.

Ale on nie może jej tego powiedzieć. Nie teraz. Uświadamia sobie, że chwila prawdy nadeszła. Oto zyskał sposobność, aby się rozmówić z żoną, i choć napawa go to przerażeniem, a w dodatku cała sytuacja wydaje mu się nierealna, wie, że nie ma wyjścia, ponieważ nie jest zdolny dłużej ciągnąć tego kłamstwa, kłamstwa, które zdaje się pęcznić z każdą mijającą godziną.

Daniel usilnie stara się znaleźć odpowiednie słowa. Nie tak to sobie wyobrażał. Nie tak to miało być. Obiecał doktorowi Posnerowi, że odbędzie z nim jeszcze kilka spotkań, podczas których wspólnie opracują strategię, jak wyłuszczyć sprawę Bee, lecz wypadki potoczyły się swoim torem i musi to zrobić teraz i bez niczyjej pomocy. Bee, widząc, że Daniel zbiera się w sobie, aby jej odpowiedzieć, przytyka dłoń do piersi.

- O mój Boże - szepcze. - Chcesz. Chyba zaraz zwymiotuję... - Podrywa się z miejsca i biegnie do łazienki, gdzie zgina się wpół nad miską klozetową i zwraca zawartość żołądka.

- Bee, tak mi przykro... - Daniel biegnie za nią, podtrzymuje ją, pomaga jej wstać, a potem stoi z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków, kiedy Bee płucze usta bieżącą wodą.

- Powiedz mi - prosi go - powiedz mi, dlaczego właśnie teraz. Przecież zaczęło dobrze się między nami układać. Wydawało mi się, że nareszcie ruszyliśmy z miejsca, mieliśmy się do siebie zbliżyć na wakacjach... O Boże... - mamrocze z ręką przy ustach. - Wakacje. Co ja mam zrobić?...

- Po prostu nie jestem szczęśliwy - odpowiada jej Daniel. - Nie potrafię udawać, że wszystko jest w porządku, skoro najwyraźniej nie jest.

- Co mam zrobić? - pyta cicho Bee. - Zrobię wszystko, co powiesz, przysięgam. Przepraszam, że nalegałam na seks. To się więcej nie powtórzy. Czego ci potrzeba? Tylko powiedz, a zobaczysz, że

mogę ci to dać. Danielu, ja cię kocham. Zrobię wszystko, słyszysz? wszystko, byle nasze małżeństwo przetrwało. - W jej oczach pobłyскуje desperacja; Bee jest przekonana, że dojdą do porozumienia, jeśli tylko będą tego pragnęli wystarczająco mocno.

- Nic nie możesz zrobić - oznajmia ze smutkiem Daniel. - Wierz mi, że zupełnie nic. Tu chodzi o mnie, o to, że sam wciąż nie wiem, czego chcę.

- Więc się dowiedz. Nie musisz ode mnie odchodzić, żeby się tego dowiedzieć, prawda? Zostań. Będę przy tobie albo dam ci tyle przestrzeni, ile będziesz potrzebował. Możesz spać w pokoju gościnnym, jeśli chcesz, ale proszę, nie odchodź. Proszę... Pomyślałeś o dziewczynkach? Pomyślałeś o mnie?... - Resztki sił opuszczają ją i Bee osuwa się na posadzkę, łkając. Daniel zaś nad wszystko inne pragnie objąć ją ramionami i pocieszyć, lecz nie może tego zrobić.

Nie może też powiedzieć jej prawdy. O tym, że on już czuje się lepiej. Że boli go - boli bardziej, niż mógłby przypuszczać - zadawanie jej bólu i perspektywa opuszczenia dziewczynek, ale że zarazem mętna chmura, która go spowijała, odkąd sięga pamięcią, która gęstniała i ciemniała z każdym rokiem ich małżeństwa, nareszcie zaczęła się rozpraszać.

Nie może jej powiedzieć, że ich małżeństwo właśnie dobiegło końca ani z jakiego powodu tak się stało. Na to jest jeszcze za wcześnie. Nie chce przysparzać jej więcej bólu, niż musi, postanawia dozować fakty, zwłaszcza że Bee nie potrzebuje wiedzieć wszystkiego naraz, mają na to jeszcze wiele czasu.

Być może ktoś inny wolałby przeciąć więzy jednym sprawnym ruchem, lecz nie Daniel. To, co Bee powiedziała o zapewnieniu mu przestrzeni, brzmi w jego uszach dobrze. Niewykluczone, że on i Bee przebrną przez to wszystko razem, że Bee wcale nie wyjdzie z tego pogruchotana.

Taka decyzja daje jej fałszywą nadzieję, Daniel wie o tym, ale i tak stawia na delikatne ruchy, ma zamiar wybadać grunt, zanim zrzuci bombę, chce, aby Bee poczuła się silniejsza, zdolna do samodzielnego życia, nim usłyszy najgorsze.

- Kocham cię, Bee - mówi Daniel. - Przepraszam, ale nie mogę tutaj zostać.

- Dokąd pójdziesz?

- Prześpię się w jakimś zajeździe. Postaram się coś wymyślić. Zadzwoń do ciebie jutro, może zobaczą się z dziewczynkami po szkole. Teraz pójdę już na górę i się spakuję.

Sięga do niej ręką, lecz Bee go odtrąca, odtrąca jego próbę ukojenia jej bólu, więc zostawia ją na wpół siedzącą, na wpół leżącą na łazienkowej posadzce, z wciąż ciekącymi po policzkach łzami, i idzie wrzucić parę najpotrzebniejszych rzeczy do torby podróżnej, po czym wychodzi przez frontowe drzwi na zewnątrz.

# ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nieczęsto się zdarza ostatnimi czasy, żeby Michael spędzał wieczór samotnie, co nagle uświadamia sobie z przenikliwą jasnością. Na ogół umawia się z Jordaną, a jeśli nie z nią, to z przyjaciółmi - a to na drinka, a to na obiad czy kolację w którejś z okolicznych knajpek, ot, typowe życie nowojorczyka.

Dzisiejszego wieczoru Jordana wróciła na Long Island, ponieważ ją i Jacksona czekała jakaś uroczystość, Michael nie pytał o szczegóły. W ogóle stara się zbyt wiele nie myśleć o Jacksonie ani o tym, jak by ów się czuł, wiedząc, że Michael sypia z jego żoną, ani też nie zastanawia się nad tym, jakim człowiekiem musi być on sam. Tylko w ten sposób może sobie z tym poradzić.

Jordana jest jego narkotykiem, jego obsesją, ale on chyba powoli zaczyna się wybudzać z niezdrowego snu. Powoli zaczyna się zastanawiać, co u licha najlepszego zrobił.

Jeszcze dwa tygodnie temu był zdania, że Jordana jest najatrakcyjniejszą kobietą na świecie. Od samego początku miał ją za bardzo ładną, ale odkąd się ze sobą związali, wydawała mu się piękna, ba, więcej niż piękna - niesamowita.

A teraz, z dnia na dzień, zaczął zauważać, że ma wadę postawy, że się garbi. Że głos ma zbyt wysoki i lekko nosowy, co całkiem niedawno go rozczulało, a teraz zwyczajnie irytuje. Czuł się mile polechtany, kiedy zaczęła się dla niego zmieniać, kiedy zrezygnowała z wysokich szpilek na rzecz butów na płaskim obcasie, przestała używać lakieru do włosów i zaczęła się czesać w prosty koński ogon, który tak u niej lubi, lecz po jakimś czasie jęło go dziwić, że kobieta może mieć tak mało poczucia własnej wartości, by bez protestu dostosowywać się do wymagań akurat tego mężczyzny, z którym w danym momencie jest.

Klapki spadają mu z oczu i nagle Michael uprzytamnia sobie, że nie wie, jak się z tego wszystkiego wyplątać. Pracuje w tym miejscu od dwudziestu lat - to już nie tylko praca, to jego życie, jego rodzina - i mimo że od czasu do czasu rozpatrywał możliwość odejścia i przeniesienia się gdzieś indziej, nigdy nie sądził, że będzie musiał uczynić to z takiego powodu.

A Jordana, czując, że on chce się wycofać, staje się jeszcze chętniejsza, jeszcze namolniejsza, jeszcze bardziej zakochana niż przedtem.

Potrzebował tego wieczoru w pojedynkę, wolnego wieczoru tylko dla siebie, bardziej, niż byłby gotów to przyznać. Jego spokój zakłócają tylko niezliczone esemesy wysyłane przez Jordaną.

Nudno. Tesknie. J. xxx

Co robisz? Moge zadzwonić? Kocham Cie!

Dzwoniłam do Ciebie. Nie odbierasz. Martwie sie... xxxx

Zadzwonisz? J.

Zanim Michael usiadł przy barze, włożył komórkę do kieszeni marynarki, a tę powiesił na oparciu wysokiego stołka i odtąd starał się ignorować natrętne buczenie.

- Zdaje się, kolego, że ktoś się do ciebie dobija jak szalony - zwrócił mu uwagę jakiś Anglik, pokazując na drgający od wibracji materiał i szczerząc zęby.

Michael wzruszył ramionami i z konspiracyjną miną wyjaśnił:

- Na dzisiejszy wieczór zaginałem w akcji.

- Co, twoja panna daje ci popalić? - zapytał domyślnie nowy znajomy.

- Coś w tym guście. Tyle że nie panna, a pani całą gębą - prychnął z cienkiego dowcipu.

Anglik posłał mu współczujące spojrzenie i puścił oko.

- No to wpadłeś w tarapaty. Mąż już wie?

- Boże - jęknął Michael - mam nadzieję, że nie.

- Kumplujecie się?

- W pewnym sensie... - Michael zamówił dla siebie drugie piwo i postawił jedno sąsiadowi. - Jest moim szefem.

- Żona szefa? - zagwizdał przez zęby poczęstowany mężczyzna. - Musisz mieć jaja ze stali. - Potrząsnął głową i dodał: - Mamy takie powiedzenie: nie sra się na progu własnego domu.

- Taa... - skinął Michael. - Szkoda, że nie usłyszałem tego parę tygodni wcześniej.

- Zdrówko! - Anglik uniósł swoją szklanę. - Za sekrety i kłamstwa.

Sekrety i kłamstwa? powtórzył w duchu Michael, wiedząc, że nie tak chciał przeżyć swoje życie, nie takim człowiekiem chciał być.

- Nie - zaprzeczył i po chwili namysłu dokończył: - raczej za nowe początki. - Po czym przyłożył szyjkę butelki do ust i dopił piwo jednym haustem.

\* \*

Śpi, gdy rozlega się dzwonek. Raz po raz, natarczywie. Najpierw słyszy go w swoim śnie, po czym wydobywając się na wierzch świadomości, uzmysławia sobie, że to wcale nie sen, tylko rzeczywistość. Sięga więc po słuchawkę, ale gdy przytyka ją do ucha, bębenek świdruje mu ciągły sygnał. Staje się oczywiste, że to nie telefon. To dzwonek do drzwi.

Przelotnie spogląda na zegarek, gramoląc się z łóżka i podążając w stronę domofonu. Jest druga trzydzieści siedem nad ranem. Kto u licha może się do niego dobijać o drugiej trzydzieści siedem nad ranem?

- Taa? - pyta zaspanym głosem.

- Michael? To ja, Jordana.

- Jordana? Co ty tu robisz o tej porze?

- Po prostu mnie wpuść, dobra? - prosi. - Tu na dole nie jest zbyt bezpiecznie.

Parę chwil później staje w progu jego mieszkania.



- Zostawiłam go - obwieszcza, ciągnąc za sobą wielką walizkę od Louisa Vuittona, która wydaje się nieproporcjonalnie duża w jego małym mieszkanku.

- Słucham? - Michael dębieje, ale jakoś udaje mu się wykrztusić to jedno słowo.

- Zrobiłam to - mówi Jordana, spoglądając na niego szklącymi się od łez oczyma. Michael nie potrafi ocenić, czy to łzy smutku czy szczęścia.

- Co dokładnie rozumiesz przez „zostawiłam go”? - pyta. Czuje się tak, jakby ktoś uderzył go w splot słoneczny, wyduszając zeń całe powietrze. Nie ma pojęcia, co mógłby powiedzieć.

- Pokłóciliśmy się wieczorem - opowiada Jordana, przetaczając walizę do sypialni, jakby tam było jej miejsce. - Wstyd się przyznać, ale rzuciłam mu prosto w oczy, że nie jestem z nim szczęśliwa i że to koniec.

- Ale chyba... - Michael czuje ogarniające go mdłości. Przygląda się Jordanie, wciąż nie umiejąc uwierzyć, że naprawdę to zrobiła, i nagle... Jezu, jeśli zrobiła tyle, równie dobrze mogła powiedzieć mężowi wszystko! - Ale chyba nie wie o... nas?

- Jasne, że nie! - Jordana wybucha śmiechem. - Zwariowałeś? Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział. Rany, pewnie zabiłby też ciebie. Nie mogłam mu o nas powiedzieć, chociaż Jackson pytał mnie, czy jest ktoś inny.

- A ty co?... - Michael stracił gdzieś swoją elokwencję, wszystkie siły koncentruje na tym, by się przebudzić z najgorszego koszmaru, jaki kiedykolwiek mu się przyśnił.

- Zapytałam go, czemu faceci zawsze przyjmują, że musi chodzić o kogoś innego, jakby to, że jestem nieszczęśliwa i że go już nie chcę, nie wystarczało.

- O Boże... - duka Michael. - Jordana... Ja... Ja nie spodziewałem się po tobie czegoś podobnego. Powinniśmy byli o tym porozmawiać, mogłaś mnie chociaż jakoś uprzedzić... Dokąd zamierzasz pójść?

Jego pytanie wywołuje grymas na jej twarzy.

- Jak to: dokąd zamierzam pójść? Sądziłam, że zamieszkam tutaj. Z tobą. Chryste, Michael, wydawało mi się, że się ucieszysz...

- Ale ja... - wzdycha. - Jestem w szoku, wybacz. Oczywiście, że możesz u mnie zostać. Dziś w nocy. Ale później już nie. Gdyby Jackson się dowiedział, mógłby tego nie znieść.

- Jackson o niczym się nie dowie.

- Mimo to wolę nie ryzykować.

- Dobrze - poddaje się Jordana. - Wynajmę pokój w hoteliku za rogiem czy gdzieś i będziemy się do siebie wymykać. To będzie nawet dość romantyczne!

Podchodzi do Michaela, który przysiadł na brzegu łóżka, i staje naprzeciwko niego z uwodzicielskim uśmiechem na twarzy - uśmiechem, jaki dotychczas Michael miał za niesłychanie podniecający, a teraz wywołuje w nim dreszcz przerażenia.

- Powiedz, że się cieszysz - szczebiocze do niego, dotykając go dłonią i gładząc w dokładnie taki sposób, jaki on lubi.

- Powiedz, że jesteś szczęśliwy, widząc mnie tutaj. - Robi minę i dziecięcym głosem dodaje: - Jordana myślała, że Mikey będzie zachwycony, że będzie miał swoją dziewczynkę tylko dla siebie.

- Jestem zachwycony - kłamie Michael tuż przed tym, zanim Jordana popycha go na łóżko i do siada okrakiem, co powoduje, że przestaje mówić i myśleć cokolwiek.

\* \*

- Jestem taka podenerwowana - mówi Nan ze śmiechem, zdejmując rękawice ogrodowe i przysiadając na ławeczce w warzywniku, po czym sięga do łubianki z narzędziami i odszukuje paczkę papierosów. Sara zdołała w końcu pozbyć się nieprzyjemnej woni papierosów z domu i teraz za żadne skarby nie pozwala Nan palić w czterech ścianach.

- Dlaczego? - pyta ją młodsza kobieta, wciąż schylona nad grządką, którą w ramach pomocy podjęła się obsiać. W dłoni trzyma garść nasion.

- Wiem, że to idiotyczne, no bo jak ktoś mógłby się nie zakochać w Windermere od pierwszego wejrzenia... Ale czuję się jak przed poważną rozmową kwalifikacyjną i nie mogę się pozbyć obaw, że na przykład mu się nie spodobamy.

- Ale przecież rozmawiałaś z nim przez telefon i zrobił na tobie dobre wrażenie, prawda? To chyba niezły początek?

- Masz rację. Sądząc po głosie, jest uroczy. Bardzo wrażliwy i nieszczęśliwy. Doskonały jak na pierwszego najemcę, nie sądzisz?

- Wiesz o nim coś jeszcze?

- Jego żona i dzieci spędzają wakacje nad jeziorem Quidnet, a on potrzebuje czegoś skromnego i niedrogiego, aby być w pobliżu.

- Potrzebuje pokoju na całe lato? Fantastycznie!

- Wspomniał, że będzie sporo podróżował, ale w grę wchodzi cały sierpień, no i rzecz jasna, zapłaci za wszystko z góry.

- Kiedy ma się pojawić?

- Około trzeciej. Och, tak bardzo bym chciała, żebyśmy mu się spodobały... - Nan gasi papierosa piętą i z powrotem naciąga rękawice. - Masz jakiś pomysł, co zrobić z tymi pomidorami? Powinnam je chyba podeprzeć, ale teraz żałuję, że nie poprzcinałam ich, jak tylko zauważyłam, że zaczynają się szaleńczo rozrastać...

Jeśli można odzyskać chęć do życia po trzech tygodniach ciągłego szorowania, malowania, gipsowania, tłuczenia młotkiem, obrębiania i obszywania, to Nan właśnie odżyła.

Nie ma czasu szwendać się po posiadłościach sąsiadów i pływać w ich basenach, a poza tym lato jest już w pełni i w Sconset roi się od turystów, tak więc nawet Nan wie, że nie powinna aż tak bardzo ryzykować. Coraz rzadziej też robi sobie rowerowe przejażdżki po okolicy.

Inna kobieta w jej wieku padałaby na nos po podobnym wysiłku, w którego wyniku dom wrócił do dawnej świetności, lecz Nan dzięki temu czuje się znów młoda. Jak tylko usłyszała Daniela, wiedziała, że okaże się idealnym gościem w Windermere, i ma szczerą nadzieję, że dom przypadnie mu do gustu.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Nan miałaby ochotę wyprawić przyjęcie. Zdaje sobie sprawę, że zdobyła w wiosce reputację samotnicy, bo choć pokazuje się w niej dość często, to jednak nigdy nikogo nie zaprasza do siebie, gdyż - prawdę powiedziawszy - ostatnio nie w głowie jej były rozrywki.

Lecz teraz, gdy wędruje po domu, w którym pachnie świeżością i nowością, i gdy z chrzęstem podjeżdża na rowerze dróżką potraktowaną galonami roundupu, niezawodnego herbicydu, tak że nareszcie znów widać białe pokruszone muszelki, jakich nie zaduszają już chwasty, chciałyby się pochwalić Windermere.

Chciałyby, aby w domu było tak jak za dawnych czasów.

- Saro! - woła, przyglądając się rozłożystemu staremu klonowi w ogrodzie. - Jak myślisz, da się o tej porze roku skombinować skądś lampki świąteczne?

Sara odkłada pazurki i podchodzi do miejsca, w którym stoi Nan.

- W dobie Internetu wszystko jest możliwe. A co? Co ci chodzi po głowie?

- Przypomniałam sobie urządzane tu kiedyś przyjęcia. Lydia, moja teściowa, zwykła zarzucać na gałęzie tego drzewa sznury białych lampek, rozwieszała też latarnie i wszystkim się zdawało, że tańczą pod tysiącem księżyców.

Młoda kobieta zaczyna się śmiać.

- Dobry Boże, Nan, czyżbyś już planowała jakieś przyjęcie?

- Sama nie wiem - odpowiada Nan. - Ale miło przypomnieć sobie, jak tu kiedyś było ładnie. Chciałabym móc zobaczyć ten dom przystrojony od święta raz jeszcze. Chciałabym zobaczyć go wypełniony roześmianymi ludźmi.

Michael podnosi głowę ze znużeniem, kiedy drzwi do pracowni się otwierają. W przeszłości zdarzało się, że nikt do niego nie zaglądał przez kilka dni z rzędu. Lubił tę samotność, uwielbiał ciszę. Tworzenie biżuterii to dla niego coś w rodzaju medytacji; nie musi myśleć przy pracy, wystarczy, że wprowadzi umysł w stan zrównoważonego spokoju, który pozwala mu sięgnąć do ukrytych w głębi pokładów kreatywności.

W ostatnich tygodniach Jordana zburzyła tę jego harmonię. Nic tylko wchodzi i wychodzi i chociaż z początku witał to urozmaicenie z entuzjazmem, jako coś dodającego mu energii, teraz znów tęskni do dawnego świętego spokoju.

Ale tym razem to nie Jordana. To Jackson. Z nową mocą ogarniają go wyrzuty sumienia.

Do tej pory jakoś udawało mu się unikać szefa - co w gruncie rzeczy nie było zbyt trudne, skoro Jackson wciąż spędza większość czasu na Long Island, a przy tych rzadkich okazjach, kiedy pokazywał się w salonie, Michael znajdował w sobie siłę, by zachowywać się jakby nigdy nic, symulować przyjazne pogawędki, które toczyli ze sobą przez wszystkie te lata, odkąd się poznali.

Lecz czy zdoła udawać i dzisiaj? Wiedząc, że minionego wieczoru Jordana odeszła od Jacksona, zjawiała się u niego w środku nocy i została do rana? Jak mógłby nadal udawać, skoro pieprzy żonę swojego szefa, a przy tym - co właśnie powoli staje się jasne - spieprzył mu też życie?

Jackson wygląda okropnie. Garbi się jak starzec, pod zaczerwienionymi oczyma ma worki ze skóry, wydaje się wykończony i co najmniej o dziesięć lat starszy niż wtedy, gdy widzieli się po raz ostatni.

- Dobrze się czujesz? - pyta go Michael, nie bardzo wiedząc, co innego mógłby powiedzieć.

- Raczej nie - odpowiada Jackson i przysuwa sobie do lady stółek, po czym opada na niego z westchnieniem. - Jordana mnie rzuciła.

- Co? - Michael udaje zdziwienie, lecz tak naprawdę czuje złość. Nigdy nie chciał, by do tego doszło, nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić, a już na pewno nie Jacksona, który przez tyle lat okazywał mu wyłącznie przyjaźń, któremu zawdzięcza właściwie wszystko. - Słuchaj, to straszne. Bardzo mi przykro.

- Po prostu nie potrafię w to uwierzyć... - Jackson potrząsa głową. - Powiedziała, że nie jest ze mną szczęśliwa, że nie daję jej tego, czego pragnie. Michaelu, ja dałem tej kobiecie wszystko!

- Wiem. - Michael poprawia się na swoim krześle, czując mdłości i żal, i strach, marząc o znalezieniu sposobu na cofnięcie czasu, marząc, by umiał się powstrzymać w porę, marząc, by nie być powodem niczyjego cierpienia.

- Czego jeszcze można chcieć? W dodatku ją kocham. Kocham tę kobietę. Jest dla mnie wszystkim... - Ku największemu przerażeniu Michaela jego szef pochyla głowę i zaczyna cicho płakać.

- Jess! Śniadanie! - Daff woła w górę schodów, po czym wraca do kuchni, by przełożyć na usmażone naleśniki jajka, które właśnie doszły.

Daff zawsze chciała być matką, która co rano szykuje śniadanie dla swojego dziecka. Chciała być panią domu, która przyrządza własnoręcznie granolę, ogląda programy Marthy Stewart i urzeczywistnia jeśli nie wszystkie jej pomysły, to przynajmniej ich część, ma za domem mały warzywnik, gdzie pomidory rosną podparte tyczkami i powojnik wspina się po białym parkanie.

Wie, że są takie kobiety. Niektóre zna nawet osobiście. W szkole Jessiki roi się od matek, które nie zajmują się niczym innym, mają dom zastawiony własnoręcznie zrobionymi bibelotami i przynoszą na wystawkę na zajęciach praktycznych domki dla lalek, zbudowane ze starego pudełka po butach i skrawków starej tapety - tak przynajmniej mówią.

Daff czuje, że nie dorasta im do pięt, odkąd Jessika zaczęła przedszkole. Rany, jeszcze dłużej - od czasów żłobka. Te kobiety biją się, by mieć dyżur w klasie, urządzają poranki śniadaniowe ze świeżo zaparzoną kawą, upieczonymi w domu rogalikami i schłodzoną lemoniadą, płyną przez szkolne korytarze z przyklejonym do twarzy uśmiechem świętej, nigdy się nie denerwują, nigdy nic ich nie przerasta, i nigdy - Boże broń - przenigdy nie krzyczą na swoje dzieci.

Czasami Daff się zastanawia, czy Jessika traktowałaby Ją lepiej, czy byłaby dla niej miłsza, gdyby ona była dla niej lepszą matką. Gdyby przyrządzała makaron z serem z surowych produktów, a nie z paczkowanego spaghetti, tartego sera z supermarketu i sosu Krafta. Gdyby to ona, a nie pani Entenmann piekła czekoladowe ciasteczka na szkolną imprezę. Gdyby, mówiąc w skrócie, była taka jak inne matki. Gdyby była supermatką, jak myśli o nich w chwilach słabości.

Wierzy, że supermatka nie ma córki, która by warczała, ilekroć próbuje do niej zagadać. Supermatka nie ginie pod zwałami rachunków, zajmujących niemal cały blat w kuchni. Supermatka nie karmi swojego dziecka płatkami kukurydzianymi dzień po dniu...

Dlatego Daff postanowiła, że dziś i ona będzie supermatką. Jest sobota, a w ten weekend Jessika zostaje z nią w domu, więc Daff chce za wszelką cenę spędzić przyjemnie dwa dni. Zamierza zabrać Jess do swoich przyjaciół, Barb i Gary'ego, którzy prowadzą wspaniałą, niemal zabytkową stadninę w Roxbury w stanie Connecticut.

Barb i Gary mają czworo dzieci i gdy te były młodsze, gdy wciąż jeszcze byli sąsiadami, Jessika i starsze dziewczynki dość blisko się przyjaźniły. Nie widziały się od pewnego czasu, ale Jess zawsze przepadała za końmi i jazdą w siodle, więc Daff przewiduje, iż sprawi córce miłą niespodziankę.

Weekendy okazują się o wiele trudniejsze, odkąd została samotną matką. Czuje potrzebę, aby całkowicie się poświęcić dla Jessiki, o czym nigdy wcześniej by nie pomyślała, aby planować wspaniałe wspólne zajęcia, które je do siebie zbliżą i zrekompensują dziewczynce brak ojca, aby za wszelką cenę uczynić ją szczęśliwą. Kiedy mieszkała z Richardem, w soboty i niedziele każde po prostu zajmowało się tym, co akurat było do zrobienia - sprawunkami, na które nigdy nie ma czasu w tygodniu, odwiedzinami znajomych, aby nie wyjść na odludków, pracą w ogrodzie, by nie pozwolić chwastom wygrać odwiecznej wojny - a Jess starała się do nich jakoś dopasować.

Tyle że ostatnimi czasy prawie nic nie sprawia Jessice radości. Daff ma nadzieję, że ten weekend okaże się inny, no i Jess zawsze jest miłsza, kiedy przebywa w towarzystwie rówieśników.

- Jess! - Daff podchodzi do schodów i jeszcze raz wola córkę, a kiedy w dalszym ciągu nie ma odzewu, wdrapuje się na górę i puka do drzwi jej pokoju, wzdychając w duchu.

- Śniadanie na stole - mówi, starając się, by w jej głosie nie było słycać poirytowania, gdyż nie tak wyobrażała sobie początek tego dnia. - Wołam cię i wołam...

Odpowiada jej cisza.

Daff naciska więc ostrożnie klamkę i uchyla drzwi. Jessiki nie ma w środku.

- Jess? - pyta zaniepokojona i sprawdza łazienkę. Pusto. Przechodzi więc do swojej łazienki, ponieważ Jessika niedawno stwierdziła, że „co jest twoje, jest też moje, ale co moje, tego nie rusz”, i bez oporów korzysta z grzebieni matki, jej odżywki do włosów, płynu do kąpieli i kolorowych kosmetyków, które nagminnie dostają nóg i zmieniają miejsce pobytu. Niestety, tym razem pudło. Jessiki nigdzie nie ma.

- Jess?! - Daff ponawia wołanie, zbiegając po schodach. Dziewczynki nie ma w salonie ani w jadalni, ani w bibliotece. Nie ma jej naprawdę nigdzie.

Daff właśnie zaczyna przekopywać dom od nowa, wykrzykując imię córki raz po raz, czując panikę podchodzącą

Jej do gardła, kiedy dzwoni telefon. Podnosi słuchawkę zdyszana, ledwie hamując łzy.

- Halo?

- Tu Richard. Jess jest u mnie. Myślę, że powinnaś przyjechać.

\* \*

Daniel nie wyjeżdżał nigdzie sam, jeśli nie liczyć podróży związanych z pracą, od bardzo, bardzo dawna. Dziwnie się czuje, siedząc na promie, otoczony przez rodziny wybierające się na wakacje, też wybierając się na wakacje, tylko że bez swoich najbliższych.

Pragnął przyjechać tu z nimi, chciał nadal spędzać z dziewczynkami tak dużo czasu, jak to tylko możliwe, lecz Bee się na to nie zgodziła.

- Rzuciłeś mnie - syknęła; najwyraźniej gniew zaczął już zajmować miejsce rozpaczy. - Nie udawaj więc, że nadal jesteś częścią rodziny.

- Ale przecież jestem jej częścią - zaprotestował zraniony i z lekka oburzony. - Jestem ich ojcem. To się nigdy nie zmieni. Na zawsze pozostanę częścią ich rodziny.

- Owszem, ale nie mojej - odpowiedziała mu Bee i odłożyła słuchawkę.

Zdarzały jej się dobre dni. Niektóre były całkiem udane, w inne Bee zalewała się łzami, w jeszcze inne popadała w filozoficzny nastrój, lecz przez większość czasu, zwłaszcza ostatnio, nie posiadała się z gniewu.

A potem nadeszły wakacje i Daniel zabronił Bee wywożenia dziewczynek na Nantucket na cały miesiąc. Upierał się, że powinien z nimi być, że powinni pojechać we czwórkę, jak pierwotnie zamierzali, utrzymywał, że to dla dobra dzieci, lecz Bee twardo odmawiała.

- Jeżeli zechcesz zamieszkać na wyspie w tym samym czasie, kiedy my tam będziemy, nie zdołam cię powstrzymać - oznajmiła, po czym niechętnie przyznała: - a dziewczynki się ucieszą. Ale nie



oczekuj ode mnie, żebym udawała, że między nami jest wszystko dobrze. Nie ja wszystko popsułam. To nie był mój wybór. Ja nigdy bym nie podjęła takiej decyzji.

Przeszukał Internet, chcąc znaleźć coś do wynajęcia, coś niedużego i niedrogiego. Coś, co bez żalu by zostawił i wrócił do Westport do pracy, po czym znów przyjechał do Massachusetts na weekend.

Nieduże i niedrogie to pojęcia nieznane na Nantucket. Ale jemu nie trzeba było wiele do szczęścia. Cały dom wydawał mu się ekstrawagancją. Skupił się więc na apartamentowcach, ale nie znalazł nic odpowiedniego ani mieszczącego się w przyjętych widełkach cenowych. Podobne finansowe rozterki były mu wcześniej obce, ale że nie miał pojęcia, ile przyjdzie mu płacić alimentów i w jakiej wysokości będzie musiał łożyć na utrzymanie dzieci, uznał, że nie czas teraz na rozrzutność.

W końcu znalazł pokój w starym domu. Przynajmniej na zdjęciach sprawiał wrażenie czystego. Z pewnością z okien rozciągał się wspaniały widok. Właścicielka zapewniała przez telefon, że przepada za dziećmi i że będzie dość miejsca, gdyby jego córki zechciały zostać u niego na noc.

To przesądziło sprawę. Podjął decyzję bez dalszego zastanawiania się.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Daff nie była wcześniej u Richarda, toteż trudno jej powściągnąć ciekawość. Idąc za nim do kuchni, rozgląda się na boki, odnotowuje obecność mebli, które zabrał z ich wspólnego domu, i nowe przedmioty, które sobie sprawił: dywany, telewizor plazmowy, biblioteczkę.

Mieszkanko jest schludne i wysprzątane, panuje w nim o wiele większy porządek niż w domu Daff. Fakt, przez całe ich małżeństwo Richard suszył jej głowę o to, że jest bałaganiarą, ale nigdy by go nie posądzała o aż takie zorganizowanie. Wszystko leży na swoim miejscu, a w kuchni na blacie znajduje się tylko to, co potrzebne; nie ma mowy o kupach papierów zaścielających wolne powierzchnie. Ale zdaniem Daff brak tym wnętrzem rzeczy, jakie czynią z mieszkania prawdziwy dom. Nigdzie nie dostrzega fotografii, na lodówce nie wiszą zaproszenia od znajomych, obok kuchenki nie ma otwartej i poplamionej książki kucharskiej. U niej w domu są to także muszelki, kolekcjonowane od lat, i różne interesujące pudełeczka do przechowywania różności.

Nie mogłabym tak żyć, myśli sobie, siadając przy kuchennym stole (z marketu budowlanego, rozpoznaje nawet model zapamiętany z katalogu) i rozglądając się wokół wyczekująco.

- Gdzie ona jest? - pyta na głos męża. - Tak się martwiłam. Wciąż trudno mi uwierzyć, że wymknęła się z domu i pojawiła u ciebie. Jak się tu w ogóle dostała?

- Pieszko - odpowiada Richard z poważną miną.

- Pieszko? Ale przecież odległość...

- Rozpoczęła wędrówkę o trzeciej nad ranem.

- Co? - Zszokowana Daff prostuje się w krześle. - O trzeciej nad ranem? Mając trzynaście lat? O mój Boże! Mogło jej się przytrafić coś strasznego!

- Wiem. To samo jej powiedziałem.

- Nie mogę w to uwierzyć. To godne potępienia. Powinna ją za to spotkać kara. Będzie miała szlaban...

- W zupełności się z tobą zgadzam - potakuje Richard.

- Tyle że chyba mamy znacznie większy problem.

- Czyli? - Daff nagle zaczyna się bać.

- Ona nie chce wracać do domu.

- Jak to: nie chce wracać do domu?

- Postanowiła zamieszkać ze mną i odmawia powrotu do domu.

- Nie może ot, tak sobie odmówić powrotu do domu - śmieje się nerwowo Daff. - To znaczy, może, ale przecież ma zaledwie trzynaście lat. W tym wieku rzadko kiedy robi się to, na co się ma ochotę. Musi do mnie wrócić.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Wiem, że bez przerwy się kłóćcie, i... choć oczywiście nie byłoby to na stałe... pomyślałem, że może najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby trochę pomieszkała ze mną.

- Trochę, czyli jak długo?

- Nie wiem dokładnie, z pewnością tylko przejściowo, ale uważam, że tak byłoby najbezpieczniej, biorąc pod uwagę, że się uparła, no i że to nikomu nie zaszkodzi.

- Ale ja jestem jej matką - wyrzuca z siebie gwałtownie Daff. - Ona musi być ze mną.

- Daff, posłuchaj, to nie jest wymierzone przeciwko tobie - zapewnia ją Richard łagodnie. - Moja siostra jako nastolatka nienawidziła matki, a teraz nie ma od niej lepszej przyjaciółki, do tego stopnia, że nigdy byś nie powiedziała, jakie piekło sobie urządzały nawzajem lata temu. Jess w pewnym sensie przypomina mi moją siostrę i myślę sobie, że być może dziewczęta po prostu muszą przejść przez ten okres w życiu. Niewykluczone więc, że tylko by pomogło, gdybyście na jakiś czas się rozstały...

- Nie wiem, co powiedzieć... - mówi z wahaniem Daff i w głębi duszy nienawidzi się za to, że jest rozdarta. Z jednej strony chce zatrzymać Jessikę przy sobie. Nic nie da się porównać do relacji między matką a córką. Jak Richard miałby wyjaśnić dziewczynce sprawy takie, jak miesiączka, makiż, pierwsza miłość i masę innych, z jakimi lada moment będą mieli do czynienia. Z drugiej strony pragnie nieco spokoju dla siebie, chce móc chodzić po domu bez ciągłego wrażenia, że stąpa po cienkim lodzie, i nie czekać tylko na kolejny wybuch Jessiki, popłakując wieczorami niepewna, kiedy uda jej się odzyskać córkę, którą najwyraźniej ktoś podmienił.

- Jess cię kocha... - Głos Richarda łagodnieje jeszcze bardziej, gdy mężczyzna dostrzega łzy zbierające się w oczach jego byłej żony. - Po prostu buzują w niej hormony i musi znaleźć dla nich jakieś ujście.

- Wiem. - Daff przetyka ciężko. - Byłam taka sama jak ona. Ale Richardzie, ty przecież pracujesz. Jak znajdziesz dla niej czas? Kto będzie czekał na nią w domu, gdy będzie wracać ze szkoły? Jak sobie wyobrażasz ciągłą opiekę nad nią?

- Jest jeszcze Carrie - mówi Richard. Nie chciał poruszać tego tematu, na razie jeszcze nie, ale Daff i tak musiała się dowiedzieć.

- Carrie, twoja przyjaciółka?

- Tak. Właśnie się do mnie wprowadziła. Jest dziennikarką i pracuje w domu. Wyłącznie w domu.

- I nie ma nic przeciwko zajmowaniu się naszą córką?

- Zaprzyjaźniły się. Nie od razu i Bóg świadkiem, że wciąż zdarzają się między nimi scysje, ale Carrie zdaje się świadoma tego, w co się pakuje. Chce mnie wspierać we wszystkim, co uczyni tę sytuację znośniejszą dla całej naszej czwórki.

- Poznam ją?

- Moim zdaniem powinnaś. Myślałem nawet o tym, żebyście się umówiły na kawę. Pewnie znajdziecie wspólny język łatwiej, kiedy mnie nie będzie w pobliżu...

- Okej - przerywa mu Daff. - Daj mi się nad tym wszystkim zastanowić. - Wzdycha. - To poważna sprawa. Na razie nie potrafię udzielić ci odpowiedzi.

- Rozumiem to. - Richard wstaje. Nagle Daff wydaje mu się tak zagubiona, że bezwiednie wyciąga ramiona ku niej, a ona bez wahania robi krok i pozwala mu się objąć. - Przykro mi - szepcze Richard zdumiony, z jaką łatwością ją przytula po tak długiej przerwie, uświadamiając sobie, że mimo iż mieszka już z Carrie, tak naprawdę nigdy nie rozstał się z Daff, i to nie tylko dlatego że mają razem dziecko. I rzeczywiście jest mu przykro. Być może odnalazł szczęście, lecz konsekwencje jego pierwszej zdrady mają dalekosiężne skutki, bardzo go boli widok cierpiącej Jessiki i teraz zagubionej Daff; wciąż są takie chwile, kiedy nie wie, jak mógł być jej niewierny.

- Wiem - odpowiada zapłakana Daff. - Mogę się z nią już zobaczyć?

Jessika siedzi po turecku na łóżku, słuchając muzyki z iPod'a. Natychmiast jednak wyciąga słuchawki z uszu, kiedy Daff wchodzi do jej pokoju. Chyba po raz pierwszy w życiu wygląda na szczerze skruszoną.

- Och, Jess... - Daff przysiada obok niej i zamyka ją w objęciach. Dziewczynka pozwala ukołysać się jak małe dziecko.

- Przepraszam, mamó - mówi. - Nie pomyślałam o tych wszystkich rzeczach, które mogły mi się przytrafić. Zwyczajnie chciałam zobaczyć tatę.

- Wiem, słonko. Po prostu nie rób tego więcej.

- Rozmawiałaś z tatą?

- O tym, że chcesz z nim zamieszkać?

- Tak.

- Naprawdę tego właśnie chcesz?

- Nie chodzi o to, że nie chcę mieszkać z tobą - rzuca asekuracyjnie Jess, nagle bardzo podobna do pięciolatki, którą jeszcze całkiem niedawno była. - Ale bardzo tęsknię za tatą. Chciałabym móc z nim pomieszkać przez jakiś czas.

- Powiedziałaś tacie, że o tym pomyślę... - Daff mruga oczyma, przeganiając łzy, i równocześnie rozgląda się po pokoju córki. - Hej, ładnie tutaj. Kto to malował? - pyta, wskazując naścienną grafikę do filmu *Lakier do włosów*.

- Carrie - odpowiada nieco zawstydzona Jessika. - Dowiedziała się, że to mój ulubiony film, i postanowiła mi zrobić niespodziankę.

- No, no... Ma dobrą rękę.

- Pomogła mi też urządzić ten pokój - dodaje Jessika i pokazuje na materac pełniący funkcję kanapy, na poduszki i regały na książki. - Poszliśmy raz do Ikei na zakupy i było wtedy całkiem fajnie... - Spogląda nerwowo na matkę. - Ja nie... Nie wiedziałam przedtem, ile mogę ci mówić. O Carrie i reszcie...

- Nic się nie stało - zapewnia ją Daff. - Cieszę się, że tata znalazł sobie dziewczynę. Lubisz ją? Jessika wzrusza ramionami.

- Czasami. To znaczy, lubię ją, kiedy jesteśmy tylko we dwie, ale nie rozumiem, czemu musi być przyjaciółką taty. Po co mu w ogóle taka przyjaciółka? Mam nadzieję, że niedługo oboje zmadrzeją i będą się naprawdę tylko przyjaźnić. Wtedy byłoby o wiele lepiej...

- Domyślam się, co czujesz - wtrąca Daff. - Pewnie trudno ci się dzielić tatą z kimkolwiek.

- No. Odkąd mieszkają razem, wszędzie jej peino i już nie mogę być z tatą sam na sam. To dlatego chcę tu zostać, to jest, chciałam powiedzieć: pomieszkać trochę, bo wtedy będę mogła z nim spędzać o wiele więcej czasu i robić takie zwykłe, codzienne rzeczy...

- Tak uważasz?

- O, tak... On też tak myśli. Powiedział mi to. No więc, mamo, jak będzie? Mogę? Mogę się przeprowadzić do taty? Oczywiście i tak będę się z tobą widywać i w ogóle, ale mieszkałabym tutaj, dobrze? Zastanowiłaś się już?

- Jeszcze nie. - Daff się uśmiecha i klepie córkę po plecach, myśląc, jakie to miłe, że potrafią wreszcie ze sobą rozmawiać jak ludzie. Minęły miesiące od dnia, w którym Jess powiedziała coś do niej bez sarkania i robienia min, a już to, że wyznała jej, co czuje w związku z Carrie, zakrawa na

prawdziwy cud. Może więc ten ich pomysł nie jest taki zły. Może faktycznie powinni spróbować, na razie tylko na lato, i przekonać się, jak się sprawy ułożą.

Tylko że wtedy... Daff zostanie sama. I co niby będzie miała robić sama jak palec?

Na odpowiedź na to pytanie wpada, wracając do domu. Jej myśli krążą wokół pracy, wokół nieruchomości, które ostatnio wystawiła na sprzedaż, i co jeszcze mogłaby zrobić, żeby przyciągnąć klientów, i nagle przypomina jej się zdjęcie widziane u Karen. Nantucket.

Mogłaby pojechać do Nantucket. Po raz pierwszy od ponad trzynastu lat nie musi myśleć o nikim poza sobą. Czas na przygodę. Na zwiedzenie nowych miejsc i poznanie nowych ludzi.

Notując sobie w pamięci, by poczytać w Internecie o wyspie i sprawdzić ceny wynajmu tamtejszych domów, Daff uśmiecha się do siebie szeroko przez całą dalszą drogę do domu.

\* \*

Kiedy Michael przekracza próg, czuje, że w mieszkaniu unosi się zapach podsmażanego na maśle czosnku. Aromat jest tak wspaniały, że przez chwilę mężczyzna myśli, iż przez pomyłkę wszedł do cudzego domu albo nawet do eleganckiej restauracji.

- Halo? - Zagląda do kuchni ostrożnie, ponieważ spodziewał się, że Jordana wyprowadzi się dzisiaj, przeniesie się do jakichś swoich przyjaciół bądź do hotelu czy czegoś w tym stylu; poza tym nie jest pewien, czy zdoła poradzić sobie z poczuciem winy, po tym jak Jackson uczynił zeń swego powiernika.

Jordana podnosi na niego wzrok znad piecyka, na którym podsmaża cebulkę i czosnek, i z rogu maleńkiego pomieszczenia posyła mu spojrzenie przepelnione szczęściem.

- Pomyślałam, że przyrządzę dla ciebie kolację - mówi. - W ramach podziękowania za to, że przygarnąłeś mnie minionej nocy.

- Nie spodziewałem się tu ciebie - odpowiada jej Michael. - Sądziłem, że zamierzasz wprowadzić się do jakiegoś hotelu.

- Oczywiście - zapewnia prędko kobieta, a z jej oczu ulatnia się cała radość. Najwyraźniej nie sprawiła Michaelowi przyjemności, co ją dziwi, gdyż jaki mężczyzna, jaki szanujący się kawaler nie byłby zachwycony na widok kogoś takiego jak ona szykującego mu kolację w domowym zaciszu?

Jest przekonana, że Michael nade wszystko potrzebuje kobiety, która by roztoczyła nad nim opiekę. Dlatego nie tylko załatwiła sprawunki i zabrała się do gotowania - a na Long Island już dawno przestała zaglądać do kuchni w tym celu - ale także starła kurze. Chce, aby Michael zrozumiał, jaka jest cudowna, jakie wspaniałe może być ich życie razem - pragnie tego tym bardziej, że nagle wyczuwa pomiędzy nimi dystans - a nie zna innego sposobu, aby go przy sobie zatrzymać, aby pokazać, że jest niezastąpiona, że potrafi uczynić jego życie lepszym, niż było w pojedynkę.

To znaczy, może jeszcze zrobić mu laskę - w tym nie ma sobie równych.

- Zameldowałam się w hotelu St. Regis - dodaje, odkładając łyżkę i gasząc gaz pod patelnią, po czym pokonuje dzielącą ich niewielką odległość i pociera dłonią krok jego dżinsów. Michael wbrew sobie wydaje zduszony jęk. - Mam odejść czy zostać? - pyta go Jordana, przyklękając wolno i rozpinając mu rozporek. Wie, że teraz ma nad nim władzę, wie, jakie wywiera na nim wrażenie, przynajmniej gdy chodzi o te sprawy.

- Zostać - sapie Michael w odpowiedzi, a ona z uśmiechem tryumfu na twarzy bierze go do ust.

Michael odkłada nóż i widelec i wzdycha. Próbuje jeść. Zdaje sobie sprawę, że potrawa jest wyśmienita - makaron wygląda wspaniale i pachnie równie dobrze - i że gdyby tylko był w stanie cokolwiek poczuć, przekonałby się, że smakuje też wybornie. Mimo wszystko nie potrafi się zmusić.

Przełknął jeden kęs, ale dalej tak nie może. Nie może się bawić w zadowoloną parę, skoro już wie - dosyć nieoczekiwanie, lecz bez cienia wątpliwości - że on i Jordana nie są sobie pisani.

Czuje się tak, jakby się przebudził z transu wskutek cierpienia Jacksona, wskutek szoku wyróconego do góry nogami życia ich wszystkich, jakby ta nagła świadomość przywróciła go do rzeczywistości - rzeczywistości, której częścią Jordana nigdy tak naprawdę nie była.

- Coś nie tak? - pyta go teraz. Wydaje się beztroska. Odbiera tę sytuację jako całkowicie naturalną; wpadła po uszy z chwilą ich pierwszego pocałunku i z łatwością porzuciła Jacksona oraz swoje dawne życie, gdyż po prawdzie nie myślała wiele ani o mężu, ani o rzeczywistości, odkąd jej fantazje się spełniły.

Właśnie na to czekała od tygodni, ale niezupełnie tak to miało wyglądać.

W jej marzeniach Michael jest tak samo czarujący jak zawsze, może nawet bardziej, i przepelnia go niewysłowiona wdzięczność za to, że miała odwagę odejść od męża. Wita ją u siebie z otwartymi ramionami i łzami w oczach, zapewnia o swojej gorącej miłości oraz roztacza wizję wspólnego życia.

Dla niego Jordana mogłaby nawet zająć w ciążę i urodzić dziecko, mimo że nigdy przedtem nie dopuszczała do siebie myśli o założeniu rodziny z prawdziwego zdarzenia. Jednakże na samą myśl o malutkim Michaelu, albo jeszcze lepiej malutkich Michaelach, owocu ich miłości, miękną jej kolana! Całkiem niedawno zaniechała nawet łykania pigułki, gdyż - spójrzmy prawdzie w oczy - nie robi się coraz młodsza.

A co do Jacksona - cóż, Jackson sobie poradzi. Nie będzie miał innego wyjścia. Prędzej czy później pozna kogoś i wtedy wszyscy czworo będą mogli się przyjaźnić lub przynajmniej pozostawać w dobrych stosunkach. Jordana nie czuje do niego wrogości, nie chce go zranić w żadnym stopniu, ale z każdą chwilą upewnia się w przekonaniu, że to Michael jest jej przeznaczony, że z nim powinna spędzić resztę życia.



Jakże mogłaby zwrócić się przeciwko wyrokom losu? Jakże mogłaby nie skorzystać z okazji i trwać przy niewłaściwym mężczyźnie? Jackson pomęczy się trochę, ale w końcu także zrozumie, iż Jordana nie była jego drugą połówką i podjęła najlepszą decyzję z możliwych - dla nich obojga.

A jednak zaczyna odczuwać lekki niepokój, gdy się przypatruje Michaelowi, który walczy z kolejnym kęsem jedzenia. Nie tak to miało wyglądać! Dlaczego Michael sprawia wrażenie, jakby przytłaczał go wielki ciężar? Dlaczego wydaje jej się, że zaraz usłyszy od niego coś, czego wcale nie chce usłyszeć ani tym bardziej zobaczyć? Pragnie, aby wszystkie zegary świata cofnęły się o kilka tygodni - do czasu, kiedy sprawy między nimi układały się doskonale. Tętno jej przyśpiesza i ogarniają ją mdłości, gdy Michael otwiera usta nie po to, aby posilić się przyrządzonym przez nią makaronem, lecz by coś powiedzieć.

- Nie mogę tego dalej ciągnąć, Jordano - oświadcza łagodnie.

- Ciągnąć? Czego ciągnąć? - pyta, nieomal się dławiąc tymi słowami.

- Rozmawiałem dzisiaj z Jacksonem. - Michael podnosi na nią poważny wzrok i odszukuje spojrzeniem jej oczy. - Bardzo cierpi. Źle się z tym czuję. Nie sądzę, abym był zdolny mu to zrobić.

- Wiem... - grucha Jordana, myśląc, że jeśli chodzi tylko o to, poradzi sobie, znajdzie sposób. - Jasne, że z początku będzie to dla niego bolesne, lecz masz moje słowo, że z czasem Jackson zrozumie, jak nieodpowiedni dla siebie byliśmy i...

- Być może - przerywa jej Michael. - Być może nie jesteście dla siebie stworzeni, lecz mimo to... Nie mogę...

- Nie możesz czego?

- Nie mogę być z tobą - odpowiada po chwili milczenia, w dalszym ciągu niezwykle łagodnym tonem.

Jordana wypuszcza powietrze z płuc.

- Dobrze. Świetnie. Nie będziemy się przez jakiś czas widywać. Potrafię zrozumieć, że to dla ciebie niełatwe. Poza tym wyjdzie nam to tylko na dobre. Pewnie wiele ryzykujemy, obnosząc się z naszą znajomością. Uzbiorę się w cierpliwość. - Pochyla się nad stołem i ujmuje Michaela za rękę.

- Warto czekać na to, co możemy razem stworzyć - dodaje ze szczerością w głosie.

Zapada przeciągająca się cisza, po czym Michael kręci głową.

- Jordano, uważam, że jesteś wspaniałą kobietą. Jesteś piękna, mądra, masz poczucie humoru i duży talent...

- O mój Boże - wzdycha Jordana, przewracając oczyma.

- Domyślałam się, że zaraz nastąpi jakieś „ale”.

- W innych okolicznościach byłabyś idealną kobietą dla mnie, lecz tak wiele nas dzieli. Nie chodzi tylko o to, że jesteś mężatką, że ja jestem twoim pracownikiem i lubię twego męża. To znaczy, to by właściwie wystarczyło, ale jest tego przecież znacznie więcej. Zawsze mówiłaś, żebyśmy nie

próbowali scalić twojego i mojego życia ani połączyć naszych światów, tylko byśmy się starali stworzyć zupełnie nowy, w którym moglibyśmy żyć oboje. Jeśli mam być szczery, jakoś tego nie widzę. Nie wydaje mi się, aby to było możliwe.

- Oczywiście, że to możliwe - upiera się Jordana.

- Moim marzeniem jest wieść proste życie u twojego boku. Niepotrzebne mi to wszystko, czego się dorobiłam. Bez trudu z tego dla ciebie zrezygnuję...

- Ale ja nie chcę, abys z czegoś dla mnie zrezygnowała - wpada jej w słowo Michael. - Zdradziłabyś w ten sposób samą siebie.

- Mam wiele różnych twarzy! - Desperacja Jordany staje się wyraźniejsza z każdą chwilą, w miarę jak się stara zbić argumenty Michaela, przemówić mu do rozsądku. - Poznałeś tylko jedną z nich i myślisz, że to wszystko, ale jest inaczej!

- Nie twierdzą, że jesteś jednowymiarowa, tylko... - Urywa i wzdycha. To trudniejsze, niż sądził. W krótkim czasie stali się sobie niesłuchanie bliscy, lecz teraz już wie, nareszcie wie na pewno, że absolutnie do siebie nie pasują i że trzeba to zakończyć jak najszybciej. Lecz jak to zrobić, nie raniąc jej przy tym? - Jackson cię kocha - mówi z perswazją. - Mieliście lepsze i gorsze dni, lecz któż ich nie ma? Jesteście ze sobą od lat i coś mi podpowiada, że nie powinnaś od niego odchodzić ze względu na mnie. Moim zdaniem stanowicie dobraną parę. Uwierz mi, Jackson zasługuje na to, abys dała mu drugą szansę. Może o to właśnie w tym wszystkim chodziło: byłem katalizatorem, który miał zbliżyć was na powrót do siebie.

- Ty chyba, kurwa, żartujesz! - Głos Jordany twardnieje, podobnie jak jej postawa, gdy prostuje się na krześle i spogląda na Michaela z niedowierzaniem. - Puściłam z dymem swoje dotychczasowe życie dla ciebie, a ty mi teraz radzisz, żebym wróciła do męża, bo mnie nie chcesz? Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć!

- Nie chodzi o to, że cię nie chcę... - Michael czuje się żałośnie w obliczu jej gniewu. - Raczej o to, że nie widzę przed nami wspólnej przyszłości i wolałbym nie brać odpowiedzialności za rozpad twojego małżeństwa.

- Kurewski tchórz z ciebie! - wyrzuca z siebie Jordana, zrywając się na nogi. - Po prostu podobało ci się rżnięcie szefowej, do czasu aż stało się to zbyt poważne. Jak mogłam się na to nabrać?... Jak mogłam nabrać się na ciebie?... Jezu Chryste! - Przeczesuje palcami włosy, równocześnie rozglądając się po mieszkaniu. - Ale byłam, kurwa, głupia!

- Proszę, nie odchodź w gniewie - mówi do niej Michael, stając z opuszczonymi rękami przy drzwiach wyjściowych, gdy Jordana ciska do torby ostatnie ze swoich rzeczy, nie odzywając się do niego ani na niego nie patrząc. - Może moglibyśmy porozmawiać...

Jordana w dalszym ciągu milczy. Zamyka walizkę równie szczelnie jak usta, po czym przepycha się obok niego i wypadłszy na korytarz, z impetem uderza w przycisk wzywający windę. Stoi ple-

cami do Michaela, który delikatnie zamyka drzwi mieszkania, wciąż niepewien, co czuje. Podenerwowanie. Smutek. Ulgę.

\* \*

Telefon dzwoni dwie minuty po trzeciej nad ranem.

- To ja... - Głos Jordany zdaje się lekko zachrypnięty. Musiała płakać po tym, jak wściekłość sprzed kilku godzin wyparowała w drodze od niego do hotelu.

- Słucham? - pyta Michael ostrożnie.

- Przepraszam - mówi i zaczyna szlochać. - Kocham cię. Naprawdę cię kocham. Bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Wiem, że jesteśmy sobie pisani. Wiem, że możemy być razem. Proszę, nie rób mi tego. Daj mi drugą szansę... Daj drugą szansę nam...

- Jest późno - odzywa się Michael po chwili milczenia. - Oboje mamy za sobą wyczerpujący dzień. Najlepiej będzie, jak prześpimy się teraz i porozmawiamy o tym rano. W świetle dnia wszystko wyda się jaśniejsze.

- Zgoda - odpowiada. - Pamiętaj, że cię kocham.

Michael odkłada słuchawkę, wstaje z łóżka i podchodzi do swojego komputera. Otwiera nowy dokument w Wordzie i zaczyna pisać.

\* \*

Jackson siedząc w swoim biurze, rozrywa kopertę po uważnym sprawdzeniu adresu nadawcy umieszczonym przepisowo w lewym górnym rogu. Dlaczego Michael, jego złotnik, napisał do niego list? Zaintrygowany rozprostowuje kartkę i zaczyna czytać. Coraz częściej potrząsa głową z niedowierzaniem, wreszcie podpira ją na dłoniach i zamyka oczy.

- Chryste... - szepcze, unosząc oczy ku sufitowi. Podnosząc głos, dodaje: - Dlaczego właśnie ja? Co ja niby mam teraz zrobić? - Sięga po słuchawkę telefonu i wybiera numer Jordany. - Wiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać - mówi, kiedy zgłasza się poczta głosowa - ale ja muszę porozmawiać z tobą. Przyjdź do sklepu dzisiaj o trzeciej.

- Co się dzieje? - Jordana domyśliła się z tonu wiadomości, że coś się stało, i dlatego drży na całym ciele, wchodząc do biura Jacksona.

- Cóż, jeśli nie liczyć tego, że dwa dni temu zostawiła mnie żona, dostałem jeszcze to... - Przesuwa list po blacie biurka w jej stronę, a Jordana dostrzegłszy podpis Michaela na dole kartki, czuje mdłości.

- Co to jest? - pyta szeptem, choć zna już odpowiedź.

- Sama przeczytaj - odpowiada oziębło Jackson. Jordana przebiega wzrokiem linijki tekstu, po czym podnosi nierozumiejące spojrzenie na męża.

- Rzucił pracę?

- Możesz w to uwierzyć? Od dwudziestu lat trzymałem go pod swoimi skrzydłami, a on nagle znika. Bez wypowiedzenia, bez słowa wyjaśnienia, bez niczego. Co ja mam teraz, do kurwy nędzy, zrobić?

Jordana zamiast odpowiedzieć, wybucha płaczem.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Michael siedzi na ławce nad zatoką Hyannisport i obserwuje, jak wypełniony do granic przez rozentuzjasmowanych urlopowiczów prom motorowy odbija od brzegu. Po paru chwilach wstaje i kieruje się ku staromodnej barce, której przeprawa zajmie dwa razy więcej czasu, co jednak go wcale nie zraża, gdyż tak właśnie podróżował w czasach dzieciństwa i jego zdaniem nie byłoby w porządku, gdyby teraz nagle zmienił zwyczaje.

Już czuje podniecenie, jakie zawsze go ogarnia podczas powrotów do domu, powoli spowijają go znane zapachy, otaczają znane widoki, a przede wszystkim bierze nad nim górę poczucie, że wreszcie się znalazł we właściwym miejscu, zwłaszcza że wydarzenia ostatniego miesiąca czy coś koło tego wytrąciły go z równowagi i teraz potrzebuje pewnego gruntu pod nogami, aby odzyskać utracony spokój.

Wstydzi się tego, że uciekł z podkulonym ogonem, porzucając zarówno Jordane, jak i Jacksona w potrzebie, ale nic innego nie przyszło mu do głowy. Zachowanie Jordany zaczęło go przerażać, oczyma wyobraźni widział ją, jak opowiada o wszystkim Jacksonowi albo co gorsza nie przyjmuje jego decyzji do wiadomości, i wiedział, że im dłużej by przy niej pozostał, im dłużej brnąłby w tę sytuację, tym niebezpieczniejsze stawałoby się jego położenie.

Michael nigdy nie uważał się za tchórza, ale tym razem potrzeba wyrwania się z Nowego Jorku i powrotu do domu, gdzie czuje się jak u siebie, wzięła górę, a w dodatku naprawdę miał wrażenie, że to najlepszy krok z możliwych.

Jeszcze w nocy rozesłał e-maile do wszystkich swoich znajomych, aby sprawdzić, czy ktoś nie chciałby podjąć jego mieszkania, i jedna z tych osób odwrotną pocztą odpowiedziała, że przyjaciel przyjaciela przyjechał z Londynu na pół roku i chętnie zapłaci gotówką. Targu dobito bez zbędnych pytań.

Michael podnosi swój plecak i dziarsko maszeruje w stronę promu, uśmiechając się do siebie na widok krótkiej kolejki samochodów przygotowujących się do wjechania na pokład; każdy wóz ciągnie przyczepkę z łodzią i na tylnym zderzaku ma przyklepioną wielobarwną gamę zezwoleń na korzystanie z ruchu kołowego na wyspie - poszczególne kolory oznaczają konkretne lata, kiedy właścicielom przysługiwał ten dość kosztowny przywilej.

Wracają do niego wspomnienia. W czasach swojej młodości co roku był świadkiem, jak ktoś, zazwyczaj wczasowicz, grzązał na plaży, szaleńczo buksując kołami w piachu. Potem, na Manhattanie, ilekroć dostrzegał podobne nalepki na zderzakach błyszczących czernią range-roverów, świadczące o zamożności kierowcy, o tym, że stać go, by wraz z rodziną spędzić urlop w miejscu, które stało się rajem dla milionerów, śmiał się pod nosem. Rajdy po plażach Nantucket pasowały raczej starym land-cruiserom, poobijanym jeepom, wyklepanym pikapom aniżeli ekskluzywnym wersjom tychże, nieskazitelnym wozom o lśniącej karoserii należącym do menedżerów funduszy hedgingowych.

Na pokładzie panuje chłód, jednakże Michael chce pierwszy zobaczyć wyspę. Pragnie pierwszy zejść na ląd, mija więc kolejkę wczasowiczów ustawiających się przy witrynie Juice Bar po lody i przechodzi obok sklepu na rogu - który tkwi tam od niepamiętnych czasów i oferuje niezmiennie czapeczki bejsbolowe i koszulki z nadrukiem NANTUCKET - by wydostać się na Main Street i na własne oczy przekonać się, jak wiele zmian zaszło od dnia, gdy był tutaj po raz ostatni.

- Mike?

Michael odwraca głowę i niemal od razu uśmiecha się szerzej.

- Jeff?

- Cześć, stary! - Obejmują się i poklepują po plecach.

- Tak sobie właśnie myślałem, że to ty! Kopę lat... Co tu porabiasz? Doszły mnie słuchy, że otworzyłeś salon jubilerski w sercu Nowego Jorku i zbijasz kasę.

Michael nie przestaje się uśmiechać.

- To nie do końca prawda - prostuje. - Byłem złotnikiem w jednym z takich salonów, choć nigdy byś tego nie powiedział, wiedząc, ile zarabiam.

- Amen - dopowiada Jeff.

- A co u ciebie? Ponoć ożeniłeś się i masz dzieciaki?

- Yhm. Z Emilią, mamy dwóch chłopców i dziewczynkę.

- Wciąż łowisz ryby?

- Częściej niż kiedyś. Przejąłem interes po tacie parę lat temu...

- Naprawiasz łodzie?

- Yhm. Staruszek wciąż pracuje, ale ja teraz rządę.

- I jak ci idzie?

- Jak po maśle. Wyobraź sobie tych wszystkich bogaczy z wielkimi łodziami, o których nie mają zielonego pojęcia.

- Domyślam się, że nieźle ich skubiesz. Jeff szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Na biednych nie trafiło. Poza tym inaczej bym umarł z głodu. Życie na wyspie znacznie zdrożało ostatnimi czasy.

- Też tak słyszałem.

- Na długo wróciłeś?

- Jeszcze nie wiem... - Michael wzrusza ramionami.

- Mama posunęła się w latach i ten dom może już nie być na jej siły. Pewnie trochę się tu pokręca.

- Cóż, gdybyś szukał pracy w warsztacie, daj mi znać.

Na horyzoncie pojawiło się nabrzeże Coatue i Michael z Jeffem równocześnie opierają się o reling. Michael nie zdaje sobie sprawy, że uśmiech wciąż błąka mu się na ustach. Jednak nie ma to jak w domu! Tylko tutaj zawsze czuł się jak u siebie i po prostu musiał wrócić, aby sobie o tym przypomnieć.

- Wciąż jest tu pięknie - wzdycha.

- Taa... Wiele się zmieniło, ale nadal donikąd bym się stąd nie przeprowadził. To moje wymarzone miejsce na ziemi.

- Chyba dotąd nie patrzyłem na to w ten sposób, ale teraz powoli też zaczynam tak uważać.

- Załóżę się, że nie tęskniłeś do korków ulicznych! - woła do niego Sara, gdy skręcającą za róg i napotykać niekończący się sznur samochodów.

- Rany! Co tu się dzieje? - Michael wyciąga szyję, żeby dostrzec czoło kolumny i zlokalizować przyczynę zatoru.

- Wygląda zupełnie jak na Manhattanie.

- To prawda. Może chciałbyś zakosztować koszmaru parkowania na wyspie?

- Nie, dzięki. Nie dzisiaj. Sara, jak miewa się mama? Ale tak szczerze. Rozmawiam z nią i wydaje mi się, że wszystko z nią w porządku, ale cały ten pomysł z wynajmem pokoi jest lekko szalony. Czy twoim zdaniem utrzymanie domu przerosło jej możliwości?

Sara kładzie dłoń na ramieniu Michaela.

- Rozumiem, że się o nią martwisz, ale uwierz mi, ona doskonale sobie radzi. Twoja matka ma więcej sił niż ktokolwiek, kogo znam. Pomysł z wynajmowaniem pokoi nadał jej życiu sens, ot co. Każdego wykończyłyby przygotowania, lecz nie ją. To czołg, nie kobieta. Poza tym - ciągnie Sara - klamka zapadła. Pojawił się pierwszy najemca, za którym ona w dodatku przepada.

- Mam nadzieję, że to nie seryjny morderca.

- Deweloper. Czyli prawie to samo. - Sara prychnęła, zadowolona z własnego dowcipu.

- Deweloper? I mama wpuszcza go za próg? Sądziłem, że potępią ich wszystkich w czambuł. Za każdym razem kiedy z nią rozmawiałem przez telefon, skarżyła mi się, że krążą wokół domu jak sępy.

- Zgadza się, ale ten nie jest miejscowy. Pochodzi z Connecticut i chyba nie stanowi zagrożenia. Biedak dopiero co rozszedł się z żoną, która wraz z dziećmi spędza wakacje na wschodnim krańcu wyspy, w Quidnet. Zachciało mu się być blisko nich.

- Jest ktoś jeszcze?



- Na razie nie, ale za parę dni pojawi się kobieta, Daff jakaś tam...

- Ją też prześwieciliście?

- Nie znasz swojej mamy? Dowiedziała się wszystkiego w ciągu pięciu pierwszych minut rozmowy. Daff to samotna matka, jej córka spędza wakacje z ojcem, a ona wreszcie spełniła swoje marzenie i wybrała się na Nantucket.

- Może tych dwoje się spiknie - śmieje się Michael.

- Czy to nie byłoby coś? Kolejny romansik w Windermere. Bóg świadkiem, że pod tym dachem zawsze aż iskrzyło, choć ostatnio jakby mniej...

- A co u ciebie, panie Powell? - okazuje zainteresowanie Sara. - Skoro już mowa o iskrzeniu i romansach, jest w twoim życiu jakaś szczególna kobieta?

Michael czuje, że drży.

- Nikt, o kim chciałbym rozmawiać. Powiedzmy, że zrobiłem sobie wolne od miłości. Na jakieś parę lat.

- A to szkoda! W sklepie u Jerry'ego pracuje kilka sympatycznych dziewczyn, na wypadek gdybyś jednak zmienił zdanie.

Michael śmieje się na cały głos.

- Będiesz pierwsza, która się o tym dowie. Jak się miewa twój mąż?

- Zajęty jak zwykle. Ale nam się układa. Jesteśmy ze sobą szczęśliwi. No i dopisuje nam szczęście.

- Miło mi to słyszeć... - Michael urywa na chwilę. - Raz jeszcze dziękuję ci, Saro. Za to, że tak dobrze opiekujesz się mamą. Naprawdę nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

- A ja nie wiem, co robiłabym bez niej - odpowiada Sara miękko. - Czasem zdaje mi się, że jest mi bliższa niż moja własna rodzina... - Kiedy przenosi wzrok na Michaela, samochody jeden po drugim zaczynają ruszać z miejsca.

Śmiech Nan, toczy się przez dom, gdy Michael wstępuje do środka.

- Halo? Mamo?

- Kochanie! - Nan tupiąc wbiega do holu, ubrana w roboczy fartuch i z drewnianą łyką w dłoni, taka sama, jaką ją zapamiętał.

Michael nagle uświadamia sobie, że od pewnego czasu obawia się ich kolejnego spotkania i tego, że jej nie rozpozna - że matka będzie przygarbiona, spowolniona przez wiek i choroby.

Lecz Nan wygląda tak jak zawsze. Włosy ma spięte w schludny koczek, wargi umalowane na ciemnoczerwony kolor, figurę zgrabną jak przed laty i co najważniejsze - wydaje się tryskać radością.

- Och, Michael!... - Zarzuca mu ramiona na szyję i przytula go mocno, po czym odstepuje o krok, aby mu się przyjrzeć. Uśmiech rozjaśnia jej twarz, kiedy ujmuje go pod brodę jak małego chłopca. W pewnym momencie jej oczy lekko ciemnieją. - Jesteś przystojny, ale smutny - wydaje werdykt,

nie odrywając od niego spojrzenia. - Chyba potrzebowałeś wrócić do domu. Ależ się za tobą stęskniłam! - Bierze go pod ramię i prowadzi w głąb holu, do kuchni.

- Och. Dzień dobry - wrywa mu się na widok stojącego na środku pomieszczenia mężczyzny, który płacząc jak bóbr, kroi cebulę w drobną kostkę i raz po raz ociera oczy papierowym ręcznikiem.

- Musicie mi wybaczyć - mężczyzna mruga powiekami - to przez tę przeklętą cebulę.

- A ja myślałem, że mama powiedziała coś, co pana zdenerwowało - stwierdza Michael i wyciąga dłoń na powitanie.

- Jestem Michael Powell.

- Wiem. Twoja mama wiele mi o tobie opowiadała. Mów mi Daniel.

- Miło mi cię poznać. Pozwól, że się upewnię. To ty jesteś pierwszym najemcą?

- Strzał w dziesiątkę!

- W takim razie dlaczego stoisz w kuchni i kroisz cebulę? Nie powinieneś być przypadkiem na plaży albo w muzeum wielorybnictwa czy gdzieś? Odpoczywać jak prawdziwy turysta? Zamiast stać przy garach w kuchni...

Daniel wybucha śmiechem.

- Wierz lub nie, ale uwielbiam gotować, a tak się złożyło, że Nan potrzebowała trochę pomocy. Zrewanżowała się wspaniałymi opowieściami...

- Chyba nie sądzisz, że choć jedno słowo jest prawdą? - Michael szczerzy się wesoło, gdy Nan rzuca mu pełne czułości spojrzenie.

- Wspaniale mieć cię znów w domu - oświadcza. - Czyż mój syn nie jest cudowny? - zwraca się do Daniela, który nieoczekiwanie spieka raka i szybko zmyka w stronę zlewu, aby umyć ręce.

Ojej, myśli Nan. Chyba coś przeoczyłam. Wciąż zamyślona prowadzi Michaela na ganek, aby dokładnie go wypytać o najświeższe wiadomości z jego życia.

Lizzie i Stella wyskakują z samochodu i pędzą po podjeździe, podczas gdy Daniel otwiera na oścież drzwi frontowe. Odzyskuje dobry humor, kiedy schyla się i pozwala, by dziewczynki wskoczyły mu w objęcia.

- Tatuś! - krzyczą równocześnie, pokrywając jego twarz pocałunkami i trzymając się kurczowo jego szyi. Czuje na ramionach ich słodki ciężar.

- Moje skarby - mówi do nich, a uśmiecha się przy tym tak szeroko, że niemal bołą go szczęki. - Tak się cieszę, że was widzę.

Spogląda w stronę samochodu, przy którym sztywno stoi Bee.

- Przyjadę po nie o piątej - obwieszcza chłodnym tonem kobieta.

- Możemy urwać jeszcze godzinkę? - prosi Daniel. - Chciałbym, żeby zjadły ze mną kolację. Zgódź się, Bee. Nie widziałem ich przez cały tydzień.

Bee zastanawia się przez chwilę, lecz w końcu kiwa głową.

- Zgoda. Do zobaczenia o szóstej. - Nie zaszczycając go ani jednym spojrzeniem więcej, wsiada do samochodu.

Nan przygląda się tej scenie przez okno i serce jej się kraje. Jest coś niezwykle znajomego w cierpieniu Bee, które dostrzega, w poczuciu straty, w złości. Dziwnie widzieć to wszystko na własnym progu, ból żony, radość Daniela z powodu spotkania z córeczkami, smutek rozpadającego się małżeństwa.

Kiedy Daniel powiedział jej, że rozszedł się z żoną, Nan od razu go zapytała, czy jest szansa, że to tylko przejściowe trudności, że uporają się ze swoimi problemami i na powrót zejdą. W odpowiedzi potrząsnął zdecydowanie głową.

- To niemożliwe - odrzekł.

- Czy twoja żona jest tego świadoma?

Przymknął oczy, aby dać odpór bólowi.

- Żadne z nas nie powiedziało wprost, że to koniec, ale wydaje mi się, że ona to wie.

- A ty? Na pewno wiesz, czego chcesz?

- Powoli do tego dochodzę - odparł z błakającym się na wargach uśmiechem. - Na razie jednak nie zamierzam popychać spraw do przodu. Po prostu chcę się nacieszyć dziewczynkami, póki mogę.

Nan patrzy za nim teraz, jak prowadzi córki do ogrodu, do starej łódki porzuconej w dole i służącej od lat do zabawy w piratów. To musi być trudne, myśli w duchu, uzmysłowiwszy sobie, że sytuacja jej pierwszego najemcy nie jest taka zwyczajna, jak jej się z początku wydawało; nabrała co do tego pewności w chwili, gdy dziwnie popatrzył na Michaela i się zarumienił - to musi być bardzo trudne żyć nie w zgodzie z samym sobą.

Potrafi zrozumieć wybór łatwiejszej drogi, zachowania się tak, jak wszyscy wokół oczekują, poddania się konwenansom, mimo że sama nigdy nie postąpiła wbrew sobie i zawsze starała się raczej zadowalać siebie aniżeli innych.

Nie znaczy to wcale, że Nan jest egoistką, po prostu zawsze żyła tak, aby być w zgodzie z sobą, czemu być może zawdzięcza opinię ekscentryczki. Ten biedak także powinien więcej myśleć o sobie, ciągnie rozmyślania. Dopóki będzie zaprzeczał swemu prawdziwemu ja, dopóki będzie żył w kłamstwie, dopóty nie poczuje, co to szczęście. Wchodząc do kuchni, Nan wpada na pomysł, który wydaje jej się wprost idealny w powstałych okolicznościach.

Centrum ogrodnicze jest niemal puste, wzdłuż frontowej ściany rozciąga się rząd doniczek z hortensjami, więdnącymi w nadzwyczajnym upale. Nan stawia rower przy bocznej ścianie i wkracza na główną alejkę, jak zwykle podziwiając urokliwy warzywnik urządzonej w pobliżu jako inspiracja dla klientów, i zatrzymuje się na moment, by pogłaskać rudego kocura wygrzewającego się na grzbiecie w plamie słońca.

- Nan?

- Jack! Jak dobrze znów cię widzieć!

- I ciebie również, Nan. Nie spodziewałem się, że zobaczymy cię u nas tak wcześnie. Jak tam twój warzywnik?

- Rozkwita. Pomysł z tym płotkiem był doskonały. Nie dostają się za niego żadne szkodniki. Razem z Sarą opychamy się sałatą, groszkiem, ogóreczkami i pomidorami. Aż żal, że ta orgia niedługo się skończy.

- My wciąż mamy pomidory. O tam, widzisz? Malutkie jak winogrona i tak samo słodkie. Może powinnaś kupić parę krzaczków. No ale do rzeczy. Czego dziś szukasz?

- Chciałabym założyć ogród z prawdziwego zdarzenia. Taki z kwiatami. Oczywiście nic przesadnego, wystarczy parę grządek z pergolą i ławeczką. Wybrałam już nawet miejsce. Pomiędzy domem i łąką. Zastanawiałam się też, czybyś nie mógł mi podesłać któregoś z twoich uroczych chłopaków do pomocy.

- Ależ naturalnie, Nan. Nawet jutro mogę wysłać do ciebie Jamesa.

- Jamesa? Znam go?

- Nie, to nowy pracownik. Ale sumienny.

- A ten miły Matt? Jest taki pomocny, ilekroć do was zaglądam. Widziałbyś możliwość użyczenia mi Matta? Nie wątpię, że James zna się na swoim fachu, ale Matta już znam i chyba lepiej bym się czuła w jego towarzystwie.

- Nie ma sprawy - odpowiada Jack. - Musi dokończyć robotę u Toma Neversa do soboty, ale w poniedziałek może być cały twój. Pasuje?

- W poniedziałek? Będzie w sam raz!

Nan macha energicznie na pożegnanie, po czym wdrapuje się na siodelko swojego roweru i uśmiechając się szeroko, odjeżdża w stronę domu.

- Czy ktoś życzy sobie lemoniady? - pyta Nan, wychodząc na zewnątrz z tacą. Dziewczynki podbiegają do niej i częstują się napojem. - Domowej roboty - uspokaja Daniela, nalewając i jemu szklanek, po czym jeszcze serwuje wszystkim po pączku. Wracając z centrum ogrodniczego, zatrzymała się w cukierni i zrobiła mały zapas.

- Rozpieszczasz nas - mówi Daniel z uśmiechem.

- Nie bez powodu - odpowiada mu Nan. - To czysta przyjemność mieć w domu małe dzieci. Lizzie? Stella?

- Dziewczynki stają obok niej, ocierając kąciuki ust z lukru, wciąż trochę nieśmiało, lecz wyraźnie ciekawe. - Byłyście kiedyś na dachu? - Zgodnie kręcą przecząco głowami. - Na wyspie wolno chodzić po dachach - wyjaśnia Nan z powagą. - W dawnych czasach kobiety często musiały to robić,

jeśli chciały zobaczyć, czy ich mężowie wracają cali i zdrowi z połowu. Widzicie tamtą drabinę? Wystarczy się na nią wspiąć... Chciałybyście zobaczyć ocean z wysoka na własne oczy?

- Tak! Tak! - teraz skaczą już jak sprężynki, nie posiadając się z podniecenia.

Nan prowadząc je ku drabinie, odwraca się lekko.

- Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, jeśli w poniedziałek zaczniemy urządzać ogród kwiatowy. Michael jak zwykle będzie zajęty swoimi sprawami, więc pomyślałam sobie, że mógłbyś pomóc skopać jedną czy dwie grządki.

- Z przyjemnością - odpowiada Daniel. - Ruch dobrze mi robi.

Żwir na podjeździe chrzęści przeraźliwie, kiedy Bee parkuje samochód. Kobieta wysiada z niego i zamknąwszy cicho drzwi, kieruje się ku drzwiom frontowym.

- Ty pewnie jesteś Bee! - mówi do niej Nan, stając w progu. - Daniel zaraz wróci z dziewczynkami z plaży. Zabrał je tam na piknik. Proszę, nie stój w progu... - odsuwa się zapraszająco.

- Zaczekam w samochodzie.

- Ależ nie ma mowy! - Nan ujmuje ją za łokieć i wprowadza do wnętrza domu. - Spaliłabym się ze wstydu. Wejdz i usiądź ze mną w kuchni. Brakuje mi towarzystwa.

Bee, zrozumiałwszy, że Nan się nie odmawia, posłusznie wędruje w głąb holu.

Ledwie docierają do stołu, drzwi wejściowe ponownie się otwierają i do środka wpadają Lizzie i Stella.

- Mamusia! - piszczą i rzucają się w stronę Bee, by dać jej całusa. Kobieta konsekwentnie unika patrzenia na męża.

- Właśnie zaczęłyśmy lepiej się poznawać - wyjaśnia mu przyjaznym tonem Nan. - Miałam zaproponować, żeby została na kieliszek wina. Co ty na to, Bee?

- Nie mogę - odpowiada Bee, na powrót lekko sztywniejąc w obecności Daniela. - Muszę położyć córki spać. Ale dziękuję za zaproszenie.

- Tatusiu... - Lizzie obejmuje ciasno ramionami nogi Daniela i zaczyna pociągać nosem. - Nie chcę stąd iść. Chcę z tobą zostać...

Bee przykłęka na jedno kolano koło córki.

- No, Lizzie... Bądź dobrą dziewczynką. Wkrótce znów zobaczysz tatę.

- Ale ja chcę tu zostać! - Lizzie płacze już na całego.

Bee odrywa jej rączki od Daniela i niesie ją do samochodu, podczas gdy Daniel schyla się po łkającą cichutko Stellę, by podążyć w ślad za żoną. Nan przypatruje się ostrej wymianie zdań - z tej odległości nie może usłyszeć ani słowa, ale nie wygląda to dobrze. Gdy już obie dziewczynki są bezpiecznie zapięte w swoich fotelikach, Bee odjeżdża z piskiem opon, a Daniel wraca do środka i kieruje się prosto na górę, do swojego pokoju.

- Danielu? - woła za nim Nan. Mężczyzna odwraca się w połowie schodów. - Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie - pada odpowiedź. - Chyba nie sądziłem... Nie spodziewałem się, że to będzie tak bolało.

- Dlatego, że to twoja decyzja? Daniel kiwa potakująco.

- Coś takiego zawsze boli - mówi mu Nan. - Mimo wszystko lepiej jest pozostać wiernym sobie. Spogląda na nią pytająco.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko to, że każdy człowiek zasługuje na to, aby być szczęśliwym, i że nazbyt łatwo jest popełnić błąd. Jeżeli Bee naprawdę nie jest tą osobą, z którą powinieneś spędzić resztę życia, nie pomożesz ani jej, ani sobie, pozwalając się spętać poczuciu obowiązku i odpowiedzialności.

- A czy ty uniknęłaś podobnego błędu?

- Pytasz o mojego męża? - Nan jest lekko zdziwiona. Ostatnimi czasy rzadko kto pytał ją o Everetta. - On był dla mnie odpowiedni. Ale być może ja nie byłam dla niego tą jedyną. Popełnił samobójstwo, no wiesz... utopił się. Dostał się w szpony hazardu, a ja... jak to zwykle bywa... nie miałam o niczym pojęcia. Nie domyślałam się niczego aż do czasu, kiedy było za późno. Nie wiedziałam, jak wiele ma problemów. Później długo się obwinałam, wyrzucałam sobie, że nie dostrzegłam symptomów, żałowałam, że nie byłam dla niego lepsza, wmawiałam sobie, że w jakiś sposób powinnam była położyć kres jego szaleństwu, ale w końcu po paru latach pogodziłam się z faktami.

Nan milczy przez chwilę, jednakże Daniel nie wrywa jej z zamyślenia.

- Jeśli wolno mi podzielić się z tobą mądrością, którą zyskałam w ciągu długich lat życia - ciągnie kobieta łagodnym tonem - brzmi ona tak: nic nie dzieje się bez przyczyny. Każdy z nas znajduje się dokładnie w tym miejscu, w którym powinien się znajdować, a kawałki układanki zawsze zaczynają do siebie pasować w najmniej spodziewanym momencie.

- To znaczy?

- O mój Boże... Czyżbym znowu mówiła zagadkami? - śmieje się Nan. - Chodziło mi tylko o to, że nie można się wiecznie przejmować i trzeba wierzyć, że wszystko dobrze się skończy.

- Bardzo bym chciał, żebyś się nie myliła. - Daniel z westchnieniem podejmuje wędrówkę w górę schodów, po czym znika za drzwiami swego pokoju.



# ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Czyż to nie wspaniałe? - Richard uśmiecha się promiennie do siedzących przy tym samym stole Jessiki i Carrie; delikatny złocisty blask świec u Maria wydobywa z twarzy wszystkich to, co najlepsze. - Moje dwie ulubione dziewczyny razem, jedzące kolację jak prawdziwa rodzina.

Carrie kątem oka dostrzega, jak Jess przewraca oczami na przemowę ojca, lecz mimo to sięga przez blat i w odruchu wsparcia ujmuje rękę Richarda, czując ulgę, że w domu wreszcie zapanował pokój, i ciesząc się z tego chwilowego rozejmu. Nie ma złudzeń, że prędzej czy później dziewczynka znów przypuści na nią atak.

Dopiero niedawno zrozumiała, co naprawdę oznacza wprowadzenie się do nich Jessiki. Przedtem fantazjowała na temat ich wspólnego szczęśliwego życia, wszelkie kłopoty składając na karb okresu dojrzewania i obwiniając o nie Daff, która najwyraźniej nie radziła sobie z wychowaniem córki.

\*

- Moje dziecko nigdy by się tak nie zachowywało - powiedziała kilka dni wcześniej podczas lunchu z jedną z redaktorek. - Nie mieści mi się w głowie, że jej matka na to pozwala. U mnie by to nie przeszło.

- Zatem dlaczego u niej przechodzi? - zapytała redaktorka.

- Prawdopodobnie obawia się scen. Każdy się ich obawia.

- Nawet Richard?

- Zwłaszcza Richard... - westchnęła Carrie. - Jessika owinęła sobie wszystkich wokół małego palca. Wie, kiedy się rozwrzeszcze i na jak długo, żeby postawić na swoim.

- Ale mówiłaś, że ona ma... zaraz... ile lat?

- Tak, wiem... - Carrie ponownie westchnęła i dokończyła z irytacją: - Trzynaście. Chociaż czasami wydaje mi się, że bliżej jej do trzydziestki.

\*

Wcześniej tego samego dnia udali się we trójkę na targ. Richard i Carrie, idąc, trzymali się za rękę, ale w pewnym momencie Carrie poczuła, że Jessika wpycha się pomiędzy nich i zajmuje jej miejsce, chwytając kurczowo dłoń ojca i wtulając się weń całym ciałem.

Czując się jak piąte koło u wozu, odstepiła na bok, lecz równocześnie Richard wyplątał się z objąć córki.

- Dlaczego, tatusiu? - spytała płaczliwie Jess. - Chciałam tylko być blisko ciebie...

- Szedłem za rękę z Carrie - wyjaśnił. - Postąpiłaś niegrzecznie, odsuwając ją ode mnie. Proszę, możesz iść po mojej drugiej stronie.

- Nie, tatusiu! - zawyła dziewczynka. - Chcę iść po tej stronie. Po co ona z nami w ogóle jest? - Jessika odwróciła się i posłała Carrie wrogie spojrzenie, które ta postanowiła zignorować.

- Jess, skończ z tym natychmiast i zachowuj się! - upomniął ją Richard.

- Dlaczego? - Jessika naburmuszyła się jeszcze bardziej.

- Dlaczego mam być dla niej miła? - Nagle jej głos przeszedł w krzyk. Stała na środku ulicy i tupiała nogą, wywołując powszechne zainteresowanie tłumu. - Nienawidzę jej! Nienawidzę!... Po co ona z nami w ogóle mieszka? Wszystko tylko psuje!...

Carrie przyglądała się tej scenie, odczuwając mdłości. Było jej niedobrze z niepokoju, z frustracji. Patrzyła, jak Richard odciąga córkę na bok i coś jej tłumaczy, a potem - kiedy dziewczynka rozszlochała się na dobre - obejmuje ją ramionami i próbuje uspokoić. Ponad kwadrans później podprowadził Jessikę do Carrie, żeby dziewczynka ją przeprosiła, lecz Carrie nie miała złudzeń: dziecko znowu dostało to, na czym mu najbardziej zależało, czyli niepodzielną uwagę ojca, podczas gdy ona musiała przez ten czas stać z boku i czuć się porzucona.

Redaktorka przerwała rozmowę na czas zamawiania kolejnego kieliszka wina, po czym przyjrzała się z uwagą Carrie.

- Jeżeli matka dziewczynki nie wyznacza żadnych zasad ani nie robi tego jej ojciec, może ty powinnaś to uczynić? - zapytała.

Carrie wzruszyła ramionami.

- Nie wydaje mi się, aby to była moja rola. Nie mam zamiaru zgrywać rodzica, nie czuję się na siłach. Poza tym zniechęciłaby mnie za to jeszcze bardziej.

- Sądzisz, że cię nienawidzi?

- Nie, chyba nie... Przynajmniej mam taką nadzieję. Myślę nawet, że gdybyśmy nie byli razem z Richardem i poznałabym Jess w innych okolicznościach, mogłybyśmy się szczerze zaprzyjaźnić.

- Więc ją lubisz?

- Przepadam za nią. Jej rozterki przypominają mi moje z czasów dzieciństwa. Kiedy jest dla mnie miła, prawie ją kocham, ale jak zaczyna urządzać sceny, uważam, że to najgorszy dzieciak świata.

- Wygląda na to, że rzeczywiście się nie nudzisz...

- O, tak... Tyle że... - Carrie uśmiechnęła się smutno.

- Ja go naprawdę kocham. I wiem, że Jess przechodzi trudny okres. Wszystko się w końcu ułoży. Musi się ułożyć.

- Chyba kupiłabym artykuł na ten temat - oznajmiła nieoczekiwanie redaktorka. - Jak to jest: być nieoficjalną macochą.

- Na to chyba za wcześnie - odparła Carrie. - No, chyba że napisałabym ten kawałek pod pseudonimem.

Obie kobiety roześmiały się zgodnie.

Wieczorem po powrocie z restauracji Carrie wspomina tę rozmowę i myśli o tym, jak skomplikowana jest jej sytuacja, gdy zniemacka podchodzi do niej Jessika i proponuje, że pomoże jej wycierać naczynia.

- Będę mogła pooglądać dzisiaj *Plotkarę*? - pyta.

- Proooszę...

Carrie widzi, że Richard uśmiecha się półgębkiem, i przenosi zdumiony wzrok na dziewczynkę. Jessika po raz pierwszy spytała ją o pozwolenie, potraktowała ją jak prawdziwego rodzica.

- O której zaczyna się serial?

- O dziewiątej. Mogłybyśmy go obejrzeć razem. Bardzo bym chciała, żebyś wiedziała, o czym jest, i obiecuję, że później pójdę prosto do łóżka.

- Przrzekasz?

- Czy to znaczy, że się zgadzasz? - Carrie kiwa głową, a Jess podskakuje z radości i zarzuca jej ramiona na szyję.

- Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję! Jesteś super!

Gdy Carrie się pochyła, by odwzajemnić uścisk, czuje, że oczy wezbrały jej łzami. Być może to przełom, na który od tak dawna czekała.

\* \*

Daff odkłada słuchawkę i wzdycha. Jessika wydaje się taka nieobecna duchem podczas rozmów przez telefon. Daff miała kiedyś koleżankę, rozwódkę wychowującą samotnie dzieci, która jej powiedziała, że nigdy nie dzwoni do nich, gdy spędzają weekend z ojcem, tylko czeka, aż one odezwą się do niej, ponieważ najprawdopodobniej odciągnęłyby je od jakiejś zabawy i wcale nie miałyby ochoty o niczym jej opowiadać, a półsłówka i bąknięcia sprawiłyby, że poczułaby się jeszcze gorzej.

Daff zdaje sobie sprawę, że również powinna dać sobie na wstrzymanie i czekać na telefon od córki, jednakże dręczy ją bardzo silna obawa, że Jessika nie zadzwoni do niej z własnej woli, że stają się sobie niebezpiecznie obce, i dlatego pierwsza sięga po słuchawkę, mimo iż wie, że dziewczynka nie będzie rozmowna.

Dzwonek aparatu rozlega się koło jej ucha i Daff pośpiesznie odbiera, w nadziei że to Jessika oddzwania do niej, aby jednak pogawędzić.

- Daff? Tu Laura. Jak się masz?

- Doskonale, Lauro. Co u ciebie słychać?

- Wszystko dobrze. Telefonuję, żeby zapytać, czy cię nie podzucić.

Zapada cisza, podczas gdy umysł Daff pracuje szaleńczo.

- Mam całkowitą pustkę w głowie - mówi w końcu Daff.

- Gdzie niby miałabyś mnie podzucić?

- Och, Daff! - Laura zaczyna się śmiać. - Obiecałaś, że wpadniesz dzisiaj do knajpki PJ's, zapomniałaś już? Na wieczorek samotnych serc. Wybieram się tam z paroma dziewczętami...

Daff jęczy w duchu. Rzeczywiście powiedziała, że z nimi pójdzie, ale ta rozmowa miała miejsce tygodnie temu i wówczas pomysł wydawał jej się dość abstrakcyjny. Ostatnie, na co ma dzisiaj ochotę, to wystroić się i pójść na miasto z koleżanką z pracy. Marzy jej się raczej gorąca kąpiel i zacamowanie w łóżku w wygodnej piżamie, by obejrzeć cały sezon *Prawa i porządku*.

- Ja... To naprawdę już dziś? Laura, chyba nie zdawałam sobie sprawy, ten czas tak szybko biegnie...

- Czyżbyś próbowała się wykręcić?

- Padam z nóg - rzuca Daff w nadziei, że zabrzmi to przekonująco. - Zaplanowałam wczesne pójście spać...

- Nie ma mowy - przerywa jej Laura. - Nie urwiesz się z haczyka tak łatwo. Spotykamy się na miejscu o siódmej.

- Ale ja nie...

- Daff - wpada jej znów w słowo koleżanka - kiedy ostatnio wyszłaś z domu i zabawiłaś się trochę? Pamiętaj, że jestem rozwiedziona dłużej od ciebie i też przeszłam ten okres z oglądaniem telewizji co wieczór w nieświeżej piżamie, ale to nie trwało bez końca. Wiem, że masz Jess z głowy, i jestem w stanie zagwarantować ci kapitalną zabawę. Jeśli ci się nie spodoba, zawsze będziesz mogła wyjść wcześniej, ale musisz przynajmniej spróbować!

Godzinę później Daff wchodzi do restauracji PJ's, przeciska się przez tłum gości i rozgląda za Laurą, mając nadzieję, że nie sprawia wrażenia zagubionej.

Co ja tu u licha robię? myśli, w duchu trzymając kciuki, aby nie wpaść na nikogo znajomego, kto by obrzucił ją taksującym spojrzeniem i dostrzegł w niej samotną kobietę na łowach. Może jest samotna, ale z pewnością nie szuka przygód - tyle że skąd ten ktoś miałby o tym wiedzieć.

Otoczające ją kobiety są wystrojone w małe czarne albo jaskrawe sukienki na ramiączkach odsłaniające plecy, obnoszą się ze swoją opalenizną, przemieszczają, tupiąc grubymi platformami, porażają agresywnym makijażem. Mężczyźni także się postarali - większość włożyła zaprasowane na kant spodnie i eleganckie koszulki polo. Rozglądają się na wszystkie strony, odnotowując, kto właśnie wszedł, próbując ocenić, kto mógłby być wart rozmowy.

O Boże, myśli Daff, nigdzie nie dostrzegając Laury. Czyżby było aż tak źle?

PJ's zawsze była dobrze prosperującą restauracją, mimo że przez całe lata nie wykorzystywano w pełni jej potencjału, nie robiąc użytku z wielkiego tarasu z widokiem na zatokę.

Zdarzało się, że na tarasie urządzano wesela, na co dzień jednak stało tam tylko parę plastikowych stolików i krzeseł - dopiero wraz ze zmianą właściciela nastąpiło otwarcie baru, który natychmiast stał się modnym miejscem spotkań.

Od czasu kiedy w czwartki i niedziele zaczęto organizować wieczorki samotnych serc, a w soboty zapraszać grające na żywo kapele, także w pozostałe dni tygodnia roi się tam od klientów, którzy pokonują dziesiątki mil, żeby się tłoczyć na tarasie, popijać zmrożone margerity i flirtować z przystojnymi barmankami, zmieniającymi się co roku latem. Jeżeli w mieście jest coś takiego jak nocne życie singli, bar PJ's znajduje się w jego epicentrum - tutaj w poszukiwaniu przygody i prawdziwej miłości ściągają samotni, rozwodnicy, a nawet małżonkowie, choć ci ostatni oczywiście po kryjomu.

Może jednak wcale nie chodzi im o miłość. Przybywający tu ludzie mają w sobie wiele z najemników, zdają się z lekka zubożeli, wyglądają na nazbyt zajętych szukaniem, by w istocie coś znaleźć - raczej więc chodzi o dreszczyk emocji, ciągły pościg, flirt i podboje aniżeli o „i żyli długo i szczęśliwie”.

- Cześć!

Daff opiera się łokciami o kontuar, czekając, aż dostrzeże ją barman, ponieważ gdyby tylko miała drinka w dłoni, zyskałaby jakieś zajęcie do czasu, aż zjawi się Laura. Usłyszawszy powitanie, skierowane najwyraźniej do niej, spogląda na niskiego mężczyznę, szczerzącego się do niej lubieżnie z boku.

- Cześć - odpowiada i natychmiast odwraca głowę, podejmując operację ściągania wzrokiem barmana, ponaglając go w duchu, żeby zauważył ją i podszedł, by podać jej drinka, co uwolniłoby ją od towarzystwa tego knypa.

- Nie widziałem cię tu wcześniej - mówi mężczyzna.

- Mam na imię Adam.

- Witaj, Adamie. - Wolałaby nie podawać mu swojego imienia, ale nie zamierza też być wobec niego niegrzeczna.

- Daff - rzuca krótko, łudząc się, że jeśli sprawi wystarczająco nieprzyjazne wrażenie, mężczyzna zniechęci się i zostawi ją w spokoju.

- Zatem jesteś tu pierwszy raz?

- Yyy... tak.

- Rozwódka?

- Tak.

- Ja też jestem rozwiedziony. Mogę postawić ci drinka?

- No nie wiem... A ty jak sądzisz? - Daff czuje rosnącą irytację. - Sterczę tu od kwadransa, a barman nawet mnie nie zobaczył.

- Hej! Nick! - Adam przykładą dłoń do ust i wrzeszczy na całe gardło. - Chodź no tutaj i obsłuż tę panią! - Barman spogląda w ich stronę i uśmiecha się szelmowsko, po czym zaledwie kilka sekund później przed Daff materializuje się truskawkowe daiquiri.

- Dzięki - mówi do sąsiada z uśmiechem. - To było miłe z twojej strony.

- Cierpię na syndrom rycerza w lśniącej zbroi - odpowiada jej. - Co powiesz na to, żebyśmy znaleźli sobie jakiś stolik i spróbowali lepiej się poznać?

- To by... Cóż... Umówiłam się tu z przyjaciółmi, więc chyba powinnam pozostać na widoku, przy barze...

- Nie ma sprawy. Mnie to pasuje. No więc opowiedz mi o sobie wszystko, Daff. Dlaczego taka piękna kobieta jak ty przyszła do PJ's w czwartkowy wieczór?

Cholernie dobre pytanie, myśli Daff. No właśnie, dlaczego?

\*

Godzinę później Daff podnosi się ze stołka, gotowa do wyjścia. Adam, który okazał się zupełnie nie w jej typie, posłużył jej za zbawcę, jako że Laura nie pojawiła się mimo upływu czasu, za co Daff najchętniej by ją udusiła, ale przynajmniej dzięki towarzystwu nie była skazana na rozpaczliwe rozglądanie się po sali, a nawet zdołała uciąć sobie całkiem miłą pogawędkę.

- Tak wcześnie wychodzisz? - pyta ją Adam, kiedy Daff ogłasza, że musi wracać do domu.

- Opiekunka nie będzie tkwiła wiecznie - kłamie gładko. - Jeszcze raz dziękuję.

- Pozwól, że odprowadzę cię do samochodu! - Adam zeskakuje z wysokiego stołka i bierze ją pod ramię. Daff sztywnieje. Nie tak sobie wyobrażała ich pożegnanie, ale na szczęście zaparkowała blisko i niebawem się go pozbędzie na dobre, po czym wróci bezpiecznie do domu.

- Mogę do ciebie zadzwonić? - pyta Adam, kiedy Daff wdusza przycisk na pilocie, żeby otworzyć drzwi auta.

- Wiesz, byłeś naprawdę słodki - odpowiada mu - ale ja chyba jeszcze nie jestem gotowa na umawianie się z kimkolwiek.

- Kto tu mówi o umawianiu się? - szczerzy się Adam. - Po prostu liczyłem na całusa na dobranoc.

Daff spogląda na niego z przerażeniem.

- Żartowałem tylko - zapewnia ją i Daff zmusza się do śmiechu. - Ale już poważnie... Ja też nie szukam partnerki na stałe, po prostu uważam, że ty i ja moglibyśmy sprawić sobie trochę radości w inny sposób... - Unosi porozumiewawczo brew.

- O czym mówisz?

- Hm, chyba nie powiesz, że nie czujesz się samotna, kładąc się co wieczór do pustego łóżka? Moim zdaniem przyjaciel na czarną godzinę sprawdza się doskonale. Obie strony są wygrane. Żadnych zobowiązań, tylko namiętność... - Przeciąga ostatnie słowo i zbliża się, aby objąć Daff w pasie.

- Jezu!... - jęczy Daff, odpychając go gwałtownie, po czym błyskawicznie wsiada do samochodu i zapala silnik, nie słuchając, co Adam ma do powiedzenia. Odjeżdżając, spogląda jednak we wsteczne lustro i widzi, że mężczyzna krzyczy coś za nią.



- To najgorszy wieczór w moim życiu - mówi Daff do siebie, jadąc do domu. - Nie tylko zabiję Laure własnymi rękoma, ale również nigdy więcej nie pójdę na wieczorek samotnych serc!

Daff nawet nie myśli o tym, aby nawiązać bliższą znajomość z mężczyzną. W chwili obecnej najbardziej pragnie odnaleźć samą siebie. Jako mężatka, wiedziała dobrze, kim jest. Być może nie była ze sobą do końca szczerą - nawet wtedy bowiem wydawało jej się, że w pewnym sensie odgrywa rolę wiernej żony i kochającej matki, lecz czuła się z tym na tyle dobrze, że przestała się zastanawiać, co naprawdę czyni ją szczęśliwą, teraz zaś, gdy nie jest już niczyją żoną, nie ma jasności co do tego, kim jest ani jaka jest.

Co gorsza, mieszkając w podmiejskiej dzielnicy, gdzie wszyscy są żonaci i dzieciaci, gdzie każdy ma do odegrania swoją rolę w małej społeczności, w wypadku kobiet często definiowaną przez ich zaangażowanie przy szkole, Daff jakby utraciła grunt pod nogami.

Krok po kroku jej życie towarzyskie obumarło. Pary, z którymi się przyjaźnili razem z Richardem, nie zaliczają się już jej przyjaciół. Zachowują się wobec niej przyjaźnie, ale nie otrzymuje od nich zaproszeń na obiady ani niezobowiązujące spotkania - chyba że akurat na orbicie pojawi się samotny mężczyzna, z którym chcieliby ją poznać, lecz to zdarza się nad wyraz rzadko.

Wpada czasem na swe dawne przyjaciółki w sklepie spożywczym, pchające wózki wypełnione olbrzymimi, rodzinnymi opakowaniami hamburgerów i słodyczy, galonowymi butlami oranżady i zgrzewkami z kartonami odtłuszczonego mleka pochodzącego z ekologicznej hodowli krów, i czuje się zawsze niezręcznie z powodu zawartości własnego koszyka, zwłaszcza odkąd Jess z nią nie mieszka, ponieważ teraz kupuje tylko parę kubeczków jogurtu, plasterkowaną szynkę, paczkę granoli i mały kartonik mleka.

- Musimy kiedyś się spotkać - proponują nieodmiennie, współczującym spojrzeniem obrzucając jej trzymany w rękę plastikowy koszyk, i udają zażenowanie z powodu zapasów jak na wypadek wojny. - Zakupy! - wzdychają. - Czyż to nie wieczne utrapienie?

Wkrótce po rozwodzie przeczytała w lokalnej gazecie o grupie wsparcia dla kobiet takich jak ona. Poszła na jedno spotkanie, nawet nie dlatego że potrzebowała pomocy, lecz dlatego że czuła się samotna i wciąż usiłowała pogodzić się z brakiem męża, któremu musiałyby gotować, a także z koniecznością robienia wszystkiego samej, i miała nadzieję, że dobrze jej zrobi przebywanie pośród podobnych jej kobiet, z których co najmniej jedna mogłaby zostać jej nową przyjaciółką, dzięki czemu znów umawiałyby się na kawę czy może nawet na obiad.

Tymczasem spotkanie grupy wsparcia dla rozwódek tylko ją przybiło. W pomieszczeniu zebrały się zgorzkniałe, kipiące gniewem kobiety, które przerzucały się strasznymi opowieściami o swoich eks, począwszy od maltretowania, przez zwykłe leniwość, a skończywszy na niewierności. Daff wymknęła się stamtąd w głębokiej depresji.

- A twój mąż? - zapytała ją któraś z uczestniczek podczas pierwszej przerwy, gdy się ustawiły w kolejce do automatu z kawą. Daff, choć mogła uraczyć towarzyszkę niedoli historią zdrady Richarda, zdecydowała się na lekkie wzruszenie ramion i wyjaśnienie, że jej małżeństwo po prostu nie ułożyło się jak trzeba, na co kobieta szybko straciła nią zainteresowanie.

Jakiś czas potem Daff zrozumiała, że musi zacząć wszystko od nowa. Najlepiej zmienić otoczenie. Za trzy dni popłynie promem na Nantucket. Czuje, że potrzebuje tego odpoczynku, jak jeszcze nigdy w życiu. Potrzebuje wyrwać się z domu, poleżeć na plaży ze stertą dobrych książek i - a co tam, do diabła! - może nawet wrócić do malarstwa. Potrzebuje przypomnieć sobie, kim była, zanim została żoną i matką, a ostatnio także rozwódką.

Musi podjąć decyzję, kim będzie w przyszłości.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

- O, jak dobrze! - Nan wygląda przez okno w kuchni, zmywając naczynia. - Ten miły człowiek z centrum ogrodniczego już tu jest. Danielu, mógłbyś go za mnie przywitać i powiedzieć, że zaraz wyjdę na zewnątrz?

Nan bacznie obserwuje, jak mężczyzna wychodzi za próg, przedstawia się Mattowi, po czym wskazuje ręką za siebie, na dom, a następnie kiwa potakująco głową i zmierza do furgonetki, by pomóc wyjąć narzędzia.

Jakże mogliby nie przypaść sobie do gustu, myśli przy tym. Matt, niewysoki, lecz o doskonałych proporcjach ciała, z ramionami opalonymi na ciemny brąz od ciągłej pracy na słońcu, z długimi czarnymi włosami i szerokim uśmiechem, jest wprost urzekający i stanowi wspaniałe przeciwieństwo poważnego Daniela.

Jakąż cudną parę by tworzyli, zachwyca się i uśmiecha do siebie, wycierając dłonie w ręcznik. Bynajmniej nie stara się nikogo do niczego przymuszać, ale ten biedny Daniel wydaje się taki smutny i taki zagubiony. To zdumiewające, że jego żona niczego się nie domyśla; sytuacja nie jest przez to ani trochę łatwiejsza dla Daniela. Zrobił na niej wrażenie człowieka, który desperacko potrzebuje przyjaźnej duszy.

Później Daniel i Matt pracują ciężko ramię przy ramieniu. Nan patrzy na nich zza firanki, troskliwie niczym kwoka, i pojawia się na zewnątrz tylko od czasu do czasu, aby sprawdzić, jakie robią postępy, i podać im zimną lemoniadę. W porze lunchu woła do nich:

- Przerwa dobrze wam zrobi! Nakryłam do stołu przy pergoli. Ja umówiłam się z Michaelem...

Z tymi słowy zostawia ich samych, machając na pożegnanie i uśmiechając się pod nosem.

Bardzo chciałyby zostać, wie jednak, iż poczują się o wiele swobodniej tylko we dwóch.

Matt idzie przodem i z daleka szczyrzy zęby na widok stołu. Daniel, podążający w ślad za nim, odwraca wzrok, gdy mężczyzna zdejmuje rękawice ogrodnicze i odruchowo umieszcza je w tylnej kieszeni lewisów - zaraz wszakże wraca spojrzeniem do opiętych wyblakłym dżinsem pośladków i niemal natychmiast rumieni się, gdy ogrodnik przyłapuje go na wpatrywaniu się w jego tyłek.

Na blacie leżą dwie podkładki z grubego płótna, pośrodku stoi misa z sałatą prosto z warzywnika z dodatkiem zrumienionych orzeszków i fety, na umieszczonych naprzeciwko siebie talerzach spoczywają grube plastry przyrumienionej wołowiny, a z koszyka dolatuje ich nozdrzy zapach świeżo upieczonego chleba.

- A niech to! - Matt uderza dłonią w udo. - Zapomniała o świecach!

- Słucham? - Daniel spogląda na ogrodnika ze zdziwieniem.

- No co, nie wydaje ci się, że urządziła nam randkę w ciemno? - Szczyrzy zęby ponownie, nie całkiem niezadowolony ze swego położenia, podczas gdy Daniel tylko szerzej otwiera oczy.

- Tak myślisz? Ale... Nan chyba nie wie... - Daniel nie kończy zdania.

- Nie wie czego? Że jestem homo? Och, Danielu, każdy na wyspie, kto choć trochę mnie zna, o tym wie. Moim zdaniem to słodkie z jej strony. Stara dobra Nan uznała, że stanowilibyśmy dobraną parę. - Unosi brew, spoglądając na Daniela, a ten rumieni się i ucieka wzrokiem, bo nie ma pojęcia, jak zareagować, nie ma za grosz doświadczenia we flirtowaniu z mężczyznami, zwłaszcza tak przystojnymi jak ten.

- O kurczę! - Matt smutnieje. - Nie mów mi, że jesteś hetero. O Boże. Tak mi wstyd!

- Nie, nie... - Daniel kładzie mu rękę na barku, akurat gdy Matt zakrywa twarz dłońmi. - Też jestem gejem... - mówiąc te słowa, czuje, jak zalewa go fala ulgi. - Tyle że... od niedawna.

- Dopiero co się ujawniłeś?

- Nieoficjalnie. Skąd Nan mogła o tym wiedzieć?

- Naprawdę sądziłeś, że zachowujesz się jak rasowy hetero? Och, skarbie... - Matt odrzuca głowę do tyłu i szczyrze się śmieje. - Muszę cię rozczarować, ale to po tobie widać na milę! Przynajmniej my zawsze to rozpoznamy.

- Więc... Nan też?

Matt wzrusza ramionami.

- Nan? Oczywiście. To co, siadamy i zabieramy się do jedzenia? Wszystko wygląda i pachnie wspaniale, a w dodatku mamy też schłodzone piwko. Anioł, nie kobieta. Uważam, że powinniśmy potraktować to jak randkę, tak jak sobie umyśliła.

Daniel siada, z wdzięcznością przyjmując butelkę, którą podaje mu Matt, i bierze solidny łyk piwa.

- Jeszcze minutę temu byłem żonaty - mówi.

- Żonaty? Z kobietą? Serio?

Daniel potakująco kiwa głową.

- No, chłopie... Nic dziwnego, że jesteś taki zjeżony. To musi być dla ciebie coś nowego. Dochowałeś jej wierności czy miałeś chłopaków na boku?

- Chryste, nie! - zaprzecza żywo Daniel. - Jestem ojcem. Nigdy w życiu nie zdradziłbym Bee.

- Ale od zawsze wiedziałeś, że jesteś homo?

Daniel znowu potakuje skinieniem.

- To tak jak ja. - Matt nakłada sobie trochę sałaty, nie przerywając mówienia. - Mnie dopisało szczęście. Tata zostawił nas, kiedy miałem cztery latka, a mamę otaczały tłumy przyjaciół, z których znaczna część była homo. Mnie bycie gejem od zawsze wydawało się całkowicie naturalne i szczerze powiedziawszy, nie pamiętam, żebym to oficjalnie ogłaszał czy czynił jakieś deklaracje. Dorastałem z tą świadomością i nigdy nie czułem się niezręcznie czy jakbym prowokował kłopoty. Na przestrzeni lat poznałem dziesiątki żonatych facetów, a z jednym czy dwoma - rzuca Danielowi prowokujące spojrzenie - nawet miałem romans, ale większość z nich nie potrafi zrozumieć, że mają wyjście. Pozostają w małżeństwie przez resztę życia, a ich żony niczego się nie domyślają...

Daniel znowu kiwa głową.

- Tak było w moim wypadku. Chociaż zawsze wiedziałem, jaki jestem, nie chciałem dopuszczać tej myśli do siebie, nie chciałem, aby była to prawda. Sądziłem, że małżeństwo w jakiś cudowny sposób mnie przed nią uchroni. - Prycha z ironią. - Czy to nie śmieszne?

- Chyba nie. Mnóstwo facetów tak właśnie myśli.

- Ale ja naprawdę uważałem, że mi się upiecze, że zdołam to przeprowadzić do końca, i pewnie tak by się stało, gdyby nie jedno wydarzenie... Mężczyzna, z którym kiedyś... no... którego kochałem całe wieki temu, zanim się ożeniłem, nagle się ze mną skontaktował i okazało się, że on ujawnił swoją orientację lata wstecz. Dzięki temu przejrzałem na oczy, zobaczyłem, jak mogłoby wyglądać moje życie, jak wciąż może wyglądać, i uznałem, że nie potrafię dłużej żyć w kłamstwie. Po prostu nie umiałem tego dalej ciągnąć.

- Moim zdaniem to przejaw wielkiej odwagi - wtrąca Matt. - Wyobrażam sobie, jakie to musi być trudne: po tylu latach powiedzieć wszystkim ważnym w twoim życiu ludziom coś w stylu: „Wiedziecie co? Popełniłem błąd. Przez ten cały czas, kiedy braliście mnie za normalnego, byłem gejem”.

- Boże... - pojękuje Daniel. - Ja staram się nawet o tym nie myśleć.

- Jak zareagowała twoja żona? - Matt zdaje się ciekaw odpowiedzi. - Przeżyła to jakoś?

Daniel wbija wzrok w blat stołu.

- Jeszcze jej nie powiedziałem - mówi, cedząc słowa.

- Ale masz taki zamiar?

- Oczywiście! - Podrywa głowę. - Po prostu czekam na odpowiedni moment. Zastanawiam się, w jakie słowa to ubrać. Czuję, że już przysporzyłem jej wystarczająco wiele bólu. Sądziła, że w naszym małżeństwie wszystko doskonale się układa. No, prawie wszystko...

- Czyli raczej ze sobą nie sypialiście?

Daniel wzrusza ramionami i posyła Mattowi słaby uśmiech.

- Kumam. Ale wiesz co? Znam facetów, którzy powiedzieli swoim żonom, i to sprawiło, że sytuacja się jakby oczyściła. Przestały się obwiniać i zadrećcać pytaniami, co robią nie tak. Zrozumiały, że to nie ma nic wspólnego z nimi. Naturalne jest, że gdy w związku między dwojgiem ludzi zaczyna coś szwankować, pojawiają się pytania: co by było, gdyby... Gdybym okazywała więcej wyrozumiałości albo gdybym była bardziej stanowcza... Gdybym była miłsza albo gdybym miała dla niego więcej czasu... Gdybym to, gdybym śmo... No dobra, przyznaję, wymyśliłem to na poczekaniu, ale poważnie uważam, że te wszystkie „co by było, gdyby” czynią sytuację jeszcze trudniejszą. Bo prawda jest taka, że gdyby twoja żona miała pełne dane, wiedziałyby, że nigdy nie mogła zrobić nic, co by uratowało wasze małżeństwo. Nie ta konkurencja, że tak powiem. W ten sposób wszystko byłoby łatwiejsze dla obu stron.

Daniel w zamyśleniu potakuje.

- Nigdy tak o tym nie myślałem. Chyba po prostu starałem się nie przysparzać jej więcej cierpienia.

- Nie twierdzę, że zarzuci ci ręce na szyję i podziękuję, po czym poprosi, żebyście pozostali przyjaciółmi, choć po prawdzie, słyszałem o jeszcze dziwniejszych rzeczach. - Urywa i wpatruje się z uwagą w Daniela. - Powinieneś jak najszybciej powiedzieć jej prawdę.

- A niech to! - Daniel potrząsa głową zdumiony, lecz równocześnie się uśmiecha. - Nie mogę uwierzyć, że rozmawiam o tym tak otwarcie. To niesamowite...

- Ale dobrze się z tym czujesz, prawda? - pyta Matt, podnosząc butelkę jak do toastu.

- O, tak! Czuję się z tym doskonale! Na zdrowie! - odpowiada Daniel, po czym obaj mężczyźni zabierają się do jedzenia.

Nan pozostaje poza domem tak długo, jak tylko się da, lecz po powrocie udaje się od razu do ogrodu.

Daniel prawie ukończył kopanie jednej grządki, drugi z mężczyzn właśnie spulchnia glebę na drugiej. Najwyraźniej prowadzą przy pracy rozmowę, bo Daniel śmieje się wesoło z czegoś, co powiedział Matt. Wybornie, myśli Nan, polubili się od pierwszego wejrzenia.

- Jak tam moje grządki? - pyta na głos. Matt podnosi głowę.

- Prawie gotowe. A, i dzięki, Nan. Lunch był przepyszny.

- Całkowicie niespodziewany, ale cudowny - dodaje Daniel. - Dziękuję.

- Wyglądacie, jakbyście się zaprzyjaźnili - stwierdza Nan, nie umiejąc się powstrzymać.

- To wprost nie do wiary - przejmuję znów pałeczkę Matt. - W ciągu czterech godzin, które minęły od naszego poznania, zakochaliśmy się w sobie bez pamięci i zamierzamy zamieszkać razem już w przyszłym tygodniu.

Nan omal nie fika koziołka z radości.

- Naprawdę?

- Nie! - Matt potrząsa głową, a Daniel uśmiecha się szeroko i spuszcza oczy. - Nie naprawdę! Ale teraz przynajmniej zyskaliśmy pewność, że kierowały tobą dodatkowe motywy.

- Tak łatwo się domyśliliście? Matt wzrusza lekko ramionami.

- Zdradziły cię kwiaty na stole. Brakowało tylko świec.

- O świecach też pomyślałam - zapewnia go Nan z powagą. - Uznałam jednak, że nie na wiele się przydadzą, skoro mamy piękne letnie popołudnie.

- Żartowaliśmy tylko - odzywa się Daniel i czuje się bardzo dziwnie, iż mówi „my”, mając na myśli kogoś innego niż siebie i Bee.

- No, chłopcy... - zwraca się do nich Nan. - Zachowujcie się. Chyba już czas, żebym wam pokazała, jak mają wyglądać te grządki. - Ujmuje Matta pod ramię i prowadzi do domu, gdzie trzyma wycięte z czasopisma zdjęcia ogrodu.

- Przeszkadzało ci to? - Długo po tym, jak Matt sobie poszedł, Nan wychodzi na zewnątrz i przysiada obok Daniela w starym, skrzypiącym wiklinowym fotelu ustawionym przodem w kierunku zatoki. - Zachowałam się twoim zdaniem bardzo wścibsko?

- Trochę - przyznaje Daniel i zaraz ją uspokaja: - ale wcale mi to nie przeszkadza. Chciałbym cię jednak zapytać, skąd wiedziałaś...

- Kochany! W moim wieku... Nauczyłam się ufać swojej intuicji. Nigdy jej nie słuchałam, kiedy byłam młodsza, i za każdym razem gdy zignorowałam jakieś przeczucie, wpadałam w tarapaty. Z biegiem lat zrozumiałam, że ten głosik siedzący w mojej głowie zazwyczaj ma rację. Nie, naprawdę nie zauważyłam niczego szczególnego, po prostu odniosłam takie wrażenie...

- To dobrze.

Nan śmieje się głośno.

- A co? Już się bałeś, że nic o tym nie wiedząc, zachowujesz się jak drag queen?

- Owszem... - potwierdza Daniel z nieco głupią miną, na co Nan potrząsa głową.

- Skądże, nic z tych rzeczy. No ale teraz opowiadaj o Matcie... Czyż nie jest cudowny? W dodatku chyba się polubiliście...

- Zgadza się. To dobry chłopak. Pomógł mi ujrzeć pewne sprawy w innym świetle.

- Cieszę się. - Nan kiwa głową zadowolona, że znów może być kwoczką sprawującą pieczę nad zbłąkanymi duszami. Nigdy nie przestała łaknąć ludzkiego towarzystwa. - Ojej! - woła, patrząc na ze-



garek. - Kolejny najemca zjawi się lada chwila, a ja nie zabrałam się jeszcze do gotowania obiadu. Chciałam, abyśmy dzisiaj wieczorem wszyscy lepiej się poznali.

- Mogę jakoś pomóc?

- Ależ tak! Planuję zupełną rybą i placuszki z kraba. Nic trudnego. Zakasajmy rękawy i postarajmy się mieć wszystko gotowe na punkt ósma.

\* \*

Daff odkłada swoje torby i podchodzi do wykuszowego okna, gdzie opada na przykrytą kraciatą narzutą ławeczkę i podkurczywszy nogi pod siebie, pożera wzrokiem widok. Wyrwa jej się potężne westchnienie zachwytu i satysfakcji. Wcześniej po wielokroć widywała podobne obrazy - promienie słońca odbijające się w wodzie, łódzie kołyszące się na falach - jednakże zawsze była nazbyt zagoniona, by móc się nimi rozkoszować naprawdę.

W ogóle ostatnimi czasy była nazbyt zagoniona, aby robić cokolwiek z tego, co sprawia jej przyjemność, co zanim jeszcze została żoną i matką, stanowiło pożywkę dla jej duszy.

Po pierwsze, malarstwo. Nie malowała od wieków, ale tuż przed wyjazdem, gdy robiła porządki w swoim gabinecie, natknęła się na mały podrzędny zestaw farbek wodnych. Pakując się, włożyła go do jednej z toreb, a potem dokupiła też specjalny papier do malowania akwarelami.

Po drugie, muzyka. Przed ślubem mnóstwo czasu spędzała na słuchaniu muzyki. Włączała sprzęt na cały regulator, także wieczorami, i potrafiła przetańczyć wiele godzin. Mawiała, że potrzebuje ścieżki dźwiękowej do życia - Neila Younga, gdy była wciąż nastolatką, a potem w college'u Joni Mitchell i Cata Stevensa.

Dlaczego muzyka umilkła, gdy wyszła za mąż?

Po rozwodzie wróciła do starego przyzwyczajenia. Nalewa sobie kieliszek wina i przygotowuje kąpiel z pachnącą pianą, pozwalając, by z głośników sączyły się dźwięki utworów Jacka Johnsona, przy których później zanurza się wolno w wodzie, popija rubinowy płyn i rozkoszuje się świadomością, że nie musi być nigdzie indziej, nie musi nic dla nikogo robić, ma całą noc tylko dla siebie.

Mimo wszystko tęskni za Jessiką. Bardzo za nią tęskni. Tyle że nie za jej najnowszą wersją - agresywną, gniewną i wrogo nastawioną nastolatką, lecz za słodką dziewczuszką, pełną ciepła i bystrą - za Jess, która nadal musi się skrywać gdzieś w głębi...

Ale to chyba dobrze, że Jessica mieszka chwilowo z ojcem. Pewnie obu im potrzebne były krótkie wakacje od siebie nawzajem. Daff nie wyobraża sobie, aby taka sytuacja miała trwać wiecznie, i podejrzewa, że raczej prędzej niż później dziewczynka zatelefonuje do niej i poprosi, aby mogła wrócić do domu. To będzie dla nich nowy początek, znów będą jak matka i córka, jak najlepsze przyjaciółki, a nie zaprzysiężeni wrogowie. Poznała już Carrie i nawet ją polubiła, uznała też, że ktoś taki nie zaszkodzi wychowaniu Jess, ale nie ma cienia wątpliwości, że to tylko tymczasowy układ, że potrwa dopóty, dopóki ona nie odzyska utraconej równowagi.

Pobyty na Nantucket to urlop, na który już dawno sobie zasłużyła. Spodziewa się po nim całkowitego uleczenia. Zapakowała swoje ulubione olejki eteryczne, kadzidełka i płytę kompaktową do medytacji, której nie słuchała od co najmniej dziesięciu lat, może nawet dłużej.

W tym miejscu odrodzę się na nowo, myśli sobie, przyjmując wygodniejszą pozycję i obejmując się ciasno ramionami. Czuje się tak, jakby z piersi spadł jej wielki ciężar, jakby tylko krok dzielił ją od nowego życia, którego początek znajdzie w tym wyjątkowym, przepełnionym magią domu.

Koniec końców nic nie dzieje się bez przyczyny, mówi do siebie w duchu.

\* \*

- Przejdziemy do salonu? - ponawia pytanie Nan, dolewając wszystkim wina. - Sara specjalnie go wysprzątała. Naprawdę uważam, że tam powinniśmy zjeść kolację.

- Mamo, daj spokój... - Michael uśmiecha się do niej i wyjmując z jej nieco drżących rąk butelkę, aby nie roniąc kropli, uzupełnić kieliszki gości. - Wszystkim podoba się tutaj, w kuchni. Panuje tu dobra atmosfera. W salonie zjemy kiedy indziej.

Nan odwzajemnia uśmiech.

- Masz rację - zgadza się, po czym obniża głos i pyta go: - Jak ci się podoba nowo przybyła?

Michael rzuca spojrzenie w kierunku Daff, która stoi przy Danielu smażącym placuszki z krabów i zasypuje go pytaniami na temat przepisu.

- Wydaje mi się miła - odpowiada matce. - Ale trochę smutna.

- Mnie również - potakuje Nan. - Szalenie miła, ale dopiero na początku drogi ku własnemu szczęściu.

- Znasz jej historię?

- Rozwódka. Matka samotnie wychowująca córkę. Dziewczynka mieszka obecnie z ojcem i jego nową przyjaciółką. Coś mi mówi, że to pierwszy raz od lat, kiedy ma czas tylko dla siebie. Sprawia wrażenie lekko zagubionej, jakby nie wiedziała, w którą stronę ruszyć. Może pokazałbyś jej jutro wyspę? Na pewno spodobałaby jej się taka wycieczka.

- Mamooo? - Michael odzywa się z ostrzegawczą nutką w głosie. - Chyba nie chcesz mnie znowu swatać, co?

- Ależ co też ci przyszło do głowy! - udaje oburzenie Nan.

- Kocham cię, mamo, i znam cię jak mało kto. Odkąd pamiętam, zawsze próbowałaś mi znaleźć żonę.

- To nieprawda! - zaprzecza Nan, nawet nie starając się stłumić śmiechu.

- O czym tak żarliwie rozprawiacie? - Daniel właśnie skończył smażyć ostatni placuszek i wraz z Daff podszedł do obojga.

- Michael oskarża mnie, że go swatam z każdym, kto się nawinie - skarży mu się Nan.

- Bo tak jest! - śmieje się Michael. - Ilekroć wynalazła jakąś samotną kobietę na wyspie, odruchowo opowiadała jej o niezonatym synu i przyprowadzała do domu, tak że kiedy wracałem, napotykałem na ganku nieznaną.

- Niektóre z nich były urocze - dodaje Nan. - Z jedną czy dwiema nawet się umawiałeś.

- Z jedną czy dwiema spośród jednej czy dwu setek - precyzuje Michael. - To niezbyt korzystne proporcje dla ciebie.

- Wygląda na to, że prowadziliście tu nabór z prawdziwego zdarzenia! - wykrzykuje Daff i ze śmiechem zwraca się do Nan.

- W pewnym sensie może tak właśnie było, tyle że nigdy nie udało nam się trafić na odpowiednią kandydatkę, prawda, kochanie? - Unosi brew i posyła Michaelowi kąpiące spojrzenie.

- Mów za siebie - odpowiada Michael i w tej samej chwili ponownie rozlega się brzęczyk jego komórki leżącej w przeciwległym kącie kuchni.

- Kochanie - złości się Nan - to draństwo przeszkadzało nam przez całe popołudnie. Nie mógłbyś go po prostu wyłączyć?

- Przepraszam, mam, wydawało mi się, że za którymś razem to zrobiłem. - Podchodzi do telefonu i podnosi go z blatu, aby zobaczyć, jaki numer miga na ekraniku. To Jordana. Znowu. Zadzwoiła do niego sześć razy w ciągu zaledwie dwu godzin. Jego skrzynka pęka od wiadomości głosowych, ale przestał ich słuchać już na samym początku. W pierwszej Jordana zalewała się łzami, w drugiej syczała z wściekłości.

Nie ma jej do powiedzenia nic, co mogłoby polepszyć jej nastrój, zmienić ich wzajemną sytuację, w dodatku Michael odczuwa wyłącznie ulgę na myśl, że udało mu się wyplątać z tego związku w odpowiednim momencie. I ma nadzieję, że jeśli tylko ukryje się przed nią na wystarczająco długo i będzie nieosiągalny, Jordana zrozumie, że ich romans nie ma szans powodzenia i zajmie się swoim życiem.

Wdusza przycisk wyłączający aparat na dobre i tym razem upewniwszy się, że ekranik zgasł całkowicie, wrzuca telefon do szuflady. Nigdy nie przepadał za komórkami, a teraz nie znosi ich jeszcze bardziej. Poniekąd im zawdzięcza katastrofalny w skutkach romans, który pozostawił go bez pracy i perspektyw towarzyskich na najbliższy czas - dlaczegóż więc miałby spoglądać na ów przedmiot, który wciąż mu przypomina, że na własną prośbę spieprzył sobie życie?

Zamyka delikatnie szufladę i podchodzi do matki.

- Może już usiądziemy? - szepcze jej do ucha. - Umieram z głodu.

- Czyż to nie dziwne... - Daff zwierza się Nan, pomagając jej sprzątać ze stołu. - Czuję się tu jak u siebie. Zupełnie jakbym jadła kolację z osobami, które znam od niepamiętnych czasów.

- Windermere - krótko wyjaśnia Michael. - Ten dom. Zawsze tak tutaj było, kiedy dorastałem. Nieomal zdażyłem zapomnieć, jak Windermere zmienia ludzi.

- On ma rację - popiera go Nan. - Ten dom zbliża do siebie ludzi.

- Do tego stopnia, że prawie nie widziałem wyspy - stwierdza Daniel. - Jestem tu od tygodnia i prawie nie wychodzę z domu, chyba że spotykam się z córkami.

- Jak im się podoba na Nantucket? Nie nudzą się?

- Chyba żartujesz! Nie mają ani chwili wolnej. Chodzą na ryby, pływają łodzią, jedzą lody... Czego jeszcze mogłyby chcieć? Popołudniami na ogół zabieram je do muzeum na pokazy rękodzielnictwa. Są zachwycone. Może powinnaś ściągnąć tu swoją córkę - zwraca się do Daff. - Moim zdaniem to kapitalne miejsce dla dzieciaków.

- Jessika nie jest już dzieckiem - prostuje Daff. - Ma trzynaście lat. Gdyby zaciągnąć ją do muzeum, powiedziałyby najpewniej coś w stylu: „O kur... ale kicha!”.

Daff udatnie naśladuje naburmuszoną nastolatkę, wywołując tym uśmiech Nan.

- Trudny wiek - zgadza się staruszka. - Michael nie sprawiał mi większych kłopotów, ale prawie wszystkie moje znajome nacierpiały się z powodu córek, które podczas dojrzewania zamieniły się w istne potworki. Potem im to przeszło, na szczęście. Dorosły i znów były z matkami na przyjacielskiej stopie.

- To dobra wiadomość - mówi Daff, ale nie potrafi ukryć smutku w oczach.

- Michaelu, może byś jutro pokazał Daff wyspę? - proponuje Nan, aby przerwać przeciągające się niezręczne milczenie.

Młodsza kobieta wybucha śmiechem.

- Chyba nie próbujesz umówić nas na randkę, co? Bo jeśli tak, zdecydowanie powinnaś popracować nad taktem.

- Takt nigdy nie był mocną stroną mamy - uśmiecha się Michael. - Ale nie martw się, jestem poza twoim zasięgiem.

- Naprawdę? - Nan patrzy na niego ze strachem. - Czyżby było coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć?

- Tylko to, że po swoim ostatnim związku mam ochotę na przerwę. Mówię poważnie. Przez co najmniej rok nie będę umawiał się z kobietami. Muszę poskładać swoje życie do kupy, zanim choćby pomyślę o tym, aby je z kimś dzielić.

- No, no! - Daff unosi kieliszek niby w toaście. - Całkowicie popieram twoją decyzję. Moje próby nawiązania nowej znajomości również spełzły na niczym. Przede wszystkim muszę odnaleźć samą siebie.

Daniel chrząka.

- Nie jestem pewien, jak to ująć, ale czuję, że powinienem wam to wyjawiać... - urywa niepewien, dlaczego próbuje powiedzieć o tym obcym ludziom, skoro nie poinformował własnej żony, ale chyba wydaje mu się o wiele łatwiejsze wyznanie tego przed kimś, kto nie zna go w roli męża i ojca, kto widzi w nim po prostu Daniela i kto z pewnością nie będzie go tak ostro oceniał. - Moje małżeństwo rozpadło się - ciągnie - ponieważ jestem gejem.

Zapada cisza, którą przerywa Michael.

- Mamy ci pogratulować?

Daff śmieje się cicho.

- O mój Boże, przepraszam - zakrywa ręką usta. - Po prostu nie wiem, jak powinnam zareagować. To znaczy, tak mi się od początku zdawało...

- No pięknie! - krzyczy Daniel. - Wszystkim wydaje się, że jestem gejem, odkąd przestałem pokazywać się razem ze swoją żoną. Ciekawe, czemu nikt nie brał mnie za homoseksualistę, kiedy byłem ojcem rodziny, a teraz nagle jest to dla każdego takie oczywiste!

Nan uspokajającym gestem kładzie mu dłoń na ramieniu.

- Sądzę, że dla sporej części osób, które cię znają, nie będzie to tak wielkim zaskoczeniem, jak ci się wydaje, a to chyba nic złego, prawda? Pomyśl o tym wszystkim, co cię czeka, o życiu, w którym nie będziesz musiał więcej udawać...

- O niczym innym nie myślę - odpowiada Daniel. - Tylko to utrzymuje mnie przy zdrowych zmysłach. To i moje córki, co chyba zrozumiały.

- Przedstawisz je nam? - pyta go Daff.

- Naturalnie. Już jutro. Bee podrzuci je o czwartej.

- Bee?...

- Moja była żona. Która, nawiasem mówiąc, wciąż o niczym nie wie, więc proszę, zatrzymajcie tę informację dla siebie. - Bierze głęboki oddech. - Zdaję sobie sprawę, że to nie w porządku wobec niej, powiedzieć wam pierwszym, a ją trzymać w niewiedzy, ale nadal przeraża mnie perspektywa konfrontacji z nią. Na razie ćwiczę wypowiedzianie na głos tych słów i chyba za każdym razem jest to trochę łatwiejsze.

- Rozumiemy to - zapewnia go Nan łagodnie, a Daniel przyglądając się twarzom wszystkich po kolei, znów odczuwa potężną ulgę, gdyż widzi, że tak właśnie jest.

- Opowiedz mi o swoich córkach - prosi Daff, zmieniając temat, chcąc, by poczuł się swobodnie. - Jessika była taka słodka jako mała dziewczynka, wciąż mi tego brakuje.

Daniel rozpromienia się, zaczynając opowiadać o Lizzie i Stelli.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Daff i Daniel pękają ze śmiechu, widząc, jak Michael walczy, by wyprowadzić rowery z szopy.

- O co wam chodzi? - pyta, spoglądając na Daff i ignorując potrząsającego głową Daniela.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że... - Mężczyzna chichocze z niedowierzaniem.

- Że co? - Michael naprawdę nie ma pojęcia, w czym rzecz.

Daff w końcu odzyskuje oddech i włącza się do rozmowy.

- Mamy pojechać na nich? Michael przenosi wzrok na rowery.

- A czego im brakuje? No dobra, może są trochę przykurzone, ale umyję je i naoliwię łańcuchy, tak że raz-dwa będą jak nowe.

- A ile w rzeczywistości mają lat? - dopytuje Daniel. Michael nareszcie się uśmiecha.

- Zdaje się, że moja mama dostała je w prezencie ślubnym.

- To by się zgadzało... - Daniel ujmuje jeden z rowerów za kierownicę i oprowadza go po podwórku. - Tyle że wyglądają na jeszcze starsze. Gdybyś pokazał się z nimi na antenie w *Antiques Roadshow*, pewnie zbiłbyś fortunę.

- Daj spokój... - Michael przypatruje się środkom lokomocji uważniej. - Nie jest z nimi aż tak źle.

- Jasne, że nie - zgadza się szybko Daniel. - Są fantastyczne. Po prostu dawno takich nie widziałem.

- To klasyczne damki.

- Aha. Tam, gdzie mieszkałem do tej pory, wszystko musiało być nowe, błyszczące i z najwyższej półki. Jeśli człowiek już zdecydował się na rower, musiał sobie sprawić najnowszego górala i potem zmieniać go co dwa lata, żeby zawsze być na bieżąco z modelami.

- A tam skąd ja się wywodzę, uwielbiamy klasykę. Obtłuczony i ubłocony jeep albo stary schwinn są dobre na każdą okazję.

- Święte słowa. - Daff się uśmiecha. - Ale Daniel też ma rację. Żyjemy w czasach, kiedy wypada obnosić się ze swoim bogactwem, kiedy pieniądze są jedynym prawdziwym bogiem i im więcej ich człowiek posiada, tym bardziej powinien się nimi chwalić. Wystarczy spojrzeć na niektóre domy budowane w moim sąsiedztwie...

- Wyobrażam sobie. - Daniel przewraca oczyma. - Pozwól, że zgadnę: nie znajdzie się pośród nich mniejszy niż siedem tysięcy stóp kwadratowych?



- Bingo! - Daff śmieje się głośno. - A do tego wszystko, co idzie w parze z tak imponującą powierzchnią: osobne garderoby dla pani i pana domu, każda wielkości sporej sypialni, szerokaśne schody i oczywiście marmur na podłodze w holu...

- Range-rover w garażu? - wtrąca Michael.

- Obok hummera żony - przytakuje Daff. - Ale poczekajcie, aż usłyszycie o najlepszym. Jakiś czas temu w lokalnej gazecie przeczytałam artykuł o domu wzniesionym na wodzie. Projektantem był któryś ze znanych architektów, wnętrza urządzała słynni nowojorscy designerzy, a powierzchnia wynosiła... nie uwierzcie!... dwadzieścia tysięcy stóp kwadratowych!

- Kto do diabła potrzebuje dwudziestu tysięcy stóp? - zachłystuje się Michael. - No naprawdę... Po co komu tyle? Co oni tam robią? Utrzymują armię dzieciaków?

- Z tego co wiem, właścicielami są młodzi ludzie tuż po trzydziestce, on zdaje się zbił krocie na funduszach hedgingowych, i mają tylko dwoje małych dzieci. Ale najlepsze jest to, co mówili w wywiadzie, obszernie przytaczanym w tamtym artykule, mianowicie, że za wszelką cenę chcieli uniknąć pretensjonalności i stworzyć przytulny dom. Jako osoby twardo stąpające po ziemi, pragnęli, by dom odzwierciedlał ich samych, a przy tym był prawdziwym schronieniem... - Daff nie umie powstrzymać śmiechu, wtóruje jej Daniel, podczas gdy Michael tylko niedowierzająco kręci głową.

- Jak niby można urządzić przytulnie dwadzieścia tysięcy stóp kwadratowych? - pyta szczerze zdumiony.

- Nie można - odpowiada ze wzruszeniem ramion Daniel. - Wszyscy ci, których poznałem, a którzy mieszkają w podobnych domach, mówią zawsze mniej więcej to samo: że daleko im do pretensjonalności i że są niezwykle praktyczni, a w takim hangarze wylądowali przez przypadek i wciąż jeszcze czują się lekko tym faktem zażenowani.

Daff wzdycha.

- Trochę tęskno do starych, porządnych domów.

- Otóż to - podchwytuje Michael. - Moim zdaniem domy tutaj, na Nantucket to czysta perfekcja.

- Och, tak! - zachwyca się Daff. - Zdaje się, że przejechaliśmy obok kilku w drodze z przystani. Szalenie bym chciała obejrzeć je z bliska. Możemy zrobić sobie taką wycieczkę?

- Oczywiście - zgadza się Michael. - Tylko dajcie mi szansę na doprowadzenie tych starszków do jakiej takiej kondycji. Wybierzesz się z nami, Danielu?

- Raczej nie... Ale dzięki za zaproszenie. Od paru dni nie zaglądałem do skrzynki mailowej. Znajdę gdzieś w mieście bezprzewodowy Internet i odwalę trochę pracy, zanim całkiem mnie zasypie.

- Na pewno?

- Na pewno. Weekend spędzam z córkami, więc im szybciej nadrobię zaległości w pracy, tym lepiej. Chciałbym móc być cały do ich dyspozycji, kiedy już się tutaj pojawią.

- Musisz być wspaniałym ojcem - wtrąca Daff, znowu smutniejąc na myśl o Jessice.

- Mam wspaniałe dzieci - odpowiada Daniel i machając im na pożegnanie, odwraca się w stronę domu.

\* \*

Nan leży w łóżku, otoczona przez czasopisma. Nieczęsto pozwala sobie na podobny luksus: leniuchowanie, podczas gdy dom musi sobie radzić bez niej, jednakże po raz pierwszy od miesiący poczuła się dość pewnie, by to zrobić, zwłaszcza że Michael jest przy niej i Windermere znów tętni życiem.

Koła zamachowe domu, jego trzewia ukryte przed wzrokiem mieszkańców, postępują i skrzypią, obracając się z wolna, i nabierając prędkości, produkują energię, siłę życiową, której nic już nie powstrzyma.

Co za ulga, że utrzymanie domu przy życiu nie należy wyłącznie do Nan; co za ulga, że Windermere na dobre się przebudziło i będzie trwało, prawdopodobnie również bez niej.

Gdyż Nan jest coraz bardziej zmęczona ostatnimi czasy. Być może nie ma w tym niczego dziwnego, wzięwszy pod uwagę, jak wiele ma obowiązków, szczególnie odkąd Sara wyjechała na Cape Cod do rodziny swego męża, u której pozostanie aż do końca lata. Nan dopiero teraz uprzytomniła sobie, jak wiele zawdzięcza Sarze i jak bardzo przyzwyczaiła się do jej obecności, traktując ciągłą pomoc jak coś zupełnie oczywistego.

W dodatku Nan za nią tęskni, żałuje, że po całej tej ciężkiej pracy włożonej w przekształcenie domu w gościniec Sary nie ma tutaj, aby mogła się cieszyć efektami i czerpać radość z obcowania z tymi wszystkimi wspaniałymi ludźmi. I żeby w odpowiednim momencie nalegała, aby Nan udała się na górę i odpoczęła nieco, gdy staje się widoczne, iż leci z nóg.

Nan bardzo się stara, aby nie było widać po niej zmęczenia, nie chce bowiem, aby zaczęto się o nią martwić, ale tego ranka po śniadaniu, po tym jak już zrobiła dla wszystkich naleśniki, jajecznicę i jajka na bekonie - do wyboru, do koloru - wróciła na górę do swojej sypialni, gdzie wciąż czekało na nią nieposłane z pośpiechu łóżko, które wyglądało tak zachęcająco miękko i ciepło, że natychmiast poczuła stokrotnie większe zmęczenie i zrzuciwszy buty, szybciotko zakopała się w pościeli, pozwalając, by ogarnął ją zbawczy sen.

Nie słyszała, jak Michael zagląda przez uchylone drzwi, a potem z uśmiechem podchodzi, aby okryć ją szczelniej pierzyną, zupełnie jak robi to troskliwy rodzic wobec dziecka.

Nan po przebudzeniu czuje się o wiele lepiej, wciąż jednak nie do końca dobrze. Prawdopodobnie złapała jakiegoś wirusa czy coś w tym stylu. Wiele czasu spędziła z tymi dwiema cudnymi dziewczynkami - Stellą i Lizzie - a chyba nie bez powodu mówi się, że dzieci to chodzące szalki Petriego z rojącego się w nich bakteriami. To do niej podobne: zarazić się paskudną letnią grypą, na którą pod koniec roku szkolnego chorowała połowa dzieciaków w stanie Massachusetts.

- Może ci coś podać? - pyta Daniel, zapukawszy i wszedłszy do środka.

- Dziękuję, Danielu, ale nic mi nie trzeba - odpowiada, starając się, by jej uśmiech wydawał się równie promienny jak zawsze. Dziesięć minut później Daniel pojawia się znowu, tym razem niosąc filiżankę herbaty.

- Jesteś taki kochany... - mówi do niego Nan. - Ale, ale... Gdzie jest Michael? Widziałeś go może? - Poklepuje brzeg łóżka, zachęcając Daniela, by przysiadł obok niej.

- Razem z Daff dosiedli tych zabytkowych rowerów z szopy i udali się na wycieczkę badawczą po okolicy.

- O, świetnie - cieszy się Nan. - Mam nadzieję, że będą się dobrze bawili. Mam przeczucie, że mogliby się w sobie zakochać. Jestem niepoprawna, czyż nie? Obiecuj, że nic im nie powiesz...

- Obiecuję. - Daniel z uśmiechem kładzie rękę na sercu.

- Zwłaszcza że odnoszę takie samo wrażenie. Michael proponował, abym pojechał z nimi, ale ja wspaniałomyślnie wymówiłem się pracą. Moim zdaniem powinni pobyć tylko we dwójkę.

- Bystrzak z ciebie - chwali go Nan. - No więc co będziesz dzisiaj porabiał?

- Niestety naprawdę mam trochę pracy. Podjadę do centrum. Jesteś pewna, że niczego ci nie potrzeba? Może mógłbym wezwać lekarza albo coś?...

- Na Boga, nie! - protestuje Nan. - Nie jestem chora, po prostu czuję się nie w sosie. Ale nic mi nie jest. Poza tym nie ufam lekarzom. To znaczy ufałam doktorowi Groverowi, który w dawnych czasach łątał wszystkie okoliczne dzieciaki, gdy zaszła taka potrzeba. W wypadku dorosłych to tylko zwykle zawracanie głowy.

- Na pewno?

- Na pewno - powtarza Nan, po czym machnięciem ręki wygania go z sypialni.

- Wszystko u ciebie w porządku? - Michael zatrzymuje się po raz n-ty i czeka na Daff, która pedałuje zawzięcie i zbliża się do niego jak w zwolnionym tempie, dysząc z wysiłku.

- W jak najlepszym - odpowiada, zmuszając się do uśmiechu i starając się ukryć swą kiepską kondycję. - Chociaż muszę przyznać, brzmiało to na o wiele zabawniejsze, niż jest w istocie - dodaje z autoironią, na co Michael wybucha śmiechem.

- Kiedy ostatnio ćwiczyłaś?

- Nie pamiętam. - Ściąga brwi w udawanym marsie. - Pracując zawodowo, wychowując samotnie córkę, walcząc z własnym rozsypanym życiem i stawiającą żądania nastolatką, nie znalazłam czasu na gimnastykę ani jogę.

- Zróbmy sobie przerwę - proponuje Michael, zeskakując z roweru i siadając na trawie. - Możemy chwilę odpocząć. No więc... wygląda na to, że masz ręce pełne roboty. Czy twój były wciąż jest na scenie?

- W związku ze mną czy w związku z Jessiką? - Daff unosi jedną brew.

- Twoja córka mieszka teraz u niego, więc o to bym raczej nie pytał.

- Racja. Muszę przyznać, że stosunki między nami są teraz poprawne. Był czas, kiedy myślałam, że nigdy nie pozbię się po rozstaniu, nie przeboleję straty, ale w końcu zrozumiałam, że Richard miał powody, aby poszukać szczęścia gdzie indziej, że gdyby nasze małżeństwo było takie cudowne i idealne, jak sądziłam, nie potrzebowałby kochanki.

- Przykro mi - bąka Michael. - Nie zdawałem sobie sprawy...

- Nie przejmuj się. Nie wspominałam o tym, ale tak, jestem jedną z tych kobiet, które zniemacka odkrywają, że ich mąż ma romans.

- Nie dałaś mu drugiej szansy? - Michael zadaje to pytanie, nim zdąży pomyśleć, przed oczyma mając Jordanę, to, co by się z nią stało, gdyby Jackson odkrył prawdę.

- Zawsze uważałam, że to zrobię. No wiesz, człowiek rozpatruje czasem najczarniejsze scenariusze i zastanawia się, jakby postąpił w takiej czy innej sytuacji, i ja chyba naprawdę wierzyłam, że umiałabym wybaczyć zdradę, że niewierność nie musi oznaczać końca małżeństwa, no ale Richard postawiony pod ścianą nie potrafił zdecydować, którą z nas wybiera, a tego nie byłam mu w stanie wybaczyć. - Daff wzdycha ciężko. - To by było tyle o mnie. Teraz twoja kolej.

- Moja? - Michael szerzy zęby w uśmiechu. - Niewiele można o mnie powiedzieć.

- Masz czterdzieści ile, trzy, cztery lata?

- Ciepło. Czterdzieści dwa.

- Byłeś kiedykolwiek żonaty?

- Nie, nigdy.

- Widzisz? Na pewno da się o tym powiedzieć coś więcej.

- Być może, ale nie będzie to nic ciekawego. Chyba po prostu dokonywałem złych wyborów. Związałem się parę razy z kobietami, które były wspaniałe pod bardzo wieloma względami, ale nie były odpowiednie dla mnie. Nigdy jeszcze nie odnalazłem spokoju w bliskości z kobietą i teraz dziękuję opatrności, że nie przyszło mi do głowy żadnej poślubić, bo z pewnością nie skończyłoby się to dobrze. - Urywa na chwilę.

- No i jest jeszcze moja ostatnia, niefortunna przygoda.

- Tak?

- Wstyd mi to przyznać, zwłaszcza że twój mąż miał romans i w ogóle...

- Związałaś się z mężatką?

Michael potakuje skinieniem, a kiedy podnosi na nią wzrok, widzi w jej oczach tylko łagodność. Pomimo tego co ją spotkało, Daff go nie ocenia, nie feruje wyroków.

- To ona wydzwaniała do ciebie wczoraj wieczorem? - patrzy na niego znacząco.

- O Boże... To takie oczywiste?

Daff uśmiecha się lekko.

- Intuicja. Domyśliłam się, że chodzi o kobietę. No więc, co dalej?

- Wszystko skończone. Nieodwołalnie.

- Dla obu stron?

- W tym właśnie problem. Dla mnie nieodwołalnie. Ale ona chce to ciągnąć. Wbiła sobie do głowy, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Najgorsze jest to, że bardzo ją lubię. Od dawna. Znamy się od wieków, ale dopiero kiedy się do siebie zbliżyliśmy, zrozumiałem, że nie jesteśmy dwiema połówkami tego samego jabłka, i musiałem odejść.

- Zatem to dlatego uciekłeś na Nantucket!

- W głównej mierze. A ty? Przed czym uciekasz?

- Nie uciekam... - Daff zamyśla się, wstaje i przeciąga się z nieobecną miną. - Raczej szukam czegoś. Próbuję się dowiedzieć, kim naprawdę jestem.

- Poza tym, że żoną i matką?

Daff spogląda na niego ze zdumieniem.

- Utrafiłeś w sedno! Skąd wiedziałeś?...

- Niczego nie wiem. - Michael także podnosi się z ziemi i z powrotem siada na rower. - Po prostu to by miało sens.

Michael pokazuje jej wszystkie miejsca, jakie każdy, kto przybywa na Nantucket po raz pierwszy, musi koniecznie zobaczyć, a potem także inne, już nie tak obowiązkowe, ale za to ważne dla niego osobiście. Zabiera ją między innymi do Siasconset i tamtejszej latarni morskiej - Sankaty - pod którą pocałował swoją pierwszą dziewczynę, do salonu jubilerskiego, w którym pracował w soboty i gdzie pokochał złotnictwo, na nabrzeże Coatue, gdzie wraz z przyjaciółmi urządzali imprezy do białego rana wprost na plaży.

Zatrzymują się w jego ulubionej restauracji na lekki lunch, a potem jeszcze na lody w cukierni, do której chadzał jako dziecko. Kiedy wyłaniają się znów na ulicę, wokół swoich bicyklów widzą grupkę chłopców pomagających w pobliskim sklepie rowerowym.

- To wasze? - pyta jeden z nich.

- Yhy.

- Rany, nie widziałem takich od wieków. Mój tata miał podobny w dzieciństwie. To dopiero prawdziwy rower!

- Zgadza się. Ma już swoje lata.

- Mogę się na nim przejechać?

- Jasne. - Michael spokojnie patrzy, jak chłopiec pedałuje w górę ulicy, natomiast Daff okazuje podenerwowanie.

- Przecież może go ukraść - szepcze doń.

- Skądże znowu. Zaraz podjedzie tu z powrotem.

- Nie wierzę własnym oczom. Pozwoliłeś zabrać rower nieznanemu chłopakowi! Co będzie, jeśli go nie odda?

- Odda. A jeśli tego nie zrobi, wrócimy do domu autostopem.

Daff prycha.

- Autostopem?! Czyś ty oszalał? Michael zaczyna się śmiać.

- Mogłabyś oskarżać mnie o szaleństwo, gdybym proponował autostop na Bronksie, ale to jest Nantucket. Poza tym wyluzuj. Nie będziemy musieli łapać okazji. Chłopak zaraz wróci.

Kwadrans później Daff robi krok do tyłu i obrzuca Michaela uważnym spojrzeniem.

- No więc co z tym autostopem? Michael potrząsa głową.

- Cholera! Nie mogę w to uwierzyć! Naprawdę miałem go za porządnego chłopaka.

- Wygląda na to, że nie jesteś na bieżąco, panie nowojorczyku - kpi z niego Daff.

- Czyżby? - szczerzy się Michael, kiedy chłopiec hamuje przy nich z piskiem opon.

- Poniosło mnie... - tłumaczy zdyszany, zsiadając z roweru i przekazując kierownicę Michaelowi, który posyła w stronę Daff spojrzenie „a nie mówiłem?”. - To naprawdę klawy rower. Prawie go sobie przywłaszczyłem - dodaje z uśmiechem. Michael odwzajemnia uśmiech, starając się ignorować Daff, która ma problemy z zachowaniem powagi.

- Szczęściarz z ciebie - mówi do niego, gdy jadąc obok siebie, skręcają za róg.

Michael patrzy na nią niepewnie.

- Chyba nie - rzuca rozbawiony. - Kiedyś też byłem zdania, że życie mi sprzyja. Że wystarczy spodziewać się po ludziach dobrego, i faktycznie spotka cię sama dobroć. A jeśli oczekujesz najgorszego, sam prosisz się o kłopoty. - Wzdycha z nostalgią. - Chyba przestałem w to wierzyć.

- A nie powinienesz był. Uważam, że to bardzo mądra dewiza życiowa - mówi Daff. - I bardzo prawdziwa. Ja najczęściej działam powodowana strachem, ale twój sposób wydaje się o wiele lepszy.

- Strachem? Czego się boisz?

- Wszystkiego. Tego, że zabraknie mi pieniędzy, że Jess nie będzie chciała do mnie wrócić, że stracę pracę, że zabiorą mi dom...

- Ciężko musi być tak żyć.

- Brzmi to znacznie gorzej, niż wygląda. Oczywiście nie martwię się tym każdego dnia i obawa nie jest na tyle silna, by mnie sparaliżować, ale przez cały czas mam świadomość, że życie nie jest łatwe. Głównie przytłacza mnie poczucie odpowiedzialności. Wiem, że jeśli nie będę pracowała wystarczająco dużo, nie zarobię dość pieniędzy, a wtedy mogę stracić dom, no i nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić o pomoc. - Daff śmieje się nerwowo. - O, mój Boże!... Posłuchaj mnie tylko! Gadam całkiem jak neurotyczka. Prawda jest taka, że uwielbiam swoje życie, tylko mam wiele obowiązków i chwilami nie jest mi łatwo. To wszystko.



- Łapię - zapewnia ją Michael. - Zresztą przez sporą część czasu czuję się podobnie. Chodź, usiądziemy na tamtej ławce...

Idąc, Michael bezwiednym ruchem kładzie dłoń na jej plecach i choć jest to tylko zwykły, przyjacielski gest, Daff momentalnie wyczuwa bijące od jego ręki ciepło i zdumiewa ją poczucie bezpieczeństwa, które ją ogarnia, gdy pozwala się tak podprowadzić mężczyźnie do ławki.

\* \*

Po powrocie zastają Daniela w kuchni.

- Co tutaj robisz? - pyta go Daff, przysiadając przy stole. - Gdzie Nan?

- Źle się poczuła - odpowiada Daniel, nie przerywając cięcia marchewek. - Właśnie gotuję dla niej rosół i nie przestaję się zastanawiać, czy nie powinniśmy wezwać lekarza...

- Rano na nic się nie skarżyła - mówi zdziwiony Michael. - Co jej dokładnie jest?

- Twierdzi, że nic jej nie dolega, ale wydaje się szara na twarzy i wycieńczona. Pewnie dopadła ją grypa.

- Pójdę na górę i się jej przyjrzę - oznajmia Michael, kierując się do drzwi.

- Mam nadzieję, że wyjdzie z tego - rzuca za nim Daff. Michael obraca się w drzwiach.

- Och, z pewnością. Jest silna jak wół. Dajmy jej tylko trochę czasu.

Tak jak było do przewidzenia, po zaledwie dwu godzinach Nan schodzi na dół w świetnym nastroju i zabiera się do szykowania obiadu.

- Jak się czujesz? - pyta ją z troską Daff, lecz Nan ogania się od niej jak od natrętnej muchy.

- Jak ptaszek na wiosnę - odpowiada stanowczo. - Poleniuchowałam trochę w łóżku, to wszystko. Coś tu wybornie pachnie... Czyżby ktoś za mnie ugotował obiad?

Daniel wzrusza skromnie ramionami.

- Zdaje się, że ja jestem winowajcą. Nie chciałem cię budzić i pomyślałem sobie, że zacznę bez ciebie... Gniewasz się na mnie?

- Czy się gniewam? Wręcz przeciwnie: jestem ci wdzięczna! - Nan podchodzi do kredensu i wyciąga z szuflady paczkę papierosów i elegancką złotą zapalniczkę. - Zapalę sobie na tarasie. Michael, kochanie, napiłabym się czegoś. Może przyrządzisz nam po martini? Daff, Danielu, idziecie ze mną?

Goście wychodzą za nią na zewnątrz, a zaniepokojony Michael kręci głową. Do całkiem niedawna uważał, że jego matka jest niezniszczalna, że nigdy nie nadejdzie czas, kiedy będzie na nią patrzył i się martwił, lecz dzisiejszego dnia po raz pierwszy zdał sobie sprawę z jej kruchości i poczuł strach, a nie tylko abstrakcyjną obawę. Udaje się ich śladem na taras i ujmuje Nan pod łokieć, a ona obraca się ku niemu i obdarza go radosnym uśmiechem.

- Kocham cię, mamó - mówi do niej samym ruchem warg, a ona uśmiecha się szerzej, pozwalając, by umościł ją w fotelu, po czym wyjmując papierosa z paczki i pochyła się ku Danielowi, który chce podać jej ogień.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Richard i Carrie jedzą obiad, a Jess, która powinna siedzieć z nimi przy stole, tkwi w swoim pokoju za zamkniętymi drzwiami, płonąca z gniewu.

Ojciec obiecał jej, że pojedą razem do galerii rozrywkowo-handlowej, ale znienacka plany uległy zmianie, bo Carrie zachciało się zbijać półki na książki, i teraz zamiast do galerii szykuje się wyprawa do hipermarketu budowlanego, gdzie Jessika nie ma nic do roboty. Usłyszała tylko, że do galerii mogą pojechać innym razem.

Takie rzeczy dzieją się na okrągło. Ojciec nie ma czasu na prawie nic z tego, co z przyjemnością robili przed tym, zanim na horyzoncie pojawiła się Carrie. Czasami przekazuje ją pod opiekę Carrie i to wcale nie jest takie złe, na przykład wycieczki do manikiurzystki albo wspólne lunchy czy zakupy w sklepach dla nastolatków w centrum, ale mimo wszystko to nie to samo co spędzanie czasu z ojcem.

Nie o to jej chodziło, kiedy dawała nogę z domu i upierała się przy tym, aby zamieszkać z ojcem. Sądziła, że będzie tak samo jak wtedy, zanim przyplątała się Carrie - mianowicie, że będzie miała ojca wyłącznie dla siebie. Naturalnie rozumie, że sytuacja nieco się zmieniła, nie może przecież bez końca udawać, że nie dostrzega istnienia Carrie, ale oczekuje, że ojciec będzie stawiał na pierwszym miejscu ją, i bardzo ją boli, że prymat najwyraźniej przyznaje Carrie.

Czasami odczuwa taką wściekłość - jak to malowniczo wyjaśniła Carrie przy okazji którejś szczerzej rozmowy - jakby budził się w niej wulkan gotowy do wybuchu. Teraz ukryła się w swoim pokoju, gdyż w przeciwnym razie mogłaby wskoczyć na stół w jadalni i krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć...

Wie, że w gniewie mówi straszne rzeczy, i próbuje jakoś nad sobą zapanować, choćby chowając się w swoim pokoju, gdzie niestety wcale nie jest lepiej, tyle że istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, by jakieś jej słowo zraniło tatę.

Wyrównując oddech, Jessika przetacza się na drugą stronę łóżka i sięga do szuflady w nocnej szafce, skąd wyciąga kolejno parę maskotek i przybornik do makijażu. Właściwie się nie maluje, a przynajmniej robi to bardzo rzadko, ale cienie w tym nowym przyborniku są takie błyszczące, że aż zachęcają do tego, by je nałożyła na powieki, więc czemu nie? Może powinna zacząć się malować jak należy. Układa pluszowe zwierzątka na poduszce w równym rzędzie i otwiera przezroczyste plastikowe wieczko, gdy w korytarzu rozlegają się czyjeś kroki.

Jednym zwinnym ruchem wrzuca wszystko z powrotem do szuflady i zatrząskuje ją z hukiem, po czym krzyżuje ręce na piersi i robi smutną minę w tej samej chwili, kiedy Richard podnosi dłoń, by delikatnie zapukać do drzwi.

Jess stała pośrodku sklepu sieci Target razem ze swoją przyjaciółką imieniem Kayleigh, gdy nagle naszła ją ochota. Później nie umiała sobie wytłumaczyć, czemu w ogóle to zrobiła - przecież miała w kieszeni dwudziestodolarowy banknot, który dała jej Carrie, po tym jak zameczała ją prośbami o pieniądze - może dlatego, że do kas były niesamowicie długie kolejki, a błyszczak do ust był taki tani, że nikt nie mógł zauważyć jego zniknięcia ani tym bardziej się tym przejąć. To właśnie powtarzała sobie, wsuwając kosmetyk za rękaw.

- Mam dosyć - oznajmiła przyjaciółce z walącym sercem, nie poznając swojego głosu, zmienionego przez strach i wstrzymywany oddech. - Chodźmy już stąd.

- Mówiłaś, że chcesz zobaczyć koszule nocne - przypomniała jej Kayleigh.

- Obejrzymy je innym razem. Na przykład jutro - powiedziała Jessika i skierowała się prosto do wyjścia, nie patrząc na nikogo, jako że poczucie winy zmuszało ją do unikania wzroku mijających ją ludzi, i rozluźniła się dopiero wewnątrz samochodu matki Kayleigh, gdzie przyływ adrenaliny wywołał u niej niekontrolowany wybuch chichotu.

- Co ci się stało? - pytała ją raz po raz Kayleigh. - Zwariowałaś?

Po chwili obie niepowstrzymanie chichotały.

To było kilka dni temu. Od tego czasu Jess ukradła więcej kosmetyków, a także przybory toaletowe i całą gamę pluszaków i zabawek. Nadal nie ma pojęcia, czemu świerzbią ją ręce i dlaczego ciągnie ją akurat do tych przedmiotów - przecież się nie maluje i już dawno wyrosła z zabawek dla dzieci - ale nie potrafi się pohamować ani znaleźć wytłumaczenia dla swojego zachowania.

Za każdym razem gdy opuszcza sklep nieprzyłapana, chowając coś pod swetrem, za każdym razem gdy dociera bezpiecznie do domu, by ukryć swoje łupy w szufladzie nocnej szafki, czuje się tak szczęśliwa, jak nigdy się nie czuła od czasu rozvodu rodziców.

Zamknawszy się w swoim pokoju, wyjmuje ukradzione rzeczy i im się przygląda. Otwiera przyborniki i układa je wedle wielkości albo koloru, przesuwając po narzucie w różnych konfiguracjach, lecz nigdy niczego nie używa, nie odrywa metek od pluszaków ani nie zdrapuje nalepek z opakowań. Przyjemność sprawia jej samo patrzenie, choć trzeba przyznać, że emocje dość szybko opadają. Jedynie za pierwszym razem, gdy w rękawie wyniosła ze sklepu błyszczak, czuła podniecenie przez całą noc, była pełna zachwyty, ilekroć wysunęła szufladę i zobaczyła cienką różową tubkę z błyszczącym płynem w środku.

Teraz, po zaledwie kilku dniach, już jej to tak bardzo nie ekscytuje, aczkolwiek wciąż dostarcza wrażeń, jakich ostatnimi czasy brakuje w jej życiu. Myśli sobie, że może powinna spróbować gdzie indziej. Na przykład w sklepie z odzieżą młodzieżową, Kool Klothes.

- No więc o czym chcesz ze mną rozmawiać? - Bee siedzi w Sconset Café i nerwowym ruchem wodzi opuszkami palców po brzegu filiżanki z kawą. - Wydawało mi się, że mieli się kontaktować ze sobą tylko nasi prawnicy... - Nie udaje jej się ukryć goryczy w głosie ani ewidentnego strachu.

Daniel bierze głęboki oddech i próbuje się odezwać, lecz nie potrafi dobyć z siebie głosu.

- Danielu, o co chodzi? - Bee przygląda mu się uważnie.

- Cokolwiek to jest, po prostu mi powiedz.

Mężczyzna potrząsa głową, po czym podnosi na nią wzrok.

- Nie byłem wobec ciebie do końca uczciwy.

W oczach Bee pojawia się strach, gdy uderza ją czające się od dawna w jej umyśle podejrzenie.

- Miałaś romans - szepcze, nieomal dławiąc się powietrzem. Nie pyta go, raczej informuje.

- Nie - zaprzecza Daniel. - Nigdy bym ci tego nie zrobił. Przysięgam, Bee, nigdy cię nie zdradziłem.

Jej ulga wydaje się namacalna.

- Zatem co to jest? Co może być tak strasznego, że nie umiesz tego z siebie wydusić?

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć... - Daniel twarz ma pobielającą, oddech płytki i urywany. - Chodzi o coś, o czym wiedziałem od dawna, tyle że nie chciałem tego przyznać nawet sam przed sobą. Myślałem, że zdołam to z siebie wyprzeć, ale dłużej już tak nie potrafię...

- Jesteś gejem - wypluwa Bee, jest to odruch, nad którym nie panuje, zresztą spodziewa się, że Daniel zaprzeczy, że ją wyśmieje, powie, żeby się nie wygłupiała, choć równocześnie w głębi ducha czuje, z chwilą gdy słyszy własne słowa, że to prawda, a gdy Daniel spuszcza wzrok pod jej spojrzeniem, zyskuje dodatkowe potwierdzenie. - Chryste! - Bee potrząsa głową i śmieje się gorzko, wznosząc oczy ku sufitowi. - Nie wierzę, że to się przytrafia właśnie mnie!

Daniel w dalszym ciągu nie znajduje słów.

- Przykro mi - bąka i jest to wszystko, co przychodzi mu do głowy.

- Przykro ci? - powtarza za nim jak echo Bee, usiłując znów się roześmiać. W jej śmiechu nadal nie ma ani cienia wesołości. - To mnie jest przykro! Żałuję, że nie słuchałam swoich znajomych, którzy jeszcze przed naszym ślubem ostrzegali mnie, że jesteś homoseksualistą, na co ja zawsze stawałam w twojej obronie, mówiłam, że po prostu jesteś wrażliwy jak na mężczyznę, że pozostajesz w zgodzie z żeńską częścią swojej osobowości. Ależ byłam naiwna!

- Nie byłaś naiwna. Ja sam wtedy nie wiedziałem, kim jestem... - Daniel spodziewał się wszystkiego, lecz nie takiej pogardy, nie takiego gniewu.

- Chryste! - mówi ponownie Bee. - Nie dziwota! Nie dziwota, że nie chciałaś ze mną sypiać. A ja, głupia, myślałam, że chodzi o mnie, że ci się nie podobam, że czegoś mi brakuje, że nie jestem dość

seksowna, nie dość szczupła, nie dość kobieca, nie dość... Nieważne! W rzeczywistości chodziło jak najbardziej o mnie, tyle że w sposób, jakiego sobie nawet nie wyobrażałam.

Daniel porusza ramionami w niedokończonym geście i ucieka wzrokiem w bok.

- Przysięgasz, że nigdy nie spałeś z nikim innym? - pyta go nieoczekiwanie. - Przysięgasz na swoje życie?

- Przysięgam.

- Chodzi mi o... Boże, to takie wielkie ryzyko... Przysięgasz - urywa, po czym mówi coś, o co by się nigdy nie podejrzewała - przysięgasz na życie dziewczynek?

- Tak. - Daniel nie ukrywa szoku, ale przynajmniej jest w stanie odpowiedzieć zgodnie z prawdą. - Przysięgam na życie naszych dzieci, że nigdy cię z nikim nie zdradziłem. Bee, zrozum, to coś nowego także dla mnie. Naprawdę nie musisz się martwić...

- Robiłam test na HIV dwukrotnie, kiedy byłam w ciąży - przerywa mu - więc wiem, że nam nic nie jest.

- Jezu... - Daniel kręci głową z niedowierzaniem. - Tylko tyle masz do powiedzenia? Że ulżyło ci, bo nie jesteś chora na AIDS?

- Sama nie wiem, Danielu... A co twoim zdaniem miałabym powiedzieć? Że jestem zachwycona? Że cieszę się, bo to nie ja jestem winna rozpadowi naszego małżeństwa i od samego początku nie mogłam zrobić nic, co by je uratowało? Chciałbyś, żebym powitała cię z otwartymi ramionami w moim nowym samotnym życiu jako najbliższego przyjaciela geja? Może mielibyśmy chodzić po knajpach i plotkować albo jeszcze lepiej wspólnie przejrzeć moją garderobę, tak żebyś mógł mi doradzić, które ciuchy powinnam zatrzymać, a które wyrzucić? Skoro już o tym mowa, zawsze umiałeś mi w tych sprawach dobrze doradzić.

- Czy naprawdę musisz być taką suką?

- Wiesz co, Danielu? - Łzy zaczynają toczyć się po jej policzkach, gdy Bee wstaje gwałtownie od stolika. - Tak, tak, właśnie że muszę! Mój mąż, z którym jestem po ślubie od prawie sześciu lat, dopiero co raczył mnie poinformować, że nasze małżeństwo było ścierną, że wszystko, w co wierzyłam, co miałam za prawdę, okazało się kłamstwem, więc chyba nie odmówisz mi prawa do tego, bym zachowywała się jak suka? Zwłaszcza że zwyczajnie nie wiem, co ci powiedzieć... - Bee kręci głową i unosi dłoń, by powstrzymać Daniela przed odezwaniem się.

- Nie, Danielu. Nie mogę z tobą rozmawiać. Nie dziś.

Z tymi słowy zostawia go samego. Daniel siedzi nad stygnącą kawą jeszcze przez godzinę, niezdolny do myślenia, niezdolny do ruchu.

- Nic ci nie jest? - Daff siedzi na ganku i szkicuje, kiedy Daniel noga za nogą wlecze się podjazdem. - Wyglądasz okropnie.

- Bywało lepiej - zgadza się z nią, wzdychając.

- Co się stało? - Kobieta odkłada szkicownik i gestem zaprasza, by usiadł obok niej.

- Rozmawiałem z Bee. Powiedziałem jej... Oczy Daff otwierają się szerzej.

- Chodzi ci o to, że jej powiedziałaś?... - Daniel potakuje skinieniem. - O Boże... - mówi Daff. Chce go objąć i przytulić, nie wie jednak, czy to byłoby na miejscu, skoro właściwie się nie znają. - Jak to przyjęła?

Daniel wydaje z siebie prychnięcie.

- Nie za dobrze, tak to ujmijmy.

- Bardzo mi przykro...

- Mnie również. Chyba roilo mi się w głowie, dość romantycznie nawiasem mówiąc, że pogodzi się z tym i doceni moją uczciwość, po czym rozejdziemy się w przyjaźni.

- To wciąż jest możliwe - zapewnia go Daff. - Chociaż z pewnością będzie wymagać czasu, żeby sprawy się ustały. Nic dziwnego, że jej początkowa reakcja jest dość gwałtowna. W pewnym sensie żyła z tą świadomością od lat, lecz mimo to twoja rewelacja musiała być dla niej ogromnym szokiem.

- Nie chodzi o to, że Bee zbyt mocno zareagowała, chodzi o tę całą złość... - Daniel znowu wzdycha. - Po prostu nie przewidziałem siły jej gniewu.

- To musiało być dla ciebie takie trudne...

Daniel kiwa głową.

- Dzięki, że mnie wysłuchałaś.

Tym razem, kiedy się do niej odwraca, Daff odruchowo wyciąga ręce i zamyka go w uścisku, a Daniel pozwala się obejmować przez długą chwilę, czując wyłącznie wdzięczność.

- Nan? Okno w moim pokoju jest chyba popsute... - Daff odkasłuje cicho, gdy smużka dymu z papierosa palonego przez staruszkę dociera do jej nozdrzy. - Nie umiem go otworzyć.

- Michael rzuci na nie okiem - odpowiada jej Nan.

- Jakiś czas temu wybrał się do centrum, ale powinien wrócić przed lunchem. Wyślę go do ciebie, jak tylko się pojawi. Masz czym oddychać na razie? W tym domu błyskawicznie robi się duszno przy zamkniętych oknach.

- Jakoś sobie radzę. Uchyliłam lufcik w łazience, ale to tylko częściowo rozwiązało problem. Choć i tak jest lepiej niż przy włączonej na okrągło klimatyzacji.

- Zgadza się z tobą w całej rozciągłości. - Nan się uśmiecha, nim opanowuje ją atak kaszlu.

Daff przestępuje niepewnie z nogi na nogę.

- Nan? Wiem, że to nie moja sprawa, ale czy nie sądzisz, że palenie ci szkodzi?



- Co, z powodu tego kaszlu? Mam go od lat! - zbywa ją Nan. - Papierosy nie mają z tym nic wspólnego, a nawet gdyby, jestem za stara, by zmieniać swoje przyzwyczajenia.

- Martwię się o ciebie - mówi Daff. - Wydaje mi się, że palenie ci nie służy.

- Jasne, że nie - śmieje się Nan. - Nic, co sprawia człowiekowi choć odrobinę przyjemności, nie służy mu na dłuższą metę. Ale wiesz co? Wolę żyć krócej i mieć z tego trochę frajdy, niż męczyć się i nudzić przez lata.

- Coś mi podpowiada, że ty nigdy się nie nudziłaś - puszcza do niej oko Daff.

- W czasach mojej młodości rzeczywiście nie - przyznaje Nan z uśmiechem. - Ale później wszystko jakby przybladło, choć ostatnio znów czuję, że żyję!

- Miło mi to słyszeć - stwierdza Daff. - Może przyczynił się do tego także rosół Daniela...

- O, popatrz! - przerywa jej Nan. - Nadchodzi Michael. - I zwracając się do syna, dodaje: - Michaelu, kochanie, okno Daff się zacina. Mógłbyś na nie zerknąć?

Nie powinna czuć się niezręcznie, stojąc w swoim pokoju w obecności syna gospodyni, a jednak nieoczekiwanie dla Daff ogarnia ją zażenowanie. Gdyby byli u niej w domu albo przynajmniej w tutejszej kuchni, mogłaby mu zaproponować kawę, zająć czymś ręce, a tak, stojąc tuż obok łóżka, nagle niesłychanie silnie odczuwa bliskość Michaela i równie nagle zdaje sobie sprawę z jego subtelnej męskości, której dotąd chyba nie zauważała.

Kiedy Michael pochyla się, żeby się lepiej przyjrzeć futrynie okna, jego koszulka - postrzępiony na brzegach, wypłowiwały czerwony T-shirt z nadrukiem NANTUCKET - podjeżdża nieco do góry, odsłaniając brzuch. Daff nie powinna na niego patrzeć, nie ma pojęcia, dlaczego to robi, a w dodatku czuje, jak na policzki występuje jej rumieniec. Natychmiast odwraca wzrok, ale i tak zdążyła dojrzeć gładką, napiętą, opaloną skórę, przeżące się mięśnie i jasne włoski ginące za gumką jego szortów.

- Już wiem, w czym problem - oświadcza Michael, wykręcając szyję, dzięki czemu Daff ma okazję podziwiać jego szerokie barki i mocne ręce, którymi mężczyzna podpira się na parapecie, aby nie stracić równowagi przy tej ekwilibryście. - Wystarczy naoliwić i będzie po sprawie - zapewnia, spoglądając ku niej. Uśmiecha się, a Daff znów się rumieni i szybko odwraca od niego, aby to ukryć.

- Poproszę Nan o trochę oliwy - rzuca i wybiega przez drzwi, by się zatrzymać zaraz za progiem, bezpieczna poza ścianami pokoju.

Dobry Boże, myśli sobie, opierając się o mur. Znam to uczucie, pamiętam je jeszcze z poprzedniego życia, choć nie przeżywałam go od lat. Te emocje, to przyśpieszone bicie serca, te wywołujące zawroty głowy fale oznaczają tylko jedno: pożądanie!

Chichocze do siebie. Nie myślała o mężczyznach, o mężczyźnie innym niż Richard, przez całe wieki. A Richard był jej mężem, uczucia, które w niej wywoływał, bardzo się różniły od tych, których doświadcza w tej właśnie sekundzie.

Pragnęła Richarda w początkach ich znajomości, ale potem - po narodzinach Jess - namiętność jakby osłabła i pojawiała się tylko z rzadka, i to w najbardziej nieoczekiwanych momentach.

Czasami szła na górę po schodach, myśląc, że chce się kochać, ale potem szykowała sobie gorącą kąpiel, tak jak co wieczór, i ubierała się w długą flanelową białą koszulę nocną, też tak jak zawsze, po czym wślizgiwała się do łóżka z jakąś lekturą, jak zwykle odczuwając chłód pościeli, a kiedy Richard kończył oglądać telewizję lub czytać gazetę bądź robić to, co akurat robił, i kładł się, a następnie po nią sięgał, ona marzyła tylko o tym, by dał jej spokój i nie wrywał jej ze snu.

Nie było tak, żeby nie czerpała przyjemności, gdy już zaczęli, nigdy jednak nie inicjowała zbliżeń, nigdy nie zaczynała pierwsza gładzić go po udzie, nie wtulała się weń i nie bładziła dłonią po jego brzuchu, zataczając koła coraz niżej i niżej.

Gdzieś na przestrzeni ich małżeństwa doszła do wniosku, że nie zalicza się do osób z wysokim libido, całkiem zapomniała o czasach sprzed ślubu, kiedy jako osoba samotna, miewała gorące romanse, przelotne związki, w których dreszczyk, czysta pasja towarzyszyły jej nieustannie, niemal doprowadzając ją do szaleństwa.

Zapomniała, jak to jest patrzeć na drugiego człowieka i czuć ogarniający ją płomień, przestała wyobrażać sobie, jak by to było pieścić podbrzusze mężczyzny, wtulać twarz w zgięcie jego szyi, wdychając głęboko jego zapach, pozwalać, by obejmował jej talię silnymi rękoma, unosił jej biodra, delikatnie zmuszał, by się odwróciła...

Aż dotąd nie pamiętała tego wszystkiego.

Teraz sobie przypomniała.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Bee podjeżdża niemal pod same drzwi frontowe, żwir wciąż pryska spod kół jej samochodu, gdy pośpiesznie wysiada z twarzą ściągniętą niepokojem.

- Co się stało? - pyta ją Nan, na kolanach plewiąca pobliską rabatkę. - Z dziewczynkami wszystko dobrze?

- Tak - odpowiada Bee zduszonym głosem. - Chodzi o moją tatę. Muszę się zobaczyć z Danielem. Zastałam go?

- Zaraz po niego pójde. - Nan podrywa się z kolan.

Przechodząc obok Bee, kładzie jej dłoń na ramieniu i lekkim uściskiem dodaje kobiecie otuchy. Wie, że kłopoty zawsze mijają. To jedno z błogosławieństw starzenia się: człowiek zaczyna się godzić z losem, tym co dobre i co złe.

Daniel wspomniał jej, że konfrontacja z Bee nie przebiegła po jego myśli, i chociaż bardzo go lubi, współczuje też Bee, wie bowiem, jak to jest nagle zostać samotną matką, poczuć, że ziemia umyka spod nóg akurat w chwili, kiedy się wydaje, że nic nie brakuje do szczęścia.

To nie wszystko. Jest w Bee coś, co przemawia do jej duszy. Nie umie tego sprecyzować, przecież ledwie ją zna, ale na pewno dostrzega coś w oczach kobiety, może żal, która była i jej udziałem, której wspomnienie wciąż wywołuje w niej ból.

- O co chodzi? - Daniel wybiega przed dom, w okamgnieniu zapomniawszy o swej rezerwie, gdy Nan mówi mu, że Bee ma kłopoty. Nie widział żony od dwóch dni, ale pojutrze znów miał się spotkać z dziewczynkami i już przerażała go perspektywa rozmowy z Bee, jej gniewu, goryczy i żalu.

- O moją tatę - odpowiada mu Bee i nareszcie pozwala sobie na okazanie słabości; Daniel już jest przy niej, już ją obejmuje, kładzie brodę na jej głowie, tak jak zawsze to robił przy takich okazjach, gładzi ją po plecach gestem tak niegdyś naturalnym, a teraz z nagłą tak dziwnym i obcym. Nie jest pewien, czy w ogóle powinien to robić, ale nie ma też pojęcia, jak inaczej mógłby się zachować - w końcu to Bee, jego żona przez sześć lat, matka jego dzieci, kobieta, którą kocha. Kobieta, którą prawdopodobnie zawsze będzie kochał, tyle że nie w sposób, jakiego się po nim spodziewała.

- Co się stało? - dopytuje Daniel, gdy Bee nareszcie przestaje płakać i zdając sobie sprawę, gdzie jest, wyrwa się z jego objęć i ociera wierzchem dłoni nadal mokre policzki.

- Miał wypadek. Dzisiaj rano zadzwonili do mnie ze szpitala. Przez większość czasu jest nieprzytomny.

- Chryste... - Daniel otwiera szerzej oczy. - Wyjdzie z tego?

- Na razie lekarze nie umieją nic powiedzieć. Muszę do niego jechać. Dziewczynki są teraz u sąsiadów, nie chcę, by się dowiedziały, że coś stało się dziadkowi, ale mam lot do Nowego Jorku dziśszego popołudnia. Zaopiekujesz się dziećmi?

- Oczywiście. - Daniel nie waha się ani chwili. - Czy mogę jeszcze jakoś pomóc?

Bee potrząsa głową.

- Zadzwońię po przylocie. W drodze na lotnisko podrzucę tutaj dziewczynki.

- Dobrze. Bee, posłuchaj... Bardzo mi przykro z powodu twojego taty. Jestem pewien, że wyzdrowieje.

Bee odwraca się bez słowa i kieruje do samochodu, Daniel zaś, mimo że chciałby ją uściskać, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, stoi bez ruchu, wiedząc, że tak naprawdę nie jest w stanie nic zrobić.

Bee drży na całym ciele tak mocno, że musi zjechać na piaszczyste pobocze ciągnące się wzdłuż drogi do domu Nan. Zakrywa twarz rękoma i wybucha niepohamowanym płaczem.

- Dlaczego ja? - krzyczy do pustej drogi. - Dlaczego to wszystko przytrafia się mnie?!

Nie przywykła, by życie wymykało się jej spod kontroli. Odkąd pamięta, wszystko jej się udawało. Zdarzały się jej same dobre rzeczy, nigdy takie jak te. Mąż, który od niej odchodzi, ponieważ jest gejem. Ojciec, który ulega wypadkowi i nie chce odzyskać przytomności, zmuszając ją, by się nim opiekowała, ponieważ nie ma nikogo innego, kto mógłby to zrobić.

W dodatku jej ojciec wcale nie jest stary. To nie w jego stylu chorować. Zgoda, przekroczył już siedemdziesiątkę, ale nie wygląda na swoje lata i Bee nie zna czerstwiejszego siedemdziesięciolatka, co każdy może potwierdzić. Ludzie zawsze brali go za młodszego, niż był w istocie.

Jako jedynaczka i córka rozwodników, Bee zawsze wiedziała, zawsze zakładała, że w którymś momencie jej życia role się odwrócą i to ona będzie musiała przejąć opiekę nad rodzicami. Może nie nad matką, która wyszła ponownie za mąż przed dziesięcioma laty i od tamtej pory Fred ją dosłownie rozpieszcza, ale nawet gdyby odszedł z tego świata przed nią, i tak by sobie poradziła. Problem w tym, że ojciec po rozwodzie już nigdy nie związał się z żadną kobietą i w miarę upływu lat coraz bardziej wycofywał się z aktywnego życia. Bee musiała zacząć się o niego troszczyć jak o małe dziecko, dzwonić do niego każdego dnia, upewniać się, że niczego nie potrzebuje, zapraszać do nich do domu na święta i wakacje, a nawet spróbować poznać go z pewną miłą staruszką, którą gdzieś spotkała.

Jednakże nic nie przygotowało jej na to. Nie jest jeszcze gotowa. Ojciec nie powinien się przewracać ani podupadać na zdrowiu, nie powinno przytrafiać mu się nic poważnego jeszcze przez długie, długie lata. Przecież to jej ojciec, do licha! To on powinien się o nią troszczyć, zwłaszcza teraz, gdy jej życie legło w gruzach.

Dlaczego więc wszystko spada na jej barki?

Bee wrzeszczy i złorzeczy, a wiatr porywa jej płacz i przekleństwa, zabierając także ból i gniew, i kiedy w końcu atak szału mija, kobieta bierze głęboki wdech i ponownie uruchamia silnik.

- Poradzę sobie - mówi pod nosem, jadąc wzdłuż drogi, przy której jak grzyby po deszczu wyrastają nowe domy.

Budowlańcy przyglądają się jej ciekawie, nawet przez szybę dostrzegając zaczerwienione oczy i smugi łez na policzkach.

- Poradzę sobie - powtarza i gdy wyjeżdża na szosę, wie, że tak właśnie będzie.

\* \*

Lizzie i Stella są już w Windermere. Nan wychodzi do nich - z trudem powściągając radość, jaką odczuwa na myśl, że będzie jej dane gościć dwie małe dziewczynki - i ujmuje je za dłonie.

- Mam skrzynie pełne strojów, w jakie można się przebierać całymi dniami - mówi im, nachylając się, by jej oczy znalazły się na poziomie ich wzroku. - Błyszczące suknie i aksamitne peleryny.

- A masz suknie wróżek? - pyta ją Lizzie.

- Ależ tak! - zapewnia ją bez wahania Nan. - Myślę, że gdzieś znajdę nawet diademy, jakie noszą tylko wróżki. Wiecie, że kilkoro dzieci spośród tych, które tu mieszkały, widziało na własne oczy wróżki?

- Naprawdę? - Oczy Lizzie robią się okrągłe jak spodki. Nie spuszcza wzroku z poważnej twarzy Nan. - Najprawdziwsze wróżki? Jak wyglądały?

- Och, są wyjątkowo piękne - odpowiada Nan. - Ale pojawiają się w ogrodzie tylko wtedy, gdy ktoś wybuduje dla nich domek.

- Domek? Jakiego rodzaju domek? Jak się buduje domek dla wróżki?! - przekrzykują się wzajemnie.

- Trzeba użyć samych naturalnych materiałów, takich jak muszelki z plaży, gałązki i źdźbła traw do połączenia elementów. Oczywiście należy wznieść dach, żeby wróżki nie mokły na deszczu, i sklecić łóżeczka, żeby miały gdzie spać. Jeśli wszystko będzie jak należy, na pewno tu wrócą. Osobiście nie widziałam żadnej od dłuższego czasu, no ale nikt nie budował im ostatnio domku.

- A my możemy go dla nich zbudować? - pyta z powagą Stella.

- Hm, wydaje mi się, że tak - powiada Nan z zamyśloną miną, na co dziewczynki zaczynają skakać z radości jak szalone.

Michael przygląda się matce zza progu i uśmiecha się do siebie. Wciąż go zdumiewa, że ilekroć otaczają ją ludzie, Nan zdaje się wracać do życia, odzyskiwać energię. Gdy był dzieckiem, w Windermere zawsze roiło się od gości, rozlegał się śmiech i rozmowy. Po tym jak zmarł jego ojciec, wszystko jakby ucichło i Michael nie spodziewał się, by dom rodzinny miał kiedykolwiek odzyskać dawny splendor.

Może tu i ówdzie zacinają się nieoliwione okna, może na dachu brakuje coraz więcej dachówek - Windermere z pewnością wymaga gruntownego remontu - ale dom zdaje się odzyskiwać duszę, którą Michael zapamiętał z dziecińczych lat, znów jest miejscem, w którym toczy się życie i czuje się szczęście.

Michael zmartwił się, gdy po raz pierwszy usłyszał o pomysle Nan, by w Windermere otworzyć gościniec dla obcych ludzi, zmartwił się, gdy usłyszał, jak przedstawia się sytuacja finansowa matki, ale nie był zdziwiony.

Na razie zachowuje dla siebie swoje prawdziwe myśli, nie mówi Nan, iż jego zdaniem powinna sprzedać dom. Kocha Windermere całym sercem i nie uśmiecha mu się opuszczenie na zawsze domu, w którym się wychował, lecz wie, że o ile wynajmowanie pokoiów przez lato może podreperować ich finanse, z całą pewnością nie zdołają zatrzymać posiadłości.

Choć dom sprawia o wiele lepsze wrażenie niż w ostatnich latach, jasne jest, iż zmiany są tylko powierzchowne. Warstwa świeżej farby na jakiś czas schowa przed wzrokiem postronnych gnijące deski, odrobina kitu pomoże uszczelnić luki w futrynach i zlikwidować przeciągi, a kapka oleju przywróci żywotność okuciom, lecz to tylko kosmetyka, która nie na wiele się zda tutaj, na Nantucket. Dom może nie przetrwać najbliższej zimy.

Budynek sam w sobie nie jest wiele wart, prawdziwe pieniądze są w ziemi, z czego Michael również zdaje sobie sprawę, gdyż przeprowadził małe rozeznanie w tej kwestii i jest świadom, że jeśli tylko znajdą wystarczająco zdesperowanego nabywcę, dostaną za posiadłość małą fortunę.

Gdyby to on decydował, sprzedałby Windermere już dziś. Przeniósłby matkę do jednej z tych świeżo wybudowanych chatek, które nie są tak kłopotliwe w utrzymaniu jak stare domiszczka, może nawet zapewniłby jej ogródek i widok na ocean. Chociaż kocha ten dom, nie darzy go sentymentem, przynajmniej nie takim jak Nan. Właśnie jej uczucie do tego skrawka ziemi jest powodem, dla którego jeszcze nie rozmawiał z nią o sprzedaży.

Na razie Nan nie zamierza się nigdzie przeprowadzać. Zapewne kiedyś zmieni zdanie, może w końcu zrozumie, że nie ma innego wyjścia, ale do tego czasu, dopóki nie pojmie, iż kilkaset dolarów tygodniowo nie robi większej różnicy, Michael pozwoli, by wierzyła, iż świetnie sobie radzi, pozwoli jej trzymać się tej swojej mrzonki.

Z przyjemnością patrzy na jej rozradowaną twarz, na dwie małe dziewczynki wpatrujące się w nią z uwielbieniem, gdy prowadzi je do środka, by pokazać im skrzynie pełne lśniących strojów, które zbierała... no właśnie, dla kogo? Dla swoich wnuczek?

Michael wzdycha. Jego życie także nie potoczyło się zgodnie z planem. Miał się za szczęściarza, czuł się bezpiecznie z pracą, którą lubił, i wygodnym mieszkankiem w Nowym Jorku, a tu proszę, gdzie się znalazł: z powrotem w domu, jakby zwagarował z prawdziwego życia.

Czym się różni od pozostałych mieszkańców Windermere? Od Daff, której małżeństwo wydało się doskonale do czasu, aż jej mąż wdał się w romans, która przepada za swoją córką, tyle że właściwie jej nie zna; od Daniela, który przeżył całe dotychczasowe życie w kłamstwie i ma trudności, by się z niego wyplątać?



Być może jego matka żyje w świecie fantazji, ale przynajmniej jest szczęśliwa. Przynajmniej wie, czego potrzebuje, aby być szczęśliwą: swojego domu, swoich najbliższych, towarzystwa ludzi, których darzy sympatią.

Chyba najwyższy czas, aby i on zrozumiał, co czyni go szczęśliwym, i zdecydował, w którą stronę się udać. Głęboko zamyślony wchodzi do środka domu i odszukawszy kawałek papieru i coś do pisania, siada z książką telefoniczną na kolanach, by wypisać adresy wszystkich jubilerów na wyspie.

Pora zrobić następny krok.

Bee opiera głowę o zagłówek tylnego siedzenia taksówki i zamyka oczy. Czuje się wyczerpana, wycieńczona emocjonalnie, zupełnie jak szmaciana lalka, z której ktoś wypruł wypełnienie, pozostawiając ją wiotką i bezbronną.

Po bólu i gniewie, po cierpieniu i strachu, towarzyszących jej w ostatnich tygodniach, nie pozostał nawet ślad - ogarnęło ją całkowite zobojętnienie. Zaciska powieki i marzy o tym, by zasnąć. By wpełznąć do łóżka i przespać wiele dni, owinąwszy się w kokon miękkiej, ciepłej pościeli. By obudzić się dopiero, gdy wszystko wróci do normy. Tyle że nie ma pojęcia, czym obecnie jest norma. Bo przecież chyba nie może oczekiwać, że Daniel wróci do niej, wróci do domu jakby nigdy nic. Utraciła wszelką nadzieję, przepelnia ją tylko pragnienie, aby trzymać oczy zamknięte i spać, spać, spać.

Bee stuka do drzwi izolatki, po czym popycha je delikatnie, nie słysząc żadnej odpowiedzi.

Jej ojciec leży w szpitalnym łóżku, ma zamknięte oczy i jakieś rurki wystające z ramienia. Wygląda znajomo i obco zarazem; jak tata, którego pamięta i kocha od zawsze, tyle że posunięty w latach, kruchy i słaby, bezradny niczym dziecko.

- Tatku? - Przelyka łzy i pochyła się nad nim, by zaraz podskoczyć z wrażenia, kiedy on na dźwięk jej głosu znenacka rozwiera powieki.

- Bee! - Uśmiecha się do niej i unosi lekko ramiona, a ona kładzie głowę na jego piersi i obejmuje go ostrożnie.

- Auć! Nie tak mocno!

- Przepraszam, tatku. - Ociera oczy. - Och, tatusiu, ale napędziłeś mi strachu. Sądziłam, że wciąż jesteś nieprzytomny.

- Byłem, ale potem tylko spałem. Cieszę się, że przyszedłaś, Beezy.

Bee czuje ulgę, że z bliska ojciec wciąż pachnie jak zawsze, jak dom, i na tę myśl jej oczy ponownie wzbierają łzami. Przez moment pragnie skulić się przy nim na łóżku niczym mała dziewczynka, wierząc, że tatuś ochroni ją przed złym światem.

Mruga powiekami, by przegonić łzy, po czym unosi kąciki warg i odrywa się od niego.

- Dzięki, że ściągnęłaś mnie tu prosto z plaży.

- Już myślałem, że całkiem o mnie zapomniałaś - odpowiada jej - i uznałem, że jak rzucę się ze schodów, na pewno sobie o mnie przypominisz.

Bee pokazuje zęby w uśmiechu, pierwszym od wielu tygodni.

- No więc jestem przy tobie. Zadowolony?

- Bardzo, odkąd cię znów widzę - mówi i jego spojrzenie mięknie.

- Co się stało? - pyta go Bee. - Pamiętasz?

- Nie mam bladego pojęcia. Nie pamiętam nic a nic, chociaż wszystko boli mnie jak diabli.

- Sądzisz, że będziesz potrzebował nowego stawu biodrowego?

- Dziś po południu mają mnie prześwietlić. Jestem wciąż trochę skołowany. Może ty byś usiadła z lekarzami i z nimi porozmawiała?

- Jasne - godzi się na propozycję Bee. - Właśnie po to tu jestem.

- To ja - rzuca Bee do słuchawki, przemierzając poczekalnię w tę i z powrotem. Ostatnimi czasy nie wie, jak zaczynać rozmowę, kiedy dzwoni do Daniela. Gdy byli małżeństwem, w ogóle nie musiała się przedstawiać, tak więc teraz oficjalnie: „Mówi Bee” wydaje jej się śmieszne i niepotrzebne, skoro zaledwie przed paroma tygodniami rozpoznawał ją po samym głosie.

- Wiem - odpowiada Daniel. - Co z twoim tatą?

- Nic mu nie będzie - mówi. - Czekamy jeszcze na wynik rentgena, ale najczarniejszy scenariusz to operacja stawu biodrowego i rekonwalescencja, co przy tak poważnym upadku z całego ciągu schodów jest naprawdę betką. Mogło być o wiele gorzej.

- Dzięki Bogu - oddycha z ulgą Daniel. Lubi Evana, zawsze cieszył się, że dobrze mu się układa z teściami, że traktują go jak członka rodziny. Uświadamia sobie teraz, że najtrudniejsze w separacji z Bee będzie oderwanie od jej rodziców, którzy (wie to na pewno) już nie spojrzą na niego tymi samymi oczami, nie zamkną go w objęciach niczym syna, którego bardzo pragnęli, lecz nigdy się nie doczekali.

- Jak długo będziesz musiała przy nim zostać? - pyta.

- Na razie nie mam pojęcia. Jutro powinnam wiedzieć coś więcej. Jak się czują dziewczynki?

- Doskonale. - Daniel uśmiecha się, spoglądając na Lizzie i Stellę. Jego córki stoją na taboretach i wycinają foremkami ciasteczka, a Nan zdobi je dżemem i układa na blasze. - Nan jest zachwycona, że ma je pod swoimi skrzydłami - dodaje, łaknąc normalnej rozmowy z żoną, wiedząc, że temat dzieci jest w tych okolicznościach jedynym, przy którym mogą udawać, że wszystko jest w porządku, który nie prowadzi do kłótni, krzyków i miotania oskarżeń. - Całe popołudnie spędziliśmy na plaży, szukając muszelek po małżach i patyczków do budowy domku dla wrózek.

Bee śmieje się w głos wbrew samej sobie.

- Domku dla wrózek? - powtarza. - Co wy tam prowadzicie, kolonie letnie?

- Prawie. Nan rozpisała zajęcia co do godziny. Świetnie się bawią.

- Mogę z nimi porozmawiać?

- Oczywiście. Zaczekaj momencik... Dziewczęta! - Bee uśmiecha się szeroko, słysząc, z jaką powagą Daniel zwraca się do dzieci. - Mama chce was usłyszeć!

Bee czeka, spodziewając się, że zaraz usłyszy pisk: „Maamaa!!!”, ale zamiast tego w tle rozlega się głosik Stelli:

- Jestem teraz zajęta. Nie mogę rozmawiać przez telefon.

- Lizzie... - Szept Daniela nie uchodzi uwagi Bee - przywitaj się z mamą.

- Nie mogę! - odpowiada głośno dziewczynka. - Piekę.

- Ejże. - Daniel jest bardzo stanowczy i sekundę później na linii pojawia się nieco nieobecna duchem Lizzie.

- Halo? - Bee, która jeszcze przed chwilą czuła tak wielkie podniecenie na myśl o zamienieniu paru słów z córeczkami, teraz zdaje się sobie wydrażona w środku, wrażliwa na najlżejsze dotknięcie.

- Halo? - powtarza jak echo dziewczynka.

- Witaj, aniołku! Tu mamusia.

- Cześć, mamusiu!

- Dobrze się bawicie? Co robicie?

- Pieczemy.

- Co pieczecie?

- Nie wiem. Nan, co pieczemy?

- Babeczki z dżemem. - Bee słyszy odpowiedź starszej kobiety, a potem tylko ciszę.

- Halo? Lizzie? Jesteś tam?

- Bee? - To znowu Daniel. - Przykro mi, ale są trochę rozkojarzone. Możemy zadzwonić do ciebie później?

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiada Bee. - Skontaktuję się z wami jutro rano. - Wyłączając telefon i wracając do izolatki ojca, Bee stara się nie myśleć, jak bardzo boli ją to, że dzieci nie tęsknią za nią tak jak ona za nimi.

- Och, popatrzcie tylko... - Nan otwiera kopertę, przyjrząwszy się uważnie odręcznemu pismu, po czym puszcza w obieg kartonik, jakby to był kosztowny podarunek.

- Co to takiego? - Michael podnosi głowę znad kuchennego stołu, przy którym robi jakieś notatki.

- Zaproszenie! Jack z centrum ogrodniczego urządza przyjęcie! U niego w sobotni wieczór, a zaprasza mnie wraz ze wszystkimi domownikami. Czyli z wami.

- Przyjęcie? - trwoży się Daff. - Jakiego rodzaju przyjęcie? Nie przywiozłam ze sobą nic wystrzałowego. Chyba że za takie uznać krótkie spodenki i T-shirty...

- Pożyczysz coś ode mnie - uspokaja ją Nan. - Nosimy mniej więcej ten sam rozmiar.

- Dziękuję. Może jednak uda mi się coś kupić w wiosce. Miło byłoby sprawić sobie coś nowego. Bóg świadkiem, że od lat odmawiam sobie drobnych przyjemności.

- Od lat? - Daniel śmieje się w głos. - Przecież jesteś tu zaledwie od paru dni!

- Ale wciąż chodzę w tych samych ciuchach. Mielibyście kłopoty z rozpoznaniem mnie, gdybyśmy się spotkali u mnie w domu.

Michael uśmiecha się szeroko.

- Czyżbyś zamieniała się w Kopciuszka, z chwilą gdy przekraczasz granicę stanu?

Daff również się śmieje.

- Może nie aż tak, ale na ogół ubieram się szykowniej.

- O ile szykowniej? - Michael wspomina Jordanę i oczyma wyobraźni widzi Daff wystrojoną od stóp do głów, umalowaną, z pobłyskującymi klejnotami w uszach i w butach na wysokim obcasie. Potrząsa energicznie głową, z jakiegoś powodu bowiem ten obraz ani trochę nie pasuje mu do Daff, jaką zna.

- Po prostu stateczniej. No wiesz, przyczerniam rzęsy, wybierając się do pracy. Usiłuję zapanować nad tą strzechą kudłów... - Dotyka dłonią kręconych loków, wymykających się niesfornie z końskiego ogona.

- A mnie się taka właśnie podobasz - stwierdza Michael. - Zrobiona pewnie też wyglądasz niczego sobie, ale moim zdaniem większość kobiet prezentuje się najlepiej tak, jak je stworzyła natura. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, czemu kobiety pacykują się i zakrywają swoje prawdziwe ja. Ja jestem zwolennikiem naturalnego wyglądu.

- Będę o tym pamiętać - rzuca Daff, ani przez ułamek sekundy nie chcąc, by wypadło to tak uwodzicielsko, i natychmiast płoni się jak pensjonarka, gdy Daniel podnosi znacząco brew, a Michael przypomina sobie, że ma coś do zrobienia na podwórku.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Dni leniwie przechodzą jeden w drugi, każdy bardziej słoneczny od poprzedniego, a wszyscy w domu z wolna odnajdują spokój.

W Windermere zapanowała swego rodzaju rutyna.

Daniela co rano budzi o świcie malutka twarzączka przysunięta do jego nosa.

- Tatuś? Śpisz? - Sceniczny szept i niemądre pytanie Stelli nieodmiennie przywołują na jego oblicze uśmiech, toteż z lekkim sercem wygrzebuje się z pościeli i idzie na dół, by zrobić córkom śniadanie.

Nan zawsze wstaje pierwsza. Nie zapomniwała o swoich planach, aby być gospodynią pełną gębą, lecz z dnia na dzień jest coraz bardziej zmęczona i odczuwa wdzięczność, że Daniel tak dobrze radzi sobie w kuchni. To on przyrządza teraz śniadania, podczas gdy Nan tylko zabawia dziewczynki, kiedy ich ojciec miesza ciasto na naleśniki albo opieka tosty.

Drugi pojawia się zazwyczaj Michael, wciąż na wpół śpiący, ze zmierzwionymi włosami, w starej wygniecionej koszulce służącej mu za górę od piżamy i drelichowych spodniach z mnóstwem kieszeni, założonych dla przyzwoitości, klepiąc japonkami po posadzce i ziewając przeraźliwie w drodze do ekspresu z kawą, niezdolny do wymówienia słowa przed pierwszym łykiem.

Daff dołącza do nich ostatnia, pełna werwy, odziana w T-shirt i krótkie spodenki jak zawsze tutaj, rozbudzona i permanentnie radosna.

Weszło im w nawyk jadać na tarasie; Nan z Lizzie i Stellą nakrywają tam codziennie do stołu, głównie zasłaniając jego porysowany blat wazonami z hortensjami i słonecznikami.

Po śniadaniu Michael na ogół albo załatwia jakieś sprawy dla Nan, albo dokonuje drobnych napraw w domu, gdzie coś bez przerwy się psuje i woła o rękę fachowca.

Bardzo by chciał, aby mogli utrzymać Windermere w rodzinie, uratować dom, ale pomimo całego swojego romantyzmu jest przede wszystkim realistą. Któregoś wieczoru nawet uciał sobie z Danielem pogawędkę na ten temat, siedzieli we dwóch przy kuchennym stole, kiedy pozostali dawno poszli spać, i rozmawiając, wolno sączyli whisky.

- To wspaniały dom, nie buduje się już takich - powiedział Daniel, popijając i rozglądając się po kuchni. - Jednakże nie dbano o niego jak należy i rozpaczliwie potrzebuje remontu.

Michael się nachylił.

- Ile by to twoim zdaniem kosztowało? Z dwieście tysięcy?

- Raczej pół miliona - odparł zaskoczony Daniel. - Może nawet więcej. Tu wszystko wymaga naprawy. Robota od a do zet. Nie jestem nawet pewien, czy warta zachodu. To znaczy, oczywiście wam wydaje się, że tak, i jestem ostatnim człowiekiem, który doradzałby wyburzenie Windermere... - westchnął przeciągle - ale prawdę mówiąc, nie wiem, czy jest alternatywa.

- Robota od a do zet? A nie dałoby się po prostu naprawić tego, co wymaga naprawy, znacznie mniejszym kosztem?

- Chciałbym, żeby tak było, lecz spójrz: trzeba wymienić elektrykę, hydraulikę, armaturę, dachówki, nawet belki stropowe, no i rzecz jasna wszystkie okna. Tyle widać teraz. Ze starymi budynkami często bywa tak, że gdy tylko człowiek zaczyna się w nich babrać, jak królik z kapelusza wyskakują kolejne konieczne naprawy. Niekończąca się historia.

Michael wydawał się zszokowany.

- I ja mam to powiedzieć mamie?

- Na razie nic jej nie mów. Wstrzymaj się do czasu, aż nie będziesz miał innego wyjścia. Przyglądałem się okolicy pod kątem zawodowym i dobra wiadomość jest taka, że Windermere jest warte grube miliony.

- Domyślam się - westchnął Michael. - Ale co będzie z nią?

- Przy takiej masie pieniędzy? Wybudujesz dla niej coś mniejszego i uroczego, postawisz dom dla siebie i pewnie jeszcze zostanie dość, by żadne z was nigdy nie musiało martwić się o finanse.

- Ale przecież pieniądze to nie wszystko. Mamie nigdy na nich nie zależało, a perspektywa wy-prowadzenia się stąd może być ponad jej siły.

- Rozumiem - skinął poważnie Daniel. - Pewnie nie będziecie musieli sprzedawać Windermere. Jeżeli moje ostatnie doświadczenia czegokolwiek mnie nauczyły, to tylko tego, że w życiu wszystko się układa tak jak powinno i po prostu trzeba wrzucić na luz i zaufać, że siła rządząca wszechświatem wie, co robi.

Michael wyszczerzył się.

- To zabawne, bo ja myślę całkiem tak samo. Czyżbyśmy obaj byli renegatami wyznającymi fi-lozofię New Age?

Daniel odwzajemnił wesoły uśmiech.

- Cóż, ja bez wątpienia przeszedłem na drugą stronę.

- Okno w moim pokoju znowu się zacięło. - Daff klucząc po ogrodzie, odnalazła Nan pielącą na kolanach grządkę pomidorów. - Masz jakiś pomysł, co z tym fantem zrobić?

- Wyślę Michaela, żeby się tym zajął - odpowiada Nan.

- Powinien wrócić lada moment.

- Dzięki. - Daff uśmiecha się i dodaje: - Dotąd wylegiwałam się w łóżku, czytając i czekając, aż opadnie mgła.

- W porze lunchu nie pozostanie po niej ślad - zapewnia ją Nan. - Później zrobi się idealna po-goda, żeby pójść na plażę. Będiesz na lunchu?

- Och, nie przejmuj się mną - mówi szybko Daff. - Pójdę do wioski i tam coś przegryzę.

Nan wzrusza ramionami.

- Skoro tak wolisz... Słyszysz, to chyba rower Michaela. Chodźmy i poruczmy mu zadanie na-prawy tego piekielnego okna.

Kilka minut później Daff siedzi na brzeżku łóżka w swoim pokoju, a Michael ponownie przy-głada się opornemu skrzydłu okna i wywołuje w niej to samo uczucie, co przed paroma dniami. Pożą-danie.

Aż do niedawna, do czasu gdy przytrafiło się jej to po raz pierwszy, mogła z czystym sumie-niem twierdzić, że nie spodziewa się już poczuć fali zalewającej ją namiętności, że być może nie spo-sób tego oczekiwać, gdy przekroczyło się czterdziestkę, że podobne rewelacje są tylko dla osób mło-dych i żądnych przygód.

Ale nie. Tym razem Daff nie ma cienia wątpliwości. To co czuje, to najprawdziwsze podniece-nie. Jest świadoma, że lubi Michaela, że w jego obecności ogarnia ją poczucie bezpieczeństwa. Podoba jej się sposób, w jaki kładzie jej dłoń na plecach, przepuszczając ją przodem do pokoju. Podoba jej się,



że dba o matkę i że chyba pragnie dbać także o nią. Rankiem budzi się z uśmiechem na myśl, że niebawem ujrzy go w kuchni, jak wciąż lekko nieprzytomny napełnia sobie kubek kawą; jej zdaniem wygląda jak mały chłopiec z tymi swoimi rozczochranymi włosami i zaspanymi oczyma.

- Oho! Już wiem! - Michael pojękuje, naciągając mięśnie. - To ten kawałek ramy zawadza. Możesz mi podać scyzoryk?

Daff podchodzi do skrzynki z narzędziami i podaje mu wskazany nóż, znów czując dreszcz, gdy ich palce na moment się stykają.

Och, na miłość boską! - wzdycha w duchu zakłopotana. - Jesteś dorosłą kobietą. Przestań się zachowywać jak nastolatka...

Z trudem się powstrzymuje, by nie zerknąć w lustro wiszące po przeciwnej stronie pomieszczenia i nie sprawdzić swojego wyglądu.

- Gotowe - mówi Michael, po czym przez jedną sekundę stoją tam tylko, patrzą na siebie nawzajem i czują, jak powietrze wokół nich wibruje od napięcia, podczas gdy Daff rozpaczliwie próbuje wymyślić coś, co mogłoby przerwać niezręczne milczenie. W końcu znów odzywa się Michael.

- Wybierasz się na przyjęcie? - pyta cichym głosem, a Daff potakuje skinieniem. Wie, że chodzi mu o przyjęcie organizowane przez Jacka z centrum ogrodniczego. To już dzisiaj. Daff ze zdziwieniem spostrzega, że nie może się doczekać wieczoru, że jest podekscytowana tak, jak nie była od wieków. Michael wyciąga dłoń i wolnym ruchem zakłada jej za ucho oswobodzony kosmyk. - Rozpuść włosy - prosi cicho.

- Jest ci w nich bardzo ładnie. - To powiedziawszy, wychodzi z pokoju, pozostawiając Daff samą. Kobieta opada na łóżko z dłonią przyłożoną do trzepoczącego z wrażenia serca.

Jessika spaceruje po alejkach supermarketu sieci Wal-Mart. Unikając wzroku innych zakupowiczów i po kryjomu sprawdzając rozstawienie ochroniarzy, nie różni się niczym od tłumu nastolatk.

Nie nazywa tego kradzieżą. Jessika nigdy by niczego nie ukradła, a poza tym tu nie chodzi o osobę, tylko o wielką firmę, a zabranie czegoś korporacji się nie liczy. W ciągu paru tygodni, od tamtego pamiętnego pierwszego razu, zgromadziła całą masę przedmiotów. Obecnie obie szuflady jej nocnej szafki są wypełnione po brzegi, a ona zaczęła zamykać drzwi do swego pokoju, by uniknąć rewizji i pytań ze strony ojca albo Carrie.

Rozkłada swoje łupy w ciszy, czując się dziwnie bezpieczna w otoczeniu rzeczy, które są jej i tylko jej, ponieważ tylko ona o nich wie.

Czasami, gdy wodzi wzrokiem po skradzionych przedmiotach, czuje ukłucie poczucia winy, ale zaraz odpycha od siebie tę myśl i przywołuje w pamięci zalew adrenaliny i podniecenia, uniesienie, towarzyszące jej zawsze, gdy opuszcza sklep z kieszeniami pełnymi drobiazgów, zupełnie jakby to, iż znów jej się udało, było dowodem, że ma jakąś władzę, od której aż kręci jej się w głowie.

Dziś postanowiła zerwać z rutyną lub zmienić nieco sposób działania. Pierwszy raz działa w supermarkecie, dlaczego więc nie miałyby zabrać czegoś, czego naprawdę pragnie, czegoś, co mogłaby chcieć sobie kupić?

Idzie wzdłuż długiego stołu z wyłożonymi połyskliwymi T-shirtami, zatrzymuje się i starając się sprawiać nonszalanckie wrażenie, rozkłada jedną z koszulek, podczas gdy równocześnie - wyglądając, jak zwyczajna dziewczyna, która przepatruje stertę łaszków w poszukiwaniu tego wymarzonego - zsuwa drugą koszulkę z samego spodu do otwartej torby na długim pasku.

Odkłada rozłożoną koszulkę, potrząsając głową, jakby zmieniła zdanie, i przesuwa się dalej, do stołu z nakryciami głowy. Tam postępuje tak samo, udając, że zainteresowała ją któraś z czapek, sekretnym ruchem wrzuca inną do torby, po czym rozgląda się, aby się przekonać, że nikt tego nie widział.

- Nic tu dla mnie nie ma - mówi, podchodząc do swej koleżanki, która akurat przegląda stojak z płytami kompaktowymi.

- Czekaj! - zatrzymuje ją Aleksandra. - Którą powinnam wziąć? Beyoncé czy Fergie?

Jessika wzrusza ramionami.

- Chyba Fergie. Co to, nie masz iPod'a?

- Miałam, ale zgubiłam gdzieś i rodzice nie chcą mi kupić nowego. A ty masz iPod'a?

- Nie - odpowiada Jessika. - Ale właśnie sobie przypomniałam, że chciałam obejrzeć coś jeszcze. Zaczekaj tu na mnie! - Mówiąc to, już biegnie w stronę działu ze sprzętem elektronicznym.

\* \*

Daff nie należy do kobiet, które żyją, aby robić zakupy, lecz dzisiejszego dnia nosi w głowie obraz osoby, w jaką chciałaby się zamienić na czas wieczornego przyjęcia, toteż kieruje się do centrum miejscowości zdeterminowana, by znaleźć dokładnie taką sukienkę, jaką sobie wymarzyła.

Cały ranek spędziła, rozmyślając na temat przyjęcia. Wyobrażała sobie, że stoi z kieliszkiem szampana w dłoni, z lekko falowanymi lokami spływającymi jej po plecach, ubrana w półprzezroczystą, połyskliwą letnią sukienkę, mając u swego boku Michaela śmiejącego się z czegoś, co właśnie powiedziała, tuż przed tym, zanim się pochyli, aby ją pocałować.

Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem - mówi jej, a ona prychnęła, ganiąc się w duchu za to, że pozwala sobie na cofnięcie się w rozwoju do okresu dojrzewania.

A jednak przepelnia ją radosne oczekiwanie, gdy wędruje wzdłuż Main Street, by odbić w Water Street, gdzie jak pamięta, przycupnęło parę niczego sobie butików. Pierwsze dwa wydają jej się niesłychanie drogie, a poza tym nie oferują niczego, co by przypadło jej do gustu, lecz gdy tylko przestępuje próg trzeciego, wie, że już znalazła to, czego szukała.

Lejąca się szyfonowa suknia mieni się turkusowo i podkreśla kolor jej opalenizny. Właścicielka podaje jej jeszcze sandałki z cienkich skórzanych paseczków, na płaskim obcasie i dość zwyczajne, jeśli nie liczyć ozdoby z masy perłowej i malutkiego złotego żółwia przy zapięciu wokół kostki.

- Wygląda pani przepięknie - wyraża swoją opinię kobieta, a Daff omal jej nie ściska z wdzięczności, ponieważ taka jest prawda, rzeczywiście prezentuje się wyjątkowo ślicznie. Całkiem jak nie ona. Oczy jej błyszczą, skóra lśni, w środku trawi ją podniecenie, jakby miało ją spotkać coś wspaiałego, jakby miała przed sobą ocean możliwości, z których każda tylko czeka na jej pojawienie się i wybór.

Znalazłszy się z powrotem w domu, Daff przygotowuje się długo i starannie. Nan pozwala jej wymoczyć się w swej własnej wielkiej wannie na lwich łapach, a po kąpieli Daff spędza wiele czasu przy toalecie, nakręcając niesforne włosy na samonośne wałki, tak by osiągnąć efekt naturalnych fal.

Potem muska twarz makijażem - pudruje policzki, by podkreślić opaloną cerę, przejeżdża masarą po rzęsach, by je wydłużyć i zwrócić uwagę na oczy, dotyka warg błyszczkiem i *voilà!* - dziś wieczór Daff nie jest już zaniedbaną kurą domową, przemęczoną pracującą matką i rozwódką. Dziś wieczór będzie kusicielką. Piękną. Egzotyczną. Zdolną sięgnąć po wszystko, czego tylko zapragnie.

- Fiu, fiu! - pogwizduje Daniel na jej widok, gdy Daff wreszcie wyłania się ze swojego pokoju.

- Wyglądasz jak księżniczka! - wola Stella.

- Dziękuję. - Daff okręca się w miejscu. - Naprawdę wam się podobam?

- Wyglądasz olśniewająco - popiera dziewczynkę Daniel. - Czyżbyś miała na oku kogoś wyjątkowego? - Mruga do niej, a ona się rumieni.

- Po prostu chciałam włożyć coś innego niż krótkie spodenki i T-shirt.

- Cóż, gdybyś jednak zamierzała kogoś zachwycić, z pewnością ci się to uda w tej sukience.

Stella i Lizzie wciąż patrzą na nią zauroczone, gdy Daff ujmuje je za rączki i podążając za Daniem, prowadzi na dół. Właśnie gdy osiągają podstawę schodów, rozlega się dzwonek do drzwi.

- To do nas?

- Zobaczę, kto to - mówi Daniel i staje twarzą w twarz z niską, kościstą blondynką tkwiącą w progu. Kobieta ubrana jest cała na czarno, ma nawet czarne sandały od Prady, i tylko ogromne diamenty rozjaśniają nieco jej image.

- Cześć - odzywa się trochę nerwowo. - Zastałam Michaela?

- Owszem - odpowiada jej Daniel i otwiera szerzej drzwi, zapraszając gościa do środka i ukradkiem posyłając zdziwione spojrzenie Daff. - A kto pyta?

- Jordana - wyrzuca z siebie kobieta, a Daff, stojąca parę kroków od niej w swej olśniewającej kreacji, nagle ma ochotę wytrysnąć fontanną łez.

Jessika jeszcze nigdy nie czuła czegoś podobnego. W uszach jej dzwoni i choć wie, iż Aleksandra coś do niej mówi, nie słyszy ani słowa z tego, co papla koleżanka. Nie spuszcza wzroku z drzwi, wyczekując chwili, w której zaleje ją ulga wymieszana z niesłychanym podnieceniem, kiedy jak na skrzydłach pomknie do domu. I prawie jej się udaje, nieomal jest już za progiem, gdy nagle czuje na swym ramieniu twardą dłoń.

Odwraca się, w oczach mając strach, a w gardle kulę, która utrudnia jej oddychanie, i od razu napotyka wzrok jednego z rosyjskich ochroniarzy.

- Panienko? - mówi mężczyzna. - Pozwól ze mną, dobrze?

- Co? - Jessika usiłuje strącić jego rękę ze swojego ramienia, odegrać scenkę pod tytułem „Oburzona nastolatka”, lecz niezbyt jej to wychodzi. - Co ja niby takiego zrobiłam?

- Po prostu pozwól ze mną, dobrze? - powtarza ochroniarz, nie zmniejszając uścisku, a Aleksandra stoi obok jak kołek, z rozdziawionymi z przerażenia ustami, patrząc, jak pracownik supermarketu ciągnie jej koleżankę na stronę.

- To jakaś pomyłka! - krzyczy Jess do Aleksandry, bojąc się, co powiedzą jej koleżdy, gdy plotka się rozejdzie, gdy wszyscy się dowiedzą, co zrobiła. - Zadzwoń do mojego taty! - Z tymi słowy znika za półotwartymi drzwiami.

- Ktoś do ciebie przyjechał. - Daniel mówi cicho do Michaela. - Czeka w holu. To Jordana.

- Cha, cha - śmieje się przez nos Michael. - Bardzo zabawne.

- On nie żartuje - wtrąca Daff i jedno spojrzenie w jej pełne smutku oczy mówi Michaelowi, że Daniel nie mija się z prawdą.

- O cholera - szepcze, czując, jak krew ucieka mu z twarzy. - Skąd ona się tu wzięła?

- Nie mam pojęcia - odpowiada Daniel. - Ale raczej nie możesz pozwolić jej tak stać w holu. Powiedziałem, że zaraz do niej zejdiesz.

- Rany... - stęka Michael, wiedząc już, że wieczór ma zepsuty, czując pewność, że z jakiegokolwiek powodu zjawiała się Jordana, nie wróży to nic dobrego. - Dobra. Pójdę się z nią zobaczyć. Daff, mogłabyś zawieźć mamę na przyjęcie? Dołączę do was najszybciej jak zdołam.

Daff potakuje skinieniem.

- Miałem spędzić wieczór w domu - mówi Daniel - ale jeśli wolałbyś zostać z nią sam na sam, mogę dokądś zabrać dziewczynki...

- Nie, nie. Nie trzeba. Zresztą to nie zabierze dużo czasu. - Zaczerpuje kilkakrotnie powietrza, przejeżdżając palcami po włosach. - No dobra, idę zobaczyć, czego ode mnie chce.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jordana przysiada z wdzięcznością w salonie, wiedząc, że jeszcze chwila, a nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. W drodze tutaj była tak zdenerwowana, że niemal zatrzymała samochód, by wymiotować do rowu.

Nie zamierzała tu przyjeżdżać, nie planowała tego, ale tak bardzo tęskni za Michaeliem, wierzy, że jeśli tylko się z nim zobaczy, jeśli tylko on zobaczy ją, zrozumie, jak wiele ich łączyło i jak wiele by stracił, odtrącając ją.

Przecież Jordana zawsze była najpiękniejszą i najpopularniejszą dziewczyną w szkole. Chcieli się z nią umawiać wszyscy chłopcy, mogła przebierać do woli w adoratorach, wybierać najbardziej lubiane dziewczyny na przyjaciółki i otaczać się przystojniakami.

Jej się nie odtrącało, to ona odtrącała innych. Porzucenie bardzo ją bolało, dotąd było w zasadzie czymś jej nieznanym.

- Stęskniłam się za tobą - mówi, zaglądając Michaelowi w oczy, szukając w nich śladów dawnego ciepła, miłości, którą jej zdaniem wciąż musi do niej czuć, lecz widzi, że jego twarz przynajmniej na razie pozostaje zimną maską.

- Minęło parę tygodni - odzywa się Michael - choć czasami wydaje się, że znacznie więcej. Co u ciebie? Jak się mają sprawy w salonie?

- Dobrze. - Jordana wzrusza ramionami. - Inaczej. Zatrudniłam dochodzącego złotnika, który wpada i nam pomaga. Ja prowadzę sklep w centrum, a Jackson ten w Manhasset.

- Zeszliście się z powrotem?

- Nie. Jackson nalega, żebyśmy skorzystali z pomocy specjalisty, poddali się terapii małżeńskiej, ale moim zdaniem między nami koniec.

Michael patrzy jej prosto w oczy.

- Powiedziałaś mu?

- O nas? - Już samo słówko „nas” sprawia, że Jordana czuje się lepiej. - Nie - potrząsa głową. - Nadal nie ma o niczym pojęcia.

- Aha. - Michael wzdycha, po czym siedzą w ciszy przez parę chwil, aż znów on przerywa milczenie. - Jordano... dlaczego tu jesteś?

Kobieta robi głęboki wdech, wstaje i podchodzi do drugiej sofy, na której siedzi Michael, opada tuż obok niego i ujmuje go za rękę. Wyobrażała sobie tę scenę tygodniami, wie zatem, co zaraz powie, na razie jednak tylko spogląda mu w oczy, przygotowując się do wielokrotnie odtwarzanej w myślach przemowy.

- Jestem tu, ponieważ cię kocham. Ponieważ to, co nas połączyło, jest czymś wyjątkowym. Ponieważ nigdy przedtem nie znałam kogoś takiego jak ty. Wiem, wiem to z całą pewnością, że zostali-

śmy dla siebie stworzeni. Wiem też, że jesteś dobrym człowiekiem, bo czujesz się winny z powodu tego, że jestem mężatką, z powodu Jacksona, ale zapewniam cię, że moje małżeństwo z Jacksonem umarło na długo przed tym, zanim zaczęliśmy się spotykać, i rozeszlibyśmy się tak czy inaczej...

- Jordano... - Michael próbuje coś powiedzieć.

- Pozwól mi skończyć - unosi dłoń, by go uciszyć, nim mężczyzna powie coś więcej. - Domyślałam się, że mi nie wierzysz, kiedy mówię, iż jestem gotowa zacząć wszystko jeszcze raz, zrezygnować z dotychczasowego życia, i podejrzewam, że może dręczy cię obawa, iż chcę to zrobić tylko dla ciebie, a ty wolałbyś nie brać na siebie takiej odpowiedzialności, ale prawda jest taka, że również bez ciebie znalazłabym się w tym samym punkcie. Kiedy byliśmy razem, nie przeszkadzał mi brak drogich restauracji, szybkich samochodów i drogiej biżuterii. I tak byłam szczęśliwa. Przy tobie czuję się całkowicie sobą, nie muszę nikomu niczego udowadniać. Tak właśnie chciałabym móc żyć, chciałabym móc prowadzić proste życie, bez tych wszystkich pułapek, które nawiasem mówiąc, nigdy nie dały mi spełnienia. Nie dały mi szczęścia.

Michael widzi diamenciki, co najmniej jednokaratowe, połyskujące w płatkach jej uszu, widzi obrączkę wysadzaną dokoła brylancikami o szlifie szmaragdowym, mającą symbolizować wieczną miłość i znów zdobiącą serdeczny palec jej lewej ręki, lecz pomija to milczeniem.

- W związku z Jacksonem brakowało mi poczucia partnerstwa, a ty mi to dajesz. Jesteś najwspanialszym mężczyzną ze wszystkich, jakich kiedykolwiek znałam, czuję się przy tobie bezpieczna jak nigdy. Przyjechałam tutaj, ponieważ nie umiem z tego zrezygnować, ponieważ wiem, że jeśli zaprzepaścimy to, co mamy, już z nikim nie odnajdziemy czegoś podobnego... - urywa i zerka wyczekująco na Michaela, który jednak unika jej wzroku. Wciąż jeszcze nie wyszedł z szoku na jej widok w Windermere, w dodatku teraz jest pod wrażeniem dramatyzmu jej słów.

Michael zawsze miał trudności z wysławianiem się, ale gdyby jakimś cudem zyskał nagle zdolność krasomówstwa albo przynajmniej nie zapomniał języka w gębie, powiedziałaby Jordanie, że chyba obejrzała o jedną romantyczną komedię za dużo, i może także zapytał, czy przypadkiem nie odbiła jej szajba.

- No więc? - ponagla go z uśmiechem. - Nie masz mi nic do powiedzenia?

- Eee... Jordano... - Napotyka jej spojrzenie i wzdycha, czując się całkiem nieprzygotowany, mając absolutną pustkę w głowie. W końcu zaczyna wolno mówić: - Uważam, że jesteś wyjątkową kobietą. Silną i piękną, a przy tym odważną, skoro zdecydowałaś się tu przyjechać i wyznać to, co przed chwilą od ciebie usłyszałem. Nasza znajomość również jest czymś wyjątkowym i mówię tutaj zarówno o naszej przyjaźni trwającej ponad dwadzieścia lat, jak i oczywiście o bardziej niedawnych wydarzeniach. - Kiedy robi przerwę, Jordana uśmiecha się do niego zachęcająco.

Michael kręci głową. Nie ma wyjścia, będzie musiał przestać owijać w bawełnę.



- A jednak - kontynuuje i dostrzega, jak mięśnie jej twarzy zauważalnie się napinają - mimo że w moich oczach jesteś naprawdę wyjątkowa, nie sądzę, byśmy byli sobie pisani. Nie chodzi wcale o moje poczucie winy wobec Jacksona, po prostu nie widzę przed nami wspólnej przyszłości. - Wzdycha ze smutkiem. - Żałuję, że nie mogę powiedzieć ci nic innego, ale wszystko inne byłoby kłamstwem, a ja nie chcę cię więcej zwodzić.

- To, że nie widzisz przed nami przyszłości w tym konkretnym momencie, nie oznacza jeszcze, że nie możemy jej razem zbudować - mówi szybko Jordana. - Nic dziwnego, że masz kłopoty z wyobrażeniem jej sobie, w końcu nasze światy tak bardzo się różnią, ale gdybyśmy tylko bardzo się postarali, przejrzalibyś na oczy. Nie nalegam, byśmy zaraz się pobierali, możemy przecież robić krok po kroku, upewniając się po drodze. Tylko daj mi szansę na udowodnienie ci, że się nie mylę... - Wykrzywia twarz w grymasie przypominającym uśmiech.

- Nie potrafię - odpowiada Michael, potrząsając głową. - Przykro mi, Jordano, ale naprawdę nie potrafię.

- Ale dlaczego nie? - dopytuje kobieta. - Dlaczego, na Boga, nie?

- Bo cię nie kocham - wyrzuca z siebie wreszcie Michael. Głos obniżył do szeptu. - Bo tak nie można. Bo nie tego pragnę.

- Skąd niby wiesz, czego pragniesz? Skąd możesz to wiedzieć, zanim w ogóle spróbowałaś? - Jordana chwyta się tej myśli jak tonący brzytwy i oboje o tym wiedzą.

- Nie powinnaś była tutaj przyjeżdżać. Niepotrzebnie się fatygowałaś. Przykro mi. Naprawdę mi przykro...

- Michaelu, proszę... - Czuje, że zaraz się rozplacze, jej własne zachowanie wprawia ją w zażenowanie, ale kocha go tak bardzo, że nie może go ot, tak po prostu zostawić, pozwolić mu spisać na straty ich związek, musi o nich walczyć. - Daj nam szansę. Proszę. Przyrzekam, że nie pożałujesz.

- Nie, Jordano. Powinnaś już iść.

- Jest jeszcze coś... - dodaje, wstając.

Michael podnosi na nią zmęczony wzrok i dostrzega w jej oczach płomienie.

- Będziemy mieli dziecko.

\* \*

- Tatku? - Bee trzyma go za rękę i gładzi delikatnie, siedząc przy nim od dłuższej chwili i przyglądając się, jak cicho pochrapuje. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła go w szpitalnym łóżku, była zdumiona, jak bardzo się postarzał, teraz jednak powoli zaczyna przyzwyczajać się do tego widoku.

Mężczyzna otwiera oczy i zaraz mruży powieki, gdy razi go światło. W końcu skupia spojrzenie na córce.

- Bee? - uśmiecha się do niej, a ona pochyla się i ściska go mocno na powitanie.

- Cześć, tatku. Jak się dzisiaj czujesz?

- Całkiem nieźle. Chociaż wciąż mnie trochę boli, a lekarz twierdzi, że muszę nadal dużo odpoczywać. Ale przynajmniej niepotrzebne mi nowe biodro. Na razie - dodaje.

- Bogu dzięki - szepcze Bee. - Możesz latać?

- Skrzydła zostały w domu - uśmiecha się Evan. - Czemu pytasz?

- Chcę zabrać cię ze sobą na Nantucket, żebyś mogła należycie się tobą opiekować.

- Ach. Nantucket. Czy to wciąż najbardziej magiczne miejsce na świecie?

Bee uśmiecha się również i kiwa głową z przekonaniem.

- Kiedy tam ostatnio byłeś?

- Lata temu... - Evan na chwilę przymyka powieki.

- Jedno życie albo nawet dwa...

- No więc jak będzie, tatku? Spodobałby ci się nasz domek. No i miałbyś dobrą opiekę.

- Pomyślę o tym - odpowiada jej, krzywiąc się lekko.

- Dam ci znać.

- A o czym tu myśleć? - nalega Bee. - Kto inny się tobą zajmie?

- Mógłbym zatrudnić pielęgniarkę.

- Po co ci pielęgniarka, skoro masz mnie? Lizzie i Stella strasznie by się ucieszyły z obecności dziadka. Obiecuję, że nie pozwolę im wchodzić ci na głowę.

- Jak one się mają? - Evan uśmiecha się szeroko na myśl o swoich wnuczkach.

- Doskonale. Często widują się z Danielem.

- A właśnie, Daniel... Sądzisz, że uda wam się naprawić to, co się między wami popsuło? Dla dobra dzieci?

Bee śmieje się gorzko.

- Powiedziałabym raczej, że szanse na poprawę stosunków między nami są mniejsze od zera. To długa historia, tatku. Zostawimy ją sobie do czasu, aż poczujesz się lepiej, zgoda? Bóg świadkiem, że nie chcę być powodem twojego ataku serca.

- Czemu nie? Przynajmniej jestem we właściwym miejscu, gdy chodzi o te sprawy. Jakaż to więc historia? Czyżby Daniel nareszcie ujawnił swoją orientację?

Bee blednie jak ściana.

- Słucham? To znaczy, skąd wiesz?...

- Och, Beezy... Przepraszam. Nie miałem o niczym pojęcia. Po prostu od pewnego czasu to podejrzewałem. Jak to zniosłaś?

- Tatku... - zaczyna i urywa. Oddycha głęboko, wyglądając przez okno, by zapanować nad emocjami. Za wszelką cenę stara się wykazać siłą przez wzgląd na ojca, przecież to ona ma się nim teraz opiekować, a nie odwrotnie, próbuje więc zachować się jak na dorosłą osobę przystało, ale nieoczekiwanie, wcale tego nie chcąc, wybucha płaczem.

- Cii... - Evan obejmuje ją ramionami, ogarnia go głęboki żal, bo widok cierpienia ukochanej osoby tak bardzo boli. - Wszystko będzie dobrze, Beezy... Nie płacz, tata jest przy tobie...

Wreszcie w ramionach ojca, przy szpitalnym łóżku w Stamfordzie w stanie Connecticut Bee po raz pierwszy od dawna czuje, że ktoś się o nią troszczy.

Daff chce się dobrze bawić, chce dać się porwać szaleństwu, lecz ilekroć ktoś nowy wchodzi do ogrodu, gdzie odbywa się przyjęcie, podnosi głowę w nadziei, że tym razem będzie to Michael. On jednak jak dotąd się nie pojawił.

Przez jakiś czas stała razem z Nan, później ruszyła się na chwilę, by przynieść sobie ponczu, i kiedy wróciła na to samo miejsce, okazało się, że Jack porwał Nan do tańca. Przygląda się tancerzom, myśląc, co za udana impreza: wśród gałęzi drzew pobłyskują lampiony, ładnie ubrani ludzie spacerują alejkami i na przełaj trawników, lecz ani na moment nie przestaje jej brakować Michaela, który z pewnością byłby duszą towarzystwa.

- Witaj. - Daff okręca się na pięcie i widzi uśmiechającego się do niej mężczyznę z wyciągniętą ręką. - Nazywam się Mark.

- A ja jestem Daff.

- To skrót od Dafne?

- Można tak pomyśleć, prawda? Ale nie, w rzeczywistości mam na imię Delphine. Moja matka była Francuzką i ochrzciła mnie tak dziwacznie, a potem mój młodszy braciszek miał kłopoty z wymową i po prostu wołał na mnie Daff. Przyłgnęło to do mnie...

- Mnie się podoba. Ehm... Długo znasz Jacka?

- W ogóle go nie znam. Przyszłam ze znajomą.

- Widziałem, że rozmawiałaś z Nan...

- No tak. Właściwie jest moją gospodynią. Wynajmuję u niej pokój.

- A! Więc jesteś jedną z tych osób, które zamieszkały w Windermere!

- Czyżbyś przyjaźnił się z Nan?

- Niezupełnie. Spotkaliśmy się, kiedy przyszła zwiedzić jeden z wybudowanych przeze mnie domów. Ja z kolei mam chrapkę na Windermere.

- Jesteś deweloperem?

- Owszem, i dlatego wiem, że Nan zajmuje jedną z lepszych posiadłości na wyspie. Wspominała coś może o chęci sprzedaży?

Daff przygląda się Markowi uważniej. Mężczyzna rozplywa się w uśmiechach i wydaje się dość miły, ale ona dostrzega w jego oczach stalowe błyski i natychmiast przestaje mu ufać. Wie, że im mniej mu powie, im mniej zdradzi, tym lepiej.

- Ja tylko u niej mieszkam - zbywa go lekkim śmiechem i odwraca się do tańczących. - Niby dlaczego Nan miałaby rozmawiać ze mną o swoich prywatnych sprawach?

- Windermere jest warte fortunę - utrzymuje Mark. - Ceny nieruchomości tutaj osiągnęły zawrotny pułap.

- Obiło mi się coś o uszy.

- Ale wracając do Ciebie... - Mark zmienia temat rozmowy. - Czym się zajmujesz, kiedy nie wynajmujesz pokoi na Nantucket?

- Jestem agentką nieruchomości w Westchesterze - odpowiada mu Daff, śmiejąc się.

- O, czyli gramy w tej samej drużynie - cieszy się Mark. - Przyjechałeś z mężem i dziećmi?

- Nie. - Daff kręci głową, zastanawiając się, czy kiedykolwiek poczuje się w podobnej sytuacji swobodnie, czy nauczy się mówić ludziom, że jest rozwiedziona, nie czując się przy tym jak ostatnia nieudacznica. - Jestem... po rozwodzie. Moja córka mieszka chwilowo ze swoim ojcem.

- Zająłeś się nieruchomościami już po rozwodzie?

- W czasie separacji.

- To ciężki kawałek chleba w dzisiejszych czasach. Tutaj, na Nantucket sprawy przedstawiają się nieco inaczej, na wyspie ceny zawsze są wyższe, ale reszta kraju ucierpiała podczas kryzysu. Jak sobie radzisz na swoim poletku?

- Tak sobie. - Daff rozpaczliwie próbuje wymyślić jakąś wymówkę, która uwolniłaby ją od towarzystwa Marka. Nie chce być dla niego niemiła, ale ta rozmowa zaczyna ją powoli męczyć, mężczyzna zadaje zbyt dużo pytań, zupełnie jakby przygotował je sobie wcześniej i teraz jedno po drugim odhaczał w mentalnym notatniku. Niestety, nie przychodzi jej do głowy żaden pomysł. - Jesienią powinno zapanować ożywienie na rynku - dodaje, rzucając spojrzenie w stronę stołu z napojami. - Lato zawsze oznacza zastój.

Mark nachyla się ku niej.

- Tak między nami... Gdyby Nan podjęła decyzję o sprzedaży jeszcze tego lata, mogłoby coś skapnąć i Tobie... - Puszcza do niej oko. - Bez urazy. Biznes to biznes. Z pewnością to rozumiesz. Można by dobić targu bez udziału miejscowego agenta, w zaciszu domu, dzięki temu dostałabyś procent. Proszę - wsuwa jej w dłoń wizytówkę, na którą Daff spogląda tępym wzrokiem. - Zadzwoń do mnie, to porozmawiamy o szczegółach. Ale pamiętaj, sza!

- Mark Stephenson! - jak spod ziemi wyrasta obok nich Nan w eleganckiej czerwonej sukni z satynowej krepy, która szeleści przy każdym jej ruchu.

- Nan Powell! Piękna jak zwykle! - Całuje ją w oba policzki, a Daff czuje, jak po plecach przebiega jej dreszcz. - Czy zrobisz mi ten honor i dasz się poprowadzić do następnego tańca?

- Skoro tak ładnie prosisz, jak mogłabym odmówić? - chichocze Nan, po czym oboje odchodzą, a Daff stoi pośrodku trawnika, mnąc w dłoni wizytówkę.

Procent. Procent od jakiej kwoty? Ile może być wart dom na takim kawałku ziemi? Miliony, tego jest pewna, ale ile dokładnie? Sześć milionów, siedem?... No i o jakim procencie była mowa?

Umysł Daff zaczyna działać jak kalkulator. Trzy procent od, powiedzmy, sześciu milionów daje sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Dla niej to majątek. Nie musiałaby się więcej o nic martwić.

Boże, o czym ona myśli?! Nie mogłaby zrobić czegoś takiego Nan, nie wolno jej wdać się w taki podejrzany interes, w coś tak ciemnego i... brudnego! Nabiera chęci, by podrzeć i wyrzucić wizytówkę, czuje się zbrukana przez to, że w ogóle odbyła tę rozmowę, lecz poniekąd wbrew sobie wkłada kartonik do torebki i nakrywa chusteczkami higienicznymi, udając sama przed sobą, że jeśli zniknie jej z oczu, problem sam się rozwiąże.

\* \*

Michael siedzi na ganku ze szklanką whisky w dłoni, nie pamięta już, którą z kolei. Daniel zajął do niego wcześniej, spytał, czy wszystko z nim dobrze, ale Michael nie umiał udzielić odpowiedzi. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

W pewnym sensie czekał na ten moment przez całe swoje dorosłe życie. Mijał rok za rokiem, a on nie posiadał się ze zdumienia, że żadna z jego dziewczyn, żadna z jego kochanek nie oznajmiła mu, że jest z nim w ciąży. Teraz nareszcie jest tak, jak powinno być już dawno, zupełnie jakby jego beztrocka przeszłość zemściła się na nim znienacka.

Czuje się zmartwiały. Zaszokowany. Przerażony. Gdy padło tamto zdanie, spojrzał na Jordaną z przestachem, ścisnęło go w piersi, zaczął szybciej i płycej oddychać, walcząc o każdy łyk powietrza, a równocześnie przez cały czas miał nadzieję, że się przesłyszał, że zaraz się przebudzi z wyjątkowo pa-skudnego koszmaru.

Jordana wybiegła cała we łzach i wśród krzyków, ogłaszając, że zatrzymała się w hotelu Wauwinet, że urodzi to dziecko, że zrobi to, nawet jeśli będzie sama jak palec, i że jest zdumiona jego reakcją, niezdolnością do wykrztuszenia choćby słowa, do zaczerpnięcia głębszego oddechu.

Dziecko. Do tego z Jordaną. Za każdym razem gdy formuluje w głowie tę myśl, marzy mu się zakopać w pościeli i już nigdy nie wyjść na światło dnia. Kiedy życie zdążyło tak strasznie wyrwać się spod jego kontroli? Jak mógłby wziąć odpowiedzialność za drugiego człowieka, nie umiejąc poradzić sobie z samym sobą?

Najbardziej jednak przeraża go perspektywa połączenia ich losów, z powodu powołanego do życia dziecka, aż po kres ich dni.

Czuje się niemal tak, jakby opuścił własne ciało i doznał olśnienia. Widząc ją tego wieczoru ufarbowaną, ociekającą makijażem, zdesperowaną, obsesyjnie powtarzającą banał o dwu połówkach pomarańczy, widząc wyraźnie tandetną wersję Jordany, powtarzał w duchu: „Co ja u diabła sobie myślałem? Czy w ogóle myślałem?”. Przyjaciółka - być może. Ale partnerka do końca życia - Chryste, nigdy.

Gdyby tylko zignorował iskrzenie między nimi, gdyby trzymał Jordane na dystans, traktując ją jak starą przyjaciółkę, gdyby nawet poszedł z nią wtedy na kolację, na tę ich pierwszą wspólną kolację, ale potem grzecznie wrócił do domu na Upper West Side. Sam.

A ona? Jak ona sobie z tym radzi? Będąc w ciąży z nieślubnym dzieckiem spłodzonym przez mężczyznę, który nie ma pojęcia, co z tym fantem zrobić, przez człowieka, który nie potrafi dać jej tego, czego ona od niego oczekuje, który nie umie, nie chce być dla niej partnerem na dobre i na złe.

Dziś wieczorem Michael nie dostrzegł w niej słodkiej bezradności, nie wydawało mu się, by potrzebowała pomocy rycerza w lśniącej zbroi, kogoś, kto by ją ocalił i uratował przed złym światem. Dziś dostrzegł w Jordanie kalectwo emocjonalne, niepewność.

I może także odrobinę szaleństwa.

- Michael? To ty?

Podnosi wzrok i widzi stojącą w ciemnościach Daff, urocą w nowej sukience, taką świeżą i czystą, taką różną od Jordany, i gdy tak na nią patrzy, wciąż nie wiedząc, co powiedzieć, uświadamia sobie, że ramiona mu drżą, a po twarzy spływają strumienie łez.

- Cii... - Już jest koło niego, już obejmuje go ramionami, gładzi po plecach, całuje w czubek głowy i uspokaja, jakby był małym chłopcem. - Wszystko dobrze - szepcze, masując mu plecy, podczas gdy on opiera się o nią coraz mocniej, dając upust żalości. - Wszystko dobrze...

Powoli łzy ustępują, lecz oni pozostają w uścisku, choć Daff przestała już gładzić go po plecach i obojgu zrobiło się trochę niewygodnie. Pociąga ją lekko, tak że teraz przysiadła mu na kolanach, ramiona nadal mają splecione, i nagle zaczyna ją całować, choć na Boga, nie tak powinien się zachowywać w parę chwil po tym, gdy się dowiedział, że zostanie ojcem dziecka innej kobiety, ale przecież chodzi o Daff, przy której czuje się tak dobrze, która stanowi dlań bezpieczną przystań w czasie najgorszej burzy, w jakiej śródki się znalazł. Co więcej, obsypując ją pocałunkami, czując jej ręce wokół swego torsu, na swojej szyi, Michael wie, nareszcie wie, że to jest to.

- Co to? - Długie minuty później przerywa im brzęczenie i wibrowanie.

- O Boże! - Daff zeskakuje z jego kolan zażenowana i sięga do torebki po telefon komórkowy. - Kto może dzwonić do mnie o tak późnej porze? - Zerka na ekranik i na widok wyświetlonego numeru serce jej staje. To Richard próbuje się z nią skontaktować. Coś się stało. Coś się stało Jessice. Otwiera klapkę, czując, jak dławi ją strach.

W słuchawce rozlega się głośny płacz Jessiki. Jej córka szlocha jak mała dziewczynka.

- Jess? Co się stało? Jess? O co chodzi?! - Przeważenie sprawia, że zaczyna krzyczeć, rozpaczliwie pragnie się upewnić, że Jessice nic nie jest.

- Tęsknię za tobą, mamusiu - odzywa się Jessika pomiędzy słabnącymi szlochami. - Potrzebuję cię...

Daff odruchowo się przestrasza.



- Ja za tobą też tęsknię - mówi. - Kocham cię. Ale powiedz mi, co się stało. O co chodzi? Cemu płaczesz?

- Tatuś do ciebie zadzwoni - informuje ją dziewczynka, nim łzy znów zaczynają płynąć. - Ale ja chcę znów zamieszkać z tobą. Nie podoba mi się tutaj. Nie chcę już tu być...

- Jess? - Daff głos ma pewny, mimo że nie czuje ani krztyny pewności. - Powiedz mi, o co chodzi. Albo jeszcze lepiej pozwól mi porozmawiać z twoim ojcem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W Windermere nocą panuje absolutny bezruch, jest cicho i spokojnie, a jednak gdy przysłuchać się nieco uważniej, dochodzą odgłosy przewracania się z boku na bok i wiercenia w pościeli świadczące o mierzeniu się mieszkańców z problemami, o wewnętrznej kotłowaniu bliższej chaosowi i walce niż mirowi.

Michael wciąż drętwieje ze strachu. Dziecko. Jordana będzie miała z nim dziecko, właśnie teraz gdy po raz pierwszy spotkał kobietę, z którą od razu połączyła go prawdziwa więź. Mimo że bardzo się stara, nie potrafi sobie wyobrazić dobrego zakończenia.

Nigdy nie był ani pro-, ani antyaborcjonistą, nigdy właściwie nie musiał określać, po której stronie stoi, po prostu znał kilka kobiet mających zabieg za sobą i zawsze uważał, że decyzja należała do nich.

Ale co z mężczyznami? Co z ich prawem do decydowania o tym, czy chcą mieć dziecko czy nie? Michael nie jest pewien własnych przekonań, nie ma jednak wątpliwości, że w zaistniałych okolicznościach nie może być nic gorszego od sprowadzenia na świat syna lub córki. Przedtem nieczęsto wyobrażał sobie siebie w roli rodzica, a jeżeli już, robił to wyłącznie teoretycznie, toteż teraz całkiem praktyczne rozmyślanie o wspólnym z Jordaną rodzicielstwie przyprawia go o pusty śmiech. To znaczy, byłoby to zabawne, gdyby nie było przerażające, gdyby nie wywoływało w nim niemal fizycznego bólu.

Przerwij ciężę, krzyczy w duchu. Pozbądź się płodu. Lecz to nie jego ciało, nie może więc o niczym decydować i boi się, że przyjdzie mu płacić za swoją pomyłkę do końca życia.

Jutro się z nią zobaczy. Rozmówi się z nią. Postara się nią wstrząsnąć. Spróbuje ją przekonać, że to, co sobie zamierzyła, nie przyniesie korzyści nikomu z zainteresowanych, nie jest, nie może być tym, co powinno się zrobić w takiej sytuacji.

Zwłaszcza że z Michaela byłby kiepski ojciec, biorąc pod uwagę, iż sam od szóstego roku życia jest półsierotą. Nie ma pojęcia, co to znaczy być ojcem, nie domyśla się nawet radości, jaką daje posiadanie dziecka, ani szczęścia z powodu narodzin syna czy córki.

Zresztą nigdy nie widział się w roli kogoś, kto jest odpowiedzialny za drugie ludzkie istnienie. Sama myśl o tym zdaje się go przerastać. Owszem, troszczył się o swoje przyjaciółki, nieustannie martwił się o matkę, ale to co innego. Jakkolwiek dziecinnie zachowywały się niektóre jego byłe przyjaciółki, wszystkie były dorosłymi osobami, zdolnymi do zadbania o siebie.

Michael zwyczajnie nie jest przygotowany na to, by nagle samemu wydorośleć.

Na drugim krańcu domu Daff siedzi przy oknie i wyglądając w mrok nocy, widzi tylko na przemian zapalające się i gasnące światełka łodzi kołyszących się na falach. Popija małymi łydkami gorącą, mocno posłodzoną herbatę, próbując uspokoić skołatane nerwy, łudząc się, że to pomoże jej zasnąć.

Ma o czym rozmyślać. Właśnie się dowiedziała, że Jessika, najdroższa Jess, kradnie w sklepach. Jak to możliwe, że jej córkę przyłapano na kradzieży? Wprost nie mieści się jej to w głowie, jednakże Richard wyraził się przez telefon całkiem jasno. Nie ma mowy o pomyłce, oboje - on i Carrie - musieli pójść do supermarketu, by odebrać nastolatkę z rąk ochrony, i przy tej okazji zaprezentowano im zawartość jej torby.

Nawet gdy pokazano mu dowody rzeczowe, Richard chciał wierzyć, że istnieje alternatywne wyjaśnienie, którego oczywiście nie było, tak więc Jessika dość szybko zamiast dalej bezowocnie zaprzeczać swojej winie, wpadła w histerię i znów udając małą dziewczynkę, miała nadzieję, że tatuś jej wybaczy, obroni ją przed złymi panami, którzy oskarżają ją o Bóg wie co, i sprawi, że na jej buzi ponownie zagości uśmiech.

Obiecano mu, że zajście nie zostanie zgłoszone na policji, po tym jak wytłumaczył, że Jessika przechodzi trudny okres, próbując pogodzić się z rozwodem rodziców. Upiekło jej się również dlatego, że było to jej pierwsze wykroczenie, albo przynajmniej wszyscy tak wówczas myśleli, jednakże - nie omieszkało ich poinformować podczas wyprowadzania ze sklepu - następnym razem konsekwencje będą naprawdę przykre.

W domu Jess pobiegła prosto do swego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi, tuż po tym jak Richard oznajmił, jaka kara ją czeka. Miała zakaz używania komputera i wychodzenia dokądkolwiek z koleżankami po szkole.

- Nienawidzę cię! - krzyczała do niego przez drzwi. - Nienawidzę tego miejsca! Żałuję, że kiedykolwiek się urodziłam!

Carrie i Richard usiedli przy kuchennym stole i zastanawiali się, co począć.

- Może powinna odbyć parę sesji? - podsunęła Carrie delikatnie, wiedząc, że to dobry pomysł, nie mając jednak pojęcia, jak zareaguje na niego Richard.

- Sesji? Chodzi ci o zajęcia z psychiatrą?

- Nie z psychiatrą, raczej z psychologiem albo terapeutą rodzinnym. Z kimś, przy kim poczułaby się bezpiecznie, komu mogłaby zaufać i się wygadać.

Richard westchnął.

- Moim zdaniem to śmieszne, żeby trzynastolatka chodziła do psychoanalityka. To znaczy jestem świadom, że kradzieże w sklepie to poważna sprawa, ale przecież Jessika nie jest złym dzieckiem, po prostu przechodzi trudny okres. Carrie, sama wspominałaś, że jako nastolatka przysparzałaś licznych problemów. Musisz pamiętać, jak to jest.

- Pamiętam - potaknęła Carrie. - Pamiętam też, że nie kradłam. I w życiu nie pozwoliłam sobie w stosunku do rodziców na takie odzywki, jakimi ona obrzuca ciebie.

- Cóż, czasy się zmieniły. Poza tym to nie zdarza się jej często i na pewno nie mówi wszystkiego poważnie.

- Ilekroć nie uda jej się narzucić swojej woli, krzyczy, że cię nienawidzi albo że nienawidzi mnie, że do spółki zrujnowaliśmy jej życie i wiele gorszych rzeczy, których nawet nie będę przytaczać, a ty jej na to pozwalasz.

- To chyba dobrze, że nie ma kłopotów z wyrażaniem własnych uczuć - wtrącił Richard cicho.

- Ależ tak nie można! - zaprotestowała Carrie. - Wolno jej oczywiście czuć całą gamę uczuć, nie powinna jednak dawać im upustu, kiedy tylko przyjdzie jej ochota, w dodatku w takiej formie.

- Nie zgadzam się z tobą. Moim zdaniem o wiele lepiej jest wypluwać z siebie to, co nas dręczy, niż dusić i tłamsić. Ja na przykład nigdy nie mogłem okazywać gniewu, spodziewano się po mnie, że wiecznie będę radosny i zadowolony jako dziecko, i później przez długie lata nie umiałem sobie poradzić z od lat tłumionym gniewem. Nie chciałbym, aby moja córka przeżywała to samo.

- Dlaczego nie? Bo tłumiony gniew może prowadzić do czegoś okropnego, powiedzmy, kradzieży sklepowych?

- To nie fair - rzucił Richard ostro.

- Być może, ale ja widzę po prostu dziewczynkę, która nie potrafi się odnaleźć i która uczyni wszystko, byle tylko zwrócić na siebie uwagę, choćby miało to być podprowadzanie produktów ze sklepowych półek. Czy ty naprawdę nie widzisz, że o to właśnie chodzi?

- Ona nie potrzebuje zwracać na siebie uwagi. Poświęcam jej mnóstwo czasu.

- Wiem o tym, ale to jej nie wystarcza. Zawsze jej mało. Ta kradzież to wołanie o pomoc. Uważam, że wykazalibyśmy się całkowitym brakiem odpowiedzialności, gdybyśmy nie załatwili jej terapeuty.

Po tych słowach zapadła długa cisza. Richard rozważał w duchu to, co usłyszał, wiedząc, że Carrie ma wiele racji. Przepadał za swoją córką, kochał ją nad życie, lecz prawdą było, iż nie zawsze ją rozumiał. Zawsze znajdował dla niej czas, usiłował dostrzec w niej samodzielną jednostkę, starał się nie oceniać jej pochopnie - traktował ją tak, jak sam chciałby być traktowany w dzieciństwie - a mimo to Jessika zdawała się przepełniona bólem i Richard w chwilach takich jak ta, zdając sobie sprawę z poniesionej porażki, miał się za niedobrego rodzica. Był gotów się poddać.

- Pomyślę o tym - oświadczył na koniec rozmowy, podnosząc wzrok i odszukując spojrzenie Carrie.

- Dziękuję - powiedziała i sięgnęła nad stołem, aby uścisnąć jego rękę.

Uświadomiła sobie, że czasami wystarczy zostać wysłuchaną.

Jess kuciała za zamkniętymi drzwiami kuchni, chłonąc każde słowo. W tamtej chwili nienawidziła Carrie, nienawidziła swojego ojca, żałowała, że nie może wrócić do czasów, kiedy jej rodzice wciąż byli małżeństwem i mieszkali razem, i wszystko zdawało się mieć sens.

Wstała po cichu i poszła do sypialni, żeby zatelefonować do matki, a gdy zaczęła wybierać numer, poczuła, że zbiera jej się na płacz. Życie tutaj nie spełniło jej oczekiwań, zwłaszcza odkąd przyplątała się Carrie, i nagle - po raz pierwszy od bardzo dawna - zamarzyła, aby być z dala od ojca.

Skoro on i Carrie i tak mieli ją odtrącić, postanowiła, że ona odtrąci ich pierwsza.

- Mamusiu? - Łzy nie były ani trochę udawane, kiedy usłyszała głos matki. - Chcę znów mieszkać z tobą.

Richard obiecał wysłać Jessikę na Nantucket. Miał nadzieję, że wyjazd dobrze jej zrobi, oderwie ją od złych wpływów w mieście. Wbrew temu co usiłowała mu powiedzieć Carrie, był przekonany, że do kradzieży namówiła jego córkę jakaś jej koleżanka, że Jess nigdy by sama nie wpadła na tak okropny pomysł.

Poza tym uświadomił sobie, że nastolatka potrzebuje przede wszystkim matki. Wcześniej liczył na to, że pomiędzy Jessiką i Carrie nawiąże się nić porozumienia, lecz chociaż zdarzały się chwile, gdy wszystko zdawało się między nimi świetnie układać, gdy Jess naprawdę łaknęła towarzystwa Carrie, nie łączyły ich więzy krwi. Richard poczuł prawie wdzięczność, kiedy Jess poprosiła, by mogła wrócić do Daff. Odkąd się do nich wprowadziła, zdawało mu się, że co dzień rano wsiada na emocjonalnego rollercoastera. Potrzebna mu była przerwa, chciał wreszcie móc myśleć o czymś innym niż tylko o swojej zagubionej trzynastoletniej córce. Niech przez jakiś czas martwi się o nią Daff.

\* \*

Daff cieszy się na przyjazd Jessiki, ale jest zaniepokojona ostatnimi wydarzeniami z życia córki. Tęskniła za nią, to oczywiste, lecz nie usychała z tęsknoty jak inne matki, które z tego czy innego powodu robią sobie tymczasowo wolne od dziecka.

Osobiście Daff uważa za mit pokutujące w społeczeństwie przekonanie, że każda matka boleśnie odczuwa choćby krótkie rozstanie z potomkiem. Wynika ono z poczucia winy, ze strachu, że kobieta nie jest idealną rodzicielką, jeśli nie myśli o dziecku na okrągło, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ona myśli o Jess. Często. Ale podoba jej się również, gdy jest postrzegana jako odrębna jednostka, nie czyjaś żona ani matka, tylko po prostu Daff. Uwielbia poznawać nowych ludzi, cieszy ją,

że zbudowała wokół siebie, tutaj na Nantucket, oddzielny świat, w którym jest znana jako ktoś inny niż podmiejska gospodyni domowa samotnie wychowująca nastoletnią córkę.

Ostatniego wieczoru była uwodzicielką, do licha! Wciąż pamięta smak tamtego pocałunku! Drży na myśl, czego mógł być początkiem, i żałuje, że im przerwano. Telefon od Jessiki podziałał na nią jak kubek zimnej wody, uleciała gdzieś cała namiętność i czar chwili prysł. Mimo że została, po tym jak już skończyła rozmawiać z Richardem, i zaczęła dopytywać, co stało się Michaelowi, chcąc się upewnić, że nic mu nie będzie, jej umysł nadal krążył wokół historii z Jess, toteż w końcu zgodnie uznali, że czas powiedzieć sobie dobranoc i wrócić do rozmowy przy innej okazji.

Poza tym miała jeszcze na głowie Marka Stephensona i jego dziwną propozycję. Nie zamierzała z niej korzystać, wiedziała bowiem, że to podły podstęp, niemal wyłudzenie, nigdy nie mogłaby zrobić czegoś podobnego Nan ani Michaelowi. Ale z drugiej strony w grę wchodziła masa pieniędzy - mogłaby się za nie urządzić jeśli nawet nie do końca życia, to na pewno na dłuższy czas, zyskując wolność, o jakiej od czasu rozwodu mogła tylko pomarzyć.

Praca w jej branży nie jest usłana różami, zwłaszcza obecnie. Z każdym dniem rywalizacja robi się coraz bardziej zacięta. Minęły czasy, gdy ceny szalały, wszystko można było sprzedać na pniu, a kupcy wręcz bili się o co atrakcyjniejsze oferty i na porządku dziennym były licytacje oraz przetargi, w których wyniku agenci nieruchomości obrastali w tłuszcz.

Niemal każda kobieta w średnim wieku, którą Daff zna i która zdecydowała się wrócić do pracy po odchowaniu dzieci, została agentką. Prawie co tydzień na placu boju pojawia się kolejna, dumnie dzierżąca świeżo zdobytą licencję i robiąca rozeznanie w terenie, korzystając z okazji, że potencjalni sprzedający przyciągają pośredników wystawnymi lunchami.

Na rynku jest zatrzęsienie ofert. Deweloperzy, którzy sądzili, że boom będzie trwał wiecznie, z rozpędu wciąż jeszcze budują ogromne nowe domy, lecz teraz każda nieruchomość czeka na sprzedaż miesiącami, które czasem przechodzą w lata, podczas gdy ceny spadają dramatycznie, aż w końcu właściciel niezdolny dalej spłacać kredyt, godzi się na transakcję po kosztach lub nawet oddaje budynek bankowi.

Tam gdzie mieszka Daff, agentom nieruchomości jest niezwykle trudno utrzymać się na powierzchni. Nawet ci, którzy z dawien dawna świetnie sobie radzili - jak na przykład Marie Hathaway i jej zespół, cztery imponujące blondyny, dające wielkie ogłoszenia na ostatniej stronie lokalnej gazety i wciąż obsługujące najzamożniejszych klientów w okolicy - cienko przędą. Po opłaceniu reklam - ogłoszenia na całą kolumnę i comiesięczne foldery robią dobry marketing, ale nie są tanie - oraz wynagrodzeniu współpracownic Marie nie zostaje w portfelu tak wiele, jak stara się to wszystkim wmówić, co do tego Daff nie ma złudzeń.

Jako mężatka Daff nigdy nie musiała się martwić o finanse. Od czasu do czasu miała się jakiejś pracy, była aranżerką, projektowała kartki świąteczne, a nawet prowadziła domowe wyprzedaże, ale te

niewielkie sumy, które zarabiała, służyły tylko temu, by z czystym sumieniem mogła kupić sobie wymarzone czółenka, by mogli się zatrzymać w lepszym hotelu, gdy jechali na wakacje całą rodziną, bądź by podarować Jessice parę botków z zamszu, które dziewczynka po prostu musiała mieć, gdyż chodziły w takich wszystkie koleżanki z klasy.

Jeśli akurat nie miała żadnego zajęcia, świat nie walił jej się na głowę, tak jak teraz, kiedy musi sobie radzić sama. Wprawdzie na razie Richard zarówno płaci alimenty, jak i łoży na utrzymanie dziecka, ale jej pozostało regulowanie rat hipotecznych oraz wszystkie rachunki i z pewnością to, co otrzymuje od byłego męża, nie zapewnia jej spokojnego snu.

Jej marzeniem jest posiadanie wystarczającej ilości pieniędzy, aby co miesiąc mogła odkładać okrągłą sumkę na czarną godzinę, aby nareszcie mogła się odprężyć, wiedząc, że cokolwiek się stanie, nic nie zagrazi jej bytowi.

Najbardziej obawia się utraty domu. W nim urodziła się Jessika, gdzie więc obie miałyby się podzielić, gdyby doszło do najgorszego? Z jednej strony rozumie Nan, pojmując, czemu staruszka nie chce opuścić Windermere, z drugiej wszakże wie, iż posiadłość warta jest miliony. Niewykluczone, że

Nan ma przejściowe kłopoty, ale przede wszystkim ma wybór - może sprzedać dom i dobrze na tym wyjść.

Pomagając jednocześnie Daff. Miliony dla Nan i drobne dwieście tysięcy dla niej, dość, by nie musieć się więcej martwić, dość, by nareszcie znów zacząć żyć pełną piersią.

Zatem może jednak powinna porozmawiać z Nan, naświetlić jej sprawę z innej perspektywy? Przecież i tak nie zdoła jej zmusić do czegoś, czego by nie chciała zrobić, ale przynajmniej może spróbować skierować ją we właściwą stronę, bo czyż jest coś złego w uczynieniu kogoś bogatym?

Skończyłyby się kłopoty Nan z niedomykającymi się oknami i spadającymi dachówkami. Zamieszkałyby w uroczym domku na plaży, mając na koncie tyle pieniędzy, że już nigdy w życiu nie musiałyby się niczym martwić.

Popijając stygnącą herbatę, Daff usiłuje się w duchu przekonać, że namówienie Nan do sprzedaży domu nie będzie wcale takim złym uczynkiem.

\* \*

Nan budzi się zmarznięta na kość. Wstaje z łóżka i bosy podchodzi do komody, gdzie zrzuca z siebie przeпоconą na wskroś koszulę nocną, wkłada świeżą, suchą i ciepłą i natychmiast czuje się o niebo lepiej.

Wróciwszy do łóżka, podnosi kołdrę po drugiej stronie, tej, którą w myślach wciąż nazywa „stroną Everetta”, i gdy znów układa się do snu, nagle sobie przypomina, co jej się śniło tuż przed obudzeniem.

- Czy to nie dziwne... - mruczy pod nosem, uświadamiając sobie, że śnił jej się Everett.



Kiedyś, zaraz po tym jak umarł, śniła o nim niemal co noc. Sny te wydawały się tak realistyczne, tak prawdziwe, że przez długi czas była przekonana, iż jakimś sposobem zmarły mąż czuwa nad nią z góry, zdolny ją odwiedzać tylko wtedy, gdy przyłoży głowę do poduszki, aby zapewniać, iż oboje doskonale sobie poradzą w nowej sytuacji.

Nie gościł w jej snach od lat, aż do dzisiaj. Drobiazgowo odtwarza w pamięci to, co jej się przyśniło. Była na latarniowcu „Nantucket”, ciekawa zmian po tym, jak najpierw zamieniono go w luksusowy dom na wodzie, a następnie w ekskluzywny hotel.

W rzeczywistości Nan przeczytała kilka artykułów prasowych na temat statku latarniowego, widziała na zdjęciach, jak pięknie został urządzone, podziwiała drewniane boazerie, zachwycała się skromną elegancją salonu i jadalni, lecz we śnie aranżacja była krzykliwa, dominowały ostre, kłócące się ze sobą kolory, jaskrawe pomarańcze i zielenie wywołujące u patrzącego niepokój.

Przechadzała się po licznych sypialniach, wiedząc, że czegoś szuka, niepewna, co to będzie, do chwili gdy się natknęła na uśmiechniętego mężczyznę leżącego na górnej koi.

- Witaj, Everecie - powiedziała, czując, jak ogarnia ją błogi spokój i poczucie bezpieczeństwa, i ani odrobine się nie dziwiąc na jego widok, mimo że ten Everett ani trochę nie przypominał jej męża. Nie miała cienia wątpliwości, że to on.

- Witaj, Nan - odrzekł i odrzucił przykrycie, zapraszając ją, by dołączyła do niego na wąskim łóżku, jednakże nie było w tym geście nic nieprzyzwoitego, nic seksualnego, po prostu zapraszał ją jakby do domu, wspięła się więc po drabince, lekko zdziwiona, że pościel nie jest sucha i ciepła, lecz przede wszystkim odczuwając wdzięczność, że nareszcie odnalazła Everetta. A potem przebudziła się, drżąc na całym ciele jak w febrze.

Teraz nie potrafi zasnąć. Zaniepokoił ją jej sen i zaniepokoiło przybycie Jordany, nie dlatego, że słyszała cokolwiek o tej kobiecie, lecz dlatego, że widziała późnym wieczorem Michaela na tarasie i wyczuła, że zaszło coś wielkiego, coś ważnego, że nadchodzą zmiany, i to niekoniecznie na lepsze.

Czyż to nie ironia losu, że właśnie wtedy gdy człowiek myśli, iż jego życie toczy się gładko i wszystko jest dokładnie tak, jak sobie życzy, ktoś lub coś wtyka patyk między szprychy miarowo poruszających się kół i sytuacja diametralnie się zmienia. Niebawem wróci Bee ze swoim ojcem, zabierze od nas te dwie małe dziewczuszki, a w ich miejsce pojawi się córka Daff.

No i jest jeszcze ta cała Jordana, najwyraźniej zakochana po uszy w Michaelu i najwyraźniej zupełnie dla niego nieodpowiednia. Co ona tutaj robi, po co tu jest właśnie teraz, gdy Daff i Michael wreszcie zaczęli się do siebie zbliżać?

Nan czuje się tak, jakby przez dom nagle przebiegł podmuch złego wiatru. Próbuje z całych sił, ale nadal nie potrafi zmrużyć oka.

Leży więc w łóżku bezsennie, aż niebo zaczyna się różowić za oknem, po czym wstaje i przyrządza sobie filiżankę herbaty, z którą następnie schodzi na plażę, gdzie wdycha głęboko rześkie, słone powietrze, i w końcu ogarnia ją swego rodzaju spokój.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Daniel sprawdza adres zapisany na kartce, upewniając się, że nie pomylił numeru domu, po czym skręca na wąski i długi podjazd przy budynku. Goście już tu są - parkuje samochód obok paru innych aut i podchodząc do drzwi frontowych, widzi przez wysokie, niezastłonięte niczym okno, że w salonie roi się od ludzi dzierżących szampanówki.

- Danielu! Jesteś nareszcie! - woła na jego widok Matt i zaprasza go do środka. - Tak się cieszę, że udało ci się przyjechać! Wchodź i poznaj wszystkich... - Daniel niepewnie przestępuje próg salonu, uświadamiając sobie, że gośćmi są sami mężczyźni i że inaczej niż wtedy, gdy zaszedł do baru Pod Klonem, po raz pierwszy znalazł się w miejscu, gdzie wszyscy wokół, włączając jego, przyznają się do swego homoseksualizmu.

- Przykro mi, że nie spotkaliśmy się na przyjęciu u Jacka - mówi. - Słyszałem, że było bardzo udane.

- Ja też żałuję. Impreza była w porządku. Chociaż ja głównie nawiązywałem nowe kontakty i starałem się pozyskać klientów, uważając, żeby nie wypić przy tym za dużo i nie powiedzieć komuś czegoś przykrego... - Matt urywa.

- Szampana?

- Chętnie.

- Danielu, przedstawiam ci Keitha.

Drobny mężczyzna w okularach w modnej oprawce uśmiecha się ciepło i potrząsa dłonią Daniela.

- Jesteś nowy na wyspie - stwierdza Keith.

- Tylko w pewnym sensie... Przyjechałam tutaj na kawałek wakacji. Wynajmuję pokój w Sconset.

- Zatrzymał się u Nan Powell. - Matt kładzie dłoń na plecach Daniela, a jego ogarnia zdziwienie, jak niezwykle naturalny i miły jest ten gest. - Mówi ci to coś?

- O Boże! - wykrzykuje Keith, a oczy aż mu rozblęskują.

- Będziesz musiał poznać mojego partnera, Stephena. Jest zakochany w tym domu od lat!

- O jakim domu mowa? - W tej samej chwili podchodzi do nich znacznie starszy od Keitha mężczyzna o młodzińskich, wesołych oczach, ubrany w zaprasowane na kant spodnie z materiału,

zieloną koszulkę polo i granatowy kaszmirowy sweter z warkoczowym wzorem na przedzie, który to strój czyni z niego uniwersyteckiego eleganta.

Keith podejmuje się wyjaśnień.

- Wyobraź sobie, że Daniel pomieszkuje u Nan Powell. - Odwróciwszy się znów do Daniela, ciągnie: - Stephen jest architektem i przy każdej okazji powtarza, że gdyby tylko mógł, z przyjemnością położyliby na tej rezydencji łapę.

- Rzeczywiście jest wspaniała - przyznaje Daniel i pyta Stephena: - Zajmujesz się wyłącznie budownictwem mieszkaniowym?

- Stephen specjalizuje się w renowacji zabytków - odpowiada za partnera Keith, wyraźnie puchnąc z dumy. - Ale maczał też palce w paru projektach komercyjnych, tutaj na Nantucket.

- Keith zaś, jak sam widzisz i słyszysz, specjalizuje się w wyręczaniu Stephena oraz robieniu za jego rzecznika i szefa marketingu równocześnie - dodaje Matt, na co wszyscy wybuchają śmiechem.

- Wybacz, wybacz... Znowu to zrobiłem... - przeprasza Keith, bijąc się teatralnie w pierś i wymieniają ze Stephenem spojrzenia pełne sympatii i czułości. - Po prostu jestem dla niego pełen podziwu... Idę do barku, przynieść coś komuś?

Pozostali w odpowiedzi kręcą głowami.

- Byłeś w tym domu? Poznałeś Nan? - dopytuje Daniel, zwracając się do Stephena.

- Odpowiedź w obu wypadkach brzmi: nie. Słyszałem jednak, że niezłe z niej ziółko...

W tym momencie do rozmowy znów wtrąca się Matt.

- Ale tylko w najlepszym tego słowa znaczeniu! Moim zdaniem Nan wcale nie jest taką dziwaczką, za jaką uważają ją ludzie. Myślę raczej, że pozuje na ekscentryczkę, żeby to i owo jej się upiekło.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - potakuje Daniel. - Tak naprawdę Nan jest przerażająco zwyczajna.

- Z akcentem na „przerażająco”?

- Skądże! - zaprzecza ze śmiechem Daniel. - Chyba powinieneś wpaść i ją poznać. Ona wprost przepada za przyjmowaniem gości. Mógłbyś przy okazji obejrzeć dom z bliska.

- Bardzo bym chciał - odpowiada Stephen tuż przed tym, zanim Matt odciąga Daniela, aby przedstawić mu resztę towarzystwa.

- Przepraszam cię za Keitha - szepcze Danielowi na ucho, kierując go niespiesznie w stronę najbliższej grupki. - Keith i Stephen są ze sobą od wieków, a mimo to pierwszy traktuje drugiego jak małe dziecko, mimo że jest o dwadzieścia lat młodszy.

- A dokładnie jak długo są parą?

- Zdaje się, że w tym roku wypada ich osiemnasta rocznica.

W tym roku on i Bee mieli obchodzić szóstą rocznicę ślubu. Danielowi robi się dziwnie na duszy, gdy uświadamia sobie, że przez cały ten czas, przez sześć długich lat mógł być szczęśliwy w mniej formalnym związku z kimś innym, zamiast udawać, że jest czymś, czym nie jest i nigdy nie był.

\* \*

Michael wędruje holem hotelu Wauwinet, uśmiechając się na widok skromnej elegancji i luksusu, zapamiętanych jeszcze z czasów dzieciństwa.

Kieruje się na tylny taras, gdzie natychmiast dostrzega Jordane; robi co może, by się nie gapić na twarze ludzi siedzących przy stolikach i popijających drinki, ludzi znanych z gazet, słynnych osobistości, polityków, rekinów biznesu, w zwykłych koszulkach i bermudach wyglądających jak zwykli obywatele.

Podchodzi do Jordany, czując zdenerwowanie, świadom, co ma jej do powiedzenia, nadal niepewien, w jaki sposób ją przekonać, że urodzenie tego dziecka to nie najlepszy pomysł.

Kobieta siedzi do niego plecami, spogląda na rozpościerający się przed nią ocean, ocieniona przez szerokie rondo słomkowego kapelusza, kryjąc się za ogromnymi, zasłaniającymi pół twarzy okularami przeciwsłonecznymi ze złotymi literkami GUCCI na lewym zauszniku. Jest ubrana w poły-skliwy, biały, obrębiony koralikami sarong z wyhaftowanym wizerunkiem Złotego Buddy, zdobny mieniącymi się cekinami, a na stopach ma sandały z cieniutkich paseczków. Wpasowałyby się idealnie w scenerię Long Island, wszakże na Nantucket, gdzie jedni noszą spodenki z lycry po dopiero zakończonym rajdzie rowerowym, drudzy nie rozstają się z czapczkami bejsbolowymi, wszyscy zaś optują za wyblakłymi koszulkami i żadna kobieta nie zawraca sobie głowy makijażem, Jordana wygląda jak ktoś z innej bajki.

Raz jeszcze Michael pyta się w duchu, co on u licha sobie myślał w tamtych chwilach, kiedy wydawało mu się, ba, kiedy szczerze wierzył, że mają przed sobą wspólną przyszłość. Cały ten romans był do niego tak niepodobny, że właściwie nierealny; Michael jak gdyby odgrywał przydzieloną mu rolę i teraz czuje, że nic z tego, co się wydarzyło, nie było prawdziwe.

Co za niesprawiedliwość, że konsekwencje okazały się bardziej niż prawdziwe, wzdycha, z niepokojem zbliżając się do stolika Jordany.

Czując na sobie cień, kobieta podnosi spojrzenie, dostrzega Michaela i zdejmuje okulary. Oczy ma podpuchnięte, zaczerwienione. Musiała płakać przez wiele godzin. Na ułamek sekundy mężczyznę ogarnia irytacja - odsłoniła oczy tak szybko, czyżby starała się wzbudzić w nim poczucie winy, że ją zranił, i w ten sposób wyrzucić na niego presję?

- Jak się masz? - pyta, nie wiedząc, jak inaczej zacząć rozmowę, po czym zamawia kawę u kelnera, który wyrasta jak spod ziemi i wydaje się nieprzyzwoicie radosny, wzięwszy pod uwagę okoliczności.

Jordana wzrusza ramionami.

- Bywało lepiej.

- Który to już tydzień?

- Nie wiem dokładnie. Nie miałam jednego okresu, więc pewnie siódmy albo ósmy.

- A co twierdzi lekarz?

- Nie byłam u lekarza.

Serce Michaela zaczyna bić szybciej.

- Więc może nie jesteś w ciąży? Może zwyczajnie się pomyliłaś?

Jordana obdarza go pogardliwo-pobłażliwym spojrzeniem.

- Spóźnia mi się okres, mam tkliwe piersi i co dzień wymiotuję. Na co to twoim zdaniem wskazuje? Na gripę?

- To może oznaczać cokolwiek... - Michael chwyta się nadziei, rozpaczliwie pragnąc, by sytuacja przedstawiała się odmiennie.

- Nie. - Jordana potrząsa głową. - Jestem w ciąży. Wiem o tym.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Jestem kobietą, a kobiety wiedzą takie rzeczy.

- Chcesz tego dziecka?

- Do czego zmierzasz? - Głos Jordany staje się lodowaty.

- Chodzi mi o to, czy w ogóle się zastanowiłaś nad skutkami swojej decyzji. Oczywiście zaakceptuję ją, jakakolwiek będzie. Nie jestem w stanie zmusić cię, abyś oddała dziecko do adopcji czy się go pozbyła, ale wiesz przecież, że bez względu na wszystko nie będziemy razem, ta ciąża nie sprawi, że nagle nasz związek ulegnie scementowaniu... Przepraszam za wszystko, za to, że wszedłem pomiędzy ciebie i Jacksona, za to, że... za wszystko.

Chciał powiedzieć: „Za to, że się z tobą związałem”, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Przykro mi, że do tego doszło - ciągnie. - Naturalnie, jeśli zdecydujesz się urodzić, zrobię to, co powinienem. Będę uczestniczył w życiu tego dziecka, nigdy bym się go nie wyparł ani nie zniknął, ale nie ma takiej możliwości, żebyśmy byli razem. Jordano, jesteś pewna, że wiesz, co to znaczy być samotną matką?

- Znam mnóstwo samotnych matek - odpowiada mu Jordana wyniośle. - Wiem więc doskonale, co się z tym wiąże. - Głos zaczyna jej zauważalnie drżeć.

Michael brnie dalej, przekonany, że nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji, pewien, że zdoła przechylić szalę na swoją korzyść.

- Ja również znam wiele kobiet, które przez całe życie marzyły o tym, aby mieć dziecko, i kiedy w końcu zaszły w ciążę, nie mając stałego partnera, zdecydowały się utrzymać ciążę i urodzić. Na przykład moja dobra przyjaciółka Suzy, która się zorientowała, że jest w ciąży, po tym jak już zakończyła się jej przelotna znajomość z jakimś facetem, i która zawsze chciała zostać matką, obecnie ma

ośmioletnią córkę i wiesz co? Od ośmiu lat nie wychodzi z domu. A kiedy dziecko było małe, Suzy non stop leciała z nóg. Nie miała nikogo, kto mógłby jej pomóc czy choćby wesprzeć dobrym słowem, gdy odchodziła od zmysłów ze zmęczenia i troski, gdy przestawała sobie radzić. I wiesz, co Suzy mówi teraz? Że chociaż kocha swoją córkę ponad życie, gdyby mogła cofnąć czas, toby to zrobiła i postąpiła inaczej, zmieniłaby rzeczywistość. Nie twierdzi, że urodzenie dziecka było błędem, ale że podjęła błędną decyzję, i przyznaje się, że jej życie skończyło się osiem lat temu. - Michael robi przerwę, pozwalając, by jego słowa dotarły do Jordany. - Czy tego właśnie chcesz? Naprawdę tego? - pyta ją. - Bo wiesz, tutaj nie chodzi o urocze maleństwo w markowych ciuszkach, o bobasa, którego mogłabyś traktować jak dodatek do swego życia. Chodzi o pracę na pełny etat, a nawet więcej. Wyczerpującą pracę. O wiele trudniejszą, gdy jest się samotnym rodzicem.

- Nie traktuj mnie jak gówniary! - syczy Jordana, kiedy staje się jasne, że Michael powiedział, co miał do powiedzenia. - Świetnie wiem, na co się piszę, i bez względu na to, ile trudu mnie to będzie kosztować, nie poddam się aborcji! Nie umiałabym żyć ze świadomością, że odebrałam życie naszemu dziecku, i czuję mdłości na myśl, że ty jesteś w stanie coś takiego brać pod uwagę!

- Wybacz. Nie chciałem, aby tak to zabrzmiało. Po prostu uważam, że to najgorsze okoliczności z możliwych do powołania na świat nowego życia. W naszym wypadku nie ma mowy o niezapowiedzianym darze, to jest od początku do końca niewłaściwe.

- To twoje ostatnie słowo? - Jordana wstaje gwałtownie z krzesła, które odepchnięte nieomal się przewraca.

Michael wzdycha ciężko.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć... - odpowiada cichym głosem.

- Może na przykład „żegnaj”? - Jordana niczym burza wpada do holu, pozostawiając Michaela samemu sobie, zmuszając go, by ze spuszczoną głową powędrował z powrotem do swego samochodu.

Jest już po obiedzie i wokół stołu toczą się ciche rozmowy, które zastąpiły rozchukane żarty i śmiech wybuchający co chwila podczas posiłku.

Podano pieczony udziec jagnięcy nadziewany figami i fetą, izraelski kuskus i na deser - imponujących rozmiarów tort bezowy. Daniel nigdy w życiu nie jadł czegoś równie pysznego ani nie czuł się równie wybornie.

Tego właśnie mu brakowało, uświadamia sobie, tego pragnął całym sobą, skrycie przejeżdżając w pobliżu gejowskich barów i zerkając ku nim z tęsknotą. Paradoksalnie z tego samego względu wstrzymywał się z rozstaniem z Bee przez wszystkie te lata, nie sądził bowiem, aby poza małżeństwem czekało nań coś podobnego, w najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, że tak to może wyglądać.



Przy stole siedzą trzy pary, wszystkie męsko-męskie, dwie z nich połączył nawet węzeł małżeński, no i jest jeszcze on i Matt. Nikt spośród nich nie musi niczego udawać ani niczego ukrywać, wszyscy czują się dobrze w swojej prawdziwej skórze.

Daniel przygląda się siedzącym mężczyznom, aż w końcu jego wzrok napotyka uśmiechnięte oczy przyjaciela.

- Co jest? - pyta, bezwiednie odwzajemniając uśmiech.

- Miło tu, prawda?

- Słucham?

- Miło wyjść w końcu z szafy, otaczać się ludźmi podobnymi do ciebie... - wyjaśnia Matt.

Daniel kiwa głową, nagle czując rosnącą mu w gardle kulę wzruszenia, a Matt, widząc to, sięga nad stołem i ściska go mocno za ramię.

- Czuję się jak w domu - wykrztusza wreszcie Daniel, mając łzy w oczach. - Nigdy nie sądziłem, że to będzie takie normalne...

Matt potakuje.

- To jest normalne. Tylko w inny sposób niż ten, do którego przywykłeś. À propos, jak układają się sprawy między tobą i żoną?

- Niedługo już była żoną - poprawia go Daniel i wzdycha. - Niestety, nie najlepiej. Kiepsko przyjęła nowinę, ale na razie chyba zapanował w naszych wzajemnych stosunkach rozejm. Nieustannie jej przypominam, że cokolwiek byśmy czuli wobec siebie, musimy przede wszystkim myśleć o dziewczynkach...

- Chyba nie rozmawiasz z nią o nas? - Matt wskazuje gestem siedzących przy stole i Daniel śmieje się cicho.

- Nie. Dziewczynki, o których mowa, są o wiele mniejsze i na sto procent ze mną spokrewnione.

- Jesteś już taka duża! Nie potrafię uwierzyć, że polecisz całkiem sama... - Richard ocierał wierzchem dłoni łzy, żegnając się z Jessiką przy stanowisku kontroli bezpieczeństwa.

Jess odwzajemniła uścisk, z jednej strony nie chcąc nigdzie jechać, nie chcąc niczego zmieniać, z drugiej zaś czując dreszczyk podniecenia na myśl o wyprawie w zupełnie nowe, nie znane jej miejsce, zwłaszcza po tym jak minionego popołudnia wraz z Carrie siedziała przed komputerem i oglądała zdjęcia Nantucket, czytała opinie o plażach i muzeach i dowiadywała się o możliwości rejsów łodzią po zatoce.

- Na Nantucket każdego lata przyjeżdża mnóstwo gwiazd - oznajmiła jej Carrie, po czym wstukała parę nazwisk w wyszukiwarce. Jessika poszła spać, marząc o tym, że na wyspie odkryje ją ktoś sławny, może Tom Hanks wypatrzy ją na plaży i uzna, że idealnie nadawałaby się do roli jego córki w następnym filmie.

Siedząc w hali odlotów, w którymś momencie zadarła głowę i naprawdę zobaczyła kogoś znanego! Przez sekundę myślała, że to jakiś znajomy jej taty, ale szybko uświadomiła sobie, że ma przed sobą aktora, odtwórcę postaci ojca z regularnie oglądanego przez nią sitcomu. Nazywał się Walter Driscoll. Przez zmrużone powieki obserwowała, jak podróżni czekający na lot powoli zdają sobie sprawę z jego obecności, jak podnosi się cichy szmer głosów, gdy pokazują go najbliższym, aż w końcu parę osób zebrało się na odwagę i podeszło do niego, by poprosić o autograf.

Ona także bardzo chciała dostać jego autograf, w życiu jeszcze nie była tak blisko kogoś, kogo by знаła tylko z telewizji, ale wstydziła się podejść, nie miała pojęcia, co mówi się w takiej sytuacji. Siedziała więc dalej, udając, że całkowicie pochłania ją lektura *Harry'ego Pottera*, że nie interesuje jej ulubiony aktor.

- Przepraszam, czy to miejsce jest wolne? - Nagle tuż przed nią zabrzmiał jego znajomy baryton i Jessica poderwała głowę, czując, jak się czerwieni, po czym zamasyżuje pokiwała głową.

- Widzę, że ci się podoba - zauważył, wskazując z uśmiechem na książkę. - Sam skończyłem ją czytać parę tygodni temu i wciąż jestem pod wrażeniem. Założę się, że stałaś do północy w kolejce przed księgarnią, żeby dostać ją przed innymi... - Uniósł pytająco brew, a Jess uśmiechnęła się i znowu skinęła.

- Nie miałem co do tego wątpliwości. Nie mów nikomu... - Driscoll zniżył głos do szeptu - ale ja zrobiłem to samo.

- Ja... ja uwielbiam pański serial - wydukała Jessica, przekonując się w duchu, że nawet gwiazdor telewizji jest tylko człowiekiem, a poza tym widząc przecież, że zachowuje się normalnie. Miło.

- Naprawdę? - zdawał się szczerze cieszyć. - A której postaci kibicujesz?

Kiedy Jessica rozgadała się na dobre, nie wierząc we własne szczęście, że rozmawia z samym Walterem Driscollem, obawy w związku z pierwszym samodzielnym lotem rozwiały się, zapomniała o tęsknocie za ojcem i nim się spostrzegła, wysłuchiwała opowieści aktora o tym, co robił jako chłopiec na Nantucket. Kiedy szli obok siebie rękawem do samolotu, Jess nie umiała się już doczekać chwili, w której nareszcie postawi nogę na wyspie, będzie mogła szaleć na quadzie po plaży, łowić homary i urządzać pikniki na nabrzeżu Coatue.

- Przepraszam... - odezwała się do niej siedząca na fotelu obok kobieta i pochyliła lekko w jej stronę. - Chciałabym zapytać, czy ten mężczyzna, z którym rozmawiałaś w hali odlotów... czy to był Walter Driscoll?

- Tak - potwierdziła Jessica, dumna, że właśnie ją aktor wybrał spośród wszystkich podróżnych.

- Mówiłam ci - zwróciła się do starszego mężczyzny zajmującego najdalszy fotel w rzędzie, po czym wyjaśniła Jessice: - Mój ojciec nie wierzył, że to on, no ale widział tylko jeden odcinek serialu... Jaki on twoim zdaniem jest? - zapytała dziewczynkę.

- Bardzo miły - odpowiedziała jej Jess. - Podał mi nawet swój adres na Nantucket i zaprosił do siebie mnie i moją mamę.

- Ojej. Na pewno zrobiłaś na nim wielkie wrażenie!

- Noo, powiedziałam mu tylko, że chcę być aktorką, kiedy dorosnę.

- To bardzo dobry plan - pochwaliła kobieta. - Moje dwie córeczki, które są znacznie młodsze od ciebie, na razie marzą o tym, by być księżniczkami z bajki.

Jessika uśmiechnęła się szeroko.

- Ja też chciałam być księżniczką z bajki, jak byłam mała.

- Mam na imię Bee - przedstawiła się kobieta. - Miło mi cię poznać...

\*

Jessika wysiada z samolotu razem z Bee i Evanem. Przy bramce żegna się z Walterem Driscollem - ma go odebrać z lotniska jego żona - i przeszukuje wzrokiem tłum ludzi, rozpaczliwie wypatrując swojej mamy.

O, tam jest. Wygląda tak znajomo, no po prostu jak mama. Jessika puszcza się biegiem i moment później znajduje się już w ramionach Daff; obie niemal równocześnie zaczynają płakać.

- Tęskniłam za tobą, słonko... - Daff ściska ją mocno, aż do tej pory nie uświadamiając sobie, jak bardzo brakowało jej córki.

- Ja za tobą też, mamusiu... - szlocha Jessika i znów wydaje się tą małą, słodką dziewczynką, którą była w przeszłości. Daff pragnie już nigdy się z nią nie rozstawać.

- Tam jest! - Bee dostrzega Daniela, stojącego tuż obok kobiety, która (czyż nie słusznie powiada się, że ten świat jest mały?) oczywiście jest matką tej miłej dziewczynki, Jessiki, poznanej w samolocie. Matka i córka trwają w ciasnym uścisku, a Daniel przygląda się im z ciepłym uśmiechem. Bee obśmiewa się w duchu, myśląc, że w innych okolicznościach uznałaby, iż jej męża i Daff coś łączy.

Bee kieruje się w stronę Daniela, prowadząc ojca pod rękę, po czym zostaje krok z tyłu, kiedy obaj mężczyźni wymieniają uścisk dłoni.

Daniel patrzy Evanowi prosto w oczy.

- Cieszę się, że się wykaraskałeś - mówi.

- Dzięki, synu - odpowiada Evan, po czym z niedowierzaniem rozgląda się wokół siebie. - Patrzcie tylko, co za hangar!

- Hangar? - śmieje się Daniel. - Moim zdaniem lotnisko jest maleńkie.

- O, nie! - zaprzecza staruszek. - Maleńkie to ono było wiele lat temu, gdy widziałem je po raz ostatni. Chryste Panie, czuję się jak Matuzalem!

- Stary, ale jary - pociesza go Bee, zła, że wciąż musi korzystać z pomocy Daniela, ale na tyle rozsądna, by wiedzieć, że taki układ jest najdogodniejszy dla wszystkich: jadąc do wynajętego przez nią domu, wstąpią tylko po dziewczynki.

- Mam nadzieję - mruczy Evan, gdy we trójkę zmierzają do samochodu.

Kiedy wóz zatrzymuje się pod domem, Nan stojąc na szczycie drabiny, maluje właśnie frontowe drzwi na jaskrawoczerwony kolor, podczas gdy Lizzie i Stella, z których każda dzierży mały pędzel, kucają przy progu i mażą po dolnej części skrzydła.

- Co ona wyprawia? - pyta Bee.

- Nie mam pojęcia - odpowiada Daniel i uśmiechając się, wysiada z samochodu. - Nan! Co robisz?

- Przejadła mi się powszechna na Nantucket szarość! - odkrzykuje kobieta. - Postanowiłam przydać swojemu życiu nieco barw, a dziewczynki potrzebowały jakiegoś zajęcia. Wszystkie jesteśmy zdania, że teraz frontowa elewacja prezentuje się o niebo lepiej.

- Podoba ci się, tatusiu? - pyta go Lizzie i nagle jej oczy otwierają się szerzej, gdy dostrzega siedzącą w wozie Bee.

- Maamaa! - piszczy na jej widok i razem ze Stellą pędzi ku niej na złamanie karku.

- Zgadnijcie, kogo przywiozłam! - Bee odrywa się od dziewczynek, przestaje je tulić i całować, po czym otwiera tylne drzwi. - Dziadka!

Tyle że Evan jest blady jak trup, nieruchomy, wygląda, jakby wybierał się na tamten świat.

- O Boże... - szepcze Bee, czując, jak zamiera jej serce. - On chyba dostał wylewu... Danielu, zrób coś! Pomocy!...

Daniel i Nan podbiegają do samochodu niemal równocześnie, lecz to Nan pierwsza pochyła się i zagląda do środka, by zastygnąć w niewygodnej pozycji, gdy dostrzega twarz mężczyzny.

- Panie w niebiesiach - mamrocze, po czym mdleje, osuwając się wprost w wyciągnięte ramiona Daniela.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Evan, Everett, czy jakkolwiek powinno się go nazywać, spędził większość życia, czekając na tę chwilę, wiedząc, że jego egzystencja prędzej czy później zatoczy pełne koło i doprowadzi go znów do tego miejsca, że nie odda ducha Bogu, nim nie zobaczy ponownie Nan, nie przyzna się do popełnionych błędów i nie naprawi wyrządzonych szkód.

Nigdy jednak nie wyobrażał sobie, że odbędzie się to w takich okolicznościach.

Jeszcze kiedy Bee wspomniała mu o Nantucket, o tym, że wybierają się tam z Danielem, najpierw na weekend, a potem na część wakacji, Evan poczuł, jak serce mu staje na ułamek sekundy, i już wiedział, że przeszłość go nareszcie dopadła.

Nigdy się nie zastanawiał, kiedy i jak wróci na Nantucket, złożył to całkowicie w ręce Boga, pogodziwszy się z myślą, że cokolwiek by zrobił, to i tak się stanie. Sądził, że przygotował się na powrót, że przygotował sobie odpowiednie słowa.

Teraz okazuje się, że nie mógł się bardziej mylić w tej sprawie.

\* \*

Przed laty stracił wszystko. Całymi dniami potrafił rozmyślać tylko o jednym - jak wyplatać się z kabały, w którą się wpakował.

Z początku były tylko małe partyjki pokera rozgrywane na wyspie, potem poważniejsze gry w Nowym Jorku, gdzie stawki stawały się tak wysokie, że musiał wrzucać do puli rzeczy, jakich nie posiadał: jacht ze stoczni Hinckleya stanowiący własność przyjaciela, ale zakotwiczony niedaleko jego domu, przez co się wydawało, że należy do rodziny Powellów; olbrzymie sumy nieistniejących oszczędności; klejnoty rodzinne, których - gdy przychodziło do spłaty długu - nigdy nie potrafił znaleźć, ponieważ Nan je przemyślnie ukryła, raczej by chronić je przed przewijającym się przez dom tłumem nieznanym niż przed własnym mężem, do czasu nie widząc w nim największego zagrożenia.

Co dzień budził się z uczuciem paniki zaciskającej obręcz na jego piersi, jadł śniadanie w towarzystwie swojego syna Michaela, po czym panika tylko w nim narastała, w miarę jak zaczynała nadpływać kolejna porcja rachunków, kolejna partia osób dopominających się o swoje i coraz natrętniejsze wiadomości od dyrektorów banków proszących, aby bezzwłocznie się z nimi skontaktował.

Potrzebował zaledwie jednej, za to sporej wygranej. Zdarzało mu się już wygrywać i uważał, że kwestią czasu jest ponowienie tej sztuki. Zła passa musiała się wreszcie skończyć. Musiał dopomóc losowi. Nie miał innego wyjścia.

I rzeczywiście, nadszedł dzień, w którym zaczął wygrywać, w którym szczęście nareszcie znów się do niego uśmiechnęło. Do dziś pamięta ten dreszcz, ten przyływ adrenaliny podczas ostatniego rozdania, kiedy dostał do ręki dobrą kartę, najlepszą, jaką widział od miesięcy, taką, co to nie zdarza

się często, przynajmniej nie jemu, i zrozumiał, że na to właśnie czekał, że ma zapewnioną wygraną i jego kłopoty już się skończyły.

Ostatecznie przy stole został tylko on i James Callaghan, znany ze swoich blefów. Nie żywił nawet cienia wątpliwości, że go ogra do ostatniego centa, przesunął więc na środek blatu wszystkie zetony, wszystkie świstki papieru, wszystko to, co miał, i wiele z tego, czego nie miał, sprawdzając, po czym wyłożył na sukno swoje karty, a przyglądający się rozgrywce mężczyźni jedynie wciągnęli powietrze do płuc. Uśmiechał się odprężony, gotów zagarnąć całą pulę, a potem rzucić w diabły hazard i poświęcić się rodzinie, która już nigdy nie miała znaleźć się przez niego w równie groźnej sytuacji.

Callaghan pochylił się nad stołem i Everett spojrział mu w oczy, spodziewając się, że przeciwnik ciśnie karty koszulkami do góry, lecz o dziwo, mężczyzna odsłonił je z kamienną twarzą. Ilekroć Everett to sobie później przypominał, pamiętał, że odniósł wrażenie, jakby nagle przeniesiono go do czyjegoś snu.

Dziesiątka, walet, dama, król i as kier. Poker królewski. Świat zatrzymał się na moment i Everett zrozumiał, że przegrał swoje życie. Wstał, wciąż czując się jak nieprzytomny, i nie wiedząc nawet jak, wrócił do domu.

Pomysł wpadł mu do głowy tej samej nocy, po tym jak ucałował Michaela, który poruszył się w łóżku i zamamrotał coś przez sen, po tym jak godzinami siedział przy oknie, wyglądając na wody zatoki i obniżając poziom whisky w butelce.

Przed wyjściem długo patrzył na Nan, która smacznie spała. Przyłożył opuszki palców do warg, ucałował je i dotknął nimi ust żony, a następnie pod osłoną ciemności wyszedł z domu, uważając, by jakiś nocny marek nie zobaczył go ani w drodze na plażę, ani wtedy gdy starannie składał ubranie i umieszczał na schludnej kupce odzieży odziedziczony po ojcu zegarek.

Czuł pewność, że Nan sobie poradzi. Była najsilniejszą kobietą ze wszystkich, które poznał. Mimo iż było mu ciężko porzucić ukochaną żonę i syna, wiedział, że Nan zdoła wygrzebać się z bałaganu, w jakim ich zostawiał, zdoła przeboleć stratę i prowadzić dalej pełne, satysfakcjonujące życie.

A Michael? Michael, który uwielbiał swojego ojca, który błagał, by ten zabierał go ze sobą wszędzie, dokąd się udawał? Rozstanie z nim przyprawiało Everetta o ból serca, ale chyba lepiej odejść, lepiej, żeby chłopiec myślał, że stary Powell nie żyje, niż gdyby miał się dowiedzieć, jakim nieudacznikiem był naprawdę. Everett miał tylko nadzieję, że Nan nigdy nie wyjawi synowi prawdy, nigdy nie zdradzi, w jak wielkich tarapatach ich oboje zostawił.

Nie ma innego sposobu, mówił sobie w duchu, zgarbiony w najdalszym końcu promu, stawiając wysoko kołnierz i opuszczając nisko rondo kapelusza, nie patrząc w twarze podróżnych, którzy - każdy z siebie tylko znanych powodów - znaleźli się na pokładzie o tak wczesnej porze, pilnując się, by niczym nie zwracać na siebie uwagi.



Przedostał się na Cape Cod, skąd autostopem wybrał się do Nowej Anglii i koniec końców wyładował w New Haven. Miasto było dość duże, by zapewnić mu anonimowość, i dość oddalone od Nowego Jorku, by zagwarantować, iż nie wpadnie na nikogo znajomego, na nikogo, kto mógłby wyciągnąć na wierzch sprawę jego rzekomego samobójstwa, bo nie wątpił, że tak zostanie zinterpretowane jego zniknięcie, wierzył zarazem, iż to jedyne wyjście z sytuacji, zwłaszcza odkąd Nan się dowiedziała, jak bardzo jest zadłużony.

Wielokrotnie żałował, że nie starczyło mu odwagi, aby naprawdę się zabić. Rozwahał to, Bóg świadkiem, że rozwahał, i nawet wtedy gdy kładł na piasku swoje rzeczy, wciąż się zastanawiał, jak by to było: wejść do lodowatej wody najpierw po pas, a potem jeszcze głębiej i pozwolić, by zakryły, by porwały go fale oceanu. Nie umiał się jednak na to zdobyć.

New Haven okazało się idealnym miejscem, by zmienić tożsamość. Przestał być Everettem Powellem, dziedzicem majątku jednej ze znaczniejszych rodzin Wschodniego Wybrzeża, a stał się Evanem Palliserem rodem z Cape Cod, rozwodnikiem pragnącym zacząć wszystko od nowa.

W przeciwieństwie do Everetta, wychowanego w luksusie i nigdy nie parającego się uczciwą pracą, Evan miał zamiar jak najszybciej stanąć na własnych nogach - znaleźć pracę, ułożyć sobie namiastkę życia, nauczyć się radzić sobie z poczuciem winy, które go dręczyło w każdej sekundzie każdego dnia.

Na początek wszakże musiał pokonać swoje demony. Po pomoc udał się do pierwszego miejsca, jakie mu przyszło do głowy, miejsca, którego nie odwiedzał od niepamiętnych czasów i które - tak przynajmniej sądził - nie odgrywało w jego życiu żadnej roli.

Evan Palliser poszedł do kościoła.

W świątyni zrobił coś, czego nigdy przedtem nie robił: padł na kolana i jął błagać o przebaczenie. Klęczał, aż rozbolały go kolana i zeszywniały mu stawy, aż poczuł w całym ciele dojmujący fizyczny ból, i błagał o wskazówkę. Gdy tak się modlił, z paroma nędznymi dolarami w kieszeni i bez dachu nad głową, nagle poczuł, jak ogarnia go niebiański spokój, i uświadomił sobie, że gdyby wierzył, iż ktoś taki jak on może doświadczyć duchowego przebudzenia, gdyby w ogóle wierzył, iż istnieje coś takiego jak duchowe przebudzenie, mógłby pomyśleć, że właśnie je przeżywa.

Wielebny pojawił się o piątej, znalazł Evana na klęczkach, dostrzegł w jego oczach cierpienie i zaprowadził go do zakrystii, gdzie zaproponował mu kawę. Evan wyznał, że szuka pracy i lokum. Wkrótce miał zapewnione miejsce przy rodzinie McCoughlinów i posadę w ich małej firmie zajmującej się wyrobem zamków patentowych.

Z początku nie był zbyt rozmowny. Sumiennie wykonywał swoje obowiązki, ale poza tym trzymał się na uboczu. Zrobił na gospodarzach spore wrażenie, zwłaszcza na głowie rodziny, Donaldzie McCoughlinie, potomku emigrantów ze Szkocji, który stworzył firmę od podstaw. Mężczyzna dostrzegł obycie Evana, jego klasę, które postanowił wykorzystać.

Evan zaczął sprzedawać wyroby firmy, z czasem stanął na czele grupy przedstawicieli handlowych i mógł sobie pozwolić na niewielki dom na obrzeżach zyskującej na znaczeniu okolicy. Remontował go wieczorami i w weekendy, z książek pożyczonych z biblioteki ucząc się, jak frezować, jak układać parkiety, jak osadzać ościeżnice...

Kiedy kładł się spać późną nocą, śnił o swojej rodzinie, śnił o powrocie, o zadośćuczynieniu za cierpienia, których przysporzył bliskim, lecz nawet do New Haven dotarły wieści o tragedii, która spotkała ród Powellów, i Evan w świetle dnia rozumiał, że jego zmartwychwstanie przysporzyło tylko jeszcze więcej bólu, a tego spowodował już dość.

Poker wciąż go kusił, lecz on zawierzył Bogu i przekonał się, że dopóki chodzi regularnie do kościoła, dopóki nie brak mu pracy, dopóty ma siłę oprzeć się hazardowi, do którego ciągnęło go z czasem coraz mniej.

Oszczędzał każdego centa, a kiedy już wyremontował dom, nie sprzedał go, jak zrobiłoby wielu na jego miejscu, licząc na szybki zysk, tylko wynajął i z odłożonych pieniędzy kupił drugi, a potem trzeci i kolejne.

Evan poznał Margaret u McCoughlinów, ale dowiedział się o niej czegoś więcej dopiero podczas potańcówki. Nie chciał iść na te tańce; wciąż dręczyły go wyrzuty sumienia i wstyd, ilekroć oddawał się przyjemnościom, czemukolwiek, co nie byłoby pracą i pokutą za grzechy poprzedniego życia. Potańcówkę jednak organizowała firma i szef się uparł, że Evan musi na niej być.

Margaret była córką Donalda McCoughlina i Evan dopiero na tamtej potańcówce zobaczył ją naprawdę, po raz pierwszy od czasów Nan spojrzął na inną kobietę z zainteresowaniem, pomyślał o kimś, kto nie był jego żoną.

Rozmawiali trochę, potem zatańczyli jeden taniec, a gdy Evan się żegnał, ona uśmiechnęła się do niego i powiedziała, że powinien częściej wychodzić do ludzi, może umówiłby się kiedyś z nią i jej przyjaciółmi, bo ma go na oku od dłuższego czasu i zastanawia się, jak można być takim odludkiem w tak młodym wieku, zwłaszcza kiedy ma się tyle do zaoferowania drugiemu człowiekowi.

Pobrali się dwa lata później. Evan wiedział, że popełnia bigamię, ale powtarzał sobie, że to nie przestępstwo, skoro nie jest już Everettem Powellem. Żenił się jako Evan Palliser i to wydawało mu się w porządku. Margaret bardzo nalegała na to małżeństwo, a on kochał ją i dostrzegł w niej swoją szansę na - jakkolwiek egoistycznie by to zabrzmiało - odrobinę szczęścia, która mu się od życia należała.

Bee urodziła się dokładnie dziewięć miesięcy po ich ślubie i w chwili gdy położnik wyszedł z sali porodowej, by obwieścić Evanowi, że ma córkę, ów zakochał się bez pamięci.

Oczywiście darzył ojcowską miłością Michaela, ale wtedy wszystko wyglądało inaczej. Nie sprawdził się w roli rodzica, nazbyt pochłonięty hazardem, by poświęcać synowi wystarczająco wiele uwagi, bez końca rozgrywający w myślach następną, przełomową partię, opracowujący nową strategię, zastanawiający się, jak wygrać.

Za drugim razem miał okazję zostać takim ojcem, jakim zawsze chciał być, jakim - czuł to - potrafił być. Od samego początku Bee była ukochaną córeczką tatusia, oczkiem w głowie, umiał jej wszystko wybaczyć.

Bee nie potrzebowała znać jego tajemnic, nie zadawała pytań o jego przeszłość, o to gdzie dorastał - zresztą nauczył się tych pytań unikać, zbywać je machnięciem ręki, jakby nie były wcale ważne, i pośpiesznie zmieniać temat, usiłując nie zwracać uwagi na narastający ból w oczach jego żony.

Wciąż zdarzały się noce, kiedy budził się nagle i wymknąwszy się z łóżka, schodził na dół do kuchni ich wspaniałego kolonialnego domu, którego kamień węgielny wbudowano aż w zamierzchłym tysiąc osiemset trzydziestym roku - domu najwspanialszego w mieście, a odziedziczonego po teściu, gdy ten podupadł na zdrowiu i uznał, że właśnie Evan, mający w sobie to coś Evan, zamieniający wszystko, czego się tknie, w złoto, przejmie po nim rodzinną firmę, co do której młody mężczyzna już żywił plany rozwoju - i pił whisky na umór, zamęczając się wizją Nan, wizją Michaela, wizją tego, co za sobą zostawił.

Wtedy już wiedział, że poker był dla niego używką, tak jak alkohol jest używką dla alkoholika, wiedział, że jest uzależniony od hazardu i że nie wolno mu usiąść do pokerowego stołu, nie wolno mu wziąć udziału w jednym marnym zakładzie, gdyż wówczas znalazłby się znowu w punkcie wyjścia, znów musiałby żyć we mgle, z której cudem się wyrwał.

Całe jego życie u boku Nan, jego życie z Michaeliem, osnute było mgłą, zdrowy rozsądek mąciło mu nieustanne pragnienie rozegrania następnej partii, i teraz, mimo że bardzo kochał Margaret, nie była jego całym sercem, ponieważ jakaś jego część wciąż należała do Nan, wciąż żałował życia, jakie mogli wspólnie wieść, gdyby nie skrewił.

Na początku ich znajomości Margaret fascynowało to, że Evan jest pełen sekretów, że robi tajemnicę ze swego dotychczasowego życia. Opowiadał jej o sobie, ale tylko od czasu, gdy pojawił się w New Haven, a zatem i w ich rodzinie - zupełnie jakby spadł z nieba.

Każda tajemnica prędzej czy później staje się zbyt ciężka do zniesienia. Evan nie był specjalnie zdziwiony, kiedy Margaret od niego odeszła, w pewnym sensie przygotowywał się na to od lat, wiedząc, że będzie to część jego pokuty.

Od tamtej pory pozostawał samotnikiem; wiązał się czasem z jakąś kobietą, lecz wszystkie te znajomości kończyły się fiaskiem, brakowało mu do nich przekonania, jako że wspomnienia o Nan, o tym, z czego dobrowolnie zrezygnował, z każdym rokiem stawały się wyraźniejsze.

Mimo to nie sądził, aby mógł wrócić - to znaczy, było tak do czasu, aż Bee wymieniła nazwę Nantucket. Spadło to nań jak grom z jasnego nieba i już wiedział, że wreszcie nadszedł czas.

Evan nie wierzył własnym oczom, był w głębokim szoku i ciężko przestraszony, kiedy Daniel skręcił na drogę prowadzącą do Windermere, i nawet odwrócił się do zięcia, żeby spytać, czy to jakiś

okrutny żart - i skąd u licha się dowiedział?! - ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, zatrzymali się i ujrzał Nan. Tak samo piękną jak zawsze, jak wtedy gdy widział ją po raz ostatni.

Kiedy zaczęła iść w stronę samochodu, Evan zbladł jak płótno i z przerażeniem przyglądał się zmianie zachodzącej w oczach Nan, gdzie przyjazne zainteresowanie ustąpiło miejsca najpierw nieuchronnemu rozpoznaniu, a potem najczystszzemu zdumieniu.

Później, zupełnie jakby Nan zobaczyła ducha, osunęła się, mdlejąc, a Evan siedział dalej, drżąc na całym ciele, niezdolny do jednego kontrolowanego ruchu.

Nan otwiera oczy i zdaje sobie sprawę, że leży na kanapie w salonie, a nad nią wiszą twarze Daniela i Daff, wyraźnie zaniepokojonych jej stanem.

- Proszę... - mówi Daff, podtykając jej kieliszek brandy - napij się trochę...

- Ja... - Nan wciąż jeszcze nie oprzytomniała do końca i przez parę uderzeń serca wydaje się znacznie starsza, niż jest w rzeczywistości. - Myślałam, że zobaczyłam ducha. Myślałam, że to Everett...

Daff i Daniel wymieniają spojrzenia, żadne jednak nic nie mówi, gdyż w tej samej chwili otwierają się drzwi i w progu staje Bee, za której plecami czai się jej ojciec. Bee z pobielającą twarzą prosi gestem, aby oboje wyszli z pokoju.

- Dokąd idziecie? - woła za nimi Nan.

- Wychodzimy tylko na moment - uspokaja ją Daniel. - Nic się nie martw... - Przepuszcza Daff przodem i starannie zamknawszy za sobą drzwi, patrzy najpierw na Bee, potem na Evana. - O co w tym wszystkim chodzi, do diabła?!

- Nie mogę o tym mówić - odzywa się głuchym tonem Bee. - Nie wierzę w to, co przed chwilą usłyszałam. - Nawet nie spoglądając na ojca, odwraca się i wychodzi przed dom, gdzie szybko przysiadła na jednym z wiklinowych foteli.

- O co chodzi? - powtarza bezradnie Daniel, zwracając się do Evana, i ten zaczyna opowiadać swoją historię.

Daniel wraca do salonu, gdzie zastaje Nan w pozycji półsiedzącej, z głową wciąż opartą o poduszki kanapy.

- To takie dziwne... - mruczy starszka. - Zaledwie wczoraj śnił mi się Everett, sen był taki realistyczny, że aż zaczęłam się zastanawiać, co może oznaczać, a teraz przed chwilą pomyślałam, że go zobaczyłam. Jak sądzisz, co to może znaczyć?... Kim w ogóle był ten mężczyzna? Czyżby też mi się przyśnił, tyle że na jawie?

- Nan, wolałbym, żeby był tutaj Michael, bo chyba nie powinienem przekazywać ci takich wieści, baja nawet nie wiem, jak to zrobić, ale... widzisz... niczego sobie nie wyobraziłaś.

- Co masz na myśli? Jak to nie wyobraziłam sobie tego?

- Mówię o tym, że... Bee przyjechała właśnie z... ze swoim ojcem. - Daniel kluczy i urywa, nie mając pojęcia, w jakie słowa ubrać nowinę. - Nazywa się Evan Palliser. Jednakże wszyscyśmy się przed chwilą dowiedzieli, że kiedy się urodził, nazywał się całkiem inaczej...

- To Everett, tak? - Nan patrzy mu prosto w oczy i zadaje pytanie szeptem, nie umiając zapanować nad łzami. Daniel potwierdza jej podejrzenie skinieniem. - Gdzie on teraz jest?

- W korytarzu. Chce się z tobą zobaczyć.

Nan prostuje się z trudem i spuszcza stopy na ziemię, stara się powściągnąć emocje, wreszcie kiwa Danielowi, że może otworzyć drzwi, równocześnie wpychając dłonie między uda, aby opanować ich drżenie.

Everett wchodzi do środka, nie spuszczać wzroku z Nan, nie musi patrzeć pod nogi, ponieważ w salonie zupełnie nic się nie zmieniło od jego czasów. Nawet powietrze pachnie tak samo: pszczelim woskiem i lawendą, kwiatami wiciokrzewu pnącego się na treliazu za oknem oraz czymś ciężkim i duszącym unoszącym się znad stareńkich włóczkowych zasłon ocieniających nieszczelne okna.

To zapach domu. Domu, o którym myślał całym latami, którego już nigdy miał nie zobaczyć. Przebywanie tutaj, wdychanie w płuca znajomego zapachu wywołuje w nim szok, nasycza jego zmysły w stopniu, jakiego nie potrafił sobie nawet wyobrazić.

Zna na pamięć wyszyty wzór na obiciach krzesel chippendale - wyszyła go jego matka, podczas gdy ojciec walczył na wojnie. Wie dokładnie, która noga którego mebla nadłamała się, a potem została naprawiona przez stolarza znalezionego aż na Cape Cod - on i jego kuzyni byli sprawcami szkód, gdy jako dzieci szaleńczo biegali po salonie.

Rozpoznałby każdy obraz na ścianie, każdą rycinę, każde wgniecenie i smugę, lecz nie widzi nic poza Nan, zbliżając się wolno do kanapy.

Nie odrywa od niej spojrzenia.

- Mój ty Boże - mówi, opadając na siedzisko i nadal patrząc tylko na nią. - Nadal jesteś taka piękna...

Nan spogląda mu pewnie w oczy, a potem wymierza mu siarczasty policzek.

- Czy ty masz pojęcie - odzywa się lodowatym, wyniosłym tonem - przez co ja przesłam? Czy masz pojęcie, z jakimi przeciwnościami musiałam się zmierzyć? Masz pojęcie o cierpieniu, które towarzyszyło mi, gdy samotnie wychowywałam naszego syna, nie przestając się zastanawiać, co takiego uczyniłam, że doprowadziłam cię do samobójstwa? Wyobrażasz sobie winę, która towarzyszyła mi przez całe moje życie?...

- Tylko z największym trudem - przyznaje Everett, ze wstydu wbijając wzrok w podłogę.

- Nie. Nie sądzę, żebyś potrafił to sobie wyobrazić. Nie sądzę, żebyś wiedział, jak to jest noc w noc kłaść się spać do pustego łóżka i wypłakiwać sobie oczy, wyrzucając sobie, że powinnam była być łagodniejsza, że powinnam była zachowywać się inaczej, że gdybym nie była dla ciebie taką okropną



żoną, z pewnością nie odebrałbyś sobie życia. A ty w tym samym czasie... Spójrz tylko na siebie. Najwyraźniej wiodłeś wygodne życie, gdyż zwyczajnie mnie zostawiłeś, opuściłeś nas, okłamałeś, pozwoliłeś, byśmy przez wszystkie te lata żyli w niewiedzy... - Nan wybucha płaczem.

- Mamo? - do pokoju wpada Michael i rzuca się w kierunku matki. - Mamo? Co tutaj się dzieje?

Odwraca lekko głowę, dostrzega Everetta i zamiera, czując, jak krew ścina mu się w żyłach.

- Chryste Panie - szepcze. - Tata?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Może w innej sytuacji podobałoby się jej tutaj, ale Jordana jakoś nie potrafi sobie wyobrazić, żeby nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach miała postawić Nantucket ponad Long Island, gdzie jest jej całkiem dobrze, no i gdzie czuje się bardziej na miejscu.

Jordana uwielbia zwłaszcza najbardziej na wschód wysuniętą część wyspy, określaną wspólnym mianem The Hamptons. Uwielbia stroić się w modne błyszczące topy i sandały, ozdabiać przedramiona bransoletkami wysadzanymi brylantami - gdyż nigdy nie wiadomo, kogo się spotka, jedząc późny obiad u Nicka i Toniego, a poza tym jej zdaniem lepiej zawsze prezentować się jak spod igły, tak na wszelki wypadek.

Zachwyca ją, że może siedzieć przy stoliku pomiędzy Jerrym Seinfeldem z lewej i Marthą Stewart z prawej. Przepada za odbywającymi się co noc przyjęciami, które nigdy jej się nie nudzą. W gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do tego, aby być widzianą we właściwym miejscu i widzieć właściwych ludzi, do noszenia odpowiednich strojów i wymieniania grzeczności z wielkimi tego świata, czyż nie?

Nantucket to urocze miejsce, Jordana nie ma co do tego wątpliwości, jednakże wodząc pogardliwym wzrokiem po wyłożonych nad basenem ciałach, zastanawia się, gdzie są szczupłe modelki, gdzie są implanty piersi, gdzie są, na miłość boską, diamenty?!

To nie jest świat, jaki by rozumiała, i zwłaszcza teraz, kiedy nie ma już żadnego powodu, by nadal tu przebywać, nie może się doczekać powrotu do domu.

To znaczy - dokąd? W ich wspólnym mieszkaniu czeka na nią Jackson, rwąc sobie włosy z rozpacz, że to rozstanie może być na stałe, zastanawiając się usilnie, w którym momencie nie stanął na wysokości zadania, przysięgając, że od tej pory będzie się sprawował lepiej i że zrobi wszystko, czego ona sobie zażyczy, byle tylko znów byli razem.

Po raz pierwszy w życiu Jordana musi poważnie rozważyć swoje opcje. Zdołała sobie wmówić, że ona i Michael mają przed sobą świetlaną przyszłość, że gdy Michael ją ponownie zobaczy, gdy dowie się, że będą mieli dziecko, podejmie właściwą decyzję, wróci do niej i zaczną budować wspólne życie, tak jak to planowali na wczesnym etapie ich znajomości, upojeni sobą i wzajemną namiętnością.



Spędziła długie godziny, leżąc bezsennie w łóżku i wyobrażając sobie, jak będą żyli i gdzie... Z pewnością nigdzie daleko - koniecznie wystarczająco blisko miasta, by mogli zaglądać doń, ilekroć przyjdzie im ochota, gdzieś, gdzie by mogli otworzyć własny salon jubilerski, w miejscu dość bogatym, aby sąsiedzi stali się ich wiernymi klientami, i na tyle zwyczajnym, aby Michael czuł się w nim dobrze. Może w Pound Ridge. Albo w Ketonah. Bądź w Nyack...

Zadała sobie nawet trud i odwiedziła kilka agencji nieruchomości, by się przyjrzeć domom, z których mogliby wybierać, kiedy przyjdzie pora. Niczemu, co by przypominało rezydencję jej i Jacksona w Great Neck, z marmurową posadzką i szerokimi schodami, raczej czemuś, o czym zawsze marzył Michael, niepozornemu staremu budynkowi, sercu dawnej farmy, o podłogach wykładanych gołymi deskami i z przytulnymi, nisko zawieszonymi sufitami, z kominkami w każdym pomieszczeniu i niekończącym się otwartym krajobrazem za oknami. Nie uśmiechało jej się mieszkać w czymś takim, ale była gotowa przystosować swoje plany życiowe do Michaela, który tak wiele zmienił, dla którego ona chciała się zmienić, chciała stać się taką osobą, jaką on - jej zdaniem - pragnął w niej widzieć.

Do głowy jej nie przyszło, że nie wprowadzi swoich zamierzeń w czyn, że nic z tego, co sobie zamyśliła, nigdy się nie wydarzy. Cóż ma więc teraz począć? Wrócić do Jacksona? Pozwolić mu myśleć, że dziecko jest jego, chociaż technicznie biorąc, to niemożliwe? Niby jak miałyby jej się upiec? A może powinna się przyznać do romansu i przyrzec, że więcej już go nie zdradzi?...

Nie chce wracać do Jacksona. Chce być z Michaelem, a jeśli to nierealne, stanąć na własnych nogach. Czy jednak na pewno?... Czy poradzi sobie sama, czy chce sobie sama radzić?

Dziecko. Nie bobas w markowych ciuszkach, nie piesek jak jej ulubiony maltańczyk, ale żywe dziecko, którego nie można zostawić samego w domu, kiedy idzie się na zakupy, ani w samochodzie, gdy umawia się na lunch z przyjaciółkami. Dziecko.

Jezu. Co ona ma zrobić?!

Jordana siada na łóżku i wzdycha głęboko, nieświadomie pocierając dłonią płaski brzuch. Na pewno nie usunie ciąży. Nie umiałaby. Tu chodzi o dziecko, o małego człowieka, którego powołała do życia wspólnie z Michaelem, ze swoim ukochanym mężczyzną, więc myśli sobie: „Skoro nie mogę go dostać, będę przynajmniej miała jego dziecko”. Wydaje jej się to jakąś alternatywą, drugim z kolei dobrym rozwiązaniem, zwłaszcza że jeśli dziecko już przyjdzie na świat, zawsze jest szansa, że Michael jednak zmieni zdanie, że zrozumie, iż powinni być razem.

Zatem postanowione, urodzi je. Bez dwóch zdań.

Wstaje i idzie do łazienki, gdzie mruga dwukrotnie, siadając na sedesie i gapiąc się nieprzytomnym wzrokiem na plamki krwi na bieliźnie.

A potem wybucha płaczem.

Początkowa euforia spowodowana powrotem do matki mija szybko. Owszem, podoba jej się tutaj, dom wydaje się fajny, ale dziwnie pachnie, jakby starością, a Jess nie jest pewna, czy lubi stare rzeczy, czy ma ochotę siadać na tych wyświechtanych krzesłach, kiedyś chyba obitych aksamitem, i co z tego, że niedaleko jest plaża, skoro nie ma przy niej żadnych koleżanek...

Wczorajszy dzień był nawet udany. Mama bardzo się ucieszyła z jej przyjazdu, co samo w sobie było podejrzane, a w dodatku ani słowem nie wspomniała o kradzieżach, bąknęła tylko, że kiedy Jess będzie gotowa o wszystkim opowiedzieć, zamieni się w słuch i nabierze wody w usta, a potem jakby nigdy nic zabrała ją na zakupy, co stanowiło niezwykle miłą niespodziankę, gdyż Jessika spodziewała się raczej przydługiego wykładu.

Dziewczynka domyśla się, że matkę prawdopodobnie gryzą wyrzuty sumienia, ale liczy się to, co wyniosła z tej eskapady. Dostała parę nowych T-shirtów, czapkę bejsbolową, polar, kostium kąpielowy i zeszyty z kolorowymi okładkami, a także muszelki i masę zabawnych drobiazgów. Wystarczyło, że coś podniosła w sklepie i powiedziała: „Ojej, ale to fajne!”, a jej mama już wkładała to do koszyka i aż się paliła, żeby zapłacić. Po fakcie Jessika uświadomiła sobie, że w ten sposób zapewne chciała zapobiec kolejnej kradzieży dokonanej przez córkę.

Po zakupach poszły na lody i odwiedziły jeszcze parę sklepów przy marinie, a wieczorem zjadły obiad w towarzystwie pozostałych mieszkańców domu, aczkolwiek nie gospodyni, która przeprosiła wszystkich i wczesnie położyła się spać.

Nan zafascynowała Jessikę. Dziewczynka nigdy nie spotkała kogoś takiego jak ona. Nan wydaje się wiekowa, ale nie stara, i w niczym nie przypomina jej babć, które po domu noszą bliźniaki albo dresy, a nie powiewające jedwabne szale w jaskrawych kolorach kamieni szlachetnych i wyszywane koralikami pantofle.

Mama twierdzi, że Nan jest wspaniała, lecz jak na razie Jessika nie miała okazji przekonać się o tym osobiście. Zdaniem mamy pani Powell przeżyła poważny szok i potrzebuje nieco czasu, aby dojść do siebie, więc przy sprzyjających wiatrach niedługo wszystko wróci do normy. Jess nie może się tego doczekać.

Tym bardziej że perspektywa spędzenia najbliższych tygodni na Nantucket zaczyna ją przytłaczać. No bo ile razy można słuchać listy przebojów na iPodzie i chociaż naprawdę cieszy się, że znów jest z mamą, nie wyobraża sobie, aby miała z nią wszędzie chodzić, a zdążyła już od niej usłyszeć, że pobyt tutaj się przeciągnie, bo Daff przedłużyła sobie urlop. Jess chciałaby mieć towarzystwo rówieśników, a każdy kogo tutaj widziała, jest co najmniej po czterdziestce.

Może więc jednak pomysł z przyjazdem tutaj wcale nie był taki dobry.

Nan obserwuje Jessikę przez okno swojej sypialni; dziewczynka siedzi na plaży, ma przyciągnięte pod brodę kolana i bawi się piaskiem, nabierając pełne garście, a potem powoli przesypując ziarenka między palcami. Nan robi się chłodno, wkłada więc szlafrok, wsuwa stopy w klapki i powoli schodzi na dół.

Nie jest jeszcze gotowa na rozmowę z mieszkańcami domu. Wie oczywiście, że wszyscy się o nią martwią, że chodzą wokół niej na paluszkach zaniepokojeni, że każdy chciałby usłyszeć, jak się czuje, jak oboje się czują. Zarówno ona, jak i Michael.

Biedny Michael. Odzyskać ojca po tylu latach, zrozumieć, że całe dotychczasowe życie oparte było na kłamstwie... Do Nan dociera, że to Michael wyszedł gorzej na najnowszym odkryciu, jest przecież taki wrażliwy.

Popatrzył na Everetta, gdy tamten poddał się po kolejnej próbie wyjaśnień, i oświadczył zimnym głosem:

- Jeśli o mnie chodzi, nie uważam cię za swojego ojca. Nie mogę zabronić mamie rozmawiania z tobą, ale sam nie chcę mieć z tobą nic do czynienia.

Nan nigdy wcześniej nie słyszała u Michaela takiego tonu.

Everett wyciągnął rękę, by zatrzymać syna w pokoju.

- Michael, proszę... - powiedział łamiącym się głosem. - Pozwól mi się wytłumaczyć.

Michael przystanął. Obrócił się do Everetta i patrzył na niego, ledwie powściągając furię.

- Wytłumaczyć? Chcesz mi się wytłumaczyć? Doskonale, zamieniam się w słuch! Chętnie się przekonam, jak można coś takiego wytłumaczyć sześciolletniemu chłopcu, który co noc zasypia zmęczony płaczem, bo tak bardzo tęskni za swoim tatą! No dalej, wytłumacz mu, że to nie była jego wina, chociaż tak myślał! Ten sześciolatek dorastał, wierząc, że tata nigdy by go nie zostawił, nigdy by się nie zabił, gdyby on zachowywał się lepiej, gdyby był grzeczny, gdyby nie sprawiał kłopotów. Może jeszcze potrafisz zrobić coś z bólem i poczuciem winy, i strachem tego małego chłopca, których nigdy się nie pozbył? Potrafisz?! - Michael spoglądał twardo na Everetta, teraz już jawnie płaczącego, po czym opuścił spojrzenie. - Nie, oczywiście, że nie potrafisz. Tak jak się spodziewałem.

- Przepraszam - wyszeptał Everett. - Nie byłem zdrow. Nie byłem świadom swoich czynów. A potem tak bardzo za tobą tęskniłem. Przez lata nic tylko za tobą tęskniłem, myślałem o tobie, zastanawiałem się, co porabiasz, na kogo wyrosłeś...

- No to teraz już wiesz - rzucił Michael, odwracając się i wychodząc z salonu. Udał się niepewnie na górę, do swego pokoju, i tam nareszcie pozwolił sobie na łzy.

Nan próbowała z nim potem porozmawiać, ale cóż mogła mu powiedzieć? Sama wciąż jeszcze nie doszła do siebie.

W środku nocy obudziła ją straszna myśl. Poderwała się nagle, usiadła prosto, w jednej chwili zupełnie przytomna.

Czy chodziło mu o dom? Dlatego tak nieoczekiwanie wrócił? Czy koniec końców miała utracić Windermere przez niego? Ależ tak. Z jakiego innego powodu ujawniłby się po tych wszystkich latach?

Potem nie umiała już zasnąć. Siedziała po ciemku i zastanawiała się, co powinna zrobić, w jaki sposób może zatrzymać dom albo przynajmniej sprzedać go i zatrzymać pieniądze z transakcji. Nie była winna Everettowi złamanego centa i czuła, że jeśli tylko istnieje sposób, aby pozbawić męża jego dziedzictwa, ona go znajdzie i wykorzysta.

A raniem zobaczyła Jessikę na plaży i niespodziewanie dla samej siebie poczuła, że mają ze sobą wiele wspólnego - smutek i niepewność dziecka stanowią jakby odbicie jej własnych uczuć. Nan wychodzi na zewnątrz, starając się nie myśleć o tym, że grozi jej utrata wszystkiego, co kocha.

- Cześć! - Daff wchodzi do kuchni i staje jak wryta, zaskoczona obecnością Michaela. Przez ostatnią dobę jakby jej unikał, a ona uświadomiwszy to sobie, poczuła ostre ukłucie w sercu.

Radość i smutek. Cieszy się, że znów ma Jessikę przy sobie, że mogą być razem, ponieważ ona nigdzie nie musi się śpieszyć i może poświęcać całą swoją uwagę, cały swój czas córce.

Mimo to Jessika jeszcze się przed nią nie otworzyła, ale Daff to nie zraża, czeka cierpliwie, aż przyjdzie pora na zwierzenia, na razie czując wdzięczność, że dziewczynka chce z nią być, że wszystko odbyło się w miarę sprawnie i bezboleśnie.

Przeniosła całe zainteresowanie na dziecko i przestała się przejmować Michaeliem, cierpieniem, które najwyraźniej stało się jego udziałem, tym, że wycofał się i zamknął we własnej skorupie, wyszedł z domu na cały dzień i wrócił, gdy wszyscy już spali.

Daff dziwi się, że tak bardzo się zżyła z mieszkańcami Windermere. Oczywiście przebywanie pod wspólnym dachem musiało do tego w mniejszym czy większym stopniu doprowadzić, lecz dzwoniąc i pytając o pokój do wynajęcia, nie spodziewała się takiego obrotu rzeczy. Wyobrażała sobie gościniec z prawdziwego zdarzenia, gdzie różni ludzie zatrzymują się na jakiś czas i zajmują własnym życiem, nie wchodząc w paradę współmieszkańcom.

Nade wszystko jednak nie spodziewała się, że poczuje się tutaj jak w domu. Że zacznie traktować poznanych tu ludzi jak rodzinę.

Michael podnosi na nią wzrok i uśmiecha się.

- Cześć. Czekałem na ciebie.

- Serio? Masz ochotę na herbatę?

- Dziękuję, zrobiłem już sobie kawę. Może byśmy się przeszli? Wiem, że byłem ostatnio jakby nieobecny, i chciałbym ci wszystko wyjaśnić.

- Nic takiego się nie stało. - Daff przybiera beztroski ton, starając się nie pokazać, co naprawdę czuje. - Wiem, że wiele na ciebie spadło. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Mówię poważnie. - Staje

do niego tyłem, nalewając wody do czajnika, ale przede wszystkim dlatego, że nie chce, by Michael zobaczył jej oczy.

- Daff, proszę... - Podchodzi do niej i kładzie jej dłoń na ramieniu, a gdy kobieta się doń odwraca, obejmuje ją i przytula. - Przepraszam - szepcze, a kiedy w końcu się od siebie odrywają, rzuca jej pytające spojrzenie. - No to co będzie z tym spacerem?

- Zgoda - uśmiecha się Daff. - Ale pozwól, że najpierw sprawdzę, co u Jessiki...

- Nie trzeba - powstrzymuje ją Michael. - Jest z moją mamą. Pracują w ogrodzie.

- Słucham? - Daff jest zaskoczona. - Jessika pracuje? Jesteś pewien, że o nią chodzi? Bo moja córka śpi do południa i nie brudzi sobie rąk pracą w ogrodzie ani nawet nie pomaga w domu, jeśli jej się coś nie przekupi.

- Cóż, może nocą wylądowali kosmici i ją podmienili, ale w każdym razie ktoś bardzo przypominający Jessikę jest tam, spójrz... - Michael podprowadza Daff do okna i kobieta z niedowierzaniem przygląda się Nan najwyraźniej instruującej jej córkę, jak podpierać oklapnięte pędy ogórków; starszka odstepuje o krok, a dziewczynka wbija w ziemię patyk i trzymając go jedną ręką, drugą sprawnie owija wokół kawałek drutu, zerkając w stronę Nan i oczekując pochwały.

- Ooch - sapie Daff. - Wiesz co, twoja mama może być czarownicą...

- Nie jesteś pierwsza, która tak uważa. W Sconset od dawna chodzą takie słuchy.

- Nie o to mi chodzi. Widzisz, Jessika to nastolatka. Nienawidzi wszystkiego i wszystkich, chociaż w tej akurat chwili wygląda... sama nie wierzę, że to mówię... wygląda, jakby świetnie się bawiła.

- Pewnie tak właśnie jest. - Michael pokazuje w uśmiechu zęby. - Pamiętasz, jak my będąc dziećmi, pomagaliśmy dorosłym w różnych pracach albo załapywaliśmy się do roboty w knajpkach czy na stacjach benzynowych? Pamiętasz to wspaniałe uczucie, że nareszcie coś naprawdę robimy? W dzisiejszych czasach dzieciaki co najwyżej mogą być stażystami w firmie rodziców albo ich przyjaciół. Popatrz tylko, tutaj Jessika poczuła się potrzebna. To musi być dla niej coś nowego.

Daff odrywa spojrzenie od córki i przenosi je na Michaela.

- Dziękuję - mówi. - Oczywiście masz rację. Masz absolutną rację. Jessika poczuła się potrzebna. W domu nie ma żadnych obowiązków, nie przyszłoby mi do głowy wysłać jej do pracy w ogrodzie. W dzieciństwie byłam do tego zmuszana i wprost nie cierpiałam klęczenia w brudnej ziemi i wrywania chwastów, sądziłam więc, że wyświadczam jej przysługę, zatrudniając kogoś do zajmowania się tym, ale teraz widzę, że się myliłam, ty natomiast masz rację. - Wzdycha.

- Prawdopodobnie stąd wzięły się te kradzieże. Jess potrzebuje zajęcia, potrzebuje czuć się użyteczna.

- Na pewno nie wygląda teraz na nieszczęśliwą - dodaje Michael i oboje znów spoglądają na dziewczynkę, która uśmiecha się nieśmiało, gdy Nan poklepuje ją po rękę.

- Moim zdaniem wręcz przeciwnie. Wszystko będzie z nią dobrze.

- Dziękuję - powtarza Daff z oczyma pełnymi łez.

- Dziękuję, że to dostrzegłeś i mi pokazałeś... - Mruga kilkakrotnie, przepędzając łzy, i nabiera powietrza. - Ale dość o mnie. Zamierzałam dowiedzieć się, co u ciebie. Bardzo się martwiłam...

- Znalazłem się w środku koszmaru. - Michael marszczy brwi. - Jordana, to znaczy ta kobieta, która tak nagle się tu pojawiła, jest... domyślasz się chyba, kto to. W dodatku przywiozła ze sobą nowinę... - przetyka ciężko.

- O ciąży - dokańcza za niego Daff.

- Właśnie. Skąd wiesz?

Kobieta wzrusza ramionami.

- Z jakiego innego powodu przejechałaby taki kawał?

- Mnie to nawet nie przyszło do głowy... A teraz nie mam pojęcia, jak postąpić.

- Wrócisz do niej, spróbujecie raz jeszcze?

Michael wzdycha i potrząsa głową, a Daff cieszy się w duchu i nie potrafi nic na to poradzić.

- Nie. To by było najgorsze rozwiązanie. Jestem za stary, żeby się decydować na życie w kłamstwie.

- Och, Michael... Tak mi przykro.

- Mnie również.

- Dziecko jest na pewno twoje? - Daff ma przed oczyma wysokie obcasy, ufarbowane włosy, wielkie brylanty. Zastanawia się, czy Michael był jedynym podbojem Jordany ostatnimi czasy.

- Raczej tak. Na pewno tak. Znam Jordaną od wielu lat i wiem, że nie jest kłamczuchą. Choć - parska wymuszonym śmiechem - do niedawna sądziłem też, że nie jest puszczałką.

- Mnie z kolei wydawało się, że nie jesteś typem mężczyzny, który związałby się z mężatką.

- Bo nie jestem. Po prostu popełniłem błąd. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Gdybyś chciał znać moje zdanie - zaczyna ostrożnie Daff - powiedziałabym, że niezbyt do siebie pasujecie.

Michael śmieje się głośno.

- A kto według ciebie do mnie pasuje?

Ktoś taki jak ja, myśli Daff. Nie mówi tego jednak.

- Nie wiem. - Ogarnia ją zakłopotanie. - Może ktoś zwykleszy.

- Na przykład jakaś samotna matka? - podpowiada Michael, a Daff czerwieni się i znów odwraca do zlewu, opłukuje ręce, byle się czymś zająć. - No i jest jeszcze kwestia powrotu mojego ojca, który powinien być kupką kości na dnie oceanu.

- Aha... - Daff znów patrzy na niego. - Myślałam, że nigdy nie poruszysz tego tematu.

- Nie wydawał mi się ważny - kwituje Michael i oboje śmieją się z dowcipu. - Tylko czekam, aż wybuchnie następna bomba - ciągnie po chwili. - Moje życie zmieniło się w okamgnieniu, nic nie jest



takie samo i nigdy nie będzie. A skoro wszystko w co wierzyłem, czemu ufałem, nagle okazało się mylne, jak zdołam kiedykolwiek jeszcze zawierzyć i zaufać?

Michael przestaje mówić, ale Daff wyraźnie czuje, że jeszcze nie skończył.

- Pamiętasz jedenasty września? - pyta ją. - Po tym jak samoloty uderzyły w WTC, nadeszły wiadomości o wypadkach w Pentagonie, a potem także o tym samolocie w Pensylwanii. - Daff potakuje skinieniem. - Wszyscy czekali, co będzie następane, spodziewali się, że nadchodzi koniec świata. Tak właśnie się teraz czuję. Jakby mój świat się kończył. To co dotąd wydawało mi się pewne, rzeczywiste i prawdziwe, wcale takie nie było. Jak mogę znów komuś zaufać? - spogląda na nią bezradnie, prosząco.

„Mnie możesz zaufać” - chce mu powiedzieć, lecz milczy, stoi tam tylko i patrzy na niego, podczas gdy on wzdycha i raz po raz przejeżdża palcami po włosach. Chce dodać: „Podobasz mi się”, lecz nie przerywa ciszy. Na usta cisną się jej kolejne słowa: „Poradzisz sobie z tym wszystkim, zostawisz to za sobą i ruszysz naprzód, bo jesteś dobrym człowiekiem. Dobrym i miłym, chyba najporządniejszym ze wszystkich, jakich kiedykolwiek spotkałam. Możesz mi zaufać, ponieważ ja ufam tobie. Chociaż prawie cię nie znam, zawierzyłabym ci moje życie, gdyż wiem, że ty nigdy byś mnie nie zawiodł”.

- To co, idziemy?

- Co? - Daff otrząsa się z zamyślenia. - Dokąd chcesz iść? - Na spacer.

Odpowiada mu uśmiechem.

- Poczekaj, włożę buty.

Spacerują godzinami. Wzdłuż urokliwych uliczek Sconset i po plaży, żadnemu z nich donikąd się nie śpieszy, chętnie wędrują przed siebie i rozmawiają na różne tematy, od czasu do czasu popadając w zgodne milczenie.

- Jak się czujesz, wiedząc, że zostaniesz ojcem? - pyta go Daff zniechęta, akurat gdy docierają do małej zatoczki.

- Sam nie wiem... - Michael krzywi się na samo wspomnienie. - Uwielbiam dzieci, ale jak dotąd w grę zawsze wchodziły dzieci innych ludzi. Chyba nie jestem gotowy na swoje.

- Wydaje mi się, że żaden człowiek nie jest gotowy na potomstwo - śmieje się Daff. - Ta wiadomość zawsze spada jak grom z jasnego nieba. Ale ty byłbyś kapitalnym ojcem - dodaje. - Gdybyś uczestniczył w życiu dziecka.

- Oczywiście, że bym to robił. O rany... To następny krok. Muszę porozmawiać z Jordana i powiedzieć jej, na ile zamierzam się angażować. Nigdy bym nie zostawił swojego dziecka. Nigdy - powtarza z przekonaniem.

- Wiem - mówi cicho Daff.

- Zatrzymamy się tam na chwilę? - proponuje Michael, wskazując leżącą przed nimi następną zatoczkę, ukrytą wśród wydm.

- Jasne.

Nagle atmosfera gęstnieje. Siedzą obok siebie na piasku, wiedząc, co będzie dalej, nie zdając sobie tylko sprawy, jak to się stanie, nie wiedząc, czy to powinno się stać, czy zachowają się właściwie czy raczej jeszcze bardziej skomplikują sobie i tak już skomplikowane życie.

Nie wydaje się jednak, aby którekolwiek miało możliwość wyboru, i kiedy Michael pochyla się, żeby pocałować Daff, uzmysławia sobie, że ona naprawdę jest dla niego jak bezpieczna przystań, czyż więc mógłby zrezygnować z jedynej dobrej rzeczy, jaka mu się ostatnio przytrafiła?

- Teraz już wiem, czemu ludzie uważają, że uprawianie miłości na plaży jest przereklamowane!  
- Daff gwałtownie wytrząsa z włosów piasek.

- Wielkie dzięki! - rzuca Michael.

- Nie o to mi chodzi... - dodaje szybko Daff, naciągając szorty i pozwalając znów się przytulić i obsypać pocałunkami. - Doskonale wiesz, że nie o to - mruczy, zaglądając mu w oczy i uśmiechając się, wciąż niezdolna uwierzyć, że przytrafił się jej ktoś tak wspaniały. - To było cudowne...

- Jestem pierwszy od czasów twojego męża?

- Byłego męża - poprawia go Daff, rumieniąc się. - I tak, jesteś pierwszy.

- Podobało ci się? - pyta ją nerwowo.

- Czy mi się podobało? Szalenie! Było mi fantastycznie! Wolę to odjazdy na rowerze. - Śmieje się całą sobą.

Naprawdę było jej wspaniale. Cudownie. Rewelacyjnie.

Czy ktoś mnie jeszcze pokocha? zastanawiała się Daff w pierwszych dniach po separacji z Richardem. Mam obwisłe piersi i rozstępy na brzuchu, a łydek nie gołę czasami całymi miesiącami. Ostatni mężczyzna, który się we mnie zakochał, poznał mnie, gdy jeszcze byłam młoda, jędrna i atrakcyjna. Gdy w każdej chwili mogłam wskoczyć w krótką spódniczkę czy strój kąpielowy i zaraz po otwarciu rano oczu wyglądałam jak bogini. Ale kto pokocha mnie taką, jaką stałam się teraz?

Sądziła, że jeśli w ogóle zdarzy się jej jeszcze uprawiać z kimś seks, będzie to dziwaczne przeżycie, wymagające na wstępie zgaszenia wszystkich świateł.

A tu proszę, doszło do tego na plaży, w biały dzień, i nie było ani trochę dziwnie, było zupełnie normalnie, jakby wcale nie wyszła z wprawy. Nie wstydziła się z powodu swoich zmarszczek, żyłaków i wałków tłuszczu. Czuli się piękni.

Leżąc po fakcie w jego ramionach, gdy kontynuowali przerwana rozmowę, pomyślała, że na tym właśnie polega prawdziwa bliskość z drugim człowiekiem. Znaczyłoby to, że ona i Richard nigdy nie byli sobie bliscy. Z pewnością nigdy nie przytulali się po zakończonym stosunku, tylko cmokali na dobranoc i każde wracało na swoją połowę łóżka, po czym zasypiało. Albo na początku ich znajomo-

ści, wyskakiwało z łóżka i pośpiesznie wkładało ubranie. Daff wie, że na coś takiego czekała przez całe swoje życie.

Jest to zarazem nowe i znajome uczucie. Jak gdyby nareszcie odnalazła swoje miejsce na ziemi.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Zabiorę dziewczynki na plażę - ogłasza Daniel, wyciągając rękę w stronę Lizzie i Stelli, na co Bee kiwa z wdzięcznością głową i opada na fotel obok Michaela. Wymieniają krótki uśmiech, nim każde zwraca spojrzenie w kierunku morza, pozwalając, by przez parę chwil otulało ich milczenie. W końcu Bee zaczyna mówić.

- Zawsze chciałam mieć starszego brata. Moja koleżanka z klasy, Sophie, miała trzech braci, a ja oczywiście uwielbiałam do niej chodzić. Panował u nich wieczny rozgardiasz, było tłoczno i głośno, podczas gdy mój dom przypominał raczej muzeum...

- Powinnaś była wychowywać się tutaj - śmieje się Michael. - Wprawdzie byłem jedynakiem... to znaczy, aż do tej pory tak mi się wydawało... ale w Windermere nigdy nie brakowało ludzi. Często marzyłem o chwili spokoju dla siebie.

- To nie do wiary... - Bee kręci głową. - Nie umiem sobie wyobrazić, że tata miał przed nami inne życie, że was porzucił. To do niego takie niepodobne...

- Ledwie go pamiętam - odzywa się Michael. - Znam na pamięć rodzinne historie i mam przed oczyma jego zdjęcia, ale przecież miałem tylko sześć lat, kiedy... kiedy odszedł. Z wiekiem coraz trudniej oddzielić cudze opowieści od własnych wspomnień, obrazy z fotografii od tych prawdziwych...

- Bardzo go przypominasz - stwierdza Bee, obracając się ku niemu i obrzucając go uważnym spojrzeniem. - Wcześniej tego nie dostrzegłam, pewnie dlatego, że nie patrzyłam jak należy. Ale teraz widzę, że wyglądasz zupełnie jak on, gdy był młodszy.

- Ile wam opowiedział o swojej przeszłości? Wciąż trudno mi uwierzyć, że zjawił się nagle nikąd, bez przyjaciół, bez krewnych, i nikomu z was nie przyszło do głowy, by zadać mu parę pytań.

- W mojej rodzinie zwykło się brać wszystko za dobrą monetę. Mama powtarzała, że szybko znalazł swoje miejsce w społeczności, a ludzie uznali, że przeszedł trudny rozwód, zostawiając gdzieś tylko żonę, bez dzieci, i chce zacząć życie od nowa. Poza tym w tamtych czasach szanowało się czyjąś prywatność, a zresztą nawet gdyby było inaczej, brakowało możliwości, by zdobyć wszelkie informacje.

- Jaki on był?

- Jako ojciec czy jako człowiek?

- Jedno i drugie. - Michael podnosi na nią wzrok.

- Był wspaniałym ojcem - odpowiada. - Nie chciałabym cię zranić, mówiąc to, nie jestem w stanie wyobrazić sobie bólu, jaki musiałeś odczuwać, dorastając bez ojca, ale moim zdaniem starał mi się dać to, czego nie mógł dać tobie. Odkąd pamiętam, zawsze był obok mnie. Bawił się ze mną. Zabierał mnie w różne miejsca i cierpliwie odpowiadał na moje pytania. Rozmawialiśmy bez końca. Wyjaśniał mi, jaki jest świat, a wycieczki z nim, zwłaszcza kiedy byłam mała, stanowiły nie lada przygodę. - Wzdycha. - Lubiłam się nim chwalić.

Michael podpira brodę na rękach.

- Kiedy wyjechałam do college'u, nadal ze sobą rozmawialiśmy. Właściwie nie pamiętam rozmów z mamą. Wydawał mi się niesamowicie mądry. Chociaż wiele nas różniło, mieliśmy różne przekonania... Na przykład oboje rodzice są głęboko religijni, podczas gdy ja w nic nie wierzę. Tata zawsze długo się zastanawiał, zanim udzielił mi jakiejś rady, i na ogół doradzał mi dobrze...

- Ile miałaś lat, kiedy twoi rodzice się rozwiedli?

- Raczej: kiedy moja mama rozwiodła się z ojcem. Było to wkrótce po moich osiemnastych urodzinach. Od zawsze mówiła, że ma dosyć jego sekretów. Wtedy nie rozumiałam, o co jej chodzi, ale teraz oczywiście wszystko się wyjaśniło... - prychna. - Byli ze sobą blisko, tak przynajmniej twierdziła, choć ja nigdy tego nie czułam. Wiedziałam tylko, że jest pełen ciepła, zrozumienia i miłości dla mnie. A ty? - pyta nagle, wrywając się ze wspomnień i patrząc na Michaela.

- Jaki był dla ciebie?

- Sam nie wiem. Pamiętam, że uwielbiałem z nim przebywać. Gdy jeszcze z nami mieszkał, wечно się koło niego kręciłem, chciałem mu pomagać w tym, czym akurat się zajmował. Chyba go ubóstwiałem, miałem za bohatera czy coś w tym stylu, chociaż przez większość czasu wcale nie było go w pobliżu, a gdy nawet był, zdawał się zatopiony we własnych myślach, skoncentrowany na czymś niezwiązanym z nami. Często wpadał w złość.

- Wpadał w złość? Tatko? O kurczę... - Bee potrząsa głową. - Ja chyba ani razu nie widziałam, żeby się choćby zirytował.

- Nie zdawałem sobie z tego sprawy jako dziecko, ale później się dowiedziałem, że pozostawił potworne długi. Mama musiała sprzedać nasz apartament w Nowym Jorku i wszystkie domki na terenie posiadłości. Windermere było domem na lato, ale przeprowadziliśmy się tutaj, bo tylko tyle nam pozostało. Ojciec był hazardzistą. Przegrał w karty wszystko, co mieliśmy, i... - śmieje się glucho - także sporo z tego, co nigdy nie było naszą własnością. Całymi miesiącami po jego... po jego zniknięciu obcy mężczyźni pojawiali się z żądaniem uregulowania jakichś rachunków.

- Boże, i co wtedy robiła twoja mama?

- Na ogół zapraszała ich do środka, nalewała im taniego alkoholu do szklanki, a potem wylewała swoje żale. Zazwyczaj kończyło się to tym, że zostawali na obiedzie i odtąd byli jej najlepszymi przyjaciółmi. Słowo honoru - dodaje, widząc jej niedowierzające spojrzenie. - Paru z nich, pozornie

zaliczających się do półświatka i naprawdę groźnych, przez lata przychodziło do nas na święta Bożego Narodzenia.

- Tak mi przykro... - zapewnia go Bee ze łzami w oczach.

- Nie wiem, co powiedzieć... Żal mi, że musiałeś żyć, myśląc, że twój ojciec popełnił samobójstwo, a ja miałam go przez ten czas dla siebie.

- Mnie również jest przykro. Żałuję, że dorastałem w poczuciu tak ogromnej straty, a teraz... Cóż. Chyba czuję się zwyczajnie zdradzony.

- Powiedział mi, że w swoim odczuciu nie miał wyboru - dodaje cicho Bee. - Bardzo cierpi. Chciałby móc ci to jakoś wynagrodzić, tobie i twojej mamie, ale nie wie jak, skoro mu nie pozwalasz...

- Nie mogę. Nie teraz. - Michael wypuszcza wstrzymywane powietrze. - Nie jestem na to gotowy.

- Możesz przynajmniej o tym pomyśleć?

- Tak. Tyle chyba mogę zrobić. Mogę się nad tym zastanowić.

- Proszę - Bee patrzy nań błagalnie - zamiast traktować to jak zdradę, potraktuj jak błogosławieństwo. Odnalazł się twój ojciec, zyskałeś możliwość poznania własnych korzeni, nim będzie za późno...

- To nie jest takie proste - mówi ze smutkiem Michael.

- Ale spróbuję. Naprawdę. Hej...

- Co takiego?

- Wyciągnij rękę.

Bee robi to i oboje wybuchają śmiechem.

- No, no - kręci głową kobieta, wyraźnie zachwycona.

- Mamy takie same dłonie.

- I takie same małe palce, o, widzisz tutaj? Czy to nie dziwne... - Przez chwilę siedzą w milczeniu, spoglądając na swoje dłonie. Wreszcie Bee przerywa milczenie. - Wiem, że nie jest łatwo dostrzec w tym wszystkim błogosławieństwo, przynajmniej na razie, ja też mam z tym trudności, ale czuję, że to naprawdę dar niebios: dostać coś, czego się zawsze pragnęło, zwłaszcza jeśli zbiega się to w czasie z okropnymi problemami, gdy wszystko, co człowiek cenił w swoim życiu, okazało się oszustwem i zostało mu odebrane... Michael podnosi głowę, by na nią spojrzeć.

- Mówisz o Danielu i swoim rozwodzie.

- Tak. Jak również o tym, że Daniel jest gejem, więc całe moje małżeństwo od początku do końca było oparte na kłamstwie. Myślałam już, że nigdy nie zobaczę światełka na końcu tunelu, że nie ma tam żadnego światełka. Aż do tej pory. - Urywa i odwzajemnia spojrzenie Michaela. - Nie chcę, by zabrzmiało to ckliwie czy pretensjonalnie, ale odnalezienie wymarzonego starszego brata jest dla mnie wielkim wydarzeniem.

Michael sięga po jej dłoń i ściska ją lekko.

- Dziękuję - mówi. - Mnie też ostatnio się nie układało. Dziękuję, że pokazałaś mi, że można na wszystko spojrzeć inaczej.

- Zawsze można - zapewnia go Bee łagodnym tonem.

- Nie bez powodu spotkaliśmy się wszyscy na Nantucket i nie bez powodu tatko musiał tu przyjechać i odnaleźć ciebie...

- Wyznaję tę samą filozofię - mówi Michael, uśmiechając się. - Nic nie dzieje się bez przyczyny.

Przed oczyma staje mu Jordana i dziecko rosnące w jej brzuchu.

- Czasami - dodaje w zamyśleniu - czasami po prostu trudno dociec, co to za przyczyna.

- Zwołuję naradę rodzinną - obwieszcza Nan. - Mam dość zamartwiania się. Uświadomiłam sobie, że staram się wszystko robić sama, podejmować każdą decyzję w pojedynkę, ale ta sytuacja mnie przerasta. Potrzebuję pomocy rodziny.

Daniel i Daff wymieniają zdumione spojrzenia.

- Eee... - zaczyna Daff. - Bardzo cię polubiłam i w ogóle, ale... mimo wszystko chyba nie kwalifikuję się jako członek rodziny...

- Właśnie że tak - wpada jej w słowo Nan. - Jeśli o mnie chodzi, do rodziny zalicza się każdy, kogo kocham, i chcesz czy nie, dotyczy to także ciebie. Z Jessiką nie zdążyłyśmy się jeszcze dobrze poznać, ale moja intuicja podpowiada mi, że i ona jest częścią rodziny.

Dziewczynka spieka raka, lecz przy tym widać, iż czuje się wyróżniona włączeniem do rodziny Powellów.

- Michael, kochanie... Nie chciałabym cię zdenerwować. Latami ukrywałam prawdę o twoim ojcu, ale teraz przyszedł czas, aby wyłożyć kawę na ławę.

- Przegrał cały majątek w karty, zmuszając cię do sprzedaży chatki i apartamentu w Nowym Jorku - uprzedza ją Michael.

- O... - Nan dębieje. - Nie sądziłam, że wiesz.

- Oczywiście, że wiem. Odkąd powiedziałaś mi pierwszy raz z miliona.

- Powiedziałaś ci? Naprawdę? Wydawało mi się, że przez cały czas cię przed tym chroniałam.

- Tylko wtedy gdy byłem mały. Później opowiadałaś każdemu, kto przychodził do tego domu, a ja po prostu siedziałem na schodach i słuchałem.

Nan wzdycha.

- Nie to jest istotne. Uważam, że Everett pojawił się, ponieważ chce odzyskać Windermere. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego miałby nagle się ujawnić. Przed laty uczynił coś strasznego. Czy mężczyzna, który upozorował swoje samobójstwo i bez skrupułów porzucił żonę i



dziecko, zawaha się przed okradzeniem ich z nieruchomości, jaka jego zdaniem słusznie mu się należy?

- Ale przecież dom jest zapisany na ciebie - odzywa się Michael.

- Niezupełnie. Nigdy nie zawracałam sobie głowy formalnościami - odpowiada mu Nan. - W dowód szacunku dla pamięci Everetta, myślałam początkowo, wypada zostawić wszystko, jak było za jego życia. W ten sposób i on nadal pozostanie w pewnym sensie żywy. Chociaż gdy poznałam wysokość jego długów, zmieniłam zdanie. Niestety, nigdy nie przeprowadziłam sprawy jak należy...

- Jezu Chryste... - jęczy Michael. - Może. Może się teraz o niego upomnieć.

- Nie! - zaprzecza żywo Daff. - Nie sądzę, żeby choć jeden sędzia w tym kraju przyznał mu prawo do własności Windermere, po tym jak przez trzydzieści pięć lat udawał trupa. Nie wydaje mi się, żebyście mieli się czym martwić, nawet gdyby naprawdę przyjechał tu po to, żeby się o cokolwiek upominać. Moim zdaniem jest tutaj, ponieważ zdarzył mu się wypadek, wymaga opieki córki, no i jest teściem Daniela.

- Też tak uważam - popiera ją Daniel. - Evan nie miał pojęcia, że mieszkam u Nan. To czysty przypadek, nic więcej.

- Nie ma czegoś takiego jak przypadek - rzecze chmurnie Nan, święcie o tym przekonana. - Jessiko, a ty co myślisz?

- Ja? - Dziewczynka prostuje się na kanapie zaskoczona, rzadko kto pyta ją o zdanie.

- Tak, ty. Jesteś zdania, że mój mąż chce zabrać mi dom czy że jest niewinny?

- Noo... To mi trochę przypomina film, który widziałam w telewizji. Tam też nagle wrócił mąż, tyle że wcześniej nie udawał trupa ani nic w tym stylu, i pod pozorem tego, że chce znów zejść się z żoną, bo bardzo tęskni za nią i dziećmi, zamordował ją i próbował wszystko ukraść.

- Jessika! - załamuje rękę Daff.

- Co takiego? - chmurnieje znów dziewczynka.

- Nie, nic, nie przejmuj się... - Nan wybucha śmiechem.

- Bardzo wątpię, żeby Everett chciał mnie zamordować.

- Na jakim kanale to było? - dopytuje Daff.

- Na Lifetime - odpowiada Jessika, a Michael uśmiecha się znacząco.

Nan nagle poważnieje.

- Nadal jednak uważam, że wrócił, aby zabrać mi dom, i jedyne rozwiązanie, jakie przychodzi mi do głowy, to sprzedać posiadłość i ukryć przed nim pieniądze. Nigdy nie sądziłam, że do tego dojdzie, ale prędzej sprzedam Windermere, niż pozwolę Everettowi położyć na nim łapę.

- Niby jak chciałybyś ukryć pieniądze, mamó? - z pobłażaniem pyta Michael. - W dzisiejszych czasach to nierealne, urząd skarbowy wie o wszystkim. Nie da się przelać ani centa na konto w banku

szwajcarskim czy w którymś z rajów podatkowych, żeby urzędnicy się o tym nie dowiedzieli. Obywatel ma obowiązek sam informować ich o wszystkim.

- Zgoda... - Nan uśmiecha się przebiegle - dlatego wymyśliłam, co następuje. Korzystając z części pieniędzy ze sprzedaży, urządzę się tak, że nie będę musiała martwić się o nic do końca swoich dni, trochę gotówki odłożę w skrytce bankowej tutaj na wyspie, a resztę przeleję na twój fundusz powierniczy, kochanie. Tym sposobem Everett nie zobaczy ani miedziaka.

- Nie jestem pewna, czy to się uda - wtrąca się Daff - ale... - Spuszcza wzrok, nim z jej ust padają następne słowa: - Skądinąd wiem, że Mark Stephenson jest gotów kupić Windermere choćby dziś. - No, powiedziała to. Wymieniła jego imię i nic wielkiego się nie stało. Nawet nie musiała namawiać Nan do sprzedaży domu, staruszka sama podjęła taką decyzję. A ona tylko otworzyła furtkę Markowi Stephensonowi i zadbała o własną przyszłość.

W grę wchodzi sześciocyfrowa kwota, powinna więc być zadowolona. Co tam, powinna być zachwycona. Lecz wcale tak się nie czuje. Opadają ją wyrzuty sumienia i nagle chciałaby być wszędzie, tylko nie tutaj.

- Mark Stephenson! Że też sama o nim nie pomyślałam! - wykrzykuje Nan. - Zaraz do niego zatelefonuję i...

- Mamo? - Michael podnosi się z miejsca. - Jesteś pewna, że dobrze robisz?

Oczy Nan zasnuwa smutek.

- Och, kochanie... Uwielbiam ten dom ponad wszystko inne, ale w gruncie rzeczy to tylko dom, prawda? Znacznie ważniejsze jest dobro ludzi, których kocham. Naprawdę kupię sobie domek na plaży i postaram się zeń uczynić miejsce równie przytulne jak Windermere, w którym będę się czuła tak samo u siebie jak tutaj. W którym będę mogła żyć jak dawniej, lecz nie obciążona tyloma wspomnieniami...

- W porządku - mówi Michael, przepuszczając Nan, która zmierza do kuchni. Daniel i Jessika dyskretnie ulatniają się z salonu. - Kto by pomyślał - zwraca się do Daff - że właśnie dlatego tutaj się zjawił. Licząc, że odzyska dawną własność...

- No, nie wiem... - bąka Daff, nie umiejąc spojrzeć mu w oczy. - Moim zdaniem to mało prawdopodobne. Ale tak czy inaczej lepiej dmuchać na zimne.

- Nic ci nie jest? - pyta ją nagle Michael.

- Nie. Dlaczego?

- Wydawało mi się, że osowiałaś, stałaś się nieobecna duchem...

- Skądże znowu! - Daff zmusza się do uśmiechu i do tego, by podnieść wzrok na Michaela. - Może jestem trochę zamyślona. Rano zadzwonił do mnie klient, który szuka domu, i teraz przetrząsam w myślach oferty, żeby znaleźć mu coś odpowiedniego.

- Ach tak! Wciąż jeszcze nie przyzwyczałem się, że jesteś agentką nieruchomości. Wiesz, mogłabyś pomóc mamie z tą transakcją. Któż inny lepiej dopilnuje, żeby Mark Stephenson zachował się wobec niej uczciwie i jej nie oskubał.

- Z miłą chęcią - odpowiada Daff, w duchu żałując, że Michael użył akurat takich słów.

- Czy to Mark Stephenson?

- Przy aparacie, słucham.

- Mówi Nan Powell.

- Pani Powell! - Głos ma donośny i zadowolony z siebie nawet przez telefon. - Co za niespodzianka! Wspaniale znów panią słyszeć!

- Prosiłam już, żebyś zwracał się do mnie po imieniu - przypomina mu. - A niespodziankę dopiero ci zrobię. Mam dla ciebie pewną propozycję, którą chciałabym z tobą przedyskutować. Myślisz, że moglibyśmy się spotkać?...

- Takie właśnie wiadomości lubię otrzymywać na początek dnia - nie kryje radości Mark Stephenson. - Może wpadnę do Windermere dzisiaj po południu?

- Powiedzmy o piątej - precyzuje Nan. - W porze koktajlu. Przyrządzę nam po martini.

- Skąd wiedziałaś, że to mój ulubiony drink?

Nan śmieje się głośno.

- Do zobaczenia o piątej, Mark.

\* \*

Daniel nie ma doświadczenia w dzwonieniu do kogoś i zapraszaniu go na kolację. Nigdy nie był w tym dobry, może więc dlatego zawsze wolał pozostawać w związku, niż dopiero nawiązywać znajomość. Teraz jednak znów jest wolny i prędzej czy później będzie musiał zrobić ten pierwszy krok, rozpocząć swoje nowe życie jako homoseksualista. Wie, że najtrudniejszy jest zawsze początek, gdy już się wdroży, sprawy powinny toczyć się same.

Matt wydaje się inteligentny, jest też bardzo pomocny i miło przebywać w jego towarzystwie. Poza tym nie można mu odmówić urody, poczucia humoru i serdeczności. W pewnym sensie został aniołem stróżem Daniela, toteż Daniel czuje, że powinien jakoś mu się zrewanżować, na przykład zapraszając go na kolację. W przyjemne, wyjątkowe miejsce, gdzie podziękowanie wypadnie tak jak trzeba.

- Myślałem o Perle - mówi, po tym jak już Matt odebrał telefon i mają za sobą zwykle w takich przypadkach grzeczności. - Uznałem, że spodobałoby ci się tam.

- Zapraszasz mnie na randkę? - pyta z uśmiechem Matt.

- Nie! To znaczy, tak. Nie mam pojęcia. A co ty o tym sądzisz?

- Żartowałem tylko - śmieje się Matt. - Dla rozluźnienia atmosfery. Sprawiasz wrażenie takiego zakłopotanego. To słodkie. Wracając do tematu, tak, chętnie się z tobą umówię, i tak, Perła nadaje się na miejsce spotkania wprost znakomicie. Masz na uwadze jakiś konkretny termin?

- A kiedy miałbyś czas?

- Czy jeśli powiem, że dzisiaj wieczorem, uznasz mnie za łatwego?

Teraz Daniel również się śmieje.

- Dzisiaj wieczorem mi pasuje. Dziewczynki są z Bee. Sprawy tutaj troszkę się pokomplikowały...

- Tak, słyszałem - wtrąca Matt. - Czy to prawda, że mąż Nan, uznawany za zmarłego od lat, nagle upomniał się o dom?

- O Boże... - Daniel przymyka oczy. - Gdzie się o tym dowiedziałeś?

- Na tej wyspie trudno o dochowanie sekretu - odpowiada Matt. - Zatem to prawda. Mam nadzieję, że usłyszę od ciebie coś więcej dziś wieczorem.

- Obawiam się, że nie będę mógł puścić pary z ust.

- Mimo iż Daniela korci, by poplotkować, uważa, że jest winien lojalność Nan. - Spotkamy się na miejscu?

- Nie ma mowy. Skoro to randka, powinienes po mnie przyjechać.

Daniel ponownie wybucha śmiechem.

- Umowa stoi. Podjadę po ciebie o ósmej.

- Miło cię znowu widzieć. - Mark Stephenson mruga znacząco, potrząsając dłonią Daff, ona zaś czuje, jak po plecach przebiega jej dreszcz, wie, że fatalnie by było, gdyby Michael dowiedział się o wszystkim, że źle się stało, iż połasiła się na lewą prowizję. - Dom prezentuje się fantastycznie. - Mężczyzna zwraca się do Nan. - Zupełnie jakbyś go podrasowała od dnia mojej ostatniej wizyty.

- Tylko troszkę - odpowiada ze śmiechem Nan, podając mu martini, czyste, tylko z oliwką. - Musiałam się przygotować na najazd gości. Zatem... wciąż ci się podoba?

- O, tak... - Mark się nachyla, w oczach migocze mu podekscytowanie. - Mówiłem ci już, że od bardzo dawna marzy mi się ten dom.

- Dobrze mi się tu mieszkało - stwierdza staruszka - ale chyba nadszedł czas, żebym się gdzieś przeniosła. Jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji, jednakże chętnie usłyszę, ile twoim zdaniem warte jest Windermere, w razie gdy postanowię rozstać się z nim teraz.

- Cóż, cena zależy od wielu czynników... - Mark Stephenson gra na zwłokę, nie chce podawać konkretnej kwoty, chyba że zostanie przyciśnięty do muru. - Na ilu akrach leży posiadłość? Na siedmiu?

- Dziewięć przecinek dwa - koryguje zdecydowanie Nan,

- Ach tak. To ładny kawałek ziemi. Do tego widok na ocean, bezpośredni dostęp do plaży. Jestem zainteresowany kupnem osobiście, chciałbym tu zainstalować rodzinę, ale sama rozumiesz, że dom wymaga sporych nakładów... Zauważyłem brak wielu dachówek i trzeba wymienić wszystkie okna. Ze starymi domami często bywa tak, że jedna praca remontowa pociąga następną i nim się człowiek spostrzeże, ładuje pieniądze jak do skarbonki bez dna, na moje oko tutaj wchodzi w grę jakiś milion.

- Milion dolarów? - zachłystuje się Nan.

- Bez dwóch zdań. To dolna granica - potakuje sobie skinieniem. - Większość osób po prostu by go zburzyła i postawiła coś od fundamentów, na dłuższą metę wyszłoby to taniej, ale ja jestem miłośnikiem wiekowych domów i zawsze chciałem mieszkać w jednym z nich.

- Naprawdę nie zamierzasz go wyburzyć? - pyta Michael i nie pozbywa się wątpliwości, nawet gdy Mark Stephenson zaprzecza energicznym ruchem głowy. - Przecież zarobiłbyś fortunę, gdybyś podzielił ziemię na mniejsze działki i wybudował, powiedzmy, cztery czy pięć małych domów.

- Prawie każdy deweloper, jakiego znam, tak by właśnie postąpił, więc w pewnym sensie masz rację. Ale ja widzę w tym budynku dom, dom o wspaniałej przeszłości, a tego nie da się stworzyć raz-dwa. Widzę, jak dorastają tutaj moje dzieci, jak wdrapują się po drabinie na dach, by patrzeć na ocean, jak biegną z piskiem w dół na plażę. - Mówiąc, patrzy na Nan. To ją próbuje przekonać, nie widzi więc, że Michael zerka na Daff i tłumi uśmiech.

- O jakiej więc sumie mówimy?

- Trudno powiedzieć tak z głowy - broni się jeszcze Mark. - Myślę, że gdzieś pomiędzy trzema i czterema.

- Trzy albo cztery miliony dolarów? - upewnia się Nan, nie wierząc własnym uszom.

- Tak - potwierdza Mark. - Ceny nieruchomości na wyspie znacznie podskoczyły w ostatnich latach.

- Tylko tyle? - ciągnie starszka wyniośle. - Proszę mi w takim razie wyjaśnić, panie Stephenson... - powróciła do formy „pan”, co w jej wypadku nie jest dobrym znakiem - dlaczego dom Clearych, wzniesiony na zaledwie pięciu akrach, w którego miejscu wyrosły dwa nowe giganty, z których każdy, nawiasem mówiąc, został wystawiony za równe pięć, poszedł pod młotek za sześć przecinek siedem miliona? A dom Harbingerów, leżący na dziesięciu akrach, ale bez widoku na ocean, za prawie osiem?

- Hm... - Mark nie znajduje od razu słów. - Nie widziałem z bliska tamtych domów. Musiałbym mieć więcej informacji. Z wyceną często tak bywa... - dorzuca żałośnie, rozgoryczony, że Nan zadała sobie trud i zrobiła rozeznanie.

- Dlatego nie chciałem podawać dokładnej kwoty, zanim nie zrobię inwentaryzacji.

- Zatem do dzieła! - zachęca go szczebiotliwie Nan, podnosząc swoją szklanke. - Na zdrowie!

- No i jak? - pyta Michael, przyglądając się, jak land-cruiser Marka Stephensona wycofuje się podjazdem, rozpryskując spod kół drobne kamyki.

- Chcesz wiedzieć, co myślę? - Nan cedzi każde słowo.

- Myślę, że zburzy Windermere szybciej, niż zdołałabym powiedzieć „Sconset”, oto co myślę. I wybuduje tutaj cztery wielkie domiszcza, które sprzeda po pięć albo i sześć milionów, co najmniej. - Odwraca się i zauważa, że Jessika patrzy na nią z otwartą buzią. - Kochanie, zamknij usta. Wyglądasz, jakbyś łąpała w nie muchy... Ale mu pokazałam, co? - Uśmiecha się do siebie radośnie. - Nie jestem jeszcze tak stetryczala, na jaką wyglądam.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Teraz, gdy dzwoni jego komórka i na wyświetlaczu pojawia się numer Jordany, Michael czuje się w obowiązku odebrać połączenie. Wduszając zielony przycisk, z ciężkim sercem uzmysławia sobie, że będzie czuł się w obowiązku rozmawiać z tą kobietą za każdym razem, gdy do niego zatelefonuje, przez resztę swojego życia.

Nie może skorzystać z funkcji przekierowania do poczty głosowej, nie może ignorować jej istnienia, w nadziei że w końcu podda się i zrezygnuje, teraz gdy ma zostać matką jego dziecka. Ilekroć przyjdzie jej ochota odezwać się do niego, on będzie musiał być osiągalny, ponieważ niewykluczone, że to co będzie miała mu do powiedzenia, okaże się ważne. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jaki wpływ wywrze to na jego codzienność.

- Michael, tu Jordana.

- Cześć. - Chwila milczenia. - Jak się czujesz?

- Dobrze - odpowiada. - Wyjeżdżam dzisiaj. Uznałam, że powinieneś wiedzieć.

Michael czuje narastającą panikę.

- Dokąd wyjeżdżasz? Jak będę mógł się z tobą skontaktować? Wciąż musimy przedyskutować tak wiele spraw...

Kolejna chwila milczenia, potem krótkie:

- Już nie. - Gorycz w jej głosie jest wyraźnie wyczuwalna. - Z pewnością ucieszysz się, słysząc, że już nie jestem w ciąży.

- Słucham? - Michaelowi brakuje tchu, nie jest pewien, czy z jego słuchem wszystko w porządku.

- Wczoraj poroniłam - kłamie, choć jakaś jej część nadal wierzy, że to prawda, że miesiączka, która tak się spóźniła, była wyjątkowo obfita, zatem to musiała być ciąża, a nie przypadek zwykłego opóźnienia się okresu z przyczyny tak prozaicznej jak na przykład stres. - Zatem - kontynuuje tym samym tonem - masz problem z głową.



- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej - wypluwa z siebie. - Domyślam się, że będziesz dziś świętował.

- Nie... Przepraszam. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie od razu, jak to się stało? Na pewno wszystko u ciebie w porządku?

- Niezupełnie. Czuję się okropnie. No i dzwonię do ciebie teraz, o co więc te wyrzuty? Poradzę sobie. - Wie, że sobie poradzi, bo bez względu na to jak usilnie starała się sobie wmówić, że pragnie tego dziecka, że zostało ono poczęte w wielkiej miłości, nareszcie musi przed sobą przyznać, że czający się gdzieś na dnie duszy niepokój ustąpił nagle jak ręką odjął po wczorajszych wydarzeniach.

- Jordano... Przykro mi. Przykro mi, że musiałaś przez to wszystko przechodzić sama. - Michael odczuwa mieszaninę ulgi i smutku na myśl, jak bardzo zagubiona musi być w tej chwili Jordana.

Nie przez niego, nie przez Jacksona, ale z powodu tego, kim jest, a jest kobietą szukającą swego miejsca w życiu, próbującą osiągnąć szczęście. W chwili jasności Michael zaczyna rozumieć, że dopóki Jordana nie wejrzy w głąb siebie, dopóki nie znajdzie w swoim wnętrzu upragnionego spokoju, dopóty nigdy nie uda jej się odnaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania w świecie zewnętrznym, w innych ludziach.

Przede wszystkim jednak przepelnia go ulga. Boże, co za ulga. Żegna się z Jordaną i odwraca do Daff, a ona dostrzega w jego oczach tańczące ogniki, jakich jeszcze nigdy u niego nie widziała, nie od momentu odwiedzin Jordany.

- Dostałeś dobre wiadomości?

- Wciąż nie potrafię w to uwierzyć - odpowiada, wysuwając sobie krzesło i siadając ciężko przy kuchennym stole.

- To była Jordana. Nie jest w ciąży. - Zalewa go kolejna, jeszcze mocniejsza fala ulgi i Michael wybucha płaczem.

\* \*

- To moja ulubiona restauracja - wyznaje Matt w chwili, gdy wraz z Danielem wchodzi do środka.

- Cieszę się - uśmiecha się Daniel. - Kiedy nie udało nam się dostać do Perły, od razu pomyślałem o tym miejscu, bo podają tu zdrową żywność, uprawianą ekologicznie. To wydawało mi się do ciebie pasować.

- Trafiliś w dziesiątkę, sam nie wybrałbym lepiej. Dziękuję, to dla mnie wiele znaczy. - Obdarza Daniela uśmiechem, ten zaś czuje, jak serce zaczyna mu bić szybciej w sposób, jaki niemal zdążył zapomnieć.

- Puść farbę... - Matt pochyla się ku niemu, zniżając głos. - Co się dzieje w Windermere?

- Mogę tylko powiedzieć, że pewnie wiele z tego, co słyszałeś, jest prawdą.

- Pytam nie bez powodu, wiesz... Pamiętasz Stephena i Keitha z przyjęcia u mnie?

- Pewnie.

- No więc Stephen jest przeraźliwie bogaty i nieraz mówił, że marzy mu się dom Powellów. Jeżeli Nan naprawdę zamierza się go pozbyć, Stephen byłby idealnym kupcem.

- Ale czy naprawdę go stać? - Daniel nie jest do końca przekonany. - Nie chcę nikogo obrazić, ale ceny tutaj oszalały. Windermere może być warte parę milionów.

- Nikogo nie obrażasz, bez obaw - śmieje się Matt. - To, co tu się dzieje na rynku nieruchomości, rzeczywiście jest fenomenem. Niemniej Stephen ma dość pieniędzy i byłby załamany, gdyby dom trafił się komu innemu. Jeżeli i ta plotka jest prawdą, mógłbyś przynajmniej szepnąć słówko Nan, że jest ktoś poważnie zainteresowany kupnem i że ten ktoś zamierza dotrzymać obietnicy o niewyburzeniu i renowacji od podstaw, tak że Windermere będzie znów perełką Sconset.

- Przekażę jej - zapewnia Daniel, po czym robi krótką przerwę, nim wyrzuca z siebie pytanie: - Mówi ci coś nazwisko Mark Stephenson?

- Ten budowlaniec? - Uzyskawszy potwierdzenie, Matt ciągnie: - Ponoć niezły skurczybyk z niego, chociaż nie miałem wątpliwej przyjemności przekonać się o tym osobiście. A życie nauczyło mnie, by oceniać ludzi po tym, co ci zrobili, a nie po tym, co opowiadają o nich inni. To on złożył Nan pierwszą ofertę?

- Może. - Daniel poprawia się na krześle.

- To by się zgadzało - mruczy do siebie Matt. - Po prostu powiedz Nan, że Stephenson może nie być taki, na jakiego wygląda.

- Dzięki. Przewrotny zawsze ubezpieczony.

- W tym wypadku na pewno. - Matt siada wygodniej. - Zatem... jak długo jeszcze zabawisz na wyspie?

- Dwa tygodnie - odpowiada Daniel. - Wprost nie do wiary, jak ten czas szybko leci.

- To prawda. - Matt kiwa głową, nie umiając ukryć rozczarowania w oczach. - Obawiam się, że możemy nie zdążyć...

- Nie zdążyć? Z czym?

- No wiesz, nie zdążyć się poznać jak należy. Ledwie się spotkaliśmy, a tu bum! już musisz wyjeżdżać! A prawie nic o sobie nie wiemy.

- Co byś chciał o mnie wiedzieć? - pyta go Daniel z uśmiechem. Podoba mu się bezpośredniość Matta, podoba mu się to, że nie ma pomiędzy nimi udawania. Im dłużej przygląda się siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie, tym przystojniejszy mu się wydaje. Już uwielbia jego pełne inteligencji oczy, w których kącikach robią się kurze łapki, ilekroć się uśmiecha. Przepada za silnie umięśnionymi, opalonymi przedramionami porośniętymi jasnymi włoskami. Cieszy się, że Matt jest taki interesujący, a co ważniejsze, najwyraźniej zainteresowany nim.

Ale cieszy się nie tylko z tego, że wzbudził zainteresowanie Matta, przede wszystkim raduje go myśl, że wolno mu podobać się Mattowi. Nie musi już czuć się winny, wyrzucać sobie, że coś jest z nim nie tak. Nie musi wracać do domu i tam zamięczać się wizją normalnego męża i tym, że do niej nie pasuje.

Matt uśmiecha się doń szerzej.

- Powiedz, jak twoim zdaniem powinna wyglądać doskonała randka - proponuje - a potem przekonamy się, czy uda się spełnić twoje marzenia.

Namiętność jest obezwładniająca, podniecenie niesłychanie silne, Daniel z trudem łapie oddech, gdy nagle Matt odpycha go od siebie.

- O co chodzi? - wykrztusza Daniel, ponieważ dopiero co usiedli na sofie w domu Matta, dopiero co zaczęli się całować.

Matt wzdycha, zakrywa twarz dłońmi.

- O Boże - mówi tylko.

- O co chodzi? - powtarza coraz bardziej zaniepokojony Daniel.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

- Co? - Daniel patrzy nań roziskrzonymi oczyma. - Chryste, nie jesteś gejem!

Matt wybucha szczerym śmiechem.

- Nie, to nie to. Widzisz, tkwię w tym od wielu lat, czasem wydaje mi się, że od zawsze. Miałem więcej przelotnych związków, niż ty zjadłeś ciepłych posiłków, i wiem, że nie powinienem tego robić. Spodziewałem się, że do tego dojdzie. Boże, chciałem, żeby do tego doszło, ale teraz... - Spojrzenie mu mięknie, gdy podnosi oczy i napotyka spojrzenie Daniela. - Teraz nie mogę. Nie tego pragnę. Nie, wróc - poprawia się z błakającym się na wargach uśmiechem - oczywiście, że pragnę tego, ale nie mogę sobie pozwolić na jeszcze jedną przelotną znajomość. Dlatego nie mogę tego zrobić.

- Kto twierdzi, że to przelotna znajomość? - pyta skonfundowany Daniel.

- Ja - odpowiada Matt ze smutkiem. - Ja tak twierdzę, bo naoglądałem się dość mężczyzn w sytuacji takiej jak twoja. Ty i ja znajdujemy się w całkowicie innych miejscach na linii życia. Ja jestem gotowy zapuścić korzenie, znaleźć sobie partnera na resztę dni, zasiać róże przy drzwiach wejściowych i włożyć papucie, sprawić sobie psa i żyć długo i szczęśliwie...

- Ja też tego pragnę! - wtrąca Daniel, lecz Matt potrząsa głową.

- Tylko ci się tak wydaje - mówi po chwili z westchnieniem. - Na razie chcesz poeksperymentować, zabawić się, sprawdzić swoje możliwości, a dopiero potem pomyślisz o ustatkowaniu się. Niczego w tej chwili nie pragnę bardziej, niż przespać się z tobą, ale skończyłoby się to tym, że bym się zaangażował i ostatecznie cierpiał. Nie wspominając już o tym - dodaje gorzko - że trwałoby to zaledwie dwa tygodnie.

- Nie chcę, żebyś cierpiał - oznajmia Daniel, patrząc Mattowi prosto w oczy. - Jeśli ktokolwiek tutaj ucierpi, to raczej ja.

Matt się z nim nie zgadza.

- Uważam, że jesteś wspaniały. Uważam, że na takiego mężczyznę od dawna czekałem. Ale to nie jest dobry czas dla nas. Ty najpierw musisz się wyszaleć. Później będziemy mogli spróbować, o ile oczywiście kiedykolwiek wrócisz na Nantucket.

- Zawsze możesz przyjechać do Connecticut - wtrąca Daniel.

- Mogę - potwierdza Matt. - Może nawet to zrobię.

- Jezu - stęka Daniel. - Naprawdę chciałem cię zobaczyć bez ciuchów.

Matt wybucha wesołym śmiechem.

- Pewnie zobaczysz, tylko jeszcze nie dzisiaj. - Poważnieje nagle. - Zrozum, Danielu... Mówię ci „nie” nie dlatego, że mi się nie podobasz, lecz dlatego, że podobasz mi się za bardzo. Mam nadzieję, że przez najbliższe dwa tygodnie twojego pobytu na wyspie będziemy widywać się tak często, jak to możliwe, że poznamy się lepiej, może nawet przekonamy, czy na pewno warto pozostawać w kontakcie, bo Bóg świadkiem, przez ten dom przewinęło się dość mężczyzn, którzy potem nigdy nawet nie zadzwonili.

- Ja zadzwonię - obiecuje Daniel. - Nie ma co do tego wątpliwości. Dziękuję, Matt. Nigdy nie spotkałem jeszcze kogoś tak uczciwego, tak bezpośredniego jak ty. Nie udałoby mi się przebrnąć przez to wszystko bez ciebie.

- Owszem, udałoby ci się. Tyle że przy czyjejś pomocy jest zawsze łatwiej - odpowiada Matt. - No, idź już - ponagla go nieoczekiwanie. - Bo jeszcze się rozmyślę.

- A nie chciałbyś? - Daniel unosi brew, po raz pierwszy w życiu otwarcie flirtując, po raz pierwszy przejmując inicjatywę i zachowując się w tak oczywisty, wyzywający sposób.

- Może i bym chciał - uśmiecha się Matt - ale wiem, że tak będzie lepiej. Nie zapomnij przestrzec Nan przed Markiem Stephensonem - przypomina mu jeszcze - i spytać, czy Stephen może do niej zadzwonić.

\* \*

Mark Stephenson nie przyjmuje z rąk Nan martini. Tym razem jest tu wyłącznie służbowo, nie ma zamiaru udawać, że wpadł z towarzyską wizytą, ani zgrywać miłego faceta, który pomaga starszycy z dobroci serca.

Od początku miał ją za przedstawicielkę wymierającego gatunku, kim Nan w istocie jest, ale srodze się co do niej pomylił, uważając, że wyalienowała się w swoim domu na uboczu do tego stopnia, iż nie ma pojęcia, co w trawie piszczy i jaka jest rzeczywista wartość domów na Nantucket w czasie boomu.

Mylił się także, sądząc, że Nan mu uwierzy, iż pragnie tego domu dla własnej rodziny, że zyska w jej oczach, jeśli ją zapewni, że nigdy go nie zburzy.

Oczywiście, że zamierza go zburzyć. Przez kilka nocy z rzędu nie zmrzął oka, w myślach przeliczając pieniądze, jakie mógłby zarobić na rozparcelowaniu posiadłości Powellów. Mógłby tu postawić cztery, może nawet pięć domów, w lokalnym stylu i z wszelkimi udogodnieniami, a potem sprzedać po sześć czy siedem kawałków i zarobić krocie, nawet licząc wysokie koszty budowy, które ostatnimi czasy poszybowały w górę jak wszystkie.

Wybudowałby to, co kupują teraz nowobogacy. Marną namiastkę domu na plaży w wersji dla milionerów. Z obowiązkowym basenem z pokrywą zasuwaną na pilota w trosce o bezpieczeństwo małych dzieci, z wyposażoną od a do zet kuchnią, mimo że mało która żona milionera para się gotowaniem.

Jego ludzie i ciężki sprzęt tylko czekają, kiedy będą mogli wjechać do Windermere i rozpocząć rozbiórkę, on przeprowadził już wstępne rozmowy z architektem, z którym współpracuje od lat, i w wielkiej tajemnicy poinformował go, że kroi się wielki projekt w okolicach Sconset, nad samym urwiskiem, i można zacząć projektować podział dziewięciu akrów z hakiem na mniejsze działki budowlane.

Architekt nie jest w ciemni bity, toteż nie zajęło mu długo domyślenie się, o którą posiadłość chodzi, choć nie padło oczywiście żadne nazwisko.

Będzie musiał wypłacić Nan rynkową cenę, teraz nie ma już co do tego złudzeń, ale wciąż może się dzięki niej potężnie wzbogacić, może stać się jednym z najbardziej liczących się na wyspie deweloperów, człowiekiem, który już nigdy w życiu nie będzie musiał martwić się o byt.

- Zrobiłem rozeznanie - mówi, siadając na kanapie obok Nan, i wyciąga z teczek plik kartek. - Miałaś rację co do tamtych domów i sum, za jakie poszły. Tutaj mam listę wszystkich posiadłości w Sconset, które zmieniły właściciela w ciągu ostatniego roku, i chętnie im się przyjrzę razem z tobą, zastanowimy się wspólnie, czy ceny były uczciwe i dlaczego sprzedający dostali właśnie tyle, a nie więcej ani mniej.

Godzinę później Nan odstawia swoje drugie martini i spogląda na Marka Stephensona.

- Panie Stephenson - zwraca się do niego z uśmiechem.

- Dziękuję panu. To wszystko jest bardzo interesujące, ale jestem przekonana, że wie pan, ile chce zapłacić. Ja... my - poprawia się, patrząc na Michaela i Daff - chętnie usłyszymy pańską propozycję, która oczywiście będzie uwzględniać pański zamiar zrównania Windermere z ziemią i postawienia tutaj kilku nowych domów.

Mark Stephenson nie stara się nawet zaprzeczać, robi tylko głęboki oddech i zaczyna mówić:

- No cóż, w oparciu o wszystkie zebrane materiały powiedziałbym, że cena będzie równa albo bliska tej zapłaconej za dom Harbingerów. Słusznie zauważyłaś przy okazji naszej poprzedniej rozmowy, że tamten dom nie miał widoku na ocean, ale ja z kolei wiem, że leżał na większej działce.

- Większej o zaledwie osiem dziesiątych akra - precyzuje Nan, lekceważąco machając ręką. - To niezbyt znacząca różnica.

- A jednak - słabo broni się Mark. - Na wyspie liczy się każdy cal kwadratowy powierzchni. Tak czy inaczej Harbingerowie dostali za swój dom osiem milionów, ja wzięwszy pod uwagę widok na ocean i dostęp do plaży, proponuję, że dam ci osiem i pół.

Zapada milczenie. Daff i Michael wpatrują się w Nan, próbując odgadnąć jej reakcję, lecz starszka zachowuje kamienną twarz. Wstaje, nalewa sobie kolejne martini i odwraca się do Marka Stephensona - góruje nad nim i wyniośle spogląda mu prosto w oczy.

- Panie Stephenson - zaczyna, uśmiechając się szeroko. - Minionego dnia raczył mnie pan wziąć za pierwszą naiwną. Dziś obraża mnie pan znowu, najwyraźniej nie zmieniwszy zdania.

Deweloper czerwienieje lekko na twarzy, po czym wyrzuca dłonie w górę i wzdycha.

- Przepraszam panią, pani Powell. Powinienem był najpierw zapytać, jaka jest pani oferta. Ile chce pani za ten dom?

- Dziesięć milionów - odpowiada Nan, zachowując zimną krew, zupełnie jakby wchodziło w grę dziesięć dolarów. - Z tego dwa miliony gotówką.

- Aż dziesięć? - Nie wygląda na uszczęśliwionego. Nan kiwa głową.

- Ani centa mniej. Widzi pan, panie Stephenson, ja też odrobiłam pracę domową i jestem przekonana, że dziesięć milionów dolarów to niewygórowana cena za coś, co pan sprzedaje za wielokrotnie więcej.

- Nie tak znowu dużo więcej - protestuje Stephenson. - Potrzebuję czasu do namysłu. Muszę przyjrzeć się jeszcze liczbom. Dam pani odpowiedź dzisiaj po południu. Ale nie wiem... - potrząsa głową i sapie - naprawdę nie wiem, czy budżet mi się domknie.

- Odprowadzę cię do wyjścia - odzywa się Daff. Nie może tego zrobić. Nie może przyjąć od niego pieniędzy, nie umiałaby ze sobą żyć, gdyby to zrobiła, nie zaznałaby spokoju w swoim związku z Michałem, wiedząc, że zataiła przed nim coś takiego.

Albowiem już teraz, tak wcześnie, Daff wie, że połączyło ich coś wyjątkowego, coś, co nie umrze wraz z końcem lata. Ich relacja zasadza się na uczciwości, co jest czymś całkowicie nowym dla Daff. Czuje niezachwianą pewność, że wdała się w coś znacznie więcej niż zwykły wakacyjny romans.

Późną nocą, gdy wszyscy mieszkańcy domu już śpią, Michael wymyka się ze swojego pokoju i zakrada do Daff, czasem budząc ją głaskaniem po włosach, a czasem od razu wślizgując się pod kołdrę i przytulając do niej całym ciałem.



Daff aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakowało jej bliskości drugiego człowieka. Nie chodzi tylko o seks, o fizyczny akt miłości, lecz głównie o tę bliskość, o przytulanie się, o leżenie godzinami po spełnieniu i o ciągnące się do świtu rozmowy.

Brakowało jej tego tym bardziej, że nigdy nie zaznała niczego podobnego z Richardem. A tak właśnie wyobrażała sobie swoje małżeństwo, gdy była młodą dziewczyną, próbującą stworzyć w umyśle obraz swego księcia z bajki, i to, jak będą się do siebie nawzajem odnosić.

Wyobrażała więc sobie kogoś, kto będzie za nią szalał, tak samo jak ona będzie szaleć za nim. Kto będzie zasypiał, tuląc ją w ramionach, kto będzie umiał leżeć w łóżku obok niej i rozmawiać z nią bez końca...

Gdy nie dostała nic z tego od Richarda, od Richarda, który zsuwał się z niej, kiedy było po wszystkim, i cmoknąwszy ją w policzek, natychmiast zasypiał, zapomniała o swoich dziewczynskich marzeniach i starała się udawać sama przed sobą, że to co ma, w zupełności jej wystarcza.

Minionej nocy, leżąc w łóżku z Michałem, Daff przypominała sobie ból rozstania z mężem. Cierpienie, które jej towarzyszyło, gdy się dowiedziała, że Richard ma romans, potem trudy radzenia sobie w pojedynkę, to, jak ciężko jej było stanąć na własnych nogach po latach cedowania większości spraw na niego.

Myślała wówczas, że nie zdoła już być szczęśliwa, pogodzona ze swoim życiem. Zwłaszcza że właściwie nigdy nie zaznała błogiego spokoju, jeśli nie liczyć pierwszych lat małżeństwa, które brała - mylnie, jak się okazało - za szczęśliwe i przynoszące jej satysfakcję.

Błogi spokój, do jakiego tęskniła, ogarnia ją dopiero teraz, w ramionach Michaela. Czuje się przy nim bezpieczna, pewna, absolutnie spokojna, czuje się jak w domu, tak jak jeszcze nigdy się nie czuła. Wie już, czemu doszło do rozwodu, czemu musiała się nacierpieć, zanim zaznała prawdziwego szczęścia.

Nie ma więc mowy, by wszystko popsuła, rozpoczynając ten związek od sekretu, dlatego odprowadzając Marka Stephensona do drzwi wyjściowych, zbiera się w sobie, by mu powiedzieć, że nie weźmie od niego pieniędzy.

- Nasza umowa jest nieaktualna - rzuca Mark przez zaciśnięte zęby, gdy idą korytarzem.

- Słucham? - Właśnie zamierzała powiedzieć mu to samo i zaskoczyło ją, że uczynił to pierwszy.

- Nie dostaniesz ode mnie prowizji od tej transakcji - wyjaśnia. - Przykro mi, jeśli czujesz się rozczarowana, ale mój zamysł był taki, że namówisz ją do sprzedaży po rozsądnej cenie. Dziesięć kawałków to majątek. Tyle dostanie, wystawiając posiadłość na sprzedaż oficjalnie, ja liczyłem raczej na zawarcie umowy po cichu, przy twojej pomocy.

- To absolutnie nieetyczne - mówi Daff, wcale nie dlatego, że zdążyła zmienić zdanie, raczej dlatego, że nie potrafi uwierzyć, jak ten czarujący, skromny mężczyzna w ciągu paru dni zamienił się w potwora.

- Tak się robi interesy - rzuca Mark Stephenson, wsiadając do samochodu i zatraskując za sobą drzwi.

W bibliotece, podpierając ścianę, Michael blednie na twarzy jak płótno. On też zrozumiał, że dzięki Daff odnalazł coś, czego nie miał już nadziei znaleźć w życiu. Świetnie czuje się w jej towarzystwie, ogarnia go w jej obecności niewysłowiony spokój, dobrze mu z nią... Nigdy nie doznawał czegoś podobnego z inną kobietą i im dłużej jest z Daff, tym częściej i intensywniej pragnie z nią być, nie chce spuszczać jej z oka.

Jednakże to, co przed chwilą usłyszał, przyprawia go o mdłości. Myślał, że ją zna, że Daff jest dobrym człowiekiem, ale okazało się właśnie, że znowu popełnił katastrofalny błąd w ocenie.

Odwraca się i rusza w stronę salonu, czując, że stopy i serce mu ciążyą z powodu ogromnego rozczarowania i smutku.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Bee jest niezwykle cicha, odkąd poznała sekret swego ojca, a serce Everetta krwawi, ilekroć mężczyzna pomyśli, że przysporzył ukochanej córce frasunku, i to w takim momencie jej życia, gdy miała dość własnych problemów.

Everett zawsze łudził się nadzieją, że kiedy w końcu wróci na Nantucket, jeśli mu się uda stanąć oko w oko z Nan i wyjaśnić jej wszystko, pierwsza żona po przeprosinach przyjmie go z powrotem, zrozumie, że w przeszłości był całkiem innym człowiekiem niż teraz, człowiekiem zdesperowanym, niemającym innego wyjścia. Choć wiedział, że przebaczenie nie przyjdzie łatwo, nie wątpił, że je uzyska.

Nigdy jednak się nie zastanawiał, jak ta nowina wpłynie na Bee. Jego najdroższą Bee. Przez całe jej życie starał się chronić ją przed krzywdą, lecz ostatnio był świadkiem, jak jego córka przyjmuje cios za ciosem. Najpierw spadła na nią separacja, później dowiedziała się, że jej mąż jest gejem (Everetta to akurat nie zdziwiło, podejrzewał zięcia o homoseksualizm od chwili, w której go poznał), a teraz usłyszała od własnego ojca, że zawsze ją okłamywał, że jego małżeństwo z Margaret było próbą zbudowania sobie nowego życia.

Bee unika go od tamtej pory. To znaczy, wciąż jest blisko, dba o niego, karmi go i pomaga mu się ubierać, pozwala mu się bawić z wnuczkami, ale nie potrafi spojrzeć mu w oczy, nie potrafi z nim rozmawiać. Gdy spróbował ją zagadnąć, potrząsnęła tylko głową i bąknęła, że nie jest gotowa, po

czym wymknęła się z jego pokoju i potem przez długie godziny słyszał tylko stukanie w klawiaturę komputera.

Dzisiaj zabiera Lizzie i Stellę na plażę dla dzieci. Bawi się z nimi na placu zabaw przez dwie godziny, huśta je na huśtawkach znacznie dłużej, niż robiliby to ich rodzice, kupuje im kanapki, lody, obdziela je swą uwagą, której łakną jak kocięta mleka.

Później wybierają się do muzeum wielorybnictwa na zajęcia rękodzielnicze, na których dzisiaj dzieci rzeźbią w mydle - wielkie, obłe kostki białego mydła zamieniają się w dziecięcych rączkach w rozmaite wizerunki i figurki - lecz w końcu dziewczynki chcą wracać do domu i nawet Everett nie może wymyślić kolejnej rozrywki, gdyż obie są zmęczone i stęskniły się za matką.

Kiedy wchodzi do środka, Bee jest w kuchni i patrzy prosto na niego - wydaje się, że robi to po raz pierwszy od tygodni, podczas gdy minęło zaledwie kilka dni.

- Przepraszam, tatku - mówi doń. Everett wyciąga ręce i Bee wpada w jego otwarte ramiona, pozwalając, by ją przytulił. - Przepraszam - powtarza szeptem. - To był dla mnie ogromny szok. Potrzebowałam czasu, żeby przywyknąć, żeby się zastanowić, żeby jakoś to sobie poukładać...

- Ja też cię przepraszam - powiada on. - Przepraszam, że cię okłamałem, że nie powiedziałem ci prawdy wcześniej i że dowiedziałaś się w takich okolicznościach.

Bee wzdycha.

- Wciąż wydaje mi się, że to sen. Albo film. Takie rzeczy przydarzają się innym ludziom, nie mnie, nie nam...

Everett stoi i nic nie mówi, ma spuszczonego wzrok, patrzy na własne dłonie.

- Mam brata! - wykrzykuje Bee. - Przyrodniego brata. A pamiętasz, jak zawsze wierciłam wam dziurę w brzuchu, żebyście sprawili sobie drugie dziecko, bo tak bardzo chciałam mieć rodzeństwo?

Everett uśmiecha się na wspomnienie Bee, złotowłosej z wielkimi oczami i pulchnymi policzkami, jak wdrapuje mu się na kolana i poważnym głosem pyta, czy w jego brzuszku nie ma przypadkiem bobo, gdyż poprosiła Świętego Mikołaja o braciszka albo siostrzyczkę i pomyślała sobie, że może już dla niej jedno z nich szykuje.

- Wciąż nie potrafię uwierzyć, że mam brata! - powtarza Bee jakby do siebie.

Lizzie i Stella gonią się dokoła kuchennego stołu.

- Dziewczynki, chciałybyście obejrzeć film? - pyta je Bee.

- Co powiecie na *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*?

- Hurra! - wołają chórem, gdy Bee prowadzi je przodem do drugiego pokoju i sadza naprzeciwko włączonego telewizora, aby móc porozmawiać w spokoju z ojcem.

- Wiele myślałam i... - podejmuje, gdy znajdują się sam na sam z Everettem. - Wiem, że to dość nieoczekiwane, ale chyba powinniśmy tu zostać dłużej.

- Na Nantucket? - Everett wydaje się zaskoczony. Bee kiwa głową.

- Jest wiele powodów. Ja... Prawdę powiedziawszy, nie wyobrażam sobie powrotu do domu i dostania się na języki wszystkich. Prędzej czy później każdy sąsiad dowie się o Danielu, a ja... Nie zniosłabym tego. Nie chcę więc wracać do domu.

- Nie dasz rady wiecznie przed tym uciekać. Prawda kiedyś cię dogoni - mówi z autoironią Everett.

- Zakładam, że wiesz, co mówisz... - Głos Bee mięknie.

- Może troszkę uciekam, ale czuję się tutaj jak w domu, tak jak nigdy nie czułam się w Westport. Nawet zaczęłam pisać.

- Och, Bee!... - Twarz Everetta rozjaśnia się. - Zawsze wspaniale pisałaś! Nigdy nie zrozumiałem, czemu to zarzuciłaś, gdy wyszłaś za mąż.

- Po prostu zabrakło mi historii do opowiadania - mówi Bee. - A teraz chyba jedyną korzyścią z tego całego zamieszania jest to, że nagle odkryłam, iż mam mnóstwo do powiedzenia.

- Mogę zapytać, nad czym teraz pracujesz?

- Piszę pamiętnik - odpowiada Bee, ważąc słowa. - Zaczęłam go jako artykuł, po prostu opisując koniec mojego małżeństwa, ale odkąd przyjechaliśmy tutaj, od tamtej nocy, gdy o wszystkim się dowiedziałam, historia napęczniała, a ja przekonałam się, że muszę to z siebie wyrzucić.

- Tak się cieszę... - szepcze Everett, czując łzy w oczach. - Zawsze lubiłaś pisać, masz do tego talent... Dobrze, że do tego wróciłaś, że odkryłaś na nowo swoją pasję.

- Też tak uważam. Zapomniałam już, ile frajdy mi to sprawiało i jak szalenie oczyszczające może być takie pisanie. Piszę o tym, jak poznałam Daniela, o naszych początkach, i im więcej sobie przypominam, tym bardziej nie mogę uwierzyć, że niczego się nie domyślałam.

- Nie dostrzegłaś symptomów - stwierdza Everett. - To zrozumiałe. Nie powinnaś się o to obwiniać.

- Rzecz w tym, że je widziałam. Oczywiście, że tak. Były przecież jasne jak słońce. - Bee wzdycha. - Wolałam je jednak zignorować, udawałam, że jeśli nie będę o tym myśleć, jeśli nie dopuszczę do siebie takiej możliwości, ona zwyczajnie zniknie.

- To, zdaje się, jest „chowanie głowy w piasek” - podpowiada Everett z uśmiechem. - Będąc mistrzem w tej konkurencji, domyślałam się, w kogo się wrodziłaś...

- No i jest twoja historia - dodaje Bee - i historia Nan, i Michaela... Czuję ogromne podniecenie, że znów piszę, że dowiem się czegoś o tej części rodziny, a przy tym także o tobie, kim naprawdę jesteś. Czuję... - urywa. - Czuję, że znowu żyję. Jakbym długo pozostawała pod wodą i nagle ponownie mogła zaczerpnąć powietrza. Czuję niezwykle podniecenie...

- Zatem chcesz tu zostać, żeby pisać?

- Tak. Pisać i być blisko morza, i dowiedzieć się, kim jesteś, kim naprawdę jesteś i skąd pochodzisz. Dlatego uważam, że powinieneś z nami zostać.

- To ciekawa propozycja - waha się Everett - tyle że ja nie jestem tutaj mile widziany. Zarówno Nan, jak i Michael - jąka się przy drugim imieniu - dali mi to całkiem jasno do zrozumienia minionego dnia.

- Dopiero co się dowiedzieli. - Bee kładzie mu dłoń na ramieniu. - Ich reakcja nie powinna cię dziwić. Daj im trochę czasu, daj im przestrzeń, pozwól, by mieli okazję się z tym pogodzić, a przekonasz się, że zapragną twojej obecności. Jestem pewna, że tak się stanie.

Everett mówi:

- Dziękuję, Beezy. Rozumiem cię doskonale, gdy mówisz, że czujesz się tutaj jak w domu. Marzyłem o Nantucket przez długie lata, ale chyba nawet we snach zapomniałem, jak magiczne jest to miejsce. Ja również zaznałem spokoju, kiedy się tutaj znalazłem.

- Bo to jest dom, prawda? - pyta Bee. - To znaczy, twój prawdziwy dom...

- Tak. Powellowie od pokoleń mieszkali na tej wyspie, przyłożyli rękę do postawienia większości budynków, jakie widziałas, część z nich wielokrotnie odnawiali...

- Opowiesz mi o mojej rodzinie? - prosi Bee ze łzami w oczach. - O moich dziadkach. A może mam też wujków i ciotki? Kim jesteśmy? Skąd naprawdę pochodzimy?

- Czekałem na tę chwilę przez całe swoje życie - mówi jej Everett, uzmysławiając sobie, że to szczerą prawdą. Sądził, że może zmienić tożsamość, zacząć wszystko od nowa pod nowym nazwiskiem, lecz nigdy nie zapomniał, skąd się wywodzi.

Po raz pierwszy od lat nieprzytłoczony brzemieniem kłamstwa Everett także może zaczerpnąć powietrza pełną piersią.

\* \*

- Gdzie Jessika? - Pytanie Daniela zaskakuje Daff, która jest pogrążona w myślach, malując subtelną akwarelkę domu.

- Pojechała do wioski z Nan - odpowiada mu. - Zdaje się, że obu przyszła ochota na lody.

Daniel kręci głową i uśmiecha się szeroko.

- Co za niezwykła przyjaźń... Kto by pomyślał, że zbuntowana trzynastolatka poczuje się dobrze w towarzystwie Nan?

- W teorii to nierealne, ale ja chyba wiem, w czym rzecz - mówi Daff. - Pamiętam wciąż siebie jako nastolatkę. Nie znosiłam swoich rodziców, ale darzyłam sympatią innych dorosłych, zwłaszcza tych, którzy traktowali mnie jak równą sobie, nie opędzali się ode mnie jak od uprzykrzonej muchy i uważnie słuchali tego, co miałam do powiedzenia.

- Nan z całą pewnością traktuje twoją córkę jak równą sobie. Chyba nawet nie wie, że Jessika ma tylko trzynaście lat. À propos, jak byś się zapatrywała na jej pomoc przy dzieciach? - Daff przechyla głowę na bok. - Bee właśnie do mnie zatelefonowała. Wychodzi gdzieś z ojcem dziś po po-

łudniu, chyba będą zwiedzać wyspę śladem przodków. Poprosiła, żebym zaopiekował się dziewczynkami, ale ja mam już własne plany.

- Wiążące się z Mattem przystojniakiem?

- Łączy nas tylko przyjaźń - zastrzega się szybko Daniel.

- Przepraszam cię. To nie moja sprawa... - Daff ucieka wzrokiem, po czym niemal od razu wraca spojrzeniem do twarzy Daniela, pokazując zęby w uśmiechu. - Ale przyznasz chyba, że jest przystojny? Naturalnie nie ma nic złego w przyjaźni...

- Chyba że jedna ze stron pragnie czegoś więcej.

- Która ze stron? Ty? - Daniel nie odpowiada, robi tylko nieszczęśliwą minę. - Nie rozumiem, w czym problem. Mnie się wydaje, że on też za tobą przepada.

- Zależy mu na trwałym związku i twierdzi, że ja nie jestem na niego gotowy.

- A jesteś?

- Nie wiem. Matt twierdzi, że na początku będę chciał się wyszaleć, dopiero później przyjdzie ochota na jednego partnera, a on nie ma zamiaru dać się zranić.

Daff rozważa to przez chwilę, po czym wzrusza ramionami.

- Brzmi to całkiem rozsądnie.

- Wiem - wzdycha Daniel. - Ale i tak jest mi trudno, tym trudniej, im częściej się widzimy.

- Dlaczego? Czy dlatego, że chcesz go puknąć? - śmieje się Daff.

- Puknąć go? - Daniel dusi się ze śmiechu. - Cóż, chyba tak...

- Zatem... potrzebujesz opiekunki do dzieci. Jessika powinna być z powrotem za jakieś pół godziny. Myślę, że dobrze jej to robi. Uwielbia Lizzie i Stellę i mimo wszystko jest odpowiedzialna. Coś takiego właśnie sugerował jej terapeuta tego lata.

- Tak sobie właśnie pomyślałam. Pewnie będziesz chciała zadzwonić do Bee i wszystko z nią obgadać?

- Owszem. Zrobię to, jak tylko Jess się pokaże.

- Opieka nad dziećmi? - nie wierzy własnym uszom Jessika.

- Taka prawdziwa, za pieniądze?

- Naturalnie - odpowiada Daff. - Nikt nie oczekuje, że będziesz pracowała za darmo.

- Dziewczynki bardzo cię polubiły - włącza się do rozmowy Daniel, chcąc ją zachęcić. - Lizzie spytała mnie wczoraj, czy nie mogłabyś zostać ich starszą siostrą.

Oczy Jessiki rozświetlają się ze szczęścia.

- Rozmawiałem z Bee - ciągnie Daniel - i wiem, że myśli o tym, by powierzyć ci regularną opiekę nad nimi, oczywiście jeśli jesteś zainteresowana. W grę wchodziłyby wszystkie dni powszednie po południu, w sumie dwadzieścia godzin tygodniowo. - Jessika niemal piszczy z radości, podczas gdy Daniel zwraca się do Daff z wyjaśnieniem: - Bee wróciła do pisania i mimo że jej ojciec wyraża chęć



zajmowania się wnuczkami, gdy będzie zajęta, ona uważa, że to ponad jego siły, biorąc pod uwagę stan jego zdrowia. - Teraz Daniel mówi znowu do Jessiki: - Bee pracuje w domu, więc w praktyce będziesz musiała tylko bawić się z dziewczynkami, zabierać je na plażę czy nad jezioro, doglądać ich zamiast niej. Płaciłaby ci pięć dolarów za godzinę.

Jessika szybko dokonuje w myślach obliczeń.

- Sto dolarów tygodniowo? Naprawdę? Daniel z powagą potakuje.

- O rany! - Jessika zaczyna podskakiwać jak mała dziewczynka, w ferworze podbiega do matki i mocno ją ściska. - To kupa pieniędzy! Nigdy jeszcze tyle nie zarabiałam!

- Czy to znaczy, że się zgadzasz? - pyta Daniel niepewnie.

- Tak! Tak! Tak! - krzyczy Jessika. - Kiedy mam zacząć?

Daff śmieje się razem z córką, szczęśliwa, że Jessika nareszcie odzyskała humor. Czuje się tak, jakby zwrócono jej dawne dziecko, jej prawdziwą córeczkę; uważa, że pomysł z opieką nad Lizzie i Stellą jest wspaniały, i żałuje, że sama wcześniej na coś podobnego nie wpadła.

Odwraca się na dźwięk skrzypiącego na podjeździe żwiru i widzi, że to Michael przemierza krótki odcinek dzielący dom od zaparkowanego samochodu. Pragnie podbiec do mężczyzny, porozmawiać z nim, ale Michael wydaje jej się taki obcy od kilku dni, że byłoby jej niezręcznie to zrobić. Wie, że coś się stało, coś się zmieniło.

Minionego wieczoru dyskretnie zbliżyła się do niego w kuchni i cichym głosem, tak by nikt inny nie usłyszał, spytała, czy zamierza później do niej zajrzeć.

- Nie czuję się dobrze - odpowiedział, ledwie muskając ją spojrzeniem - więc raczej nie.

Pośpiesznie się czymś zajął i odsunął od niej, zostawiając ją tam, gdzie stała, i nagle Daff dopadły wszystkie młodzieńcze rozczarowania, ze zdwojoną siłą poczuła ból złamanego nastoletniego serca, wspomnienia miłosnych porażek dosłownie zalały ją, kiedy usiłowała zrozumieć, co takiego zaszło, co mogło się pomiędzy nimi zmienić.

To popołudnie okazało się wyjątkowe dla Bee. Pojechała z ojcem na wycieczkę: zatrzymywali się w miejscach, które jej wskazał, dowiedziała się, gdzie się bawił jako dziecko, wysłuchiwała opowieści o rzeczach, o jakich sam nie pamiętał od lat.

Udali się do muzeum, gdzie pokazał jej portrety przodków - jej babcia Lydia wyglądała zupełnie jak ona! Dzielił się z nią historiami z dzieciństwa, wyławiając je z odmętów niepamięci, usta nie zamykały mu się ani na chwilę, tak wiele było do opowiedzenia. Im dłużej mówił, tym więcej mu się przypominało, a Bee chłonęła wszystko, dopraszając się o jeszcze.

Ulubione plaże, zakątek przy latarni morskiej, dawna szkoła, kościół...

Everett włożył okulary przeciwsłoneczne i czapkę bejsbolową, której daszek naciągnął mocno na czoło. Podczas tych wędrówek zobaczył kilka osób, których nie widział od prawie czter-

dziestu lat, ale które na pewno go znały, a że nie chciał być przyczyną ich ataku serca, pozostał w tym przebraniu, nie ujawniając swojej prawdziwej tożsamości.

Mimo że niczego innego nie pragnął bardziej, o niczym innym nie myślał, mijając zapamiętane z przeszłości twarze. Arthur Worth - ależ się postarzał, posiwiał zupełnie, skórę ma jak pergamin, zniszczoną słońcem, lecz oczy wciąż te same, jasnoniebieskie i błyszczące jak u młodego chłopaka. Albo Sally McLean - ależ z niej była ślicznotka, bawili się razem w przedszkolu, potem podkochiwał się w niej przez całą podstawówkę, a teraz zrobiła się z niej tłusta matrona, ledwie ją rozpoznał i pewnie byłby w ogóle nie zwrócił na nią uwagi, gdyby nie jej głos, który sądząc po krótkiej wymianie zdań, jaką usłyszał w sklepie, nie zmienił się ani na jotę.

- To niemożliwe, żebyś się w niej kochał! - wykrzyknęła Bee, kiedy opuścili sklep. Podśmiała się później z niego przez całą drogę. - Nigdy w to nie uwierzę!

- Owszem, byłem w niej zakochany - wyznał. - To była moja pierwsza miłość, w tamtych czasach chucherko, do tego pięknie. Miała długie srebrzystoblond włosy i ogromne zielone oczy. Wszyscy chłopcy się w niej kochali...

- Nie chcesz z nią porozmawiać? - zapytała go w którymś momencie.

- Chcę, i to bardzo - odparł. - Chcę porozmawiać z nimi wszystkimi. Arthur Worth był moim najlepszym przyjacielem przez długie lata. W internacie dzieliliśmy pokój, to on nauczył mnie łowić ryby. Zawsze za nim tęskniłem, ale nie wolno mi teraz się śpieszyć, muszę wracać do żywych powoli, jeśli w ogóle. - Westchnął. - Prawda wyjdzie na jaw, nawet gdybyśmy chcieli na siłę zachować ją dla siebie; Nantucket to złe miejsce do utrzymywania czegoś w tajemnicy. Obawiam się, że większość osób zareaguje tak jak Nan. Znienawidzą mnie i będą na mnie źli.

- Także ci, którzy cię kiedyś kochali?

- Nan mnie wtedy kochała - odpowiedział córce z goryczą - i jak widać, dziś niewiele to znaczy.

Kiedy wracają do domu, dziewczynki są w siódmym niebie. Jessika bawiła się z nimi przez całe popołudnie, nosiła je na barana, ile chciały, i nawet przygotowała dla nich posiłek.

- Przykro mi - tłumaczy się - ale nie umiem gotować i zrobiłam im tylko kanapki z masłem orzechowym i dżemem.

- Nie przejmuj się - zapewnia ją z uśmiechem Bee. - To moja wina. Nie sądziłam, że nie będzie nas tak długo. Jak wrażenia? Dziewczynki były grzeczne?

- Były niesamowite - promienieje Jessika.

- Lizzie! Stella! Chcecie, żeby Jessika przyszła do was jutro?

- Tak! Tak! Tak! - odpowiadają chórem, tańcząc wokół opiekunki i łapiąc ją za nogi, co wywołuje u niej chichot. - Kochana Jess!

- Tatku, zajmiesz się nimi przez chwilę? Ja muszę odwieźć Jessikę do domu.

I kiedy Everett potakuje skwapliwie, Bee i Jessika kierują się do samochodu.

Michael siedzi w barze, sący piwo i gapi się w ekran zawieszony w kącie telewizora. Wie, że powinien porozmawiać z Daff, powiedzieć jej, co przypadkiem usłyszał, dać do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę ze spisku, który zawiązała z Markiem Stephensonem, aby się wzbogacić. Nie wie tylko, jak miałyby to zrobić.

Jakim trzeba był człowiekiem, żeby tak się zachować? Jakim trzeba być głupcem, żeby znów aż tak bardzo się pomylić w ocenie? Sądził, że wybieranie niewłaściwych kobiet w jego wypadku należy już do przeszłości. Zaczynał sobie gratulować, że nareszcie znalazł kogoś tak naturalnego, tak prawdziwego, normalnego, uczciwego i spokojnego - tuż przed tym, zanim usłyszał tamtą szeptaną, gorączkową wymianę zdań.

Jeżeli druga strona już na samym początku ma tajemnice i oszukuje, czy w ogóle jest jakaś nadzieja dla takiego związku? Czym byłaby ich znajomość bez wzajemnego zaufania?

Wzdryga się na myśl o tym wszystkim, co wyjawiał ostatnimi czasy, leżąc w objęciach Daff do białego rana, opowiadając jej o sprawach, z jakich jeszcze niedawno nie zamierzał się zwierzać nikomu, wyrzucając z siebie uczucia, które dopadły go na wieść, że jego ojciec nadal żyje.

Jest świadom, że nie może przed tym uciekać. Próbował uciec przed Jordana i proszę, co z tego wyszło. Zatem prędzej czy później będzie musiał stawić czoło nowym problemom. Wie, że Daff go obserwuje, widzi na jej twarzy smutek i konsternację, ponieważ on nagle się wycofał, a ona nie ma pojęcia dlaczego, nie przypuszcza nawet, że przejrzał ją na wylot.

Zajmie się tym już niebawem.

Gdy tylko będzie w stanie.

\* \*

Bee uwielbia poranki, w które budzi się przed wszystkimi domownikami. Na ogół ze snu wyrwa ją tupot bosych stóp w korytarzu i krzyki: „Mama! Mama! Ona mnie bije!”. Nie jest to coś, co Bee życzyłaby sobie usłyszeć na dzień dobry. Nic dziwnego, że w takie dni zazwyczaj wstaje lewą nogą.

Z kolei ranki, gdy budzi się pierwsza, gdy wokół panuje cisza i spokój, gdy może niezaczepiana przejść do kuchni i przyrządzić sobie świeżą kawę, i jeśli ma ochotę, także nakryć zawczasu do stołu, a potem popijając wolno mocny, czarny napar, przeczytać to, co napisała minionego dnia, zalicza do idealnych, bliskich doskonałości i tak chciałaby zaczynać każdy dzień.

Siedziała do późna w nocy, zapisując wszystko, co usłyszała od ojca, starając się nie pominąć niczego, i teraz przegląda notatki, upewniając się, że zawierają wszystko co trzeba, że o niczym nie zapomniała.

W końcu do kuchni wbiegają jej córki, podaje im na śniadanie płatki ryżowe, po czym rozbija nad patelnią cztery jajka i prosi Lizzie, by poszła obudzić dziadka.

- Dziadzio śpi - oznajmia dziewczynka, wróciwszy do kuchni.

- Nic nie szkodzi, aniołku. Mamy jedno więcej jajko do podziału. - Lizzie i Stella zaczynają się przepychać, walcząc o dodatkową porcję. - Musiał być wczoraj bardzo zmęczony - mówi do dziewczynek, gdy wspólnie sprzątajają ze stołu.

- Nie ma w zwyczaju spać aż tak długo. Pójdę i postaram się go obudzić - to powiedziawszy, wychodzi z kuchni.

- Tatku? - odzywa się szeptem. - Czas wstawać. Kawa stygnie, no i przegapiłeś śniadanie. Tatku?... Tatku?!

Podchodzi do łóżka i zaczyna potrząsać ramieniem mężczyzny, widząc wciąż nieruchomą sylwetkę, zamknięte oczy, czując chłód dotykanej skóry, wiedząc już, że wydał ostatnie tchnienie przed wieloma godzinami, w środku nocy.

- Tatku?... - Bee zaczyna szlochać. - Tat-ku?!... Taatoo!!!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Daniel odkłada słuchawkę, przez kilka sekund stoi bez ruchu, po czym robi głęboki wdech, wiedząc, że to on będzie musiał powiadomić Nan.

Wygląda przez okno i dostrzega ją, pochyloną nad grządką w warzywniku, zajęta pieleniem, skrupulatnie odkładającą wyrwane chwasty do foliowej torby stojącej przy łubiance z zebranych groszkiem. Jessika siedząca po turecku obok niej na trawie, śmieje się i papla, i równocześnie łuska groszek do wielkiej miski, którą widział w kuchni, a która teraz zdaje się tylko cudem trzymać na kolanach dziewczynki.

Daniel wychodzi przez tylne drzwi i ociężale zmierza w stronę warzywnika, przepelniony smutkiem z powodu odejścia człowieka, którego od zawsze darzył ogromną sympatią, który na wiele sposobów był dlań bardziej ojcem niż jego własny ojciec.

Nie cierpi być posłańcem złych wieści, lecz wie, że musi albo przekazać nowinę Michaelowi, który następnie podzieli się nią z Nan, albo powiedzieć jej osobiście. To drugie rozwiązanie wydaje mu się w pewnym sensie czystsze, łatwiejsze.

- Strasznie wyglądasz - zwraca się do niego Nan, prostując się przy niskim płotku. Uśmiechając się ciepło, dodaje: - Nie może być aż tak źle, kochanie.

- Nan, moglibyśmy porozmawiać na stronie tylko we dwoje?

Twarz staruszki blednie.

- Dlaczego? Co się stało?

- Ja... Muszę z tobą porozmawiać.

- Co się stało? - powtarza pytanie kobieta. - Chodzi o Michaela? - w jej głosie narasta panika.

- Nie.

- Mów, Danielu - ponagla go Nan, przygotowując się na cios.

- Evan... Everett... - zaczyna. - Doznał rozległego zawału serca zeszłej nocy. Karetka przyjechała szybko, ale nie można było już nic zrobić. - Na twarzy ma wymalowane współczucie; nie ma pojęcia, jak się przekazuje takie wiadomości, obawia się reakcji Nan.

Kobieta kiwa głową ze zrozumieniem.

- Więc tym razem naprawdę umarł? - pyta obojętnym tonem.

- Tak - potwierdza Daniel. - Tym razem umarł.

Nan zgina się w pół i odkłada pielak obok łubianki; prostując się, kładzie dłoń na głowie Jessiki, tak jakby potrzebowała wsparcia, choć jej oblicze nadal jest pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, nie ma na nim cienia smutku.

- Wejść do środka - mówi cicho. - Dziękuję, że mi powiedziałeś.

- Nan, dobrze się czujesz? Mam pójść z tobą? - pyta dziewczynka, zrywając się na nogi.

- Nie, kochanie. - Staruszka patrzy na nią przez chwilę. - Nic mi nie będzie. Po prostu nie spodziewałam się dzisiaj tego usłyszeć.

- Tak bardzo mi przykro, Danielu - odzywa się Jessika, nie wiedząc, co innego mogłaby powiedzieć. - Jak zniosła to Bee? - pyta, gdy Nan zniknęła już we wnętrzu domu i oboje odprowadzili ją wzrokiem. - A Lizzie i Stella?

- Dziewczynki chyba nie do końca rozumieją, co się stało - odpowiada jej Daniel. - Bee wciąż jeszcze nie doszła do siebie. Zaraz się do niej wybieram. Może pojechałabyś ze mną i popilnowała małych albo jakoś inaczej pomogła Bee? Trzeba się upewnić, że sobie poradzą.

- Nie myśli o tym, że Jessika ma tylko trzynaście lat, że jest o wiele za młoda, by obarczać ją podobną odpowiedzialnością.

- Oczywiście - podejmuje wyzwanie Jessika. Prędko odnosi niepełną misę groszku do kuchni i szuka w swoim pokoju jakichś lepszych butów, zakopanych pod stertą ubrań rzuconych na kupę w jednym rogu pomieszczenia.

- Powiedziałaś mamie, dokąd jedziemy? - pyta Daniel, gdy dziewczynka zbiega po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

- Nie. Nigdzie jej nie widziałam.

- Siedzi na tylnej werandzie. Czyta.

Jessika przebiega przez salon i niemal przyprawia matkę o atak serca.

- Cześć, mamó - pochyla się i cmoka Daff w policzek.

- Muszę pojechać i zająć się dziewczynkami. Daniel właśnie przyniósł wiadomość, że tata Bee, były mąż Nan, zmarł zeszłej nocy, i teraz jedziemy sprawdzić, jak Bee sobie radzi. Kocham cię - woła, już okrążając dom i pozostawiając Daff z otwartymi ze zdziwienia ustami.

Nie z powodu szokującej wiadomości, nie z powodu śmierci Everetta, tylko dlatego, że córka pocałowała ją nieproszona i powiedziała jej, że ją kocha. Nie robiła ani jednego, ani drugiego od lat.

Daff siedzi jak skamieniała przez godzinę, odtwarzając w myślach tę scenę, w końcu po jej policzku spływa samotna łza wdzięczności i kobieta podnosi się z fotela, by wejść do domu.

Puka do drzwi sypialni Nan, odczekuje chwilę, po czym puka ponownie.

- Tak? - Głos Nan jest ledwie słyszalny.

- Nan? To ja, Daff. Przyniosłam ci filiżankę herbaty.

- Wejdz, kochanie.

Daff popycha skrzydło drzwi i jej wzrok od razu pada na Nan, która siedzi przy oknie i wygląda na ocean.

- Słyszałam już... - Daff stawia spodek i filiżankę na niskim mahoniowym stoliku. - Tak bardzo mi przykro.

Nan odwraca głowę, aby na nią spojrzeć.

- Czy to nie dziwne, że zawsze nam przykro, gdy ktoś umiera? - pyta retorycznie. - Ale w przypadku Everetta na pewno nie jest mi przykro. Było mi przykro lata temu, kiedy myślałam, że umarł. Teraz czuję... sama nie wiem, co czuję. Być może pustkę. Ulgę. Ojej, chyba nie powinnam tego mówić na głos. I jeszcze ta biedna Bee, musi bardzo cierpieć po stracie ojca. Wydaje mi się, że w moim życiu tyle się ostatnio wydarzyło, iż zdążyłam się przygotować na kolejne niemiłe zdarzenie, i kiedy rzeczywiście do niego doszło, ogarnął mnie swego rodzaju spokój.

- Potrafię to zrozumieć. - Daff przysiada ostrożnie obok Nan.

- Tak bardzo go kochałam - mówi w zamyśleniu starszka. - Przez tyle czasu... Lata mijały, a ja utrwalalam w pamięci jego obraz, robiłam z niego w myślach superbohatera, półboga, przelałam swoją miłość na ten dom, na wspomnienia związane z niegdysiejszym Windermere, wyidealizowałam nasze małżeństwo, więc oczywiście nie mogłam wyjść za mąż po raz drugi, nie mogłam uchybić czemuś, co jak sądziłam, było najgorętszym uczuciem w dziejach świata. - Urywa i patrzy przez chwilę na ocean, zanim znowu przenosi wzrok na Daff i kontynuuje: - A teraz dowiedziałam się o jego oszustwie, o jego zdradzie, zobaczyłam Everetta jako starca, słabego i chorego, zrozumiałam, że nie miał odwagi przyznać się do własnych błędów, że uciekł od nas, zamiast spróbować zmierzyć się z sytuacją, wypić piwo, którego nawarzył, pozwolić, abyśmy przeszli przez to razem... - Nan wzdycha i potrząsa głową. - Nie, zdecydowanie nie czuję smutku z powodu jego śmierci. Raczej wdzięczność.

- Wdzięczność? - powtarza Daff i marszczy brew. - Chyba nie bardzo rozumiem...

- Jestem wdzięczna, że było mi dane znów go zobaczyć. Że dostrzegłam w nim istotę ludzką, niedoskonałą i słabą. Że nie muszę dożyć swych dni, tęskniąc za mężczyzną doskonałym, za idealnym mężem, za wspaniałym małżeństwem, że nie czuję się w obowiązku pozostać w tym domu, stojąc na straży wspomnień.



Czoło Daff przecina kolejna bruzda.

- Ale Nan, ty przecież kochasz ten dom.

- Owszem. Kocham i zawsze kochałam. Różnica polega na tym, że teraz nie muszę w nim zostać. Trzymając się kurczowo Windermere, trzymałam się wspomnień o swoim małżeństwie, o mężczyźnie, który tak naprawdę istniał tylko w mojej wyobraźni. Skoro zobaczyłam rzeczywistego Everetta, nie potrzebuję już domu.

- Chcesz się wyprowadzić?

Nan wzrusza ramionami.

- Dom jest stary i zbyt duży tylko dla mnie. Nawet gdyby było mnie stać na renowację, nie zdołałabym utrzymać go w należytym stanie, także przy pomocy Sary.

- A Michael?

- Michael potrzebuje tej rudery jeszcze mniej niż ja - stwierdza stanowczo Nan. - Czas się pożegnać. Nie byłam pewna, gdy rozmawiałam z Markiem Stephensonem, ale teraz już jestem. Powiedz mi coś... - nachyla się do Daff i ujmuje ją za rękę. - Potrafisz sobie wyobrazić siebie i Michaela mieszkających tutaj?

Daff czerwieni się i spuszcza oczy.

- Ja... Ja nie wiem...

- Daff! - śmieje się Nan. - Przecież nie jestem ślepa! Widzę, że macie się ku sobie, i bardzo mnie to cieszy. Prawdę powiedziawszy, uszczęśliwiłście mnie. Nigdy dotąd nie widziałam, by Michael czuł się tak swobodnie przy kobiecie, a i ty odzyskałaś w oczach blask, którego ci brakowało, kiedy tutaj przyjechałaś. Moim zdaniem idealnie do siebie pasujecie i wróżę wam wspaniałą przyszłość... - urywa, widząc, że Daff zbiera się na płacz. - Co się znowu stało?

- Och, Nan... Rzeczywiście dobrze się między nami układało, ale coś się zmieniło. Nie mam pojęcia, czemu tak się dzieje, ale Michael nie rozmawia ze mną, ledwie na mnie patrzy. To tak bardzo boli. Dobry Boże... - wzdycha i zaczyna płakać. - Już prawie nie pamiętałam, jak to może boleć.

- Kochasz go - oznajmia spokojnie Nan, a Daff podrywa zdumione spojrzenie, gdyż nawet nie myślała, że to miłość, nie sądziła, że uczucie dopadnie ją tutaj, na Nantucket, zniecka, niezapowiedziane. Mimo to potakuje skinieniem i Nan się rozpromienia. - Więc idź do niego i z nim porozmawiaj - radzi. - Dowiedz się, w czym rzecz. Wiesz równie dobrze jak ja, że kluczem do udanego związku jest umiejętność rozmowy. Wszyscy się kłócimy, wszyscy padamy ofiarą nieporozumień, ale najważniejsze to umieć ze sobą rozmawiać. Nie można pozwolić, by wzajemne żale zamieniły się w mur nie do przebycia. Być może - zamyśla się głęboko - być może sprawy ułożyłyby się całkiem inaczej, gdyby Everett potrafił ze mną rozmawiać.

- Dziękuję, Nan. - Daff nachyla się i całuje staruszkę w policzek. - Mądra z ciebie kobieta.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. - Nan poklepuje ją po dłoni. - Po prostu do niego idź i powiedz mu, co naprawdę czujesz.

W tej samej chwili kiedy Daff zostawia ją samą, pod dom zajeżdża stary zardzewiały jeep i Nan wychodzi na zewnątrz, nie kryjąc swej radości.

- Sara! - Nan otwiera szeroko ramiona i młodsza kobieta, uśmiechając się od ucha do ucha, wysiada pośpiesznie z wozu, by podbiec i uściskać gospodynię, zauważając przy tym, jak krucha się nagle wydaje.

- Nan! - strofuje ją. - Schudłaś! Nie dbasz o siebie.

Staruszka śmieje się głośno.

- Możliwe, jestem zbyt zajęta dbaniem o innych... Ależ się za tobą stęskniłam. - Odsuwa się na wyciągnięcie ręki i przebiega domyślnym spojrzeniem po figurze Sary. - Pal licha, że ja schudłam - mówi, nie przestając się uśmiechać. - Nie masz mi przypadkiem nic do powiedzenia?

Sara czuje, jak ze zdziwienia opada jej szczęka.

- Skąd wiesz? - wyrzuca z siebie. - Jakim cudem? To dopiero szósty tydzień!

Nan unosi jedną brew.

- No wiesz, niektórzy powiadają, że jestem czarownicą... - puszcza oko, a potem składa pocałunek na czole Sary i bierze ją za rękę. - Dziecko. To wspaniała nowina. Nie wyobrażam sobie lepszej.

- Ja też, jestem taka podniecona - szczerzy się radośnie Sara. - Tylko że nie wolno nic mówić do początku czwartego miesiąca.

- Nie martw się. Nie zdradzę twojej tajemnicy.

- Gdzie są wszyscy? - pyta nagle Sara. - Jak się ma Michael? I pozostali mieszkańcy? Nawiązały się tu jakieś romanse, o których powinnam wiedzieć?

Nan wybucha śmiechem.

- Słodki Boże. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Chodźmy do środka i napijmy się herbaty.

\* \*

Wszystkie samochody i rowery stoją na swoim miejscu, z wyjątkiem półciężarówki, którą Daniel zabrał, żeby pojechać do Bee, oznacza to więc, że Michael nie może być daleko.

Daff ostatecznie znajduje go na plaży, podskakującego na falach w szalupie, której silnik pracowicie oliwi. Pochłonięty zajęciem nie widzi jej, gdy ściąga z siebie koszulkę i szorty, i w samym stroju kąpielowym chyłkiem przemyka w stronę wody, by potem zacząć bezgłośnie płynąć w stronę łodzi.

Kiedy w pewnej chwili podnosi głowę i dostrzega zbliżającą się Daff, z mokrymi gładkimi włosami upodobniającymi ją do foki, czuje, jak ogarnia go mieszanina pożądania, ciepła, bólu i zmieszania. Tutaj nie zdoła uniknąć konfrontacji, toteż odkłada oliwiarzkę i szmatkę, po czym pochyla się

nad burtą i wyciąga rękę, aby pomóc kobiecie wejść na pokład. Bez słowa podaje jej ręcznik, żeby się wytarła.

- Przepraszam - zaczyna Daff, ledwie łapiąc oddech z wysiłku i zdenerwowania. - Cokolwiek złego zrobiłam, przepraszam. Nigdy bym cię nie zraniła, przynajmniej nie celowo, bo najwyraźniej jednak udało mi się cię skrzywdzić. Wiedz, że uczynię wszystko, aby ci za to zadośćuczynić.

- Nie chodzi o to, co zrobiłaś mnie - mówi Michael cicho, nadal na nią nie patrząc - tylko o to, co zrobiłaś mojej matce.

- O czym ty mówisz?

Michael wreszcie podnosi wzrok i patrzy Daff prosto w oczy.

- Słyszałem was - rzuca. - Słyszałem cię i Marka Stephensona. Wiem o waszym brudnym układziku, na którym zarobisz okrągłą sumkę, jeśli tylko przekonasz mamę, żeby sprzedała mu dom. - Śmieje się złośliwie. - Czy raczej zarobiłabyś, gdyby się nie wycofał z umowy, bo ty nie dotrzymałaś warunków i nie podałaś mu Windermere na tacy, i to wystarczająco tanio.

- Och, Michael... - Daff zwiesza głowę ze wstydu. - Tak strasznie mi przykro, że się dowiedziałeś. Wysłuchaj mnie, proszę. - Staje naprzeciwko i ujmuje jego ręce w swoje. - Mark Stephenson zaproponował mi prowizję w trakcie tamtego przyjęcia u Jacka. Nigdy na nią nie przystałam, choć przez chwilę, przyznaję, kusił mnie. Myślałam sobie, że nie musiałabym martwić się o alimenty, nie musiałabym leżeć po nocach bezsennie i zastanawiać się, czy wystarczy mi pieniędzy na wychowanie dziecka, na posłanie Jessiki do college'u. W końcu jednak uznałam, że nie mogę tego zrobić.

- Z waszej rozmowy to nie wynikało - zauważa Michael.

- Wiem. Właśnie miałam powiedzieć Stephensonowi, że nie chcę jego pieniędzy, że umyłam ręce, gdyż nie zamierzam kłamać ani tobie, ani Nan, chcę rozpocząć nasz związek z czystym kontem, gdy mnie uprzedził i pierwszy oznajmił, że mi nie zapłaci, a ja straciłam mowę, bo wydało mi się to takie nieetyczne.

Zapada długie milczenie, Michael przetrawia w duchu to, co od niej usłyszał.

- Przysięgasz, że nie miałaś zamiaru brać od niego tych pieniędzy?

- Przysięgam - mówi z powagą Daff. - Nigdy bym tego nie zrobiła. Bo... - robi głęboki wdech - to, co mamy, znaczy dla mnie tak wiele, że nie mogłabym tego zaprzepaścić. W życiu się nie spodziewałam, że spotkam kogoś takiego jak ty. Jesteś najwspanialszym mężczyzną, jakiego znam. Nie ma mowy, żebym to spała.

Kolejna chwila ciszy. Daff odwraca wzrok. Kiedy znów spogląda na Michaela, ten szczyrzy się do niej.

- Ale jednak cię korciło.

- Tak. - Daff odczuwa ulgę; wie już, wie z jego uśmiechu, że wszystko skończy się dobrze. - Korciło mnie - przyznaje.

- Chyba mógłbym ci wybaczyć... - zsuwa ramiączko stanika jej kostiumu kąpielowego, po czym obejmuje ją i przyciąga do siebie, wtula twarz w zagłębienie jej szyi, oddycha głęboko, zachwycając się jej miękkością, jej zapachem, jej smakiem. - Było nie było, jesteś tylko kobietą.

Gdy równocześnie opadają na deski łodzi, fale uderzają mocniej o burty, a nad ich głowami rozkrzykują się mewy.

\* \*

- Zakochałem się w tym domu. - Stephen zatrzymuje się przy oknie sypialni Nan i wygląda na ocean. - Całymi latami żeglowałem tutaj i patrzyłem na niego od zewnątrz. - Obraca się do gospodyni. - Teraz przekonałem się, że w środku jest tak samo uroczy.

- Dziękuję - odpowiada Nan. - Służył nam dobrze przez wiele lat.

- Słyszałem opowieści o przyjęciach, jakie się tutaj odbywały... - Stephen spogląda na rozciągający się pod oknem trawnik.

- Co za szkoda, że dzisiaj nie urządza się już takich imprez.

- Hm - chrząka Nan. - Jeśli kupi pan Windermere, będzie pan miał możliwość spróbować, jak to jest...

Oczy Keitha rozświełają się.

- Och, obaj przepadamy za wydawaniem przyjęć - mówiąc to, przysuwa się do partnera, żeby również podziwiać widok.

- To tak jak ja. - Nan rozważa coś przez chwilę w duchu. - Może, jeśli dobijemy targu, przejście domu z rąk do rąk powinno odbyć się z wielką pompą? Wyprawimy garden party z prawdziwego zdarzenia, z muzyką na żywo i wystawną kolacją, co panowie na to?

- Och... - Keitha przebiega dreszcz ekscytacji. - Już samo słowo „wystawny” przywołuje mi na myśl Cary'ego Granta i Grace Kelly. Ten trawnik jest wprost idealny do takich imprez. Moglibyśmy poprosić, żeby goście ubrali się w smokingi albo jeszcze lepiej we fraki, bądź zorganizować bal maskowy, zupełnie jak Truman Capote!

Nan śmieje się radośnie i dyskretnie obróciwszy do Daniela, szepcze:

- Dziękuję, że mi ich przedstawiłeś. Nie znam nikogo, kogo bym chciała bardziej widzieć na swoim miejscu w Windermere.

- Naprawdę? - odszeptuje Daniel, równocześnie rzucając spojrzenie przez pokój i zerkając na Matta.

- Naprawdę - potwierdza Nan. - Obejrzałam portfolio Stephena i jestem pod wrażeniem. To miłe, że pomyślał, aby mi je pokazać, aby udowodnić, że poważnie myśli o odnowieniu tego domu. A Keith jest taki pełen życia! Sądzę, że to idealna para, zdolna znów tchnąć życie w to miejsce.

- Podobają mi się o wiele bardziej od Marka Stephensona.

- Nan rozmawia z Daff i Michaeliem na dole, podczas gdy Daniel z Mattem oprowadzają gości po ogrodzie. - Na samo wspomnienie dostaję gęziej skórki.

- Zatem od razu go przejrzałaś! - zdumiewa się Daff.

- A ja myślałam, że cię oczarował.

- Ani na moment. Wiedziałam, że zamierza zburzyć dom, gdy tylko podpisze akt własności, i szczerze mówiąc, byłam na to przygotowana. Nie mogłam tylko znieść tego, że kłamie, że próbuje mi wmówić, że chce tu wychowywać dzieci, że robi to w nadziei, iż sprzedam mu posiadłość po niższej cenie.

- Powiedziałaś mu już, że się rozmyśliłaś? - pyta z niepokojem Michael.

- Nie, kochanie, oczywiście, że nie. Musiałam z tym poczekać, aż Stephen i Keith obejrzą dom i przedstawią mi swoją ofertę. W dalszym ciągu najchętniej dogadam się z kimś prywatnie, te prowizje agentów nieruchomości to czyste zdzierstwo... Wybacz, Daff.

Daff wzrusza ramionami i ucieka spojrzeniem, zerkając przez ułamek sekundy na Michaela i wymieniając z nim słaby porozumiewawczy uśmiech.

- Strasznie nam się tutaj podoba - mówi Keith ze łzami w oczach. - Jestem pewien, że moglibyśmy tu być niezmiernie szczęśliwi, zwłaszcza że Stephen już ma w głowie plany renowacji staruszki...

Nan uśmiecha się, wiedząc, że to nie o niej mowa.

- Zabawne. Ja też zawsze myślałam o Windermere w rodzaju żeńskim. Imponująca starsza pani przycupnięta na skraju urwiska.

- Dostrzegam pewne podobieństwo, jeśli wolno mi zauważyć - wtrąca Keith.

- Ależ oczywiście. Zawsze lepiej być imponującą niż postrzeloną - odpowiada, puszczając doń oko.

- Jest wspaniała! - Keith porusza samymi wargami, zwracając się do Matta, który odpowiada w ten sam sposób:

- A nie mówiłem?

- Możemy znaleźć sobie jakieś spokojne miejsce i porozmawiać o konkretach? - proponuje cichym głosem Stephen.

- Naturalnie. - Nan wstaje i pozwala się odeskortować. - Przejdźmy do biblioteki.

- Pięć milionów? - Michael wydaje się skonfundowany. - Ale przecież od Marka Stephensona chciałaś dziesięć! Pięć to chyba znacznie mniej niż dom jest wart.

- Stephen chce kupić mniej niż połowę ziemi, dom i jakieś trzy akry. Powiada, że całość byłaby ponad ich siły. Zatem będziemy mogli postawić sobie domek na własnej ziemi, czy to nie cudowne?

- Super! - Daff obraca się z uśmiechem do Michaela.

- To naprawdę brzmi fantastycznie!

- Może nawet postawimy dwa domy - mówi Nan, z trudem okiełznując podniecenie. - Jeden dla mnie i jeden dla was dwojga, to znaczy, trojga, włączając Jessikę.

Daff się rumieni.

- Nas dwojga? Nie... my... - Spogląda na Michaela zakłopotana, gdyż nie sięgała jeszcze myślą tak daleko w przyszłość, nie odważyła się obnażyć do tego stopnia, nie wystawiła na łaskę i niełaskę, nie chcąc być zraniona.

Michael ujmuje jej dłoń i uśmiecha się do Nan.

- Kapitalny pomysł - chwali, a Daff czuje, jak w jej wnętrzu wybucha radość.

- Zatem pozostaje nam tylko... - staruszka uśmiecha się diabolicznie - przekazać panu Stephensonowi, że nie skorzystamy z jego oferty.

Daff klaszcze w dłonie jak mała dziewczynka.

- Proszę, ja to zrobię! Nic nie sprawi mi większej przyjemności.

Michael zostaje w poczekalni, przerzucając kartki czasopisma dla wędkarzy, podczas gdy Daff wchodzi do biura Marka Stephensona; ściany pomiędzy pomieszczeniami są tak cienkie, że Michael słyszy każde słowo.

- Uznałam, że najuczciwiej będzie - zaczyna mówić Daff - przyjść tutaj osobiście i poinformować cię, że pani Powell otrzymała inną ofertę, którą zdecydowała się przyjąć.

Przez sekundę panuje cisza, po czym następuje eksplozja.

- Co takiego?!

Daff zaczyna powtarzać swoją kwestię, lecz Mark Stephenson jej przerywa.

- Słyszałem za pierwszym razem! Nie rozumiem tylko, co to znaczy! W co ty do diabła pogrywasz? Jak to: otrzymała inną ofertę? Nie możecie przyjąć innej oferty, nie przychodząc wpierw do mnie!

- Czyżbyśmy mieli jakąś umowę na piśmie? - Daff udaje zaskoczenie.

- Nie, oczywiście, że nie mamy, ale umawialiśmy się...

- Doprawdy? Odniosłam wrażenie, że zerwałeś naszą ustną umowę.

- Nie, nie zerwałem! - wrzeszczy Mark Stephenson.



- Załatw mi ten dom, a ci zapłacę! Ile daje jej ten drugi ktoś? Ile mam dopłacić?

- Przykro mi - odzywa się łagodnie Daff. - Obawiam się, że ten dom naprawdę nie jest już na sprzedaż. Przyszłam tu z czystej uprzejmości, nie po to, żeby negocjować z tobą stawkę.

Głos Stephensona staje się ostry jak brzytwa.

- Posłuchaj no mnie. Gdy w grę wchodzi takie pieniądze, nie ma mowy o uprzejmościach. Mów mi zaraz, o ile mnie przebito, albo klnę się na Boga...

- Klniesz się, że co? - Michael staje w drzwiach, zanim Daff zdążyła porządnie się przestraszyć.

- O! - Wyraz twarzy Stephensona zmienia się błyskawicznie, mężczyzna rozpływa się w uśmiechach i udaje serdeczność, której wyraźnie mu brakuje. - Michael. - Wyciąga przed siebie dłoń, na którą Michael nawet nie patrzy. - Nie miałem pojęcia, że tu jesteś.

- Tyle sam się domyśliłem - rzuca Michael kwaśno.

- Właśnie mówiłem, że nie tak załatwia się interesy - ciągnie Mark Stephenson wcale nie zbity z tropu. - Rozumiem, że twoja matka otrzymała inną ofertę, i jestem gotów wystąpić z porównywalną. Jakąkolwiek kwotę jej zaproponowano, ja daję... pół miliona więcej.

Michael potrząsa głową.

- Nie. Nie sądzę...

- O jakiej kwocie mówimy? Mogę dać jeszcze więcej, muszę tylko wiedzieć...

- Nie - przerywa mu Michael stanowczo. - Nie sądzę, żebyś to zrozumiał, ale pewnych rzeczy, pewnych ludzi nie da się kupić. Moja matka jest jedną z takich osób. Chodźmy, Daff, nie mamy tu nic do roboty.

I ujmując ją pod ramię, wyprowadza Daff z biura dewelopera.

## NASTĘPNEGO LATA

Bee budzi się, jak co dzień, tuż przed wpół do szóstej. W dawnych czasach, w Westport, gdy była żoną Daniela, wstawanie zawsze przychodziło jej z trudem - każdego ranka leżała w łóżku, usiłując łapać resztki snu, aż w końcu przychodziła któraś z dziewczynek i Bee, wciąż zaspana, musiała się podnieść, zejść na dół i zacząć szykować śniadanie, na oślep sięgając po kawę.

Teraz z trudem przychodzi jej pozostać w łóżku po piątej rano. Budzi się świeża, przepełniona energią, wyskakuje z łóżka i klapiąc bosymi stopami, przechodzi na taras przy swojej sypialni, żeby obejrzeć wschód słońca, posłuchać grania świerszczy, upajać się poranną ciszą i widokiem łódek leniwie kołyszących się w oddali.

Potem zbiega na dół, nalewa sobie do kubka trochę kawy i przysiadłszy na progu drzwi wejściowych, popija z wolna i przygląda się, jak Albert, bezdomny kociak, który najwyraźniej je adoptował, zbliża się i zaczyna ocierać o jej łydki, pomiaukując cicho o pierwszy posiłek, zanim nie wskoczy jej na kolana, gdzie mruczy jak mały silniczek, kiedy ona z zamyśloną miną drapie go pod brodą.

Co rano, siedząc na swoim progu, czuje radość w sercu, czuje szczęście, jakiego nigdy nie znalazła, ponieważ zawsze szukała go w niewłaściwym miejscu.

Przez całe życie sądziła, że jej szczęście uzależnione będzie od mężczyzny. Uważała, że je odnalazła, gdy pobrali się z Danielem, ale w rzeczywistości dopiero teraz, gdy jest sama, tylko z dziewczynkami, gdy zajmuje się wymarzoną pracą, poznała, co to prawdziwe szczęście.

Została z dziećmi w domu nad jeziorem Quidnet i przez rok badała teren, sprawdzała, czy Nantucket na pewno jest miejscem, w którym powinna żyć, a nie tylko przystankiem w drodze do znalezienia domu.

Następnego lata Bee wie już, że Nantucket to jej dom.

Po śmierci jej ojca na wyspie wybuchł skandal. Już wcześniej krążyły plotki o powrocie Everetta Powella, ale gdy zabrał się do nich dociekliwy dziennikarz, zmieniły się w wiadomość dnia, która nie schodziła z pierwszych stron lokalnych gazet przez dłuższy czas, i Bee chcąc nie chcąc, znalazła się w środku zamieszania.

Później historia zaczęła zataczać coraz szersze kręgi. Przez wiele dni z rzędu zajmował się nią „The New York Post”, reporterzy i fotografowie koczowali na trawniku przed jej domem, starając się pstryknąć im zdjęcia. Miejscowi dziennikarze usiłowali namówić ją na wywiad, nadając jej przydomek córki marnotrawnej Nantucket, lecz Bee trwała uparcie w milczeniu.

W końcu sprawa przycichła, media zajęły się innymi tematami i Bee była w stanie wyjść z domu, narażając się co najwyżej na kilka ciekawskich spojrzeń w sklepie. W pewnym sensie ulżyło jej, że prawda wyszła na jaw. Napisał do niej Arthur Worth, zaprosił ją do siebie i godzinami opowiadał o młodości jej ojca, wypełniając luki w życiorysie, którego nie zdążyła poznać z pierwszej ręki.

Takich osób było więcej. Znacznie więcej. Ludzie, którzy znali jej ojca, którzy go kochali, którzy przeżyli szok, poznając prawdę, wszyscy oni chcieli jakoś pomóc Bee, uraczali ją fragmentami historii, pomagali jej odkryć, kim naprawdę jest.

Wciąż pisze swoją książkę, na poły pamiętnik, na poły autobiografię. Opisuje swoje życie - jak dorastała, myśląc, że żyje w doskonałej rodzinie, jak wyszła za mąż za mężczyznę, z którym miała nadzieję stworzyć kopię małżeństwa swoich rodziców, jak ostatecznie odkryła, że wszystko, w co wierzyła i co miała za prawdę, okazało się jednym wielkim kłamstwem.

Pisze też o rodzinie Powellów. Skąd się wzięli na wyspie, jak znaczącą rolę odegrali w historii Nantucket. Przede wszystkim pisze o swoim ojcu. O jego młodości, o małżeństwie z Nan, o problemach, które doprowadziły go do upozorowania samobójstwa, o tym, jak jego życie zatoczyło pełne koło i przywiodło go z powrotem na Nantucket.

Nieustannie za nim tęskni, ale pisanie o nim jej pomaga. Znowu jest tak, jakby żył. Czuje go obok siebie, czuje jego miłość i wsparcie, jego zachęty, wyobraża sobie, że prowadzi ją za rękę, kierując do miejsc i ludzi, których - jest o tym przekonana - nigdy by nie odnalazła, gdyby nie jego ciągła obecność w jakiejś postaci, gdyby nie jego czuwanie nad nią.

Gdy promienie porannego słońca grzeją jej twarz już przez kilka minut, Bee zabiera swój kubek i idzie do pracowni, siada przy komputerze i przejrzawszy zapiski z minionego dnia, decyduje, o czym będzie pisała dzisiaj.

W dalszym ciągu nie uważa się za prawdziwą pisarkę, mimo że w ostatnim roku opublikowano trzy jej opowiadania, jedno nawet na łamach „New York Timesa”. Zaledwie kilka tygodni temu wysłała streszczenie i trzy pierwsze rozdziały swojej książki do jednej z wielkich nowojorskich agencji literackich, nie spodziewając się odpowiedzi.

Tymczasem trzy dni później zatelefonowała do niej agentka z informacją, że książka jej się spodobała, i propozycją spotkania.

Zatem ma już agenta i wie, że gdy tylko skończy książkę, zostanie ona skierowana do wydania. Bee nie może jeszcze w to uwierzyć. Uczciła dobrą nowinę uroczyście z dziewczynkami - był szampan dla niej i wino musujące dla dzieci, i tańce na tarasie, i głośne okrzyki radości.

Dzisiaj będzie miała pod górkę. Czasami pisze się jej łatwo, jakby na autopilocie, słowa spływają z opuszek palców, umysł ma wyciszony, zupełnie jakby książka powstawała sama. Kiedy indziej pisanie to katorga, praca idzie jak po grudzie.

Bee poznała już ważny sekret, wie, co odróżnia prawdziwych pisarzy od ludzi, którzy tylko marzą o tym, by nimi zostać, którzy mają wspaniałe pomysły, lecz nigdy nie przelewają ich na papier albo zaczynają pisać i nigdy nie kończą. Tym sekretem jest dyscyplina, siadanie do pracy, nawet gdy się wydaje, że nie ma się nic do powiedzenia, pisanie, nawet gdy się nie wie, co napisać, zwykła, co-

dzienna orka - nawet w takie dni jak ten, kiedy trzeba zwalczać w sobie podniecenie na myśl o wieczornym przyjęciu.

W Windermere odbędzie się huczna impreza z okazji wyprowadzenia się Nan z domu już w nadchodzącym tygodniu.

Bee pokochała Nan, zaczęła ją traktować jak drugą matkę. Nabrała zwyczaju zaglądania do Windermere niemal codziennie, często zabierając ze sobą Lizzie i Stellę, które - w czym nie ma niczego niezwykłego - nazywają Nan babcią, jako że widują ją częściej i bardziej się z nią zżyły niż z Margaret.

Bee nigdy dotąd nie rozumiała naprawdę, co to jest rodzina. Dorastając, żałowała, że nie ma licznych krewnych, wydawało jej się, że jako jedynaczka, w dodatku pozbawiona kuzynów, wiele traci. Odkąd zmarł jej ojciec, pojęła, że to ludzie, którymi się otacza, których kocha, stanowią rodzinę bez względu na to, czy łączą ją z nimi więzy krwi czy nie.

Teraz jej rodziną jest Nan. I Michael, którego uważa za swojego brata, i Daff, i Jessika. Osoby, o których istnieniu nawet nie wiedziała przed rokiem, obecnie są stałym elementem jej życia, pomogły jej osiąść na Nantucket, pomogły jej poczuć się tutaj jak w domu.

Ale to nie wszystko. Bee po raz pierwszy w życiu czuje się dobrze w swojej skórze, nie boi się być sobą. Przestała grać rolę szczęśliwej podmiejskiej żonki w różowo-zielonych legginsach, z rzucającą się w oczy biżuterią z żółtego złota i brylantów oraz włosami układanymi dwa razy w tygodniu przez profesjonalnego stylistę w salonie Petera Coppoli, umawiającą się na lunche z przyjaciółkami w barze V czy kawiarni Zest w Westport i zajeżdżającą pod przedszkole dziewczynek swoim szpanerskim lexusem kombi.

Przestała strzyc regularnie włosy i nosi je rozpuszczone i naturalnie pofalowane, pozwalając, by rozjaśniało je samo słońce. Skórę ma lekko opaloną, twarz nareszcie uwolnioną od makijażu. Na co dzień wkłada krótkie spodenki, T-shirt i klapki, a elegancko ubiera się tylko od wielkiego dzwonu i zawsze korzysta wtedy z już posiadanej garderoby, a nie robi tego, co robiła w przeszłości - nie kupuje czegoś nowego, gdyż nie wypada pokazać się dwukrotnie w tym samym stroju.

Bee uprawia jogę cztery razy w tygodniu, razem z paroma kobietami, które spotykają się rano na plaży i powoli stają bliskimi przyjaciółkami. Potem zawozi dziewczynki do przedszkola, a popołudniami piecze z nimi ciasteczka, bawi się nad oceanem, jeździ po wyspie w poszukiwaniu domu do kupienia.

Albowiem nadszedł czas, by na dobre zapuściła korzenie na Nantucket. Dom w Quidnet, choć piękny, nie należy do niej, a ona czuje, że powinna wraz z córkami wreszcie rozpocząć prawdziwe życie, a nie wieść tylko tymczasową egzystencję, będącą przedłużeniem wakacji. Czekala z tym aż do tej pory, ponieważ chciała mieć pewność, i w końcu zaczęła się rozglądać za czymś na własność, wiedząc już, że właśnie tutaj pragnie żyć i wychowywać dzieci.

Ich wspólny dom w Westport przeszedł już w inne ręce, meble rozdzielili między siebie - Daniel nie prosił o wiele. Swoje przechowywała przez jakiś czas kątem znajomych i u przewoźnika, lecz ostatecznie postanowiła się wszystkiego pozbyć, gdyż naprawdę chce zacząć od nowa, marzy jej się prawdziwy domek na plaży, pomalowany na biało i niebiesko, czyściutki i świeży, co ma symbolizować jej odrodzenie.

Minionego tygodnia oglądała chatę tak idealną, że prawie się rozplakała. Jasny korytarzyk wiódł do niewielkiej bawialni, z której otwierało się łukowate przejście do ogromnej kuchni połączonej z największym pokojem, zamiast trzech ścian mającym okna od podłogi do sufitu ze wspaniałym widokiem na zatokę; po parkiecie ślizgały się promienie słońca, przymocowany do stropowych belek staromodny wentylator leniwie przecinał powietrze.

Na górze mieściły się trzy sypialnie: duża, położona na tyłach, miała wykuszowe okno z wyjściem na taras (Bee już widziała ustawione przy oknie biurko do pracy) i osobną łazienkę, z dwu mniejszych z przodu (w sam raz dla dziewczynek!) architekt wykroił niewielką ciemną łazieneczkę z dwiema umywalkami.

Lizzie i Stella wbiegały po schodach, nie kryjąc podniecenia.

- Mamusiu! Tu jest ślicznie! - krzyczała Lizzie, wpadając do sypialenki, którą od razu sobie załaszczyła.

Dom otaczał piękny ogród. Część kwiatową oddzielał od basenu wysoki, równo przycięty żywopłot z ligustru, z domem łączył go kamienny taras kończący się pergolą porośniętą wiciokrzewem i powojnikiem. Bee oczyma wyobraźni zobaczyła, jak siedzi na tarasie przy stole z metalu i szkła i trzymając w dłoni kieliszek z winem, je z dziewczynkami obiad.

Nie chciała, żeby agent nieruchomości się zorientował, jak bardzo jej się tutaj podoba, lecz nie umiała powstrzymać szerokiego uśmiechu. To był dom. Na to czekała przez całe życie.

Wypytała się o szczegóły. Dom kosztował fortunę, ale przecież na Nantucket wszystko było drogie, a jej ojciec zadbał, by nigdy nie musiała troszczyć się o pieniądze.

Jak się okazało, był niezwykle zamożnym człowiekiem. Z chwilą gdy pokonał w sobie żyłkę hazardzisty w poprzednim życiu, nauczył się obchodzić ostrożnie z zarobionymi pieniędzmi, rozwinął rodzinny interes i poczynił pewne bardzo korzystne inwestycje.

Umierając, zostawił Bee jedną trzecią swojego majątku.

Resztę podzielił równo pomiędzy Michaela i Nan.

Nan odsuwa z drogi pudła i chwyta telefon.

- Halo? A, pan Moseley! Minęło trochę czasu... Co za miła niespodzianka, mam nadzieję, że dzwoni pan, by zapowiedzieć swoją obecność na naszym małym przyjętku dziś wieczór... Nie? Co za szkoda... - Nan zerka w stronę Sary i przewraca oczyma. - Ależ oczywiście, to bardzo ładnie z pańskiej strony, że sobie pan o mnie przypomniał, lecz widzi pan, panie Moseley, moje pieniądze zarabiają na

siebie w inny sposób. Naturalnie, że może pan do mnie jeszcze kiedyś zadzwonić. Tak... Nie... Nie! Nam też będzie pana brakowało. Do usłyszenia!

Nan krzywi się, wyłączając telefon.

- Zawsze go lubiłam - mówi do Sary - ale wolałabym, żeby nie nalegał, bym powierzała mu swoje pieniądze.

- Przyzwoity człowiek wstydziłby ci się to proponować po tym, co stało się zeszłego roku - zauważa Sara.

- To doradca finansowy. Tacy jak on rodzą się bez poczucia wstydu - śmieje się Nan. - Saro, dajmy sobie spokój z tym pakowaniem. Trzeba jeszcze tyle zrobić przed przyjęciem...

- W gruncie rzeczy wcale nie - uśmiecha się Sara. - Stephen i Keith podesłali nam swoich ludzi, a ci od cateringu rozgościli się w garażu. Keith sterczy w ogrodzie z walkie-talkie i instruuje, gdzie mają zawisnąć lampiony. Nie wydaje mi się, żebyśmy miały wiele do roboty.

- Czy to nie wspaniałe? - klaszcze w dłonie Nan. - W końcu wyprawimy znów takie przyjęcie, jakie zapamiętałam z młodości!

- A co najważniejsze - dodaje Sara ze śmiechem - wyprawimy je przy wydatnej pomocy nowych właścicieli. Bardzo mi się podoba ich podejście: płacić innym za zrobienie wszystkiego.

- Odpocznę sobie trochę na górze, zanim zacznę się szykować - mówi Nan. - Może przy okazji skończę pakować swoje ubrania.

Nan idzie po schodach powoli, opierając dłoń na mahoniowej balustradzie, rozpoznając pod palcami każde wgłębienie i odpryśnięcie, myśląc o tych wszystkich latach, które spędziła w Windermere, kochając ten dom, sądząc, że nigdy go nie opuści.

A jednak gdy przyszedł na to czas, wcale nie jest jej trudno się z nim rozstać. Co więcej, wydaje jej się to właściwe. Mimo że bynajmniej nie została zmuszona do sprzedaży przez okoliczności. Na dzień przed podpisaniem umowy ze Stephenem i Keithem odkryła, że Everett ujął ją w swoim testamencie.

Chociaż raz zachował się jak trzeba.

Zostawił jej dość pieniędzy, by przeprowadziła kompleksowy remont w Windermere i mogła mieszkać tam do końca swoich dni, lecz ona podjęła już decyzję i nie zamierzała jej zmieniać.

Teraz Nan jest bogatą kobietą, choć większość odziedziczonych po Everecie pieniędzy przeznaczyła na Fundację Powellów, kontynuującą dzieło jego przodków tutaj, na Nantucket, i raz jeszcze czyniącą ich nazwisko znanym.

Część środków odłożyła z myślą o inwestycjach, stąd więc nagle zainteresowanie Andrew Moseleya, chociaż nie chce już kupować akcji i udziałów, bawić się w rzeczy, jakich nie rozumie. Postanowiła kupić kilka domków letniskowych na Nantucket, wiedząc, że przy cenach nieruchomości na



wyspie idących ciągle w górę to o wiele bezpieczniejsza lokata kapitału niż nieprzewidywalna gra na giełdzie.

Kwota, którą uzyskała ze sprzedaży domu, pokryje koszty budowy jej nowego lokum na pozostałych w jej rękach dwu trzecich posiadłości, z czego połowę zatrzymuje dla siebie, by mieć gdzie mieszkać, połowę zaś przekazuje hrabstwu w wieczyste użytkowanie ze wskazaniem na założenie rezerwatu ptaków.

Jej komórka odzywa się ponownie, gdy Nan wchodzi do sypialni, lecz tym razem staruszka jest szczerze zachwycona.

- Daniel! Ależ się za tobą stęskniłam! Wróciłeś? Jesteś już na wyspie? A przede wszystkim: czy jesteś gotów na dzisiejszy wieczór?

- W życiu nie przegapiłbym takiej okazji - odpowiada Daniel ze śmiechem. - Jadę właśnie do Michaela i Daff. Też nie mogę się doczekać naszego spotkania.

\* \*

Michael podchodzi od tyłu do stojącej przy zlewie Daff, która zmywa naczynia po śniadaniu, obejmuje ją ramionami i całuje w szyję. Kobieta się uśmiecha, patrząc na ich odbicie w szybie okiennej, po czym odwraca się i uważając, by nie zabrudzić jego ubrania mokrymi dłońmi, pozwala przytulić się mocno i pocałować.

Potem obserwuje Michaela, gdy ten przechodzi przez kuchnię, z przyjemnością spogląda na jego silne, umięśnione nogi przenoszące go pewnie z miejsca na miejsce, i nie może powstrzymać uśmiechu na myśl, jak bardzo czuje się szczęśliwa, choć zważyła już, że podobny związek stanie się jej udziałem, choć do ubiegłego roku nie wiedziała, co to prawdziwa miłość.

Nie spodziewała się, że znajdzie szczęście tak prędko, że w tak krótkim czasie zbuduje nowy dom. Przeprowadziła się tu na stałe dwa miesiące temu i przywiozła ze sobą Jessikę. Richard uznał, że pobyt z matką na Nantucket dobrze zrobi Jess, zwłaszcza że Carrie zaszła w ciążę i musiał skoncentrować się teraz na swojej nowej rodzinie. Postanowiono, że dziewczynka będzie spędzała z nim każde wakacje.

Mimo że Daff nie chciała stawać na przeszkodzie relacji pomiędzy ojcem i córką, wiedziała, iż Jessika będzie szczęśliwa, szczęśliwsza, tutaj na wyspie. Odpowiada jej życie na świeżym powietrzu, nad oceanem; uwielbia Nan; wciąż pomaga Bee przy dziewczynkach w niektóre popołudnia i weekendy.

Jessice nie brakuje zajęć ani radości życia, czuje się zarówno potrzebna, jak i chciana. Odnalazła swoje miejsce w życiu i tutaj na wyspie, i jest to dla niej coś nowego.

Kiedy Michael dowiedział się, iż został spadkobiercą Everetta, podjął razem z Daff decyzję o zakupie ładnego domu na obrzeżach Sconset, z którym w parze szło kilka zaniedbanych chat letniskowych. Wspólnymi siłami wyremontowali je i doprowadzili do porządku, tygodniami nie zdejmując

dresów i kierując pracami hydraulików, elektryków i innych fachowców, a wiele robót wykonali samodzielnie.

Teraz przed domem kwitną niebieskie hortensje odcinające się na tle białego drewnianego płotu, do drzwi frontowych prowadzi zwykła ceglana ścieżka, od której odchodzą w bok wąskie ścieżynki wiodące do odnowionych chat, wynajmowanych wczasowiczom.

Dziki róże pną się po altankach, w gęstych żywopłotach otwierają się pergole prowadzące do tajemniczych ogrodów. Każdy kto tu przyjeżdża, czuje wokół siebie atmosferę magii.

Gościniec Windermere jest gotów na przyjęcie pierwszych gości tego lata.

- Jak tu cudnie! - woła Daniel, rzucając bagaże na ziemię i rozglądając się po Chatce z Fuksjami, którą dla niego wybrali. Wnętrze jest skromne, lecz daleko mu do minimalizmu, sprzęty są utrzymane w barwach piasku, bieli i błękitu, ściany wyłożone deskami z rozebranej stodoły, sosnowe podłogi wywiórkowane i zarzucone sizalowymi chodnikami. Poza tym wyposażenie sprawia dość nowoczesne wrażenie; zamiast zasłon w oknach zawisły płócienne żaluzje koloru czekolady, sofę i fotele w głównym pomieszczeniu okryto białymi pokrowcami, łóżko zasłano satynową pościelą w duże wzory.

Charakteru nadają chacie dekoracyjne drobiazgi - muszle, które Daff i Michael sami zbierali na plaży, teraz polakierowane i ułożone na białym stoliku, obrazki namalowane przez Daff, przedstawiające scenki z plaży - i książki, wszędzie książki: beletrystyka, przewodniki po wyspie, literatura faktu. Nad sofą, na centralnej ścianie, wisi spora mapa Nantucket wynaleziona u antykwariusza.

- Tak dobrze cię znów widzieć - mówi Daff, obejmując go w pasie i uśmiechając się doń promiennie. - Wydaje mi się, jakby od naszego ostatniego spotkania minęły lata.

- A to tylko sześć tygodni! - przypomina jej Daniel. - Byłem tu w kwietniu, żeby się zobaczyć z dziewczynkami. Nie pozwoliliście mi wtedy obejrzeć chat, mówiąc, że nie są jeszcze skończone. Naprawdę jestem waszym pierwszym gościem?

- Na sto procent! - śmieje się Daff. - I mamy nadzieję, że nie będziesz ostatni. No więc... jakie masz plany na to lato?

Daniel spogląda na nią podejrzliwie.

- O co ci chodzi?

- O nic... - Z trudem przychodzi jej zachować poważną minę. - Miałeś jakieś wieści od Matta?

Daniel ucieka wzrokiem.

- Skoro już pytasz... umówiliśmy się na drinka przed przyjęciem.

- To dobrze. - Daff kiwa głową. - Wiesz, że to on doprowadził ogród do porządku? Wcześniej nawet się nie domyślaliśmy, co kryje się pod tymi chaszczami. Zadziwił nas.

- Wiem, że to jego dzieło - potwierdza Daniel. - Rozmawialiśmy ze sobą niemal codziennie.

To prawda. Chociaż Daniel wrócił do Westport, mniej więcej co miesiąc przylatywał na Nantucket, żeby zobaczyć się z córkami, i w tym czasie zacieśniła się też więź pomiędzy nim i Mattem.

Prawdziwa więź, taka, za jaką stoi jakaś historia, a nie tylko chwilowe zauroczenie, które poczuli w momencie, gdy się poznali.

Zawsze jedli razem kolację, ale zaprzyjaźnili się, pisząc do siebie e-maile, a później, gdy korespondowanie ze sobą przestało im wystarczać, również rozmawiając przez telefon, co dość szybko weszło im w nawyk i stało się obowiązkowym punktem rozkładu dnia, a właściwie nocy, gdyż najczęściej dzwoniли do siebie wieczorami i rozmawiali kilka godzin z rzędu.

Żaden z nich nie poruszał tematu dłuższego związku, a Daniel był całkowicie uczciwy, jeśli chodzi o jego przelotne znajomości na przestrzeni tego roku. Matt wysłuchiwał jego zwierzeń, dawał mu rady i nigdy nie okazywał niczego innego poza wsparciem dla poszukiwań przyjaciela, mimo to Daniel raz nie zdołał powściągnąć zazdrości, kiedy się dowiedział, że i Matt nie żyje w celibacie.

Teraz Daniel jest gotów. Gotów na następny krok. Umowa najmu mieszkania w Westport właśnie wygasła, swoje nieliczne rzeczy złożył w przechowalni, i teraz zastanawia się, w którą stronę pójść dalej. Nie jest jeszcze zdecydowany. Widział ładny domek w Cornwall w stanie Connecticut, ale zawsze jest jeszcze Nowy Jork oraz oczywiście Nantucket.

Gdziekolwiek się jednak przeprowadzi, jest gotów na to, aby Matt zamieszkał razem z nim.

\* \*

W Windermere panuje atmosfera podniecenia, wyczuwa się to wyraźnie, idąc chrzęszczącym podjazdem wzdłuż pochodni płonących wprost w wieczorne, ciepłe niebo.

Wszyscy goście są elegancko ubrani, panie unoszą skraj szyfonowych sukni, by nie pobrudzić ich o ziemię, panowie we frakach nie przestają rozmawiać, mrużąc oczy i wypatrując frontu domu, żeby jak najszybciej życzyć Nan szczęścia w nowym życiu, żeby pogratulować Stephenowi i Keithowi, żeby się przekonać, kto jeszcze zjawił się na przyjęciu.

W salonie, gotowa na przywitanie pierwszych gości, stoi Nan: olśniewająca w długiej do ziemi turkusowej sukni, z oczyma lśniącymi z ekscytacji na myśl, że Windermere wraca do życia - i to w jakim stylu! - w tym samym dniu, w którym ona się zeń wyprowadza.

W domu nie został ani jeden mebel. Lecz choć pokoje opustoszały ze sprzętów, nadal są pełne wspomnień. Tego wieczoru, zanim zaczęła przygotowywać się do przyjęcia, Nan obeszła cały dom, żegnając się, przywołując w myślach obrazy z przeszłości, wspominając spędzone tutaj pierwsze, radosne lata, a potem także te późniejsze, przepełnione smutkiem. Nan uświadamia sobie, że to nie jej życie tutaj było smutne, tylko ona. Teraz wie już, że nie ma, nigdy nie miała powodów do smutku.

Michael otwiera szampana do wtóru okrzyków zebranych, po czym jego spojrzenie wędruje za okno.

- Mamo! - ponagła. - Goście już tu są.

- Nic nie szkodzi, kochanie. - Nan jakby nigdy nic odbiera od niego kieliszek. - Przywitają ich Stephen z Keithem. My możemy pokazać się dopiero za chwilę.

- Czy wolno mi wznieść toast? - pyta Daniel, gdy każdy stoi już z kieliszkiem w dłoni.

- Oczywiście - odpowiada gospodyni, uśmiechając się, i Daniel unosi szampanówkę, patrząc kolejno na stojących w kręgu Nan, Michaela, Daff oraz Matta, który pozostaje nieco na uboczu, do chwili aż Daniel skinieniem zaprasza go bliżej nich.

- Za Windermere! - ogłasza z przekonaniem. - Oby była szczęśliwa, jeszcze szczęśliwsza w rękach nowej rodziny.

- Za Windermere! - powtarzają chórem.

- Chwileczkę! - powstrzymuje ich Michael, zanim zdążą upić pierwszy łyk. - Ja też chciałbym wznieść toast... Za nowe początki - unosi kieliszek i zerka na Daff wzrokiem pełnym oddania i miłości - i szczęśliwe zakończenia!

Składają sobie nawzajem życzenia i ściskają się serdecznie, po czym wychodzą na zewnątrz, by przyjęcie mogło się zacząć.

TLR